

D 1016

# PAMIĘTNIKI

Z POBYTU

# NA SYBERYI

RUFINA PIOTROWSKIEGO.

3543

TOM I.

Biblioteka i Muzeum  
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.  
...Chicago, Ill...

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1860.



Przystępuję do opisania niektórych przygód  
 mojego życia, mających chociaż odległą styczność  
 ze sprawą narodową. Gdyby mi szło tylko o za-  
 dowolenie miłości własnej, o próżną chlubę; do-  
 świadczeniem nauczony, niewiele przywiązywać  
 wagi tak do nagany jak i do pochwał, które często-  
 kroć żadnej rzeczywistej niemają podstawy, naj-  
 ważniejszy ustęp tych przygód to jest: ucieczkę  
 z Syberyi byłbym pokrył zupełnem milczeniem,  
 albo ograniczyłbym się jedynie na opowiadaniu  
 go mym przyjaciołom i dobrze znajomym i to  
 wtenczas, gdyby tego koniecznie byli ciekawi.  
 Rzadko zapewne kto, a może i nikt niepoj-  
 mie podobnego przedsięwzięcia: a jednak zape-  
 wnić mogę, iż zupełne w tym względzie przemil-  
 czenie pochlebiłoby zbiegłemu do głębi méj du-  
 szy bolesnemu przekonaniu. Tylko uczucie obo-  
 wiązku, przed którym wszystko ustępować powin-  
 no, odwiodło mnie od powziętego zamiaru: albo-

wiem każdy czyn, każde działanie, choćby najmniejsze, nawet niewłaściwe i niestosownie co do środków, czasu i miejscowości przedsięwzięte, ale mające na celu wyswobodzenie ojczyzny z pod obcej przemocy, staje się już przez to samo własnością narodu! bo świadczy dzisiejszemu i świadczyć będzie przyszłym pokoleniom; jak drogą być musi dla serca Polaka wolność i niepodległość ziemi jemu od Boga i jego praojców w puściznie przekazanej; jak gorąca, namiętna nawet ku niej i spółrodakom jego miłość; że dla ich wyjarzmięcia, dla ich szczęścia rozmaitych nadzwyczajnych chwytają się sposobów, żadnych nieoszczędza ofiar: dobytku, krwi, życia i najdroższych związków.

Podobne przytém przykłady (a ileż ich niestety w naszej historyi się znajduje), będą zarazem przestrożą, ile olbrzymich ogólnych i pojedynczych usiłowań potrzeba dla odzyskania raz utraconych swobód i niepodległości: a ile raz odzyskane cenić i z umiarkowaniem takowych używać należy. My tułacze o tém najlepiej wiemy: alebyśmy pragnęli, ażeby klęski kraju, a ztąd i cierpienia, na jakie jesteśmy wystawieni, niebyły bezowocne i dla tych, co po nas nastąpią. Oby nasze najpóźniejsze potomki wiedziały i wierzyły słowom w bolesnem doświadczeniu wyrzeczonym: że kto niema ojczyzny — ledwo jest człowiekiem: więzienia i kajdany, wygnanie i tułactwo, pogarda lub poniżająca litość, głód i nagość, śmierć na poddaszu lub na szpitalnym bar-



łogu, i daleko sroższe od nich ciągle a nieugaszzone łaknienie duszy i serca jego są udziałem. Jest on rzeczywiście tym Prometeuszem do skały przykutym, któremu co noc jelita odrastają, dla tego, ażeby co dzień wraz ze wschodzącą jutrztenką sęp udręczenia chciwe swe szpony w nie zapuszczał.

Zdarzenia podobne tym, jakie w niniejszych pamiętnikach zamierzam opisać, zajmują jedynie swą prawdziwością. Czytający te pamiętniki, mogą wierzyć lub niewierzyć wypadkom w nich opisanym. Ja tylko powiem: że cel mojego z Francyi do Polski wyjścia był dla mnie nadto wzniosłym, a powrót z Syberyi odbył się prawie pod zasłoną samej Opatrzności, ażebym się ośmielił do rzeczy i tak już nadzwyczajnych cośkolwiek jeszcze dodawać; byłoby to popełniać świętokradztwo.

Wszystko zatem, co tu opowiem, jest istną prawdą. Ale wszystkiego, a co jest najwięcej zajmującym, to jest: pośrednich lub bezpośrednich działań, sposobów i osób do nich użytych lub w nie wmięszanych tak w kraju jak i w Syberyi, tego dziś odsłonić niemogę, niepowiniennem. Czujność naszych wrogów zmusza nas także do ostrożności, a ja miałbym sobie do wyrzucenia, gdyby próżność lub ciekawość nasza kosztem bezpieczeństwa i spokojności drugich była zaspokojona. Muszę więc przestać na tém, co dziś jest możebne. Chciałbym tylko, ażeby czytający mnie rodacy nabyli tego przekonania i téj pewności: iż sam

Bóg dopoinaga usiłowanom pod wezwaniem jego błogosławienstwa rozpoczętym. i że niepowinniśmy bynajmnieć rozpaczać o losach Polski, jeżeli do dzieła jej odrodzenia przystąpimy pod opieką Wszechmocnego z całym sercem i z silną żadnemi przeszkodami niezachwianą wolą.

## ROZDZIAŁ I.

*Ogólny rzut oka na Emigracyą. — Zkąd powstały  
partye demokratyczna i arystokratyczna.*

Altwasser na Szląsku 15go sierpnia 1848 r.

Wiadome są wszystkim przyczyny i następstwa upadku listopadowego powstania. Tyle już piór zajmowało się skreśleniem powodów smutnego położenia w jakim się dziś Polska znajduje; tylu zarzutami słusznemi lub nie słusznemi obarczono sprawców rozmyślnych lub tylko nie-szczęśliwych naszej niedoli; tak szerokiemi strugami łzy i krew nasza lała się przez upłynione lat ośmnaście, iż traktując o przedmiocie wcale podrzędnym i bardzo odległą styczność z głównym mającym, sądzę się za uwolnionego od ponowienia pierwszych: a przypomnieniem drugich nie zmniejszyłbym ani ich goryczy i obfitości, ani bym zdołał swem tchnieniem obudzić serc z których już życie uciekło. — Schylam więc tylko czoło przed wyrokami Opatrzności: a do grobu ojczyzny przynoszę należną jej od każdego syna czystą daninę uczuć i ślubu — kochać ją, żyć i umierać dla niej.

Ale jeżeli przez uszanowanie i boleść nieśmiem dotknąć się kiru co uspięne tylko oblicze wspólnej naszej matki okrywa; jeżeli pominię całą ludność krajową na państwę wściekłości okrutnych ciemiężców po rewolucyi wystawioną; to mi jest prawie niepodobna zupełnie prze-

milczeć o Emigracyi i kilku przynajmniej ogólnemi i krótkimi zarysami niezwrócić na nią czytelnika uwagi, jako na jedyne polityczne ciało reprezentujące Polskę porobiorową i uciśnioną w obec Europy: już to dla tego że Emigracya przez myśli i przekonania w niej wyrobione znaczny, prawie stanowczy wpływ wywarła na losy i przyszłe przeznaczenie Polski; już znowu dla tego, że te myśli i te przekonania były jedynym bodźcem i powodem wszystkich Emigracyi usiłowań, tak ogólnych, cząstkowych jak i pojedynczych, nie zawsze wprawdzie szczęśliwych, a zawsze jednak znajdujących wierne odbicie w samém tętnie Polski — bo w ludzie.

Mniejsza o to kto pierwszy i dla czego doradził emigrację; może to tylko było naśladowanie, a u niektórych nałóg, a może taka była wola Opatrzności. — Ale to jest pewna, że bardzo mała liczba Polaków udawała się do Francyi jedynie w zamiarze ocalenia głowy i używania spokojnie życia w bezpiecznym schronieniu; całość zaś wychodźców pospieszając do niej, miała na celu zaprotestowanie przed Europą przeciw krzywdom i rozbojom na Polsce dokonanym, a jeszcze więcej rychłe dopomnienie się o pogwałcenie najświętszych praw ludzkości i pomszczenie się za nie z bronią w ręku i z pomocą Francuzów, na których społeczenie, na tyłu polach bitew spólną krwią stwierdzone nawykliśmy oddawna rachować. — Prawdziwe złudzenia młodości: bo wkrótce po naszym do Francyi przybyciu łatwo można było dostrzedz, nie będąc politycznym ostrowidzem, że polityka Filipa króla Francuzów, już wtenczas przyjęła za podstawę swego systematu z taką zaciętością w ciągu jego panowania bronionego — „*pokój jakim bądź kosztem, la paix à tout prix*. — Wszystkie zatem nadzieje wyjednania dla Polski zbrojnej pomocy zniknęły w samym prawie zarodzie; ale liczone jeszcze na nieprzewidziane wypadki, na spiski i zamachy jakie się w skrytości knuły przeciw rządowi od części narodu czującej się być zawiedzioną w obietnicach Filipa.



Nie chcę tu objawiać własnego zdania co w takim stanie rzeczy Emigracya powinna była przedsiębrać, jaką drogę postępowania w obec Europy i Polski obrać? boby to mnie zbyt oddaliło od mojego przedmiotu: a przytém daleko łatwiej wyrokować o dokonanych już czynach i słabą w nich dopatrzeć stronę, niż przed ich zaczęciem pewny i trafny nadać im kierunek; powiem więc tylko co Emigracya zrobiła, a raczej co się w niej zrobiło i stało.

Chcąc z niejaką pewnością wyrzec o Emigracyi, to jest wydać o nią sąd bezstronny i trafny, potrzeba ją uważać pod dwoma względami: raz jako jedyne ciało niepodległe, mogące swobodnie choć na obcej ziemi przemawiać za Polską do Europy; drugi raz jako wyborowa i celniejsza na swój czas część narodu, uważana względnie do siebie samej i do jego całości. W pierwszym przypadku mało co Emigracya zostawiła do życzenia; wyrwana z łona rodzinnjéj ziemi, przez swe położenie i stanowisko wskazana od samolubów na pewne poniżenie, wystawiona na nędzę i cierpienia różnego rodzaju, rozświetwana na polityczne stronnictwa, jeżeli chodziło tylko o Polskę, o prawa i sprawiedliwość dla niej, tam Emigracya występowała z powagą dawną wielkiego narodu, nie opuszczała żadnej sposobności przemówienia za ojczyzną aż do natręctwa, szukała wszędzie dla niej spółczucia, spółdziałania, stósownie do różnicy opinii wyznawanych, już dyplomatyczną drogą u gabinetów, już odzywając się wprost do ludów; nie dawała pokoju głuchjéj na krzywdy Polski Europie; poruszyła wszystkie warstwy społeczeństwa od króla aż do ostatniego wyrobnika. — Ona była cieniem Polski wołającym do panujących i podwładnych głosem zgryzoty i wyrzutów sumienia „po cóście mnie zamordowali? po cóście mnie pozwolili zamordować?“

Ztądto Emigracya zyskiwała u jednych silne spółczucie, u drugich wzbudzała obawę i nienawiść; ztądto częstokroć pochodziło, że rządy nie wiedziały co z nią począć i jak z nią postąpić? zanadto wiele powagi i godno-

ści miała sama w sobie, aby ją można było okryć szyderstwem i pogardą; a osłonioną wielkością sprawy polskiej nie śmiano jej lekce ważyć. Emigracya też miała istotne znaczenie w Europie i nie raz mięszała jej samolubną politykę; bo też jedyny przedstawiała fenomen w historii narodów. Bez rządu i władzy, sama dla siebie i rząd i władzę tworzyła, którym się dobrowolnie poddawała z całą karnością wojskową; rozproszona po Europie, Afryce i Ameryce, a jednak kupiąc się okolo jednego ogniska, jednej myśli, co ją ożywiała; uboga, niedostatkiem i nędzą żyjąca, ostatnim kęsem chleba dzieliła się z biedniejszym od siebie bratem; a ostatni grosz chętnie składała na wsparcie ojczystej sprawy. A kiedy ją wszystko zachęcało, zmuszało nawet do myślenia o sobie do zajęcia się polepszeniem bytu materialnego, ona to wszystko ze wstrętem od siebie odpychała, jako przeszkodę zawadzającą czuć, działać i cierpieć dla Polski; ona potwierdziła zdanie przez jednego cudzoziemca o Polakach wyrażone: „iż każdy Polak nosi w swjej piersi całą swą ojczyznę.“ — Bez wątpienia, iż Emigracya byłaby jeszcze poważniejszą, większyby ją urok na zewnątrz otaczał, i więcej rzeczywistych korzyści przyniosłaby dla sprawy narodowej, gdyby była ściśle z sobą jednemi połączona zasadami, ale gdy to być nie mogło i taż z godnością wytrzymała ośmnastoletnią próbę nieustannych prac i zabiegów okolo ojczystej sprawy; potomność lubiąca się chlubić czynami swych przodków, odda zapewne pod tym względem Emigracyi bezstronną sprawiedliwość.

Czemuż z taką swobodą myśli i serca mówić nie mogę o Emigracyi uważanej pod względem stosunków samej z sobą i z krajem? dla czego mimowolnie do tego wspomnienia mięsza się jakaś gorycz, jakiś wstręt, jakby walka uczuć z powinnością). Cokolwiekbądź, będę się starał i tu być bezstronnym, wątpię jednak, abym przez to samo mógł wszystkim dogodzić; bo prawda w oczy kole. Ponieważ ta kwestya potrzebuje nieco obszerniejszego i więcej szcze-

głowego rozbioru, muszę się zatem cofnąć do samych początków Emigracyi.

Przybywającym do Francyi Polakom wyznaczono na zakłady miasta Avignon, Besançon, Bourges, Châteauroux i Paryż. Czynię wzmiankę o powyższych miastach jedynie dla tego, że w nich Polacy w wielkiej liczbie skupieni, ocierają się ciągle o siebie, i w codziennych z sobą zostając stosunkach, pierwsi zaczęli sięgać słusznie lub nie i roztrząsać powody zniszczenia najgorętszych i prawie pewnych naszych nadziei. Pojedynczych osób podejrzania, wnioski i zdania z rozmaitych pobudek pochodzące wnet się stawały przedmiotem rozmów, badań i wniosków dla wszystkich, dla rzeczy. Od ogólników przyszło do szczegółów; od wojska do oficerów i jenerałów, od rządu i reprezentacyi narodowej do ich członków, słowem: do osobistości. Każda niemal osoba mająca nieco wpływu na bieg i los rewolucyi listopadowej miała swoich zwolenników i przeciwników aż do zaciętości, a to stosownie do charakteru, stanu skłonności, a poniekąd i błędnego choć dobrej wiary przekonania. Podzielili tedy Emigranci jedni drugich na złych i dobrych Polaków, na obrońców i zdrajców ojczyzny, chociaż bezstronnie sądzącemu trudno było dostrzedz w zobopólnych oskarżeniach istotnej prawdy, były to po większej części tylko pozory. I tak: często można było słyszeć i widzieć prawego i dobrze zasłużonego ojczyźnie obywatela, miotającego obelgi i podejrzania na równie niepoślakowanego i świetnymi bliźniami okrytego swego spółtowarzysza w boju lub radzie; albo też zapalonych i bez doświadczenia, chociaż cnotliwych chęci młodzieńca zuchwale targającego się na półwiekowe zaszczytne zasługi starca.

Śmiało jednak i bez obawy obrażenia prawdy twierdzić można: iż głównym i jedynym powodem tej wzajemnej nieufności, tego podejrzania i oszczerstwa, nieładu i przewrócenia pojęć o wszelkich stosunkach, jakie ludzi koniecznie z sobą łączyć powinny, było ogólne rozżalenie,

prawie rozpacz, do której biedni Emigranci byli przypro-  
wadzeni, patrząc na los, jaki ich ojczyznę i ich samych  
spotkał, i nieprzewidując już wtenczas skutecznego od Fran-  
cyi i Anglii dla Polski wsparcia. Cóż dziwnego, że w po-  
dobnem położeniu serce się zakrwawia, umysły się jątrzą  
a słabość charakteru i prosta nieudolność rządzących lub  
przewodniczących wojsku bierze się za rozmyślną zdradę,  
jeżeli następstwa są jedne i te same? Bądźmyż zatem wy-  
rozumiali dla tak wielkiego nieszczęścia.

Zacząły się więc tworzyć po raz pierwszy partye  
w Emigracyi: partye osób, nie zaś tych lub owych opi-  
nii politycznych. O zasadach jeszcze w niej dotąd nie  
było mowy, bośmy przybyli do Francyi z jedną tylko od-  
wieczną Polaków zasadą: wypędzić wrogów z ojczyzny.  
Nieco później dopiero, kiedy Emigracya poduczyszysy się  
cokolwiek języka francuzkiego zaczęła czytywać dzien-  
niki i przy nowo odbytej rewolucyi lipcowej będące w mo-  
dzie stare rozprawy Robespiera, Dantona, Saint Justa i  
innych; kiedy po rozbiciu głównych zakładów i rozpro-  
szeniu Polaków po całej niemal Francyi, znoszenie się  
z Francuzami i zabieranie z nimi ściślejszych stosunków,  
przez to ułatwiono; kwestyą upadku naszego powstania  
zaczęto uważać z innego stanowiska i poddano ją na no-  
wo pod rozbiór. I tu jest prawdziwy u nas początek my-  
śli czyli zasad demokratycznych, do których niecniej pa-  
mięci Adam Gurowski pierwszy przyczepił swe nazwisko,  
jakby czarne piętno, a może i swego ducha, zostawszy  
założycielem Towarzystwa Demokratycznego.

Tu wina zmarnowania listopadowej rewolucyi, wina  
wszystkich klęsk i niepowodzeń, jakie jeszcze daleko przed-  
tém spadły na Polskę, zaczęła ciężać nietylko na poje-  
dyńczych osobach, ale na całym praw politycznych uży-  
wającym narodzie, chcę mówić: na szlachcie, na złem i  
niesprawiedliwem urządzeniu stosunków społecznych, które  
ednym bogactwo, znaczenie i wszelkie sposoby wszech-  
tronnego ukształcenia się, a zatem pomnożenie indywi-



dualnego szczęścia zapewniają; a drugich na ubóstwo, nędzę, socyjalną i polityczną nicość, słowem na wszechstronne upodlenie wskazują.

Oh! wielka to prawda; ale wolałbym, aby lekarstwo na tę chorobę narodową z pierwszej lepszej karty Ewangelii było wyjęte, anizeli z prawli człowieka obywatela, albo z krwawych aktów wielkiej rewolucyi francuzkiej. Wielebyśmy sobie przez to trudów, krwi i ofiar oszczędzili i byłibyśmy dziś daleko raźniej przysposobieni do podolania przeszkodom zawadzającym nam, stanąć u kresu naszych życzeń.

Nowe to dla Emigracyi, choć jak świat stare odkrycie oderwało nieco jej uwagę od przeszłości, a zwróciło całą jej usilność na wyszukiwanie środków, któremiby zagrożoną narodowość Polski można było od zupełnej zagłady nie tylko ochronić, ba nawet do dawniej świetności przywrócić. Tu się podzieliły zdania: jedni mimo tylu zawodów, mimo prawie pewności, że nikt z obcych sprawie polskiej szczerze nie sprzyja i kropli krwi za nią nie przeleje; nie pojmując lub nie chcąc pojąć wymagalności, ani czasu, ani Polski, chcieli dawnym sposobem, w nałóg zamienionym, sprawie narodowej dopomagać, pokładając wszystkie swe na przyszłość nadzieje w dyplomacyi gabinetów, a szczególnie francuzkiego i angielskiego i nie przypuszczając żadnych w społeczności polskiej reform, lub tylko takie jakie konstytucya 3go maja zaleca. Zwolennicy tego systematu nazwani byli monarchistami. Drudzy nie polegając znowu bynajmniej na stosunkach i działaniach dyplomatycznych gabinetów, które zawsze były zgubnemi dla Polski; a złożywszy wszystkie swe nadzieje w sympatyi ludów — jakby i ludy równie jak ich rządy nie miały swęj własnej polityki — uczynili zupełny z przeszłością rozbrat. Chcieli oni ją zburzyć ze szczerem, aby z jej gruzów, jak mniemali, wspaniały gmach przyszłości Polski wystawić: chcieli gwałtownie i bez żadnego pośredniego przejścia przetworzyć skład i naturę jej społeczeń-

stwa, i choremu, którego sam czas przy pomocy zwyczajnych leków i doświadczonego lekarza mógł uzdrowić, podawali truciznę, która prędzej mogła go zabić, niż do stanu zdrowia doprowadzić. Stronnicy tej idei nazwani byli Demokratami — jam do nich należał.

Widzimy, że jedni i drudzy bładzili: pierwsi że nie dobiegli mety pojęć epoki, drudzy że ją przeskoczyli. Ta prawda widoczniejszą nam się wyda, jeżeli zwrócimy uwagę na skład socyalny Polski i polityczne jej położenie, to jest: na niewolę, jaka ją gniecie z zewnątrz i na różnicę stanu, stopień wykształcenia, zwyczaje i nałogi jej mieszkańców w stosunku do siebie samych. Wyznać jednak należy, iż to ostatnie stronnictwo, a raczej myśl mu przewodnicząca, miała za sobą nie tylko wszelkie pozory słuszności, ale rzeczywiście w samej zasadzie była wielka, wzniosła, cnotliwa: bo cel zniesienia wiekowych nadużyć, mogących w swym czasie mieć swą dobrą stronę, podniesienie wszystkich mieszkańców Polski, jako pełniących od dawnego już czasu obowiązki obywatela, do jego godności, słowem: uwolnienie całej rolniczej ludności a z jej pomocą i Polski w dawnych jej granicach z egipskiej niewoli był święty. I dla tego najgorętsza, najmłodsza i do wszelkich poświęceń zdolna część Emigracyi jej się oburącz chwyciła. Czemuż drogi, czemuż środki do dopięcia tego celu obrane były krzywe, nieszczerze, wprost na materyalizmie i nienawiści, nie zaś moralności i miłości oparte? Któż mniema, iż burząc tylko i niszcząc wszystko i bezwzględnie co stare i dawne, już tym samym zbuduje coś lepszego i trwalszego dla prostej przyczyny że to rzecz nowa? Któż sądzi, iż sycąc zawzięcią serca braci ku braciom utworzy społeczeństwo zgoodne, kochające się a następnie szczęśliwe? Jest przysłowie: iż cel uświęca środki; a ja powiadam: że jeżeli co może w podobnym razie wymówić złe środki do wzniesłego użyte celu, to niedoświadczenie życia prywatnego i zarozumiałość, jaka zwykle towarzyszy młodości.

Prawda, że towarzystwo demokratyczne popchnięte było do tej ostateczności nierozważnym uporem przeciwnego mu stronnictwa lub pojedynczych, a wpływ i znaczenie mających osób. Ono musiało zdobywać krok za krokiem wszystkie ustąpienia, jakie później, niestety zbyt późno, na korzyść ludu poczyniono; zdawało mu się, iż koniecznie tych samych musiało używać do obrony sposobów, jakimi było napastowane. Ale czyż dla tego że ktoś ujmując się za wątpliwą sprawą podstępnych używa środków i zdradliwej broni, godzi się używać tychże samych środków i tej samej broni podstępnej w obronie sprawy wzniosłej i świętej? godziło się, mszcząc się na częście narodu obstawającej za dawnymi, dziś już śmieszni przesądami, potrać cały naród w przepaść nieładu i chaosu, z którego Bóg sam wie tylko jak wybrnąć zdołamy?

Z takich tedy przyczyn powstały w Emigracji dwa przeciwne sobie polityczne stronnictwa: towarzystwo monarchistów, arystokratów, czyli później 3go maja i towarzystwo demokratyczne. Jakim sposobem one się rozwijały, jakim się zmieniały stosownie do potrzeb i okoliczności? jakie nawzajem czyniły sobie ustąpienia lub się z sobą ścierały? jaki wpływ szczególnie towarzystwo demokratyczne na losy Polski wywarło i dotąd jeszcze wywiera? jak się w końcu z tych ostatecznych stronnictw pośrednie partie tworzyły? wiedzą o tem dziś wszyscy, a peryodyczne pisma, pamiętniki i poważnej treści obszerniej-ze dzieła, dadzą te stronnictwa z ich odcieniami poznać potomności. Ja zaś skreśliwszy o ile to potrzebnem było do mojego przedmiotu ogólny zarys stanowiska, jakie Emigracya w obec świata i względnie do Polski zajmowała, poprzestając na tem i na skromniejszą wracam niwę zbierać uronione kłosa z wybujałego siewu naszych pięknych nadziei.

## ROZDZIAŁ II.

*Powody i zamiar wyjście do Polski. Przeszkody. Zatrudnienia emigracyjne. Wahanie się. Pierwsze usiłowania bez skutku.*

---

Altwasser na Szląsku 20 sierpnia 1848 roku.

Należałem tedy, jakem już powiedział, do towarzystwa demokratycznego, brałem udział w jego rozprawach, patrzałem z radością na jego wzrost, porządek i karność prawie wojskową. A jak dalece byłem przywiązany do jego zasad i pragnąłem ich rozkrzewienia, poświadczą to między innymi, ów sławny wyrok przeciw dyplomatycznym działaniom księcia Adama Czartoryskiego przez towarzystwo ferowany, na którym z całą powagą i przekonaniem o jego ważności mój podpis własnoręcznie położyłem.

Należąc do towarzystwa demokratycznego przyjąłem wszystkie następstwa jego zasad, z których jedną z głównych była: polegać na własnych siłach narodu, że te siły były i są wystarczające do zrzucenia obcego jarzma, że potrzeba tylko chcieć i umieć takowe wydobyć. Człowiek zwykle jest logicznym w swoich rozumowaniach, choćby nawet z fałszywego wyszedł założenia, z powyższej zatem zasady wypłynęła druga będąca prostym tylko wnioskiem pierwszej, to jest: że dla Polski w Polsce tylko można ze skutkiem podejmować usiłowania. Pierwszym objawem zewnętrznym tej myśli, tego przekonania, była wyprawa z Francji do Polski pułkownika Józefa Zaliwskiego w 1833



roku. Z tego punktu uważana stanowi ona epokę w historii naszej; bo pierwsza wskazała drogę, po której Polacy odtąd postępować powinni w zdobywaniu wydartej im wolności i niepodległości, a męczeńska śmierć Zawiszy, Wołowicza i ich spółtowarzyszy uświęciła tę drogę.

Ztąd też nastąpiły później usiłowania mnóstwa pojedynczych emigrantów udających się na propagandę do kraju, jak np. Leona Zaleskiego, Szymona Konarskiego, Roberta Chmielewskiego i innych.

Nie chcę się tu zastanawiać nad stosownością lub niewczesnością tych wszystkich wypraw, nad trafnością lub niewłaściwością środków przez wysłanników obranych; przytaczam tylko dowody, a okrutna śmierć jednych i srogie więzienie drugich nakazują mi dla nich głębokie poszanowanie. Bo kto niesie własne życie, kto droższe nad życie, gwałt sobie zadając, poświęca uczucia syna i męża dla swych spółbraci i to w tak trudnych okolicznościach, w jakich się dziś Polska znajduje, tego można nazwać szlachetnym zapalcem, fanatykiem miłości ojczyzny; ale niegodzi się nigdy posądzać go o samolubstwo, o jakieś osobiste widoki; gdyż mimo wszystkiego co mogłoby być nagannem w środkach jakich używali do świętego celu; na dnie ich duszy było coś Chrystusowego, coś boskiego. Wolno i życzyłyby należało każdemu być w podobnych zamiarach samolubem, kosztem swęj głowy.

Żem podzielał, że dziś jeszcze w zupełności podzielam główne zasady towarzystwa demokratycznego, nie należy ztąd wnosić, abym bezwzględnie podzielał i wszystkie środki do ich urzeczywistnienia przedsiębrane: a o czem czytający zapewne już jest przekonany. I to właśnie było powodem, żem nieco był ostygł dla towarzystwa, do którego się później znowu przybliżył. Dla czego? bom chciał pracować dla Polski, a pracę dla Polski pojmowałem tylko w Polsce i towarzystwo tak pojmowało, inne stronnictwa myślały tylko coś robić, nigdy nie robiły szczerze. Pragnąłem tedy albo w pewnej liczbie spółtowarzyszy, albo

sam jeden być wysłanym przez towarzystwo do kraju, zostawując dla siebie wolność w wyborze środków. Gdy jednak z powodu zaszłych zmian w ówczesnym moim położeniu, i z powyżej przytoczonych powodów zaniechałem dawnych z towarzystwem demokratycznym stosunków, i nie mogłem od niego spodziewać się najmniejszej pomocy w powyższym zamiarze, postanowiłem obejść się bez jego współdziałania, szukać gdzieindziej wsparcia, jeźliby było podobna go znaleźć; a w ostatnim razie gdyby mnie wszystko zawiodło i opuściło, udać się samemu od siebie do Polski i tam szukać współników mej pracy.

Uczyniwszy tedy mocne postanowienie, od którego przyrzekłem sobie nigdy nie odstąpić, szukałem środków ułatwiających tylko jego wykonanie. Odtąd marzyłem tylko o Polsce, do której jak najrychlej chciałem się dostać. Prześladowania wynikłe z wyprawy Zaliwskiego i innych wysłańców wcale mnie nie zrażały, bom był przekonany, że wielkie zamiary wielkimi okupują się ofiarami, a odkupienie Polski nie jednego wymagało męczeństwa, nie jednej ofiary. Byłem tedy spokojny i niezachwiany w mem przedsięwzięciu.

Nic łatwiejszego jak najświetniejsze choć zbyt trudne do wykonania układać zamiary, i teoretycznie takowe osiągać; to potrzebuje tylko chwilowego zapалу i nieco pracy rozognionej wyobraźni. Ale jeżeli cel który chcemy praktycznie osiągnąć jest nieco za odległy, a droga doń wiodąca najeżona tysiącem trudów i niebezpieczeństw, wtedy całe złudzenie znika, a naga rzeczywistość przedstawia się nam w całej swój okropności, i to co chwilą przedtem zdawało się nam tak łatwym do otrzymania, wnet staje się prawie zupełnie niepodobnym. W takim razie człowiek zwykle zwraca na się uwagę, bada sam siebie, miarkuje i ocenia swe zdolności jak i moc swojego ducha. I ja tak samo postąpiłem, miłość ojczyzny zdawała mi się ręczyć za siłę, nawet potęgę mojego ducha, i w czasie chwilowego jego upadku mogła go zasilić, po-

krzepić, ale co do zdolności i wiadomości koniecznych moim widokom, na tych ostatecznie polegać nie śmiałem. I dla tego czując całą odpowiedzialność jakąm brał na siebie początkując w tak ważnem dziele, uczułem zarazem potrzebę przygotowania się do nowego wcale dla mnie zawodu, choć w części przynajmniej; ażebym był w stanie podolać tyle nieodpowiedniemu na moje barki ciężarowi, i oddałem się więc odtąd z wielką usilnością nauce wojskowości i otoczyłem się książkami tego rodzaju o ile mi tylko zasoby mogły dozwolnić. Samotność, którąm zawsze lubił, a zamiłowanie której w dwójnasób się jeszcze zwiększyło tęsknotą, jaka tułaczowi zwykle towarzyszy, znacznie się przyczyniła do postępu jaki w tej nauce teoretycznie uczynilem. Życzyłem jak najrychleńj zamienić ją w praktykę, z tułactwa przenieść do ojczyzny.

Ach! życie tułacza, to nieustanny żal, to ciągnąca w duszy tęsknota za ojczyzną. O! Ojczyzno! ty, na której wspomnienie każde poczciwe serce żywiej i gwałtowniej bić zaczyna! ty, której być synem jest największą godnością i zaszczytem na ziemi, ileż ty masz wdzięków i powabów, ile ty masz więzów, któremi nas do siebie nęcisz, przyciągasz i wiążesz. Niemowlęta, już się tulimy do łona matek co nam życie dały, a z mlekiem z ich piersi wysanem wciągamy zarazem w siebie i miłość ku tobie pierwszy ich do nas uśmiech, pierwsza ich dla nas pieszczota staje się jakby rękojmią szczęścia i rozkoszy, które nas na twém łonie oczekują, ale zarazem i zadatkem mąk serca, mąk duszy okrutnych, kiedy nielitościwa ręka przemocy, z twoich macierzyńskich nas objąć wyrывa! ile cię kochać, ile cię cenić potrzeba, ten tylko się dowie, kto cię stracił.

Dzieląc zatem czas mego tułactwa między polityką emigracyjną, rozmyślaniami w samotności i czytaniem książek, przybliżyłem się do roku 1838. Mieszkałem wtenczas w mieście Tours, departamentu Indre et Loire. Czując się w mojem mniemaniu dostatecznie usposobionym do

wykonania powziętego zamiaru, pragnąłem jak najrychlej wyjechać do Polski, a właściwie do ziem ruskich, na Ukrainę zkąd jestem rodem. Nie zbywało mi wprawdzie na funduszach, choć dosyć szczupłych w stosunku odległości miejsca i mogących się nadarzyć nadzwyczajnych wydatków, a oszczędzonych kosztem wygód a nawet istotnych potrzeb życia. Wielka zachodziła trudność w wyrobieniu pod obcym nazwiskiem pasportu zgodnego z moim rysopisem, lecz ta trudność dałaby się jeszcze pokonać. To co najwięcej mnie niepokoiło, co mnie trwożyło, to niepewność, wątpliwość skutku moich usiłowań w kraju. Nie mając żadnych z nim od 1830 r. stosunków, znajomości jakie miałem, choć nieliczne, przez polityczne wypadki, przez sam czas mogły zniknąć, lub się zmienić. Przy ciągłym i okrutnym prześladowaniu i oburzonem ztąd wzajemnym niedowierzaniu, kto mnie zaufa jeśli mu się przedstawię i odkryję kim jestem? Nie będzież mniemał, że to podstęp czychający na spokojność i szczęście jego samego i jego rodziny? Nie będzież miał prawa posądzać mnie o nikczemną zdradę? Jakież mu złożę rękojmię mej prawości, moich szczerych względem ojczyzny zamiarów? Z drugiej strony komuż ja mogę zaufać nie znając go dobrze? czyliż mu się zwierzać z moich uczuć i widoków, nie trafię właśnie na tego, który przez słabość charakteru, przez bojaźń lub prostą nikczemność pierwszy mnie wyda w ręce okrutnej władzy, i wszystkie moje zamiary w samym zarodzie zniweczy? Tak rozważając i biedząc się potrzebowalem zaciągnąć rady, potrzebowalem spółdziałania albo jakiego towarzystwa mającego już w kraju zaufanie, albo pomocy pojedynczych osób mających z krajem stosunki, a którychby zasługi ojczyźnie oddane, stanowisko, znaczenie i prawość charakteru były dostateczną rękojmią niepodejrzanego patriotyzmu i wszelkich cnót obywatelskich.

W takiej zostając niepewności odkryłem się najpierwej z mojami zamiarami podpułkownikowi od Saperów



Andrzejowi Gawrońskiemu znanemu powszechnie z prawości i przywiązania do sprawy narodowej, a z którym łączyła mnie dość ścisła choć niedawna zażyłość. Ten przybrawszy do porady dwóch braci Horodyńskich Ksawerego, officera od Saperów i Wacława nie dawno przedtém z kraju przybyłego, i z którymi także w koleżeńskich żyłem stosunkach, uradziliśmy wszyscy razem, abym się niezwłocznie udał do Paryża do Michała Chodźki, mieszkającego wówczas przy ulicy Seine-Saint-Germain, z którym się Gawroński znał dobrze, a który przez swoje znajomości i stosunki mógł mi z łatwością wyrobić pożądany pasport. Mając zaś już pasport w ręku, powinienem był udać się do pułkownika Karola Rożyckiego, owego sławnego dowódcy Wolyńców, z którym zaznałomiłem się już nieco dawniej. Ten miał mi ułatwić, nie tylko środki dostania się do kraju, ale zarazem i wskazać osoby, którychbym zaufanie od razu mógł pozyskać. Tegom tylko żądał, bo na tém najwięcej polegało udanie się mojego zamiaru.

Kiedy więc wszystko do podróży było przygotowane, nie pomnę dobrze jakiego miesiąca, jakiego dnia; ale pamiętam że to na początku wiosny 1838 r. wsiałem do dylizansu i we dwadzieścia cztery godziny przybyłem do Paryża, który po raz pierwszy w mém życiu widziałem. Po przybyciu natychmiast udałem się do Michała Chodźki, opowiedziałem mu wszystko i żądałem pasportu. Przynęk mi go natychmiast i niezdawał się w tém żadnej przewidywać trudności, ale po kilku dniach oświadczył, iż żadnym sposobem dostawić go nie może, tak wielka jest czujność policyi miejscowej, i tak trudno znaleźć człowieka chcącego się podjąć wziąć na swoje imię dla kogoś pasport. Przynęk mi także, na dowód czujności policyi innych mocarstw, a szczególniej Rossyi: że młody książę wołoski Ghika w tych dniach był schwytany na granicy rossyjskiej. Czy w rzeczy samej Michał Chodźko nie mógł, czy też po prostu dla niewiadomych mi

przyczyn niechciał wystarać się o pasport, nad tém się nie zastanawiam; chcę mniemać że nie mógł, albo że los Ghiki nieco go zatrwożył.

Po takim zawodzie poszedłem z Ferdynandem Rogińskim do pułkownika Karola Rożyckiego, mieszkającego wówczas na wyspie i ulicy świętego Ludwika (St. Louis). Po oddaleniu się Rogińskiego oświadczyłem Rożyckiemu w jakim zamiarze do niego przybywam i czego od niego żądam? Pułkownik znał mię z dobrej strony: nie wątpił zatem ani chwili o moich chęciach i stałości w przedsięwzięciu; a gdy mu opowiedział sposób, jakim zamierzałem postępować, Pdziałać za mojem do kraju przybyciem; potwierdził wszystko, przydał kilka swoich spostrzeżeń i przyrzekł pomoc, to jest: znajomość, osób na których uczciwość i spółdziałanie można było liczyć. Rozmawialiśmy dość długo z sobą, w ciągu rozmowy postrzegłem, iż Rożycki wpadał często w głębokie zamyślenie. Nareszcie lzy mu się w oczach pokazały, i ciężko westchnąwszy rzekł do mnie: doszła mnie właśnie przed twojem przybyciem smutna wiadomość, choć wprawdzie jeszcze niepewna, że Szymon Konarski został okolo Wilna schwytny. Nie chcę temu jeszcze wierzyć, boby to było okropnem: wkrótce jednak będę wiedział o tém z pewnością. Jeżeli go pojmano, to nie masz po co jechać, bo czynność policji będzie obudzoną, poszukiwania i przesładowania będą wielkie, nigdziebyś się nie mógł ukryć, bo niktby cię mimo najszczerszėj chęci przyjąć nieśmiał: naraziłbyś siebie i drugich bez żadnej dla sprawy korzyści, a nawet mógłbyś jej mimowolnie zaszkodzić. W przeciwnym zaś razie; to jest jeżeli Konarskiego nieschwytano, to wkrótce pojedziesz, muszę jednak o wszystkim dowiedzieć się pierwěj z pewnością, a ty jedź napowrót do Tours i czekaj odemnie listu, w którym ci doniosę co masz robić.

Miły to a kochany człowiek ten Karól Rożycki: słuszny, barczysty, suchy a muskularny, znać że obdarzony

niepospolitą siłą fizyczną; na pozór zimny, posepny, ponury nawet: znamię wielkich, namiętnych a ześrodkowanych uczuć; skromny w ułożeniu i mniemaniu o sobie, a ile śmiały i odważny w boju, wie o tem cała Polska; zwykle małowówny i niedowierzający osobom, których dobrze nie zna; ale otwarty i szczery z tymi, o których szczerocie i otwartości jest przekonany. Każde jego słowo idzie do duszy i wzbudza zaufanie, bo z serca płynie; w wynurzaniu się jest czuły aż do rzewnności; w opowiadaniu przedmiotów go zajmujących łatwo się unosi; wówczas małe, lecz przenikliwe oczy nowym blaskiem życia jaśnieją, a ściągła, ciemna i mocno ospowata twarz szczególnego piękności nabiera wyrazu: słowem, jest to czyste, nieskażone i pełne poezyi serce; jest to prosty a wielki duch i do wielkich czynów zdolny. Można się poddać pod jego rozkazy przez samę miłość ku niemu.

Ach! Atamanie nasz sławny! cóż się dziś z tobą stało? gdzie ciebie szukać mamy? czy jeszcze wrócisz kiedy do nas i przy odgłosie pieśni: „hej kozacze w imie Boha,“ czyż się jeszcze pomścisz wraz z nami i na naszym czele, we krwi naszych wrogów, krzywd nieprzebaczonych na naszej matce Polsce dokonanych?

Wróciłem tedy na miejsce dawnego pobytu, a w parę tygodni odebrałem od Rożyckiego list sympatycznym pisany atramentem, w którym mi doniósł o schwyтaniu Konarskiego i skompromitowaniu się mnóstwa obywateli. Zamiar tedy wyjechania tą razą do Polski spełził na niczem. Aleм sobie powiedział, teraz mi się nie udało, później mi się uda. Wyznam jednak, iż ta przeciwność pochodząca ze skutków zamiaru podobnego mojemu nieco mną zachwiała, wkrótcem się jednak pokrzepił i do pierwotnej, a ulubionej mi myśli znowu powróciłem, z uporem.

## ROZDZIAŁ III.

*Powód zapatrywania się na Polskę z innego stanowiska. Reforma moich przekonań. Towarzystwo demokratyczne na drodze materialnej, moja choroba w szpitalu, nadzieja otrzymania pasportu.*

Altwasser na Szląsku 29 sierpnia 1848 roku.

Więzienia tymczasem w Polsce, a szczególnie na Litwie i Rusi napelniały się coraz nowymi ofiarami, a wkrótce potem męki jakie tylko sama dzikość wynaleźć może, i męczeńsko-bohaterska śmierć Szymona Konarskiego, jak równie wywiezienie w głąb Syberyi, lub wskazanie do pułków moskiewskich mnóstwa obywateli rozległy po całej Polsce i Emigracyi smutnym i jęklwym echem: była to po tylu innych nowa powszechna żaloba, którąm się i ja przyodział.

Nieszczęścia i klęski jakie na Polskę prawie bez przestanku jedno po drugich jak kara niebios spadały, ich powody z najświętszych pochodzące pobudek: bo z poświęcenia się, z całopalnych ofiar, przytęm życie tułaczce pełne cierpień i tęsknoty, niejedność jaka w obec nieszczęść i mordów w Polsce panowała w Emigracyi, wszystko to odbiło się o mą duszę prawie rozpaczliwym odgłosem, i większym jeszcze, jeżeli być mogło, niż przedtem przytłoczyło ją ciężarem. Zacząłem rozmyślać i zastanawiać się, dla czego ta Polska tak żywym niegdyś sławy i cnót jaśniejąca odblaskiem tak długo i tyle jest nieszczęśliwą? Za jakie winy, lub za jakie zbrodnie wska-



zana jest na tak srogie prześladowania i męczarnie? Czyż Bóg i sprawiedliwość jego są tylko cczą zagadką a siła mocniejszego i chytróść oszusta jedynem prawem na świecie? Te i tym podobne zadając sobie pytania, przebiegałem myślą rozmaite społeczeństwa, a szczególnież społeczeństwo Polski: zastanawiałem się nad jego początkiem, wzrostem, potęgą i upadkiem. Co stanowiło żywotną Polski siłę, co było przyczyną jój osłabienia, dzisiejszój niedoli i ponizenia itd.? I wiele prawd, przedtém nieznanych, odkrył i wiele kwestyi dotąd zaciemnionych stało mi się jasnymi i łatwymi do pojęcia.

Jak każdy pojedynczy człowiek w niemowlęcej swój organizacyi, mimo podobieństwa zupełnego do organizacyi wszystkich ludzi, nosi już zaród w sobie tylko właściwych umysłowych zdolności, większy lub mniejszy zasób moralności, jako też fizycznój słabości lub zdrowia męskiego wieku, które przez dobre lub złe wychowanie, wykształcenie, gymnastykę, pracę lub gnuśne życie można do właściwego tój indywidualności nakierować celu, a przez to samo wskazać jój przeznaczenie, jakie ma do spełnienia, albo zwichnąć ją z naturalnego toru; tak i każde pojedyncze społeczeństwo, mimo podobieństwa jakie ma z innymi społecznościami, ma oddzielną, że tak powiem, sobie właściwą organizacyą, której potrzeby i cel moralny, jaki ma spełnić, są inne. Niechaj rozwija swój organizm w przeciwnem od naturalnego dążeniu i usposobieniu, niechaj zaniedba właściwego celu, niech go straci z widoku lub go popchnie w fałszywym kierunku, takie społeczeństwo będzie się błąkało po manowcach, wycieńczy swe siły żywotne, osłabienie i zostać musi na łasce pierwszego lepszego przewodnika, który nióm podług swoich zamiarów i zachceń łatwo kieruje.

Ktokolwiek bezstronnie zapatrzy się na początek, na kolebkę Polski, na jój wzrost prawie cudowny: bo bez podbojów, na jój pierwiastkowe instytucye, łatwo postrzeże że ona miała za cel jedyny w rozwijaniu swojego socyal-

nego i politycznego życia, urzeczywistnienie jednego z koniecznych warunków dobrze urządzonego a następnie i szczęśliwego społeczeństwa; a tym warunkiem jest: wymiar sprawiedliwości dla wszystkich bez wyjątku obywateli Polski, czyli szczere ich między sobą braterstwo i miłość ściśle ich z sobą łącząca. Tam gdzie jest miłość, tam może być dopiero lekarstwo i możliwa wszystkich mieszkańców między sobą równość. Lecz ani miłości, ani prawdziwego braterstwa, ani możliwej równości być tam niemoże, gdzie pojedynczy członkowie społeczeństwa niemają wielkich cnót obywatelskich, szczepiących się jedynie albo raczej wykarmionych na cnotach prywatnych, domowych, rodzinnych, których znowu początkiem i źródłem jest sam Bóg, tak widocznie każdemu z nas udzielający się i zawsze spoczywający w nas samych, w naszych piersiach, w naszym sumieniu. Kto niema w sobie poczucia Bóstwa, to jest: sumienia, głębokiego przeświadczenia o moralnej piękności, a następnie o obowiązkach, jakie ma do spełnienia na ziemi względem bliźnich, względem społeczeństwa którego jest członkiem, ten nie może być człowiekiem poświęcenia się w stosunkach prywatnych, rodzinnych, tém mniej może być dobrym obywatelem. Możeż albowiem mieć uczucie miłości i sprawiedliwości dla członków społeczeństwa ten, który ich niema dla najbliżej dotyczących serca jego osób? Taki nawet człowiek gdyby i zajaśniał jakimi cnotami obywatela, ich tłem niezawodnie byłaby próżność i duma, słowem, osobistość, fałsz. Lecz kiedyż egoizm lub obluda przyniosła światło prawdy lub szczęście dla ludzi? Kto chce dobrze ludziom czynić, przede wszystkim niech ich kocha. Kto z nas życzy mieć Polskę, niech ją i wszystkich Polaków kocha, ale całym sercem, całą duszą, a jeszcze ją ujrzy.

Że Polska miała do urzeczywistnienia cel powyższy, to poświadczają nietylko jej zwyczaje i ustawy przedchrześcijańskie; ale w czasach dobrze już nam znanych widzimy, iż nauka Chrystusa, którą Polska z żywą wiarą przy-

jęła i która się stała tłem jej narodowości, ten a nie inny cel jej wskazała. I póki Polska wiernie na swój czas dążyła po drodze swego przeznaczenia, póty znajdowała w sobie dość siły do pokonania przeszkód chcących ją od jej naturalnego odwrócić toru; śmiało i szybko rozwijały się w jej łonie zasady Ewangeliczne: miłości, braterstwa i równości, rosła w fizyczną i moralną potęgę. W czasach nawet, kiedy już Polska zaczęła zapominać o swoim celu, o swym przeznaczeniu, kiedy srogie klęski zaczęły już ją trapić i ciężyc nad nią; gdy sobie cel swego przeznaczenia przypomniwała, gdy się odezwała do pierwiastku zwój żywotności, wnet się znowu pokrzepiła, wnet nową w sobie uczuła siłę i wyszła z zapasów zwyciężką. Ale gdy ci co jej losom przewodniczyli, co byli, że użyję wyrazów Ewangelii, sołą Polski, wietrzeć zaczęli, gdy wiarę i prostotę serc swoich brudnym zarazili materjalizmem i szatańską pychą osobistych widoków i próżnego znaczenia i na wzór państw zachodnich lub wschodniej Tatarszczyzny usiłowali z swych braci z krwi i kości mieć wassalów albo niewolników i tego w końcu dokazali ustawami sejmów i z szablą w rękę; gdy rozum zagraniczny położyli na szalę z narodowymi cnotami i przyznawali mu pierwszeństwo, cóż się stało? Oto — że niedosięgli rozumem obcych, a skaziwszy serce, zostali na wpół-cudzoziemcami we własnym kraju. I to jest właśnie najglówniejsza z pomiędzy wielu innych przyczyn naszego upadku i dzisiejszego poniżenia. Klęski zatem i nieszczęścia, jakie zaciężyły nad Polską, były wywołane przez najulubieńsze jej dzieci. A zatem nieuzalajmy się na niesprawiedliwość Boga, gdyśmy sami siebie o to obwiniac powinni. Taki był ostateczny wypadek moich samotnych dumań i wniosków.

Cóż tedy robic ażeby Polskę można podźwignąć, aby ją można od zupełnego ochronić upadku i zagłady? Gdyby był rząd, skarb, broń i wojsko, moglibyśmy zwyczajnemi ludzkimi sposobami, przy zwykłej nam waleczności, pod

wodzą nawet miernych zdolności generalów, z łatwością pozbyć się z Polski najezdników. Ależ w 1831 r. mieliśmy to wszystko, a jednak w siedmdziesiąt tysięcy niewyciężonego jeszcze wojska haniebnie broń złożyliśmy. Dla czego? bośmy obcemi tylko żyli teoryjami, obcą a nie własną wiarą; bośmy chcieli Polski tylko-li dla siebie, to jest: dla wygod materyalnych, dla złota; bo w nas nie było ani uczucia sprawiedliwości, ani uczucia braterstwa, ani miłości dla wszystkich naszych braci, bo w nas nie było cnót prawdziwie obywatelskich; bośmy nie mieli cnót chrześciańskich, bośmy słowem nie chcieli Polski dla celu do jakiego Opatrzność ją przeznaczyła. — Wolaliśmy do obcych narodów o sprawiedliwość, gdyśmy jęj w sercu nie mieli dla własnych braci, dla masy Polaków. Ztąd wahanie się w działaniach, ztąd brak odwagi i wytrwałości w wielkich przeciwnościach, słowem, zdaje się żeśmy nie mieli sumienia naszój sprawy i dla tegośmy się za nią z całym nie poświęcili sercem.

Otóż aby odzyskać niepodległość Polski, dwa warunki są dla nas niezbędnie potrzebne: pierwszym i najgłówniejszym z nich jest zdrowe i jasne pojęcie posłannictwa Polski w przeznaczeniu ludzkości. Już wiadomo jaki jest ten cel, ale niegodzi się do jego urzeczywistnienia przystępować z zabrudzoną samolubstwa duszą, z sumieniem obciążonem materyalizmu, pychy, zarozumiałości i złota grzechami. Potrzeba się wzbogacić i uzbroić w zasoby wielkich cnót obywatelskich i potrzeba koniecznie odezwać się do ich istnego, jedyne go bo czystego źródła: Boga; stanąć przed nim duchem w pokorze, w poczuciu sprawiedliwości dla wszystkich, abyśmy mogli stanąć z dumą i niezachwianą wolą w obec naszych wrogów; słowem, powinniśmy pierwój odbyć pokutę oczyszczenia, abyśmy byli godni i gotowi do całopalnego poświęcenia się za ojczyznę: za Polskę.

Tak dopiero przygotowani i zwycięzcy samych siebie, to jest: wszelkich wad samolubstwa, przybranych nawet



w pozory zalet, możemy śmiało i bez obawy zawodu przystąpić do dopełnienia warunku drugiego, to jest: do zwycięstwa nad zewnętrznymi wrogami naszej ojczyzny; bo kto gotów jest umrzeć za światło prawdy, ten już wespół zwyciężył ciemnego szermierza obludy i niewoli. Bez tego poprzedniego oczyszczenia się, bez wywołania w nas wszystkich potęg ducha, bez odezwania się do naszej jaźni, bez bóstwa w piersi naszej spoczywającego, bez zupełnego poświęcenia się dla Polski, próżnobyśmy się kusili o zrzućenie obcego jarzma; bo kto jest niewolnikiem w duchu, ten musi być koniecznie niewolnikiem w ciele. Zegnijmy w takim razie nasze karki z podłością i upodleniem niewolnika, aby po nich z pogardą deptali nasi ciemiężcy, nie szamocmy się napróżno i nie nadrabiamy miną, bo nie do twarzy thórzowi sercem, lwia na pozór odwaga.

Te i tym podobne rozbierając pytania przekonałem się, iż do tak ważnej i świętej, jak jest Polska, przystępując sprawy, potrzeba ile możności przystępować w czystości sumienia; potrzeba zbliżyć się do Boga: źródła wszystkich cnót i wszelkiej mowy, potrzeba szczerzej pokuty oczyszczenia. Nigdy nie był ateuszem, być nie mogłem, nie umiałbym; wychowany przez rodziców bogobożnych w wierze katolicko-rzymskiej, zawszem się wiernie stosował nawet do zewnętrznych jej obrzędów, tak było aż do powstania listopadowego. Wracając z korpusu generała Dwernickiego, który był wkroczył do Galicyi, poszedłem w Opatowie do spowiedzi. Ksiądz Bernardyn spowiednik, między innymi napomnieniami bardzo przykładowymi i w duchu ewangelicznym, napomknął mi także o niewczesności rewolucyi listopadowej, o złamaniu przysięgi dla cesarza rossyjskiego, jako króla Polski, i o karze, jaka na wiarołomców spaść musi. Przez wzgląd na miejsce i akt, jakiego w tej chwili dopełniałem, nicem księdzu nie odpowiedział, alem się zgorszył tą przestroga, i po raz pierwszy w mem życiu ośmieliłem się w duchu

powiedzieć: „nie zawsze księdza potrzeba słuchać, i on może błędzić, jako człowiek, własne sumienie tylko powinno przewodniczyć działaniom człowieka,“ i przybywszy do Warszawy zaciągnąłem się do 12go pułku piechoty. Spowiedź dla mnie odtąd straciła urok; bo postawiła moje sumienie w sprzeczności z sobą. Po przybyciu mojem do Francji w innym niż dotąd ujrzawszy się świecie, inaczej też i żyć zacząłem. Oświata Francuzów z którymi najczęściej byliśmy w styczności, w nic oprócz rozumu niewierzących wpłynęła i na mnie, a towarzystwo młodych kolegów przejętych nowemi zasadami nie mogło mi przypomnieć najpierwszego ze wszystkich obowiązków, to jest: obowiązku względem Boga. Nietylko żem zaprzestał odmawiać pacierze, których mnie matka nauczyła, uważając je za rzecz małej wagi, za rzecz zabobonu, właściwą tylko nieoświeconemu prostactwu; ale czasami pozwalałem sobie żartować z zewnętrznych obrzędów świętej Chrystusa religii. O spowiedzi anim już pomyślał, a Chrystusowi odjąwszy boskość i święte jego posłannictwo dla objawienia praw odwiecznych, po prostu uważałem go za filantropa za daleko posuwającego miłość ludzkości; a najczęściej za demokratę, jak to było u nas między Emigracją, wówczas we zwyczaju. Opuść mi Panie to młodości obłąkanie!

Nie jeden może z moich czytelników, mieniący się mądrym i wyższym człowiekiem, zgorszy się, żem poczytał sobie za występki zaniedbanie mówienia pacierza. Chciałbym go się naprzód zapytać, czy wie co to jest pacierz? modlitwa? Jeżeli pacierzem nazwiemy szereg wyrazów i myśli, któreśmy się nauczyli powtarzać i powtarzamy machinalnie, bynajmniej nie przejmując się znaczeniem tych wyrazów i myśli, a nadewszystko bez podniesienia serca ku temu, do którego nasze zanosimy modły; to taki pacierz bez wątpienia jest tylko nałogowem mruzeniem obrażającym i rozumną istotę, człowieka i samego Boga. Ale jeżeli przez modlitwę, przez pacierz zechcemy rozumieć ten głos wewnętrzny, co się gwałtem

z piersi naszej wydobywa dla oddania holdu naszemu Stwórcy i dobroczyńcy; tę cząstkę Ducha bożego (którą Trętowski nazywa umysłem), która tęskni za swoim początkiem, i gorącą, całą potęgą swęj boskości pragnie mu się przypomnieć i wlać się w niego, jak w ocean wszechwiedzy, wszechmocy i wszechszczęścia, aby zeń zaczerpnąć mocy, mądrości i otuchy; jeżeli przez modlitwę pojmujemy rzewną prośbę duszy naszej do Boga o zachowanie nas na wysokości naszego przeznaczenia, lub żal serdeczny za znieważenie wysokiego naszego na ziemi posłannictwa; jeżeli nakoniec modlitwa, to jest: podniesienie ducha, jest jedyną drogą, za pomocą której wprost i bezpośrednio rozmawiamy z Bogiem i sprowadzamy przez to królestwo boże na ziemię; to bez wątpienia taka modlitwa, taki pacierz jest godzien i Boga Stwórcy i człowieka stworzenia. Tak modlący się człowiek otoczony prawicą Wszechmocnego z łatwością poruszyłby więzy niewoli, ducha i ciała i taki tylko może zbawić Polskę.

Byłem tedy dość długo na błędnej drodze, czulem jednak że mi czegoś brakowało w życiu; czulem jakąś suchość i czczość w duszy, jakby żal i tęsknotę za szczęściem, którem utracił. Ale wir życia emigracyjnego długo tłumił we mnie tę prośbę sumienia pojednania się z Bogiem. Gdy już powziął zamiar udania się do Polski, kiedym się oddał rozmyślaniu i samotności, tej nieodstępnej towarzysze tulacza, często głębokie westchnienia, z gorącemi zmięszanemi łzami wskazywały mi, gdzie powinien być szukać pociechy i ulgi, siły i otuchy w znoszeniu mojego nieszczęścia; z kąd mogłem przywołać do mej piersi potrzebną moc ducha do wytrwania w raz powziętym z uporem zamiarze i do jego wykonania. Ale podobne usposobienie było przelotne jak błysk słońca śród burzy. Dopiero, jakem to powiedział, po śmierci i męczarniach Konarskiego, i po tylu nieszczęściach z tego powodu na Polskę i na nas spadłych, wszedłem głębiej sam w siebie i w przyczynę nieszczęść naszej ojczyzny.

Skutkiem tego zastanowienia się i tych rozmyślań było gwałtowne uczucie przybliżenia się do Boga, tego jedy- nego nieszczęśliwych opiekuna, tój jedynej uciśnionych i prześladowanych podpory.

Po Wolterze, Russie, Wolneju, Dyderocie, Robes- pierze, St. Jusiu i innych filozofach, ustawodawcach, re- formatorach i romanso-pisarzach 18 i 19 wieku, porwa- łem do rąk świętą Ewangelią. Za pierwszą kartą obu- dziło się we mnie uczucie trudne do opisania; było w tém coś podobnego do powitania się z dawnym od serca przy- jacielem, którego się dawno pragnęło już ujrzeć i który właśnie w sam czas przychodzi nam na ratunek, kiedy w wielkiem nieszczęściu cały świat nas opuścił. Przypo- mniały mi się przy tój okoliczności szczęśliwe lata dzie- cinne, kiedy moja kochana matka tłumaczyła mi nie- które ustępy z Ewangelii, zachęcała i napominała do za- chowania ustaw i przykazań tą świętą księgą objętych.

Kto ssal piersi matki, kto sobie przypomni te czule pieśszoty, jakich nie szczędzi, gdy dziecięciu rad i prze- stróg zbawiennych na przyszłość udziela, i kto takowych niepomny zбочył z drogi cnoty, a później wspomniawszy na matkę uczuł żal serdeczny i w łzach się rozplynął; ten dopiero pojmie, ilem się uczuł, ujrzał nieszczęśliwym, że ani napomnieniom matki, ani wewnętrznemu głosowi Bóstwa nie byłem wierny, był to dla mnie dotkliwy wy- rzut sumienia. Odtąd powiedziałem sobie, postanowiłem, że trzeba się modlić, aby powstać z błędów i przywołać szczęście do duszy; potrzeba się modlić aby być godnym pracować dla Polski; potrzeba się modlić o Polskę do Boga, i z pomocą Boga, z najczystszemi zamiarami po- święcić dla niej swe usiłowania, a nawet życie. Zaczą- łem tedy przypominać prawie zapomniany już pacierz, za- cząłem zrzadka zazierać do kościoła, ale nieśmiało jakby ukradkiem, długi zaś czas rumieniłem się uklęknąć; po- trzeba jeszcze było prób, przez które przeszedłem aby mnie



do tego zmusić. Tak wielka jest moc nalogu, tak nieograniczoną ma władzę nad słabą duszą wstyd fałszywy.

Lata więc upływały w Emigracyi, a jam się stawał coraz bardziej tęsknym i ponurym i więcej niż kiedykolwiek, bo gwałtownie, gorąco pragnąłem ujrzeć rodzinne strony, ujrzeć tę świętą ziemię polską. Rzecz szczególna: tyle lat, bo od połowy 1832 r. przebyłem we Francyi, najpiękniejszy wiek mej młodości, pelen namiętnych i gwałtownych wrażeń, w nią spędziłem; a jednak ani do jej pięknego klimatu, ani do jej wykształconego towarzystwa, do zwyczajów i obyczajów przywyknąć nie mogłem. Z pomiędzy szlachetnych Francuzów miałem wielu prawdziwych, serdecznych przyjaciół, przyjmowano mnie w ich domach z całą otwartością i prostotą, jak członka rodziny: wszystko to nic nie pomogło; czułem wdzięczność dla nich w mem sercu, lecz nigdy nie mogłem się do Francyi przyzwyczaić i ani mi przez myśl kiedy przeszło, żebym w niej na zawsze pozostał. Im dłużej w niej bawilem, tem mocniej tęskniłem za Polską, tem bardziej czułem się obcym na gościnniej ziemi Francuzów! „O święta miłości kochanej ojczyzny! jakąż ty lubą rozkosz mieścisz w sercach Polaków! za jedną chwilę szczęścia, za chwilę śmierci za Polskę, oddałbym rozkosze całego świata i życia.“

W tym prawie czasie, bo w 1841 r. przybliżyłem się znowu do towarzystwa D., ale bez uprzedzenia przeciw niemu jak i bez zaślepienia. Widziałem, co w niem było dobrego, a co złego. Sądziłem, że będzie można naprowadzić je na drogę właściwszą i wznioślejszą działań; zacząłem członków towarzystwa D. na posiedzeniach sekcyi paryzkiej, do której należałem, przestrzegać o złych skutkach, jakie materializm-li może w kraju wywołać; zwracałem uwagę na wykształcenie i usposobienie naszych wieśniaków i że tak dla ich, jak i dla Polski szczęścia potrzeba pracować na drodze moralno-religijnej. Głos ten nie znajdował posłuchania: oburzano się nawet na mnie, posądzano o chęć rozdwojenia w towarzystwie. Po je-

dnem z takich posiedzeń długośmy z Korabjewiczem doktorem, członkiem tójże sekcji, rozmawiali o błędnej dążności towarzystwa, o fałszywych środkach, jakich używało do zachęcenia wieśniaka do poświęcenia się za Polskę itd. Odtąd widząc bezużytecznymi moje usiłowania, przestałem nietylko zabierać głos, ale nawet i uczęszczać na posiedzenia. Od niejakiego czasu odkryłem się był przed Henrykiem Jakubowskim, będącym wówczas i od dawna członkiem Centralizacyi T. D. z moim zamiarem udania się do Polski i żądałem od niego, aby o tém zawiadomił Centralizacyą — nie wątpię, że to uczynił — i wkrótce mi doniósł, że Centralizacya przychyliła się do mego żądania, tylko że trzeba jeszcze poczekać, albowiem okoliczności nie są dziś po temu i oczekuje się z kraju nowych potrzebných wiadomości. Przestawszy na tém zapewnieniu, oczekiwałem z niecierpliwością chwili wyjazdu. Ale gdy dopełnienie obietnicy zbyt długo się przewlekalo, a ja zkadınad i z pewnego źródła dowiedziałem się, że Centralizacya wciąż innych wysyłając, mnie zawsze odkłada na później, zacząłem się Centralizacyi przez Jakubowskiego zbyt natarczywie przypominać.

Rok przeszło cały ludzono mnie obietnicami i coraz na później odkładano. Czym nie posiadał Centralizacyi zaufania, czy mój powrót na drogę religijną kazał się jej obawiać podobnego w Polsce wpływu, czy mniemano po głupiemu, jak to wówczas był zwyczaj, że Jezuita, dla tego że był katolikiem; czy w końcu niepodległość moich przekonań, zdań i charakteru, z któremi się nigdy nie kryłem i którychbym za nic nie poświęcił, kazały Centralizacyi się obawiać, iż nie dopełnilbym co do joty powierzonych mi poleceń, gdybym takowe uznał za sprzeczne z mojem własnem przekonaniem — tego nie wiem. Wiem tylko, że mnie nie wysyłano. A jam się gryzł, martwił, prawiem suchot z niecierpliwości i tęsknoty dostał, że mój zamiar spełźnie na niczóm: gdyż fundusze

i tak już szczupłe zupełnie się wyczerpały i jam został bez żadnej na przyszłość otuchy i nadziei.

Te i tym podobne powody i inne zgryzoty tak mienno wpłynęły na stan mojego zdrowia, że mi był zmuszony przy końcu 1842 r. udać się do szpitala de Pitié, leżącego przy ogrodzie botanicznym w Paryżu, a którego dyrektorem był wówczas sławny chirurg i baron Lisfranc: ten mnie, jako sprzyjający sprawie Polski i przychylny Polakom, z którymi razem za czasów Napoleonów służył w wojsku, bez trudności przyjął.

Jest to jedna z wielkich niedogodności życia emigracyjnego: że w chorobie niema się komu zająć tułaczem. Jeżeli ma pieniądze, może sobie kupić dozór i opiekę — jeżeli zaś niema, musi tedy koniecznie iść do szpitala. Prawda, że szpitale w Paryżu i w całej Francyi, można powiedzieć, w ogóle są dobrze urządzone i pod tym względem jak pod wielu można oddać Francuzom należytą pochwałę. Ludzie na czele Administracyi szpitalów będący, są po większej części prawdziwi filantropowie: chorzy są dość starannie i troskliwie dopatrywani. Chory jednak nietylko potrzebuje urzędowych starań lub siostry miłosierdzia, gdyż w osłabieniu organizacyi i moralność jest chorą. Dla tej wyższej strony człowieka niemasz dla tułacza lekarza. Chory zatem potrzebuje tych na pozór tych drobnych, ale do wyzdrowienia tyle koniecznych delikatnej i uprzejmiej troskliwości starań, bo rzeczywiście przynoszących ulgę zboląlemu sercu i znękanjej duszy. Lecz nie dla tułacza są te pociechy! bo nawet na własnej ziemi, między swoimi rodakami, znajdzie on przytułek, znajdzie spólczucie i litość nad swą niedolą, znajdzie najszczerzą, najotwartszą gościnność — ale nadto — nic więcej. Zdaje się, iż nacechowany piętnem Kaima, nad którym zaciężyło przekleństwo Boga, wszelki z nim podział serca i duszy, byłby ubliżeniem dla Polaków nietułaczy. Któż my jesteśmy, czyż my dzieci, i za kogo, za co, tak długie, długie lata cierpimy? Kęsem chleba i mięsa nie zaspo-

koisz łaknienia duszy, nie ugasisz pragnienia serca! Bracia moi tulacze! wy tę gorzką a bolesną prawdę dotkliwie czujecie! Wytrwajmy jednak do końca w naszym zawodzie, aż się sprawiedliwość stanie dla Polski.

Leżałem blisko sześciu tygodni w tym przytulku nędzy i cierpień ludzkich, mając dość czasu do zastanowienia się nad moim losem. Tyle jednak życie stało mi się nieznośnym, że się mało co mojemu zajmował zdrowiem. Panny miłosierdzia miały bezpośredni dozór nad chorymi i z całą troskliwością z zupełnym chrześcijańskim podaniem się dopełniały tyle przykrych, nawet odrażających obowiązków. Dziwiłem się ich cierpliwości w znoszeniu często najdziwaczniejszych kaprysów i domagań się niektórych chorych. Prawdziwie potrzebą czuć miłość Boga i ludzkości, aby się móżdżek poświęcić na tak twarde i pełne niepokoju życie. Miały one chwalebny zwyczaj co wieczór odmawiać na głos pacierze, wzywając chorych będących w stanie ich słuchania, aby z nimi takowe powtarzali. Po zwyczajnych codziennych pacierzach następowały litanie i modlitwy stósowne do każdego dnia lub święta — nie dłużej jednak wszystkie te modlitwy trwały nad półgodziny. Jeżeli tylko mogłem nigdy tych pacierzy nie opuszczał, bardzo one mnie budowały i rzeczywiście przynosiły mi ulgę.

W tym obszernym szpitalu podzielonym na liczne oddziały sal stósownie do gatunku choroby, leżało kilkunastu moich rodaków: większa z nich część albo jeszcze przy mnie pożegnała się z tym światem i ojczyzną, albo wkrótce po moim ze szpitala wyjściu. Ogólna choroba napastująca emigrantów polskich była, albo obłąkanie umysłu: ztąd liczne samobójstwa, zrzucanie się z piąter domów; albo piersiowe suchoty, z których rzadko który wyzdrowiał. Rozdzierający to był rzeczywiście widok, kiedy patrzyłem na skromnych spółbraci, spółtulaczy; zdawali się nieczuć boleści, co o śmierć ich przyprawiała, żalowali tylko, że nie w Polsce, i nie za szczęście jej umie-



rają; dopytywali się o nowiny z Polski, o nowe dla niej nadzieje i konali z świętym imieniem ojczyzny na ustach. Ach! kto tego nie widział, ten nie może pojąć całej nędzy, całych mąk duszy polskiego wygnańca; ani tej miłości ich dla kraju, jaką zdawali się z sobą do grobu na tamten świat unosić, jakby mieli przeczucie, że i tam bez Polski, niema dla nich szczęścia.

Otoczony zewsząd widokiem nędzy i cierpień ludzkich, patrząc na konanie i śmierć obok mnie leżących, zresztą smutne, czarne myśli, jakie podobnym widokom towarzyszą, wszystko mnie to razem przy mojej chorobie pograżyło w jakąś melancholią, w stan duszy, trudny do opisania: zdawało mi się nieraz, że wkrótce i ja żyć przestanę, umrę — daleko od ojczyzny i od swoich, i nieraz temi myślami prawdziwie do łez byłem wzruszony. Z pomiędzy tylu znajomych, z pomiędzy osób, które nawet dla mnie miały pewne obowiązki, po trzech tygodniach szpitalnego życia, odwiedził mnie po dwakroć Erazm Chmielewski, rodzony brat Roberta, i pocziwy ksiądz Duński, powszechnie szanowany i lubiony. Wdzięczny mu byłem serdecznie za tę braterską usługę. Ksiądz Duński nietylko mnie pokrzepił swoim widokiem, ale i rozmową pełną szczeroty, rozsądku i religijności. Na drugie odwiedziny przyniósł mi książkę: nie pomnę jej tytułu ani autora. Ale treść jej była o zastosowaniu zasad chrystyanizmu do życia społecznego, do przemysłu, handlu, sztuk i do polityki. Dzieło głęboko pomyślane i dobrze rozwinięte posłużyło mi do przepędzenia przyjemnie i nie bez korzyści kilku dni w słabości. Siostra miłosierdzia, która mnie najstaranniej dozierała, chcąc zapewne zrobić mi przyjemność, przyniosła mi pęk szmat białych i uczyła szarpie skubać: mówiąc, że to będzie dla mnie rozrywką od smutnych myśli, a potem i korzyścią dla szpitala, gdzie bardzo wiele szarpi dla chorych potrzeba. Skubałem tedy szarpie nie dla tego, żeby mi to przyjemność czyniło, lecz abym zadosyć uczynił żądaniu pocziwej siostry i oddał

małą chorą spóltowarzyszom przysługę. Rzeczywiście więcej byłem chory moralnie niż fizycznie.

Chorzy i to jeszcze w szpitalu, jak wszyscy ludzie losem do siebie zbliżeni, zwykle bardzo się prędko z sobą poznawają. Od niejakiego czasu zwykł niekiedy przychodzić do mojego łóżka chory, lecz nierównie zdrowszy odemnie, dla pogadanki; powierzchowność jego była miła, a umysł dość rozwinięty i ukształcony. Wziąłem go za Francuza, powiedział mi jednak, że był rodem ze Stanów Zjednoczonych Ameryki. Z napisu kartki nad mojem łóżkiem zawieszonej, a może z akcentu poznał, że Polak. Rozmawialiśmy z sobą po pierwszém zapoznaniu się, i często i o wszystkiem — słowem, poznaliśmy się dosyć dobrze. Jednego razu, było to już prawie przy końcu piątego tygodnia mej słabości, między innemi rzekł do mnie: „Zapewne Panu bardzo tęskno być musi za ojczyzną, i gdybyś miał sposobność dostania się do niej, pewniebyś tego nie zaniedbał?“ — „Bez wątpienia, odstąpiłbym połowę życia, gdyby podobna sposobność mogła mi się nadarzyć; o tém ani myśleć, tak rzecz jest trudna.“ — „Nie tak trudna, jak się Panu wydaje, znam się ja nieco na niej, staraj się tylko Pan jak najprędzej wyzdrowieć, a pogadamy o tém obszerniej i szczerze.“ — „Pan chcesz ze mnie żartować, i zapewne dla tego tak mówisz, aby mnie pocieszyć, ale ja nie łatwo wierzę.“ — „To Pana przekonam dowodami; ale czy Pan masz pieniądze?“ — Odpowiedziałem machinalnie, że mam kilkanaście franków. — „To za mało, ale zobaczymy.“ — To powiedziawszy, odszedł. Pewność, z jaką mówił, obawa, jaką zdawał się okazywać, zniżając ton głosu, aby nas nikt nie podsłuchał, wszystko to mnie zajęło. Chwilę wahałem się, rozmyślałem, nakoniec, gdym się przekonał, że to jest prawdopodobne, że to mi daje nadzieję i sposobność dokonania przedsięwziętego zamiaru, zrywam się z łóżka w największém wzruszeniu, i biegnę do mojego doradcy; zapewniam go, że prawie zdrowy, że za kilka dni już wyjdę ze szpi-

tala. W rzeczy zaś samej nadzieja, prawie pewność ujżenia jeszcze ojczyzny, jakby jaka moc cudowna wróciła mi siłę, i w istocie wnet uczułem się zdrowszym, gdyż jak powiedziałem, byłem więcej chory duszą, jak ciałem. Zdziwiony, że o swęj mocy i pewnym stąpam krokiem, sądził mój doradca, że to gorączkowa kryzys i nieco się zatrwożył; prosił abym się uspokoił i był pewnym danęj mi obietnicy. Powróciłem tedy na miejsce i szczerzem w duchu podziękował Panu Bogu, że mi sposobność oglądania ojczyzny nastęrczył. Zauważyłem jednak, że mój Francuz pilnie mnie odtąd śledził i częściej jak zwykle, wywiadywał się o stan mego zdrowia, które rzeczywiście od tego czasu zaczęło się tak znacznie polepszać, że w kilka dni później prosiłem Pana Lisfranc, aby mnie uwolnił ze szpitala, na co po kilku swoich uwagach i przytrzymaniu mnie jeszcze dwa czy trzy dni, chętnie zezwolił.

Mimo wdzięczność, jaką miałem dla mego doradcy, czasami przychodziła mi do głowy myśl niepokojąca uczucie szczęścia, jakiego już doznawałem; kto wie, myślałem, czy to nie jest podstęp? czy mniemany przyjaciel nie jest czasem z tajnej policyi francuzkiej, lub ambassady jednego z trzech naszych wrogów; może tym podstępem chce się przysłużyć, zyskać dla siebie względy, a mnie potraćć w przepaść? Ta myśl długo mnie niepokoiła. Narreszcie zamknąłem oczy podejrzliwości i wolałem w tém widzieć nadzieję ziszczenia mego przedsięwzięcia.

Kiedym otrzymał pozwolenie wyjścia ze szpitala, przyszedłem do tego Amerykanina, którego jednak mam dotąd za Paryżana i dopominałem się o dotrzymanie obietnicy. Ten mi odpowiedział: „Niech Pan odejdzie, a za trzy lub cztery dni proszę mnie odwiedzić, a wszystko będzie gotowe; tylko proszę zarazem przynieść z sobą pięć franków. Należałoby się więcej, ale jak widzę Pan jesteś bez zasobów i to mi wystarczy.“ Przyrzekłem mu tę małą kwotę i odszedłem.

## ROZDZIAŁ IV.

*Otrzymanie pasportu. Ostatnie widzenie się z Centralizacją. Mała przeszkoda.*

Altwasser na Szląsku 3go września 1848 r.

Za pomocą tego Amerykanina udało mi się otrzymać pasport angielski, pod fałszywem nazwiskiem Józefa Catharo, rodem z miasta la Valette, na wyspie Malcie, lat 36, z professyi kupiec. Pasport był najregularniejszy, wydany w ambassadzie angielskiej i podpisany przez samego ambassadora Lorda Cowley. Wziąłem go do Konstantynopola.

Winienem tu dać objaśnienie, dla czegom się podał z Malty i za poddanego Anglii? Umieję trochę po włosku, a po angielsku ani słowa; na wszelki tedy przypadek mógłem się jako tako wywinąć, gdyby mnie w mój rodowości zaatakowano. Pasport zaś angielski przeniósłem nad francuzki, lub jaki inny z powodu, że mnie wzbudzał podejrzenia u rządu rossyjskiego, a nawet u austryackiego i pruskiego. Brałem zaś go do Konstantynopola dla tego, ażebym usunął wszelką wątpliwość żem Polak; bo trzeba jeszcze wiedzieć, że od niejakiego już czasu byli spodleni, a przekupieni Polacy Emigranci, którzy, pominawszy nawet czujność policji francuzkiej nad Emigracją, służyli ambassadorom nieprzyjaznych nam dworów za szpiegów i donosili im o wszystkim co się w Emigracji działo.



Jeżeli jaki Emigrant zniknął nagle z Paryża lub Francyi, starali się naprzód wywiedzieć, dokąd wyjechał: dosyć, aby wiedzieli dyrekcyą podróży, aby wpadli na domysł a nierzadko i na pewnoś. Wszystkie zatem wyżej przytoczone sposoby były koniecznie potrzebne dla zbicia szpiegów z toru, chociaż, jak później zobaczymy, wpadli nań jednak.

Po przybyciu zaś do Konstantynopola mogłem mój pasport zmienić na inny, już datowany z tej stolicy, co mogło mi posłużyć do przejścia granic Rossyi bez najmniejszego podejrzenia; albowiem przybywający z Konstantynopola może tylko w przekonaniu władz rossyjskich przynieść do Rossyi dżumę, co poczytują za mniejsze zło aniżeli liberalną jaką ideę przywiezioną przez jednego wprost z Paryża. Później jednak pierwiastkową dyrekcyą podróży dla interesów finansowych zmienić musiałem, jak to wkrótce zobaczymy.

Miałem tedy w rękę pasport jak najlepszy i świat cały stał przedemną otworem, a zatem największa trudność została pokonaną. Mogłem jechać morzem i statkiem parowym przez Marsylią, albo lądem przez Niemcy; nie miałem jeszcze stanowczego postanowienia, jaką drogę obiorę. Wszystko to dobrze, ale zkąd fundusze na drogę? gdyż ich wcale nie miałem. Przytém miałemże jechać sam od siebie? czyżby nie lepiej i korzystniej było przybyć do kraju z pewnemi już poleceniami i od razu zyskawszy zaufanie przystąpić do dzieła? Przypomniałem sobie, że Towarzystwo Demokratyczne a raczej jego Centralizacya obiecywała ciągle i od dawna, że mnie wyszle do kraju; dziś kiedy połowa trudności pokonaną, zapewne mi swój pomocy nie odmówi. Udałem się tedy niezwłocznie, a to było na samym początku stycznia 1843 r. do Wersalu, gdzie miała naówczas swą rezydencyą Centralizacya Tow. Demok. złożona z Teofila Wiśniowieckiego, tego samego, co męczeńską i chwalebnią śmiercią wraz z Kapuścińskim w 1847 roku w miesiącu lipcu

przez powieszenie we Lwowie zakończył żywot, pelen cnót obywatelskich i poświęcenia się za sprawę Polski. Cześć i chwała jego pamięci! z Wiktora Heltmana, Józefa Wysockiego, Alcyato i jeszcze kogoś piątego, ale już niepamiętam.

Przełożyłem Centralizacyi stanowczo mój zamiar, przy czém oświadczyłem, że gotów byłem w tej chwili go uskutecznić. Członkowie Centralizacyi i tą razą, jak dawniej, przekładali niewczesność mego przedsięwzięcia, że w kraju są już wielkie przygotowania, że wysyłanie z Emigracyi mogłoby kompromitować sprawę, że wkrótce mnie wyszła, a dziś wysłać nie mogą; bo żadnych nie było w kasie pieniędzy. Że funduszów nie mieli, nic przeciwko temu nie miałem, gdyż to być mogło, zresztą anim o nich wspomniał. Ale kiedy oświadczyłem, że o własnych chęć jechać pieniądzech i że potrzebuję tylko oparcia się w drodze, a szczególnie w kraju; i kiedy po takim oświadczeniu nie wskazali mi drogi ułatwiającej dostanie się do kraju, ani osób i miejsca, gdzieby po mojem tam przybyciu mógł zatrzymać się i mieć od razu zaufanie — to mnie do żywego tknęło. — Było w tém wszystkiem coś z nieufności tyle obrażającej, jakiej nigdy przebaczyć nie podobna.

Mimo to, jednak powiedziałem im otwarcie, szczerze i z pewnem uniesieniem, że sposobu ich działań w kraju zupełnie nie potwierdzam i dawałem na to dowody, że mój sposób widzenia w tym względzie jest inny, że gdybym nawet od nich był wysłany, sumienie by mi nakazywało działać inaczej niż dotąd; i tu wskazywałem, jakim sposobem i na jakich podstawach możnaby korzystniej dla kraju pracować; że ja ani do Księstwa Poznańskiego, ani do Galicyi tą razą jechać nie myślę, tylko do ziem ruskich; że ich działaniom przeszkadzać nie myślę, gdyż same w sobie znajdują przeszkodę i tym podobne. Zdawali się potwierdzać mój sposób widzenia w niektórych względach, niektóre dowody zbijali utrzymując, że chybaby na nowo

wszystko trzeba rozpoczynać. Jednak wynagradzając bezzasadną ich ku mnie nieufność, nie powiedziałem im, pod jakim nazwiskiem miałem pasport, ani też pod jakiego rządu byłem zasłoną. Bom tak mniemał: widać, że mi wcale nieufają, mniejsza z jakich powodów; słusznie tedy będą mieli moje działania w podejrzeniu, a zatem wszystkich gotowi użyć sposobów, aby im zapobiedz i przeszkodzić. Świętej pamięci Teofil Wiśniowski najwięcej usiłował odwrócić mnie od mojego zamiaru i widziałem, że ze szczerością mi radził, ale żadnej mi dotąd ważnej nie przytoczył przyczyny, niczego mi nie powierzył, nie odsłonił. Mógłbym poprzestać na zapewnieniach bezdowodnych? gdyby mi był otwarcie i szczerze powiedział, dla jakich powodów mnie teraz wstrzymywał, a dla jakich życzył, abym się na później zachował, może, uznawszy te powody za słuszne i przekonawszy się, że rzeczywiście dobro sprawy narodowej tego po mnie wymaga, może, powiadam, byłbym cofnął mój zamiar. Ale zapewnić mnie bez dania mi ważnych przyczyn do odstąpienia od mojego zamiaru, kiedy mi okoliczności tak szczęśliwie wspomogły, to było dla mnie niedostatecznym i powiedziałem im w końcu z pewnym wyrzutem: „Bez wątpienia: że bez znacznych funduszów, oparcia się w drodze, a szczególnie bez zaufania, którego nabycie w kraju tak przerażonym, zbyt długiego wymaga czasu, mój zamiar z nadzieją pewnego udania się zbyt jest trudnym do wykonania; nie moja jednak w tém wina i bądź co bądź muszę jechać do Polski.“

Na tém cała nasza rozmowa w tym przedmiocie się zakończyła. Rozmawialiśmy później o czém inném, zjadłem u nich obiad, a wieczorem już późno wróciłem do Paryża pełen smutnych myśli, przecucia i nadziei. Dziś najoczywiściej przekonałem się, że prócz Boga, na nikogo więcej liczyć nie mogłem.

Nazajutrz udałem się do ambasad: Wielkiego Księstwa Badeńskiego, królestwa Wirtemberskiego, królestwa

Bawarskiego i cesarstwa Tureckiego dla otrzymania wizej, co najjuńiej przedstawiało mi trudności. Do ambassady austryackiej udać się nie śmiałem, a to dla tego, że w niej byłem znany, bywając czasami z powodu załatwienia drobnych interessów pułkownika Zaliwskiego, który natenczas siedział uwięziony w fortecy Kufstein w Tyrolu i do którego jego żona będąca z dziećmi w Paryżu mogła tylko pisywać i z nim się znosić za pomocą ambassady. Do ambassady rossyjskiej ani zajrzeć nie odważyłem się, chociaż nikt tam mnie nie znał, a to dla tego, aby natychmiast nie uwiadomiła swojego rządu, że się udałem do Polski. Dla uzupełnienia legalności i ważności pasportu potrzeba było jeszcze wizej ministra spraw zagranicznych Francyi. Gdybym był przewidział, co mnie w tem ministerjum spotka, byłbym się obszedł bez jego wizej. Sekretarz tego ministerstwa przykładając pieczęć na pasporcie, wytłoczył zarazem ogromnemi, czarnemi głoskami dwa ujemal całe wiersze zajmujące następujące wyrazy po francuzku: „Valable pour se presenter à la Police“ i coś tam jeszcze więcej, to jest: pieczęć ważna dla przedstawienia się policji itd. Te wyrazy taki mi klin w głowę wbily, iż nie wiedziałem co miałem z sobą począć. Przedstawić się policji z pasportem pod obcém nazwiskiem, ja co w niej byłem dobrze znany i który się od niej ukrywałem. Do policji zatem żadnym sposobem pójść nie mógłem, gdyż, jak powiedziałem, raz dla tego, że w niej byłem znany jako Polak, a to z powodu, że przez dwa przeszło lata, wraz ze wszystkimi Emigrantami w Paryżu będącymi odbierałem w niej co miesiąc żoład nieszczęśliwy, jaki Emigrantom rząd francuzki przeznaczył; a drugi raz dla tego, że gdyby mnie i nie poznano, to przedstawiając policji pasport już w Paryżu wydany, musiałbym jej pokazać dawniejszy, na mocy którego nowy mi wydano, albo przynajmniej wskazać czas mojego do tej stolicy przybycia, który wraz z moim rysopisem i datą dawnego pasportu w księgach policyjnych koniecznie powinien być za-



pisany. Raz tedy przedstawwszy się policyi, żadnym więcej sposobem od niejbym się nie wywinął, bo trzeba wiedzieć, że żadna policya w świecie nie jest tak dobrze uorganizowaną i niema tak zręcznych i przebiegłych agentów, jak francuzka, żadnym tedy sposobem do niej się udać nie mógłem, nie śmiałem. Ale z drugiej strony, jeżeliby po tych fatalnych ministerstwa wyrazach nie było policyjnej pieczęci, za pierwszym pasportu pokazaniem i pierwszym rzutem nań oka w pierwszym lepszym miejscu mogliby mnie zapytać: gdzie pieczęć policyi? bo rzeczony ministerjum wyrazy najwięcej ograniczonego, a umiającego tylko czytać i rozumiejącego język francuzki, łatwo mogłyby na tę myśl naprowadzić. Cóż w takim razie należało począć? Oto po prostu potrzeba było jakimkolwiek sposobem zniszczyć te wyrazy. Żadnego chemicznego procederu nie znałem, uczyć się nie miałem czasu; a posiadającego tę tajemnicę nie chciałem przypuścić do zaufania, które mogłoby być zawiedzionem. Jest chytrość na chytrość i rozum na rozum, jak powiadają; więc i ja udałem się o pomoc do rozumu tak nazwanego chłopskiego i po prostu wywróciwszy na te wyrazy dostateczną ilość czarnego mocno atramentu, tak zręcznie ponawodziłem gdzie tylko było potrzeba, że ani śladu rzeczonych wyrazów nie stało, a patrzący łatwo mógł sądzić, że atrament przypadkiem był wywrócony. Samą zaś pieczęć ministerjum zostawiłem nietkniętą. Operacya ta udała mi się najdoskonalej, śmiałem się z niej i siebie i zarazem byłem niekontent, gdyż mimo doskonałości sztuki, obawiałem się jednak, aby ta wielka czarna plama nie wznieciła jakiego podejrzenia. Nigdzie mnie jednak o nią nie pytano.

Jednocześnie z dostaniem pasportu z ambassady angielskiej pomyślałem o jedynych naówczas dla mnie zasobach pieniężnych. Rząd francuzki od niejakiego czasu, dla zmniejszenia zapewne wydatków budżetu i zachęcenia Emigrantów do zrzeczenia się stopniowo żołdu, był po-

stanowił, że ktokolwiek z wychodźców zrzecze się żołdu całkowicie, ten dostanie od niego jednorazową pomoc stu franków. Postanowiłem tedy skorzystać z podobnego rozporządzenia. Zmyśliłem, że w Strassburgu, przez który potrzeba mi było koniecznie przejeżdżać (gdyż obrałem najprostszą przez Niemcy drogę) dostałem miejsce wystarczające na moje utrzymanie; że zatem nie nadużywając dłużej względów i dobroci rządu, w przyznaniu mi żołdu, bez którego dziś mogę się obejść i za który bardzo pięknie podziękowawszy, prosiłem tylko o jednorazową pomoc 100 fr. i o wolność przeniesienia się do Strassburga. Powyższej treści wygotowawszy prośbę, posłałem ją do ministra spraw wewnętrznych. Nie długo czekałem na odpowiedź, która wszystkie me zaspokoila żądania.

Otrzymałem tedy sto franków z ministerjum, zostało mi od mojego żołdu który nie dawno wziąłem fr. 20, pani pułkownikowa Zaliwska która wiedziała o moich zamiarach i o moich zasobach pieniężnych udzieliła mi fr. 30, miałem tedy wszystkiego na podróż w gotówce i w srebrze franków 150. Z taką tylko sumą miałem wyjechać i wyjechałem na zdobycie niepodległości Polski! bogaty i szczęśliwy nadzieją spełnienia mych zamiarów i ziszczenia najgorętszych mych pragnień. 5go stycznia 1843 r. skończywszy wszystkie przygotowawcze zatrudnienia byłem zupełnie gotów do wyjazdu i miałem dwa pasporta: angielski pod przybranem nazwiskiem Catharro i francuzki pod mojem własnem.

Ale jeżeli byłem tak ubogo zaopatrzony w zasoby pieniężne, to chciałem natomiast wzbogacić się jak najbardziej i jak tylko mnie na to starczyć mogło w czystość serca i w siłę ducha. Stanawszy u progu niebezpieczeństwa, przed którym ani się cofać, ani którego unikać wcale nie myślałem, opuszczony od wszystkich, sam jeden z sobą, musiałem podołać wszystkim przeszkodom mogącym się mi nastreczyć; potrzebowalem tedy zasię-

gnąć i mocy ducha i zdrowej rady ztąd — zkaąd wszelka moc i mądrość spływa, potrzebowałem uznać się, poczuć, poczuć godnym wielkiego i świętego celu, bo podźwignienia Polski z podwójnego upadku, cnót i niepodległości. Od dawna z własnego przekonałem się doświadczenia, że „początkiem mądrości jest bojaźń Boga,“ że człowiek, który zagłuszy w swém sumieniu ten głos wiekuistej prawdy, nie zdolny jest sam sobą się kierować i rządzić wśród świata; bo niema, mieć nie może właściwego człowiekowi celu w życiu, jakże się może mięszać do spraw społeczności z rzeczywistym dla niej pożytkiem, a tęp bardziej mieć zarozumiałość i rościć prawo do kierowania losem i przeznaczeniem narodu — on co sam dla siebie nie obrał pewnej w życiu podstawy. Jeżeli oberze za zasadę życia jaką teorią, czy wymarzoną przez siebie, czy przez kogo innego, będzie zawsze w błędzie i w błąd wprowadzi drugich, jeżeli ta teoria jedyna przewodniczka jego działań, nie będzie opartą na sprawiedliwości wywołanej i ugruntowanej w naszym sumieniu przez tajemny, a bezpośredni stosunek człowieka z Bogiem udzielającym się jemu, to jest: jego rozumowi i uczuciu jako miłość, mądrość, moc — i surowa, bo bezstronna sprawiedliwość. Co większa, taki człowiek, gdy przyjdzie stanowcza chwila działania, nie poświęci się za tę teorią, nie nadstawi za nią życia; bo nie może mieć wiary w jej cnotliwą podstawę, gdyż zupełne poświęcenie się może być tylko wywołane przez żywą wiarę w dobroć i sprawiedliwość sprawy. Powtarzam, i to jest moje głębokie przekonanie, że tylko miłość Boga, a następnie śmiałe zachowanie i przestrzeganie jego przykazań wyrytych w sercu człowieka, może w niem obudzić nieograniczone poświęcenie się dla bliźnich. Kochający Boga i ludzi pewno nie zadrzy na widok największego niebezpieczeństwa i nietylko jedną, lecz tysiącem śmierci pogardzi. Nie mówię to dla tego, abym do tego stopnia sam był doskona-

łym — uchowaj mnie Boże od tak zuchwałej zarozumiałości — ale tylko dla tego, że mocno i głęboko czuję tę prawdę. Usiłowałem tedy, nie mogąc się do tej doskonałości przybliżyć, przynajmniej ją poznać i poczuć, a obliczywszy się z sumieniem grubą powłoką ludzkich słabości zaciemnionem pomimo zrażenia, po jedenastu latach zaniedbania świętego przodków zwyczaju, po raz pierwszy poszedłem do spowiedzi do księdza Kajsiewicza, przygotowując się na śmierć pewną i okrutną; bo wcale nie przypuszczałem, abym mógł ocalić z niebezpieczeństwa, w które się rzucałem i wiedziałem o wszystkich szczegółach strasznych męczarni i śmierci Konarskiego.

Jest wadą, a może szczytnym przymiotem, właściwym, bo wrodzonym ludzkości, że kiedy człowiek usiłując być doskonałym, a następnie gorąco pragnąc żyć tylko i poświęcić się dla szczęścia społeczeństwa, chciałby się wyzuć ze wszystkich uczuć przypominających mu jego ziemskie pochodzenie i wiążących go do ziemi wszystkimi zmysłami, serca i duszy powągami, ażeby wolny od zachwycających, upajających lecz znikomych, bo przemijających ulud rozkoszy z tem większą dzielnością i potęgą rzucił się w ten szczytny zawód; kiedy dla stania się więcej podobnym Bóstwu i dla zbliżenia się ku niemu chciałby się wyzuć z materialnej powłoki wiążącej ducha i ćmiącej jasność jego widzenia, wówczas jakby na ukaranie jego cnotliwej zuchwałości i przypomnienia mu jego istotnych względem społeczności tu na ziemi obowiązków budzi się w jego sercu, z duszy tak żywo i nieubłagane uczucie i pewność dwoistej jego natury, duchownej i cielesnej; tkliwe, wzniosłe szczególniej wrażenie, tak w nim zrównoważy, zharmonizuje pojęcie i peczęcie powinności względem doczesnego życia i wieczności, że człowiek nowym tym węzłem słabości od samego Boga wszczepionej, do społeczności przykuty, więcej się do niej przywiązuje, więcej ją kocha i goręcej pragnie za nią się po-



święcić, lecz niestety, nie bez strasznej wewnątrz walki, w której bardzo łatwo można upaść.

Powyższe rozumowanie przytoczyłem z własnego doświadczenia i muszę tu dodać dla jego objaśnienia na pozór bardzo drobną okoliczność, a która rzeczywiście najwięcej mi stawiała przeszkody, bo we mnie samym, do wykonania mojego zamiaru. Nie przygosi mi to wcale zaszczytu, gdyż tylko jest dowodem, że dla słabości serca gotów prawie byłem poświęcić wzniosłe obowiązki obywatela. Ale cóż robić? wszędzie i zawsze prawdę mówić trzeba.

Sród moich zamiarów i planów, i właśnie kiedym się już zbliżał do czasu ich wykonania, obudziło się nagle we mnie, sam nie wiem jakim sposobem, silne, gwałtowne, tyrańskie uczucie serca, którego nie zawsze mogłem być panem; i jeżeli co może w podobnej okoliczności takowe wymówić, to chyba tylko to, że przedmiotem jego nie była cudzoziemka. Nadmieniam tu przytęm o tym fenomenie psychologicznym, jako mogącym rozświecić i rozwiązać wiele niepojętych i ukrytych przyczyn i sprzężyn poruszających do działania ludzi pojedynczych, a przez nich całe społeczeństwa.

Słusznie nazywamy kobietę matką ludzkości: podniesiona do godności i stanowiska odpowiedniego jej wielkiemu przeznaczeniu, staje się ona zarodem i szkołą wszystkich cnót w społeczeństwie. Strącona z wzniosłego swego stanowiska, odarta z uroku, jaki ją nieprzestannie otaczać powinien, pogrąży całe społeczeństwo w stan moralności chorobliwy, gorączkowy, i wysuszy życie i cnoty w samém ich źródle. My Polacy, z dumą poszczycić się możemy, cnotami naszych Polek (z nielicznym wyjątkiem), które w ogóle wyższe są od nas wykształceniem, moralnością i patriotyzmem, umiejmy i chciejmy tylko podtrzymać je na tym stopniu, i usiłujmy je naśladować i zbliżyć się do nich. Nie woźmy ich tak często za granicę Polski, w obce

kraje, gdzie i grosz polski i cnoty polskie marnieją i ni-  
kną. Zamiast w Dreźnie lub Paryżu, siedźcie wraz z niemi  
w Krakowie, Lwowie, Wilnie lub Warszawie, wzboga-  
cajcie przemysł, podnoście oświatę, wspierajcie krajowe  
talenta. Mniej po francuzku będziemy mówili, to prawda;  
ale się w zamian nauczymy, przypomniemy mówić i czuć  
po polsku. Nasze Polki tak gorąco milujące wszystko co  
jest narodowe, pewnie nie zatęsknią za obcym powietrzem,  
ani też za jakiemś wyzwoleniem; bo wiedzą dobrze i czują,  
że nad wszelkie wyzwolenie pochlebniejszy jest szacunek  
i poważanie, jakie skromna i cnotliwa kobieta mimowol-  
nie dla siebie nakazuje i jakimi dobrze wychowany męż-  
czyzna, nie z rozkazu prawa, lecz z rozkazu własnego  
serca, wszędzie i zawsze ją otacza. Na Boga, szanowna  
młodzi polska! mniej względów dla Lwicz wyzwolonych,  
mniej dla nich kadzidel, buchających ostatkiem zużytych  
i wyschłych już serc waszych. Owszem z serca wam ra-  
dzę, abyście, pamiętni na przodków cnoty, wielkość i za-  
lety, i na ważne obowiązki, jakie macie względem ojczy-  
zny, pozbyli się tej obcej zarazy, która i was samych  
rzeczywistego pozbawia szczęścia i ofiarę waszych uwiel-  
bień i uniesień na śmiech i pogardę ludzką wskazuje.  
Jeżeli zaś ujrzyście gdzie na obszarze ziemi polskiej pię-  
kną, ładną, z jaskrawem okiem, z cygarem w ustach,  
z biczem w rękę i z ostrogami u trzewików, wyzwoloną  
lecz niepoprawną Lwicę, otoczoną rojem półglózków, jak  
kawka od ślepowronów, to wyposażcie ją pięknie, najmij-  
cie jej ekwipaż i wyprawcie ją za granicę: a pozbędziecie  
się zarazy gorszej od cholery, od dżumy. A gdyby któ-  
remu z was tęskno za nią było, niech i sam wyjeżdża,  
a największą krajowi odda przysługę, gdy w nim nie będzie.

Przepraszam za to małe zboczenie i wracam do przed-  
miotu. Kiedy już wszystko do podróży było przygotowane  
i kiedy najmokliwszemu uczuciu nakazał milczenie, a przy-  
najmniej uczułem się mocniejszym od niego, postanowiłem

cały dzień 8 stycznia przepędzić swobodnie, jakby dla wytchnienia po wielkich kłopotach i nabraniu sił nowych, do nowych trudów. Prawie cały ten dzień przepędziłem w gronie drobnej rodziny pułkownika Zaliwskiego, do której mocnego nabrałem przywiązania, trudniąc się dość długo i z wszelką możliwą troskliwością jęj ukształceniem, prawie wychowaniem.

## ROZDZIAŁ V.

*Wjazd z Paryża. Podróż przez Niemcy. Strasburg, Studgard, Monachium. Małe przygody podróży. Przybycie do Wiednia. Pierwotne plany względem Polski.*

Kraków 14go września 1848 roku.

Dnia dziewiątego stycznia 1843 r. o godzinie siódmej z rana wsiadłem w Paryżu do dylizansu i puściłem się drogą na Strasburg do którego przybyłem 11 tegoż miesiąca. Przy wjeździe do fortecy miasta zapytany o pasport, pokazałem ten co pod mojem właściwem imieniem i nazwiskiem był wydany, a angielski zataiłem, z przyczyny téj czarnej plamy i braku wizy policyi paryzkiej; 12 tegoż miesiąca przesłałem rzeczy będące w tłomoczku do miasteczka Kehl, leżącego z drugiej strony rzeki Renu i należącego już do W. Księstwa Badeńskiego, dokąd wieczorem w towarzystwie jednego Polaka Emigranta nazwiskiem Struś, mieszkającego podówczas w Strasburgu, i sam przybyłem. Nadeszły dylizans wziął mnie do Rastadt, gdzie za okazaniem, jakby na próbę, pasportu angielskiego, przenocowawszy w oberży, najalem nazajutrz rano tak nazwany Gelegenheit aż do Karlsruhe, stolicy W. Ks. Badeńskiego. Ztamtąd także podobnego rodzaju powozem w towarzystwie kilku osób, udałem się drogą ku Studgard, stolicy królestwa Wirtembergskiego, do któ-



rej przybyłem zdaje mi się na drugi dzień w nocy. Ze Studgardu wyjechałem dylizanssem (szorowozem), rozumie się niemieckim, to jest: spieszmy się powoli, i znalazłem się w towarzystwie i oko w oko, z jednym młodym Włochem, synem bojarskim, to jest szlacheckim, będącym na nauce w Paryżu, i powracającym przez Wiedeń i Lwów do Wołoszy: nazywał się Dyamandi; widzieliśmy się z sobą, i rozmawiali z parę razy w Wersalu u uieboszczyka ś. p. Emigranta Sieleckiego. Poznałem go od razu; szło tylko o to, abym nie był od niego poznany. Ale ten po jakimś czasie rozmowy w języku francuzkim, tak się do mnie odezwał: „Zdaje mi się, że ja Pana gdzieś widział.“ „To być bardzo łatwo może.“ „Jak się Pan nazywasz?“ „Catharro.“ „A to nie; tamten był Polak i po polsku się nazywał, nazwisko jego kończyło się na ski, jak wszystkich w ogóle Polaków; przytem nie miał brody: ale tak podobny do Pana i z twarzy i głosu, że łatwo mógłbym się pomylić.“ „Nic w tém dziwnego: gdyż nie rzadko się zdarza widzieć ludzi bardzo do siebie podobnych; ale Pan jak się nazywasz?“ „Diamandi.“ „To Pan zapewne jesteś Włochem, moim ziomkiem?“ „Nie, nie jestem Włochem, ale Włochem.“ Wiedziałem dobrze jak się on nazywa i kto jest, ale musiałem zrobić mu to zapytanie dla zniszczenia w jego umyśle najmniejszego podejrzenia. Wieleśmy z sobą mówili i o rozmaitych rzeczach. Pytał mnie dokąd i po co jadę? Dawałem mu zaspokajające choć zmyślane odpowiedzi. Zgadaliśmy się później o rozmaitych narodowościach: z kolei przyszło mówić i o narodowości wołoskiej. Był wielkim patriotą swój ojczyzny; mówił o zgubnym i skutecznym wpływie Rossyi, grożącym niepodległości Wołoch; ubolewał nad upadkiem znaczenia i świetności swój ojczyzny, nareszcie unosił się nad jej przeszłą wielkością i chwałą, nad jej potęgą, która niegdyś tak była straszną i groźną jej sąsiadom a szczególnie Polakom, że do dzisiejszego dnia, mówił dalej, jest na Wołoszy las bukowy wielkiego

obszaru, który został zasianym i wzrósł na polu wyoranym zaprzężonymi do pług licznymi jeńcami polskimi. Wierzyłem temu co powiedział, bo sam o tém gdzieś czytałem, ale chociaż udawałem Włocha, to przypomnienie obrażające ludzkość i dumę narodową Polaka, tknęło me serce; chciałem się zemścić i dla tego odpowiedziałem mu niby wpół żartem: „Musiał wasz naród być wielkim thórzem i słabym, kiedy się tak nieludzko z jeńcami obchodził.“ „A to dla czego thórzem?“ Bo mężtwu tak jest wrodzona szlachetność, jak thórzostwu okrucieństwo; być może, że się w tym razie myślę, ale to jest prawo ogólne.“ Nic mi na to nie odpowiedział, widziałem jednak, że to zdanie go ubodło; ja się obawiałem, abym się nie zdradził przez chwilowe uniesienie, i natychmiast zmieniłem tok rozmowy. Był to bardzo dobry zresztą, miły i uczynny młodzieniec.

Przybyliśmy z kolei do niewielkiego i w dole położonego i dawnego miasta Ulm, gdzie dotąd smutnemi zajęty myślami, pocieszyłem się wspomnieniem walecznych dzieł wojennych sławnego austriackiego generała Mack, który bez stawiania najnniejszego oporu Francuzom, poddał się im w wawozach tego miasta z 30,000 wojska. Już późno w nocy dosięgliśmy miasta Augsburga w którym, jak wiadomo, Karól V, król hiszpański, zezwolić ostatecznie musiał na wolne wyznanie Luteranizmu, które dla tego także nazywa się wyznaniem augsburskiem. Tu przenocowawszy, nazajutrz rano siedliśmy na parowóz i żelazną koleją przybyliśmy wkrótce do Monachium, stolicy królestwa Bawarskiego. Tum się zaraz rozstał z moim towarzyszem podróży młodym Diamandim, chcącym kilka dni w tém mieście pozostać, jak mówił, dla przypatrzenia się jego niektórym osobliwościom; ja zaś stanąwszy w małym hotelu, nie tracąc czasu, poszedłem do policyi dla odebrania od niej pasportu, wziętego mi przy rogatkach miasta. W kilka minut po mojem do niej przybyciu i oświadczeniu jego powodu, wychodzi z przybocznego

pokoju jakiś otyły, ale grzeczny mężczyzna i porządnie ubrany, który nie zapytawszy się wprzód czy umiem po włosku, w te się wyrazi do mnie odezwał: „Quando volete partire Signore, domani o postròmani?“ „Domani. Per la Dyligenza?“ Si Signore: to jest, kiedy pan chcesz wyjechać, jutro czy po za jutro? Jutro, czy dylizansem? Tak jest. I odszedł, sądziłem że skończył z moją włoszczyzną; aż tu przy mnie stojący jeden młody mężczyzna wnet się do mnie odzywa czystym tokańskim akcentem i pyta z kąd jestem rodem, gdzie był we Włoszech? Czym widział Palermo, Neapol, Rzym, Florencyą itd. zachwalał piękne niebo włoskie, wychwalał piękne sztuki i zabytki starożytności, pytał się o moje zdanie i wiele innych rzeczy mi naopowiadał. Na wszystkie te jego ciekawości pytania starałem się mu dawać zaspokajające odpowiedzi, rozumie się takie tylko, którym ze słuchu lub z czytania mógł uważać za stosowne; bom nigdy we Włoszech nie był: odpowiadałem zaś w jak najkrótszych wyrazach, aby się nie skompromitować. Był to wojażer, turysta, wielki zwolennik i kraju włoskiego i Włoch samych chociaż rodem Niemiec, Prusak. Już mnie zaczął nudzić swoją gawędą podwójnie, gdy na moje szczęście wynieśli mi pasport już wizowany. Pochwyciwszy tę okoliczność przerwałem rozmowę i przeprosiwszy mego wojażera wyszedłem za drzwi, co mówię wyszedłem? wyleciałem jak z procy, aż mi gorąco było, chociaż to był czas zimowy a ja byłem nie bardzo ciepło, bo po emigrancku odziany, kontent, że mi się jako tako powiodło, pomyślałem sobie, muszę jednak mieć fizyonomią okropnie włoską, kiedy na samo spojrzenie już się po włosku do mnie odzywają, szkoda tylko, że niedobrze posiadam ten język.

Wyszedszy z policyi udałem się do ambassady austriackiej dla otrzymania od niej wizy a następnie wolnego przez Austryę przejazdu, co dało się skutecznie bez najmniejszej przeszkody i podejrzenia. Sekretarz tylko ambassady zadał mi po francuzku kilka zapytań nic nie-

znaczących, na które nie miałem żadnej trudności odpowiedzieć. Mógłem tedy bezpiecznie jechać przez Austryę. Skończywszy z ambasadą zająłem się natychmiast wyszukaniem nie dyliżansu ale powozu sposobności (*Gelegenheit*) co nierównie mniej kosztuje. Prawda, że to jest nieznośna jazda; zdaje się, że dobroduszną flegmą Niemiecka przeszła sympatycznie do ich koni, które tak drzemią w powozie jak Niemcy przy kuflu piwa. Woźnica takiego powozu bierze tyle osób, ile się do jego *Gelegenheit* zmieścić może, co wzgórek trzeba wstawać, a co *Wirthshaus* to jest karczma zatrzymywać się, tu każdy Niemiec musi wypić kufel piwa i zjeść *würstla* to jest kielbaskę. Komu ta jazda źółci nieporuszy, ten nie jest człowiekiem żywym, ten jest trupem, gorzej jeszcze, Niemcem. Jest w tej jeździe wiele podobieństwa do sławnych paryzkich i wersalskich *Comou* z różnicą, iż niema furman beczelności *d'un cocher*. Chociaż dreszcz mnie przejmował na samo wspomnienie *Gelegenheitu*, musiałem się schronić pod jego opiekę; bo kieszeń nieciężyla; którą uzyskawszy obejrzałem miasto czysto i porządnie zabudowane. Są tam kościoły i pałace bardzo wspaniałe. Place obszerne, ulice szerokie; też w upiększeniu jest wiele i naśladownictwa Paryża, aż do kolumny *Neudonu*. Ku wieczorowi zaszedłem do jednej nieokazalęj powierzchowności karczemki (*Wirthshaus*) dla posilenia się zwyczajem krajowym, piwem i kielbaską; zastałem tam kilka stołów bardzo długich, a wszystkie tak szczerze zwolennikami piwa były obsiadłe, że z trudnością znalazł dla siebie miejsce. Przed każdym stał spory kufel piwa i każdy palił fajkę. Ja co nie lubię dymu z fajki ledwiem się nieudusił. Przez gęstą mgłę jego ledwiem mógł dostrzedz w końcu karczemki u góry wyobrazenie ukrzyżowanego, który jakby czarnym pokostem był powleczoney sadzą tytoniu. Czém się bardzo zgorszyłem; bo to było wielkiem nieuszanowaniem dla Zbawiciela świata. Bawaryja cała z niewielkim wyjątkiem jest wysoko katolicką. Jak w całych Niemczech tak i w Bawaryi lud jest



bardzo przykładowym w kościele i pobożnym; bo ich zachowanie się, pobożność i śpiewy harmonijne kościelne są budujące. Życzylbym, aby podobna przykładowość i podobne zgodne śpiewanie i w polskich kościołach mogło być zaprowadzone. Król bawarski Ludwik jest wielkim zwolennikiem sztuk pięknych, epoki średnich wieków i katolicyzmu. On zbudował wspaniałą gmach Walhallę pod Ratysboną (Regensburgiem) w którym zamierzył dla wszystkich sławnych ludzi całych Niemiec, w różnych zawodach i w różnych ekopach istniejących popiersia poumieścić. Niewiem, dla czego umieścił w tym przybytku sławy niemieckiej popiersie naszego Kopernika? Czy i tu przypadkiem duch germański tyle nieprzychylny i nieprzyjazny Słowianom a szczególnie narodowości polskiej nieprzewodniczył? Czyż oprócz chuci i zamiarów wydrzeć nam niepodległość, chcą nam Niemcy wydrzeć i sławę? Ale niech wiedzą o tem, że sława Polski jest niepożyta, że szable i dzidy Polaków jeszcze niezardzewiały i psie pole łatwo się może powtórzyć. Jakkolwiek bądź, król Ludwik wiele się przyczynił do ozdoby, smaku i podniesienia sztuk pięknych jako też poniekąd i do sławy Bawaryi. Ale też po tem wszystkiem, kiedy najwznioślejszym dla niego ideałem czci i piękności w końcu została Lola Montez.

Nazajutrz wyjechałem z Monachium warownym już ekipażem, najętym aż do Salzburga w towarzystwie kilku Niemców, którzy z powodu, że udając zupełną niewiedomość języka niemieckiego ciąglem mówił po francuzku, wzięwszy mnie za Francuza, śmieli się i żartowali kosztem moim. Ponieważ wyjechaliśmy z Monachium już dobrze z południa, zanocowaliśmy tedy o mil parę od niego. W całych Niemczech szkaradny i obrzydliwy jest zwyczaj spać na piernacie i pod piernatem, co dodane do wielkiej ilości piwa w tym kraju używanego, jest zapewne powodem tej Niemców ociężałości i mnogiego ich rozplemiania się. Chcąc zmniejszyć ich rasę, potrzeba wprzód zni-

szczyć wszystkie ich piernaty. Do niedogodności pierzyn przybyła na tym noclegu i druga. Niewiadomo mi, czy w tej tylko austeryi czyli też w całej tej okolicy, wszystkie łóżka przynajmniej o stopę są wyższe u głowy jak u nóg: tak dalece, iż położywszy się w łóżko znajdujemy się na pół leżący, a na pół stojący.

Przedłużając mą podróż przybliżyłem się do rzeki Inn. Spojrzałem na prawo i utkwilem wzrok tęskny w tę stronę; bo tam za tą rzeką i o mil kilkanaście ztąd, gdzie się znajdował, jest forteca w Tyrolu. W niej od lat blisko dziesięciu jęczało kilkunastu moich rodaków na ciężkie więzienie i na rozmaity przeciąg czasu: od trzech, pięciu aż do dziesięciu, piętnastu i nawet dwudziestu lat wskazywanych; niebyłem jeszcze dotąd nigdy w więzieniu, ale łatwo sobie wyobrażał oprócz cierpień fizycznych stokroć okropniejsze moralne więzienia męczarnie i to jeszcze w więzieniu austriackiem. *Il mio prigionie* moje więzienie Sylvio Pelico, dało mi doskonale poznać okrutne, dzikie sposoby dręczenia moralnie i tak już znękaną duszę więźnia i pastwienia się nad jego wyniszczonem ciałem, morząc je głodem, lub niszcząc wilgotnem, lub pod poddaszem ołowianem, duszącem, słowem: niezdrowem i zabójczem powietrzem. Wspomniawszy na to wszystko, serce mi się ścisnęło, przedarłem się duszą aż do ich więzienia, chciałbym w niem stanąć osobiście, przynieść im przynajmniej słowa pociechy, jeśli niepodobna wyrwać ich ztamtąd; chciałbym im udzielić wiadomości od ich rodzin, ich żon i dzieci, od ich przyjaciół i znajomych, pragnąłbym ich zapewnić, że są Polacy, ich bracia, którzy o nich nie zapominają i cierpią wraz z nimi i którzy szczerze myślą o ich wyzwoleniu, przez wyzwolenie Polski. W końcu gorące łzy z ocz mi się puściły i zemsta w całej swój okropności zawrzała w mém sercu. O bracia moi, o męczennicy największej sprawy! jeśli to jest prawdą, że istnieje sympatya duchów udzielających się z sobą nawet w najodleglejszej przestrzeni, być może iż w tej chwili czu-

liście w sobie coś nadzwyczajnego, tak jak ja czułem i bolałem nad waszą niedolą, nad waszym okrutnym losem. Naostatek westchnąwszy gorąco do Boga, tego jedyne go opiekuna opuszczonych i zapomnianych od całego świata, prosiłem Go, aby ich pokrzepił i dodał odwagi w znoszeniu męczarni ich więzienia. Długo, długo smutnemi myślami i bolesnym wrażeniem byłem zajęty, niemógłem się oderwać duszą i sercem od murów więzienia ukrywającego przed światłem tylu mych braci i tyle ich smutku, boleści i cierpień. Czym przeczuwał, że i ze mną samym wkrótce tak samo się stanie? W tém usposobieniu przybyłem na granicę Austrii.

Tu sławiańskie ujrzałem oblicze. Nadzorca komory wysmukły, młody, blondyn, z niebieskiem, lecz podejrzliwem okiem zapytał mnie o pasport, poznał od razu że angielski, zaczął do mnie złą francuzczyzną mówić o Wiktorji królowej Anglii, o Cowley ambassadorze angielskim w Paryżu i o innych podobnych drobnostkach, a tymczasem mój tłómaczek przetrząsano, jakto zwyczaj na wszystkich komorach. Odpowiadałem mu na to wszystko jak najkrócej, bo wcale o czém inném myślałem. Po skończeniu nudnych formalności wsiadłem do powozu i nad samym wieczorom wyjechałem do Salzburga przy odgłosie muzyki wieżowego zegaru, grającego kawałek z *fra diavolo*; pomyślałem sobie, oto niemiecka sztuka.

Natychmiast z wieczora miałem sposobność najęcia Landkuczera aż do Wiednia i za bardzo umiarkowaną cenę. Landkuczer mi oświadczył, że do towarzystwa będę miał tylko jedną osobę, że zatém będę wygodnie jechał i że jutro zaraz po godzinie czwartej z rana wyjeżdżamy. O naznaczonej godzinie, a zatém prawie jeszcze w nocy wsiadłem do powozu, gdzie ślepa ciemność panowała. Przy wsiadaniu dotknąłem się kogoś, domyśliłem się, że to był towarzysz podróży; powiedziałem mu po niemiecku dzień dobry, ale żadnej nieotrzymałem odpowiedzi. Po chwili pytam: czy Pan jedziesz do Wiednia? żadnej znowu na

to odpowiedzi, przypomniawszy słowa hetmana i kancle-  
rza wielkiego Zamojskiego rzekłem sam w sobie, to musi  
być nieme djable i przerwałem rozmowę. Ale ta niecnota  
mnie zaintrygowała. Powóz ruszył, zacząłem odmawiać  
poranne pacierze i usłyszałem mały chrzest podobny do  
chrzestu koronek, gdy się na nich kto modli. To mnie  
naprowadziło na myśl, że mój sąsiad tak mocno i gorliwie  
był zajęty modlitwą, iż albo nie słyszał moich zapytań  
albo nie chciał przerywać pacierza. Aż tu po godzinnęj  
blizko jeździe odzywa się nagle przy mnie głos śpiewu  
kobięcy, ale smutny, tęskny, mowotonny, wyrażający dyz-  
harmonią duszy i umysł obłąkany. Ten śpiew na jedno-  
stajną nótę trwał przeszło pół godziny i przykre na mnie  
zrobił wrażenie. W istocie byłem w towarzystwie obłą-  
kanęj kobiety. Kiedy się rozwidniło, miałem sposobność  
przypatrzenia się dobrze mej sąsiadce, choć czarnym wo-  
alem była zaslonioną. Miała lat do 30, twarz nie pię-  
kna ale miła, ubrana z pewnym przepychem i trzymała  
ciągle w ręku koronkę i książkę do nabożeństwa. Jeżeli  
nieśpiewała, to albo się modliła na książce, albo koronkę  
odmawiała. Kilka razy usiłowałem zawiązać z nią rozmowę,  
ani podobieństwa. W końcu kiedym się najmnięj spo-  
dziewał, obraca się do mnie i pyta po francuzku: „Zape-  
wno pan jesteś Francuzem.“ „Niejestem Francuzem ale  
jadę z Francyi.“ „Czy pan mówisz po włosku?“ „Co-  
kolwiek, ale czy mogę panią zapytać, kto pani jesteś?“ „Ja  
jestem z miasta Inspruka, Tyrolka, bawilam kilka lat  
w Tryeście, w Wenecyi i wróciłam do ojezyny przed  
parą laty, gdzie mnie wielkie spotkało nieszczęście i tu  
zaczęła szlochać, wnet zaczęła wychwalać odwagę Tyrol-  
czyków, ich przywiązanie do domu Habsburskiego, któ-  
rego starożytność i cnoty uwielbiała i tym podobne rze-  
czy bez związku gadała. Ale często w śród niedokoń-  
czonęj mowy, nawet wyrazu zaczynała swój śpiew, ko-  
ronkę lub pacierze, albo też czasami bez żadnej przyczyny  
śmiała się lub płakała. Przybywszy do miasta Linz na-



gle i niepostrzeżenie gdzieś znikła, tak że przez cztery blisko godziny niepodobna było jej znaleźć; a Landkuczer niechciał bez niej żadnym sposobem jechać, gdyż nie był zapłacony, nareszcie znaleziono ją przypadkiem w kościele zamkniętą, klęczącą i modlącą się przed wielkim ołtarzem.

Obląkanie jej było szczególne i niemialo w sobie nic dzikiego, owszem ciągle łagodność i dobroć były cechą jej charakteru. Nieprzejechała i nieprzeszła obok biednego, żeby mu nieudzieliła jałmużny, za jednego podróżnego znużonego pochodem pieszym, którego Landkuczer nie przyjął na swój kozioł za to, że mu mało dawał, zapłaciła kilka mil drogi, aż do miejsca dokąd dążył. Rzeczywiście ta nieszczęśliwa kobieta wzbudzała we mnie litość.

Trzeciego czy czwartego dnia po odejście z Salzburga około godziny ósmej wieczorem, przybyłem do rogatki Wiednia; zaczęto przetrząsać mój tłumoczek szukając niby kontrabandy tytoniu lub cygar, a tymczasem przezierano mój pasport. W czasie tego tak niemilego dla podróżnych zatrudnienia naczelnik cla tych rogatek z taką mi się bezczelnością wpatrywał, czy to z przyczyny długiej brody, którą nosilem, czyli też z innych powodów tak szulersko badawczém okiem zdawał się chcieć przeniknąć we mnie, to jest: co czuję, co myślę, że mi żółć poruszył i niemogąc znieść dłużej jego bezczelności, z pogardliwym uniesieniem rzekłem do niego po francuzku, ponieważ francuzkim językiem mówił; dla czego tak bezczelnie Pan się we mnie wpatrujesz? Przepraszam Pana, my tu kogoś oczekujemy. Siadłem do powozu i wkrótce zajęchaliśmy do hotelu, do którego moja sąsiadka, w częstych swoich do Wiednia podróżach zwykła była zajechać, ten hotel był w końcu i z boku ulicy żydowskiej, nazywał się o ile sobie przypominam Dreyfaltigkeit. Tego samego wieczora rozstałem się na zawsze z moją towarzyszką podróżą.

Już powiedziałem, dla czego wziąłem pasport do Kon-

stantynopola, w którym koniecznie być chciałem. Ale może mnie kto zapytać, jakim sposobem o stu pięćdziesięciu frankach jest podobna z Paryża przez Niemcy dostać się do Stambułu? Ja czułem i widziałem najlepiej to niepodobieństwo, gdybym jechał wprost do niego. Ale moje zamiary były inne i dla tego dla zrozumienia tego pozoru niepodobieństwa winienem tu dać jego objaśnienie.

Jakkolwiek już od dawna byłem przekonany, że Polska ma dostateczne siły do zrzucenia obcego jarzma, gdyby wszystkich Polaków jeden duch, jedno gorące pragnienie: być wolnymi lub zginąć, ożywiało; jakkolwiek czułem, że w Polsce tylko skutecznie dla niej można działać i że tam jeszcze wiele, wiele zostawało przygotowania, nimby nastąpiła działania chwila; jednak przez wzgląd na jej położenie polityczne, na czujność i ucisk jakim ją gnietli trzej nasi wrogowie spólnym interesem przeciw naszej narodowej niepodległości ściśle z sobą związani; przez wzgląd na rozbrojenie, na wynarodowienie, na bojaźń i przestrasz, jakie z powodu okrutnych kar i prześladowań w sercach wielu Polaków się zagnieździły i dla wielu innych powodów, zdawało mi się, że zyskanie jeżeli nie pomocy to przynajmniej skutecznej przychylności narodów z Polską pogranicznych, a jeden z nią interes mających, o wieleby wsparło i dopomogło sprawie Polski w chwili porwania się za broń.

Właśnie Węgry dopominający się już od lat kilku od Austrii zachowania oddzielnej swój narodowości z językiem, administracją, skarbem i wojskiem krajowym, zdawały mi się być jednym z narodów, tak z położenia geograficznego jak i z usposobienia politycznego, który najwięcej mógł nam być w czasie danym pomocnym. Byłem prawie pewnym, że Austria nigdy niepozwoła Węgrom używania swobód, jakich się domagali; bo łatwo mogła przewidzieć, że od tych ustępstw do zupełnej Węgier od Austrii niepodległości krok tylko jeden, że zatem musi przyjąć między ścierającymi się stronami do wojny. Gdyby

Węgry tylko w czasie powstania Polski zatrudniły Austryę, już byłaby dla Polski wielka pomoc. Dodajmy do tych korzyści, podstawę najdzielniejszą działań wojennych — Karpaty; wolne plecy i wolną komunikacyą z Węgrami, z kąd Polacy mogli mieć zasilek w amunicyi i broni, dodajmy do tego zwiększoną dwóch tych narodów sympatya, prawie zlane się przez wspólny interes; a łatwo pojąć jak wielkie korzyści dla Węgier i Polski, a szczególnie dla téj ostatniej mogłyby ztąd wyniknąć. Szło tylko o to, aby Węgrów przekonać o potrzebie wzajemnej pomocy i tożsamości ich i Polaków interesu.

Raz Węgrzy o tém przekonani wraz z Polakami powinni by byli dać uczuć Turcyi niebezpieczeństwo jej grożące ze strony Rossyi. Walka Polski z Rossyą, Węgier z Austryą rozpoczęta: Turcyja powinna była wydać wojnę Rossyi, a na najsluszniejszych powodach wcale jej niezbywało.

Póki miałem nadzieję, że Centralizacya mnie wyszle do kraju, póty nie miałem zamiaru zawiązywania osobiste żadnych z Węgrami i Turcyą stosunków, a jeżeli bym przez nie przejeżdżał, to tylko dla zbitcia z toru policyi wszędzie mnie szpiegującej i zniszczenia podejrzeń rządu rossyjskiego. Ale przybywszy do kraju życzyłbym, chciałbym, jednocześnie z rozpoczętą w Polsce pracą, zawiązać stosunki z Węgrami i Turcyą, przez wysłanników; a gdybym sam nie miał takiego wpływu, radziłbym ten środek wszystkim tym, którzy takowy mają lub mieć mogą. Lecz gdy Centralizacya, jak to już wiadomo, odmówiła mi wszelkiej pomocy i spółdziału, kiedy zostawiony sam sobie, samodzielnie i niepodległe mogłem działać; uważałem tedy za rzecz potrzebną, a nawet konieczną przejeżdżając przez Węgry czas jakiś w nich pozostać i zawiązać stosunki w wiadomym już celu. Gdyby mi się to powiodło, udałbym się do Konstantynopola z upoważnionym do traktowania Węgrem, a wówczas pewno na

pieniądzachby mi niezbywało. Ztamtąd dopiero miałem się udać do ziem Ruskich, do Galicyi i do Poznańskiego.

W czasie mojej przez Niemcy podróży tworzyłem i przetwarzałem plany; pierwiastkowy jednak zdawał mi się najtrafniejszy, rozebrałem tylko jego szczegóły, dla różniejszego wykonania ogółu. Niebędący nigdy w podobnym położeniu, niesą w stanie wystawić sobie natężenia i pracy wszystkich władz człowieka — umysłu i serca. Ale się przekonał własnym doświadczeniem, że Opatrzność stwarzając człowieka, obdarzyła go dostatecznymi zasobami do zajęcia z godnością stanowiska, jeżeli do jego wyboru i do wypełnienia obowiązków doń przywiązanych przystępuje z szczerą chęcią, z dobrą i silną wolą i z zupełnym osobistego interesu poświęceniem, że w miarę wznoszących przeszkód i niebezpieczeństw przybywa mu siły, odwagi i roztropności, że jeżeli tych przeszkód i tych niebezpieczeństw niemoże pokonać, co częstokroć nie od niego zależy, może je ominąć, a w ostatecznym razie zginąć bez trwogi.

Szczytnym jest przeznaczenie człowieka: żyć i poświęcać się dla bliźnich, dla dobra społeczeństwa. Kto raz przynajmniej miał w swym sercu tę rozkosz prawdziwie niebiańską, Chrystusową; ten musi przyznać, że nigdy nie był szczęśliwszym, nigdy więcej nieczuł, niecenił wielkości człowieka, bo nigdy bardziej nie był do bóstwa zbliżonym. Dla niego później, gdy zostanie strącony z tej wysokości, niezastąpi utraconego szczęścia i uroku to, co ogół ludzi tak wysoko ceni, poważa i szanuje, jako to: próżne znaczenie, skarbcze złote, uciechy zmysłowe; on mieszając się do ich towarzystwa i przymuszony poniekąd postępować jak drudzy, patrzy jednak na nich i na to, za czem się jedynie uganiają, co ubóstwiają, jeżeli nie z obojętnością, to z politowaniem; bo w sercu jego została próżnia na wieki. Jeżeli ludzie na tym nawet świecie nie są szczęśliwi — sami sobie winni.

Niejeden może serdecznie i z politowaniem uśmiechnąć



się nad powyższym planem i nad jego twórcą i pomyśli w duchu: co za śmieszna zuchwałość karla sięgać tam, dokąd olbrzymy sięgać nieśmia. Na to mu odpowiem: że jestem bardzo szczęśliwy, gdy się śmiać może. Powiem mu powtórę, że zapewne zapomniał, iż prawie wszystkie nasze olbrzymy zdrzemaly się, usnęły, zniewieścialsy, — cisnęły sławną, lecz już zadrzewiała wielkich swych przodków w kął szablę i rzuciły się w objęcia kanapy i jęj miękkiego życia, podeszaly pod stopy naszych najzaciętszych wrogów swój patryotyzm, przedzierzgnęły się w ich wątpliwą i dwuznaczną skórę, aby mieć zaszczyt błyszczuć w ich przedpokojach, stać za progiem, być posługaczami, łdomownikami, knechtami! Zadaj sobie pracy, przeszperaj historyczne, sławne cnotami, zasługą w boju lub radzie, a mile sercu każdego Polaka nazwiska i rody, spojrzuj na ich następców i poszukaj między nimi zasług i sławy; spojrzuj na ich związki familijne z Moskalami, Austryjakami i Bóg wiém z jakimi narody — choć z Cyganami byle nie z Polakami, a oprócz księcia Adama Czartoryskiego, wieleż mi jeszcze podobnych olbrzymów polskich naliczysz? Prawdziwie serce się zakrwawia, kiedy się wspomni i pomyśli, że to, co było sławą, zaszczytem, światłem, podporą i jedyną tarczą świetnój przeszłości Polski — dziś stało się jęj hańbą, jęj niesławą; przedmiotem obojętosi, lekceważenia, ledwie nie pogardy!

W takim stanie rzeczy karły muszą wzrosć do rozmiarów olbrzymich, dziś są tylko próby, lecz przyjdzie, przyjsć musi chwila urzeczywistnienia; bo tylko poczucie się do obywatelskich obowiazków i ich wypełnienie jest miarą istotnych zasług i znaczenia w ojczyźnie. Kto się tych obowiazków wyrzeka lub takowych wątpliwie dopelnia, ten dał patent na siebie i wskazał się na nićosć.

Prawda, że mi się wcale nie powiodło w moich zamiarach i planach, ale to była wina nieprzewycięzonych,

niemogących się przewyciężyć, bo niezawisłych od mej osoby, od mych przekonań, przeszkód, do których dodać potrzeba moje odosobnienie, brak zupełny zasobów pieniężnych brak znaczenia, głośnego rodu a z tąd wziętości i wpływu; bo dziś jeszcze wiele jest przesądów śmiesznych i dla tego niejednemu wszystko o czém tu piszę, wyda się bardzo śmieszném, ale ten niech pamięta, że — „du sublime au ridicule il n'y-a qu' un pas“ kiedy się najwznioślejszy zamiar niepowiedzie. Wracam teraz do mojej podróży.

Przenocowawszy, a raczej przemyślawszy noc całą w Hotelu Dreyfaltigkeit, nazajutrz około 10 z rana udałem się do policyi dla pokazania jój pasportu i otrzymania pozwolenia pobytu na cały tydzień. Czy komisarz policyi, czy też jego zastępca lub wydziałowy, wzięwszy mój pasport do ręki, nadzwyczaj długo mu się przypatrywał, i przewracał na wszystkie strony, widać, że ta czarna plama wpadła mu w oczy, gdyż tak ciekawie i badawczo ją śledził, jak gdyby pragnął w niej coś dostrzedz. Ale próżna była Jegomości praca: plama mogła uczynić zaszczyt artyście. Przyznam się jednak, iż mimo tę pewność, ten examin dość długi cokolwiek mnie niepokoił. Potém mnie policyant zapytał: „Czemu Pan do Konstantynopola nie jechałeś statkiem parowym przez Marsylią?“ „Bo w tej porze podróż morska jest niewygodna, niebezpieczna i zimna: a przytém miałem swoje interessa kupieckie do załatwienia w Niemczech.“ Jeszcze mi kilka innych prawdziwie policyjskich zadał pytań; jeszcze raz obejrzał pasport i dał w końcu pozwolenie tylko na trzy dni, mówiąc, iż na dłużej pozwolić nie może, nie dając mi żadnych do tego powodów ani objaśnień. Przy oddzielnym w policyi stoliku siedział młody człowiek, z rozmowy, jaką miał z przybyłym, a mającym jakiś do niego interes nieznanym, z akcentu i sposobu wyśłowienia się po polsku (gdyż po polsku rozmawiali), poznałem, że to

Polak. Przykro mi się zrobiło, widząc Polaka zajętego obowiązkami policji austriackiej. Do tegośmy stopnia nieszczęścia i upadku przyszli, że sami dla siebie kujemy i nitujemy żelazo.

Będąc tak blisko kochanej Polski, którą przed jedenastu laty opuściłem, owiany, że tak powiem, jej ożywiającem powietrzem, które wzmogło jeszcze więcej, jeśli być może, tęsknotę jedenastoletnią tułacką; mimo postanowienia, jakie miałem, jechać wprost do Węgier, długom się wahał, chwiał, czyli nie mam jechać do Galicyi między swoich, a ztamtąd dopiero do Węgier i do Konstantynopola. Tak mocno czulem potrzebę zasilenia płuc wyschłych ojczystego powietrza oddechem, tak gwałtowna obudziła się w duszy żądza, pragnienie ujrzenia polskiej ziemi, swoich rodaków nieskoślawionych jeszcze obczyzną i podzielenia się z nimi niedolą i szczęściem. Szczupłość funduszów skłaniała już sam rozsądek do zadosyćczynienia skłonnościom serca i duszy. Ileż to razy zdarza się w życiu, że sam rozsądek usprawiedliwia w nas nie zawsze szlachetne słabości serca? Ale z drugiej strony tak wielkie zboczenie z drogi do Carogrodu mogło na mnie ściągnąć podejrzenie. Ta skuteczna uwaga skłoniła mnie stanowczo i to tego samego dnia, aby nie trwonić pieniędzy i jechać do Pesztu, stolicy Węgier. Nie miałem tedy czasu obejrzeć Wiednia, co zresztą bardzo mało mnie obchodziło. Przypomniałem tylko jego obronę przez Sobieskiego i Polaków i cisnąłem przekleństwo na ten gród nieszczęsny.

Jakkolwiek w czasie podróży z Paryża do Wiednia żyłem oszczędnie; bo ledwo zjadłem dwa obiady, a trzy razy napiłem się gorącej kawy, zaspokajając głód chlebem z piwem; przybywszy do Wiednia, fundusz mój już się o połowę zmniejszył, dla tego nie tracąc czasu, rozpytywałem się, gdzie można i to tanio nająć landkuczera do Preszburga, pierwszego miasta węgierskiego od strony

Austrii. Wskazano mi przedmieście za murami Wiednia w stronie prowadzącej do Preszburga, dokąd przybywszy wynalazłem potrzebnego mi landkuczera i z nim się zgodziłem. Było to około czwartej z południa. Doczekując się pory odjazdu, zaszedłem do tuż będącej karczmy, która była napelniona, a raczej nabita ludem, i gdzie jeden Niemiec, jak to zwykle Niemiec, różne sztuki pokazywał: śpiewał, grał, skakał, aby grosz wyludzić. Wcale jego sztuki mnie nie zajmowały; ale zwróciło moją uwagę trzech mężczyzn w białych nieco za kolana długich i z grubego sukna sukmanach, w ciemnych pilściowych i z szerokimi skrzydlami, a kołpakowato z wierzchu, okrągłych kapeluszach, rysów zupełnie odmiennych od ogółu towarzysstwa, rozrosłych barków i piersi szerokiej; słowem, wzrostu i rozmiarów organizacyi atletycznych i wśród tego ogólnego śmiechu i wesołości siedzących z powagą spokojnie i zaledwie monosyllabami coś do siebie rzadko i z cicha mówiących. Długom się im przypatrywałem, a upatrzawszy sposobność, przysunąłem się do nich niby z przypadku, aby nie postrzegli mojej ciekawości. Chciałem być usłyszeć, jakim językiem mówią, ale tak niechętnie byli oszczędni, że mnie w niecierpliwość wprowadzili. W tém przychodzi jakaś kobieta i pozdrawia ich językiem bardzo podobnym do polskiego temi słowy: „Jak się macie bracia Morawiacy?“ i zaczęła się między nimi rozmowa. Wszystkom rozumiał, co mówili; lecz przez ostrożność wcale się nie odzywałem; mój ubiór mógłby wzniecić podejrzenie.

To odkrycie, że oni byli Słowianie, nasi pobratymcy, krwią, językiem i rodem, napelnilo mnie prawdziwą radością, ale zarazem i smutkiem, że oni, równie jak i my Polacy, podobnym zostają ugnieceni jarzmem. Mój Boże, pomyślałem sobie, ci trzej olbrzymi Słowianie, a ja czwarty im do pomocy, moglibyśmy z łatwością całą tę zgraję karłowatych małp niemieckich z tej karczemki wymieść;



dla czegożbyśmy nie mogli pozbyć się ich z całego słowiańskiego kraju, gdybyśmy się ściśle z sobą porozumieli, połączyli i szczerze tego zapragnęli. Śród tego zgiełku, wrzasku, pograżyłem się w rozmaite dumania, gdy w tém mój woźnica przyszedłszy, oznajmił mi, iż już czas jechać.

---

## ROZDZIAŁ VI.

*Podróż z Wiedna przez Preszburg, Komorno do Pesztu; małe podróży przygody. Stan i usposobienie ówczesne Węgier. Widzenie się z Koszutem. Zawód i nowa determinacya; zmiana pasportu.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi, 21 września 1848. r.

Wyjechałem tedy z Wiednia z nadchodzącą prawie już nocą do Preszburga, dokąd landkuczer był zgodzony. Z Wiedniem, kończyną Niemiec, ustają i niemieckie wygody; niema już dalej ani gelegenheitów, ani pierzyn, ani dobrego piwa. Wóz, na którym jechałem wraz z dwoma innymi podróżnymi, był bez rysorów, wążki, długi, nie pokryty, po prostu drabiniasty, na którym dla wygody podróżnych było trochę słomy. Noc była chłodna, nawet zimna i deszczyk pokrapiał; wlekliśmy się pomału aż za północ, gdy w tém przednia oś ułanawszy się, zmusiła nas, dla przepędzenia reszty nocy, zajechać do pobliskiej tuż nade drogą stojącej karczmy, gdzie za cale posłanie i mebel, była goła ziemia, ławki i stoły; kilkunastu ludzi spało na ziemi jak to mówią pokotem, kilku spoczywało na ławkach i stołach. Patrząc na to niewygodne, jecz smaczne spanie podróżnych, przypomniały mi się i nasze ukraińskie gospody, w których nieraz człowiek podobnie noc przepędzał, a jednak był zdrowym i szczęśliwym i boki nie bolały. Przykład i wspomnienie pociągnęły do

naśladowania innych i położywszy się na ławie przedrzymałem aż do dnia. Nasz woźnica, którego narodowość była wątpliwą, podprawił tymczasem drąga na miejsce osi, i tak przyrządzonym ekwipażem ruszyliśmy dalej. Około dziesiątej z rana przybliżyliśmy się do samej granicy węgierskiej blisko miasta Preszburga, w którym zwykle odbywały się sejmy węgierskie. Tu nastąpiła zwykła przy granicach ceremonia, ale z wielką przyzwoitością. Uderzyły mnie fizjonomije pilnujących wjazdu do Węgier celników; ich postacie piękne, otwarte, męzkie, połączone z powagą i godnością w ruchach, tyle sprzeczne z wyrazem chytrłości, podejrzania, podłości i grubijaństwa, jakie cechują celników Francyi i Niemiec, dały mi poznać, że się już pożegnał z cywilizowaną Europą i wjeżdżam do barbarzyńskiej.

Wkrótce ujrzałem Preszburg u spodu dość wyniosłej góry leżącej, a którego białe domki wzdłuż tejże góry rozłożone i ciągnące się po lewym brzegu Dunaju, żywo mi przypomniały lubą Ukrainę, a z temi białemi domkami wszystko mi się przypomniało. W jednej prawie chwili byłem rzewny, tęskny, smutny i szczęśliwy. Tak mocne i nie zatarte są wrażenia młodości i dziecięcego wieku, tak silnie sercem, duszą, a nawet fizyczną naszą organizacją jesteśmy połączeni, złani z krajem, w którymśmy się urodzili i wychowali, że mimo niebytność lat długich, mimo nowych nawyków i wrażeń, gdy jaki przedmiot, choćby tylko zewnętrzny, nam go przypomni w jakikolwiek sposób, wnet pierwiastkowe wrażenia obudzają się w nas z całą mocą i siłą: a zwiększone i zaostrome żalem po ich stracie lub długiemi zapomnieniami zmuszają nas do wypłacenia długu, jakiśmy, przychodząc na świat, względem ojczyzny zaciągnęli, wielkiemi cierpieniami.

Jeszcze się przypatrywałem Preszburgowi, kiedy mój woźnica zajechawszy przed prawy brzeg Dunaju, rzekł do mnie złą niemczyzną: „Koniec naszej podróży.“ „Ale jesteś zgodzony do samego Preszburga.“ „A Pan go wi-

dzisz przed sobą z tamtej strony rzeki, siedziesz na łódkę i dojedziesz do niego.“ Zapłaciłem co się należało, a wzięwszy mój tłumoczek, przewiozłem się na drugą stronę promem. Miasto, nie wiem z jakiego powodu, było prawie puste; gdziekolwiek można było ujrzeć i spotkać człowieka. Preszburg więcj ma podobieństwa do wielkiej wsi niż do miasta, tak z powierzchowności, jak i ze sposobu spokojnego życia jego mieszkańców. Było dopiero z południa, chciałem tedy natychmiast dalej jechać. Pytałem się kogo spotkać mogłem, gdzieby można było dostać furmanki do Pesztu lub przynajmniej do Komorna. Nie każdy mnie rozumiał mówiącego po niemiecku, a po węgiersku nie umiałem ani słowa. Ci zaś, którzy mnie zrozumieli, odpowiadali dwuznacznie, dawali rozmaite rady, gdzieby można furmankę znaleźć, inni wątpili, i tym podobne rzeczy mi prawiąc, dali do zrozumienia, że dziś niepodobna dostać landkuczera, a rzecz wątpliwa nawet, czy go można będzie dostać i jutro. Postanowilem tedy, aby dla niepewnej furmanki nie tracić czasu, iść dalej piechotą i to natychmiast; zacząłem się tedy wypytywać o drogę: jeden mówił, że droga do Komorna jest na prawym brzegu Dunaju, a drugi, że na lewym; znalazł się w końcu trzeci, który mi dowiódł, że z prawego brzegu jest stara droga, a z lewego nowa, iść tedy można tą, którą się podoba. Ponieważ zaś byłem na lewym brzegu, więc nie czekając jutra, wtoczyłem mój tłumoczek na plecy i z potężną laską w rękę puściłem się pieszo w dalszą drogę po gościńcu znajdującym się z lewego brzegu Dunaju.

Podróż pieszo i samotnie zawszem lubił; bo byłem zupełnie swobodnym od natrętnych częstokroć pytań, na które potrzeba odpowiadać, i od świegotliwych, pustych, czezość po sobie zostawiających lub wzbudzających niesmak rozmów i gawęd. Widok pięknej natury zawsze mnie zachwycal i czarował, podnosił mą moralność, uzcinał ją i uszlachetniał. Mogłem się nad nim zatrzymać



ile mi się podobało. I jeżeli dotkliwie dał mi uczuć niekiedy próżnię mojego serca, to w zamian budził w niem żądze szczęścia tak wzniosłe i urocze, że wolałbym zawsze czuć to pragnienie, niż być szczęśliwym innym sposobem. Czczości duszy i serca nie zamieniłbym za przesył krewkiej powłoki. Nie bardzo się tedy gniewał, że szedł pieszo, choć nieco mi było przyciążko z przyczyny mojego tobołka. Szedłem krokiem spieszonym i długo; bo do późnej nocy, i wstąpiłem na nocleg do stojącej nade drogą karczemki. Gospodarz był Madziar, oświadczyłem mu, że chcę u niego przenocować; zezwolił na to i prosił mnie o pokazanie mu pasportu, w czym go zadowolniejszy, prosiłem o wskazanie mi miejsca do spania i o pościel. Za całą odpowiedź wskazał mi kąt izby i gołą ziemię, bo nawet ławek nie było. Zapytałem, czy niema przynajmniej słomy? Pomyślawszy nieco, przyniósł jej cokolwiek. Na takiój tedy pościeli, niczem nie przykrytęj położywszy tłomoczek pod głowy zamiast poduszki, a przykrywszy się surdutein i frakiem, bardzo smacznie usnął. Często jednak w nocy przebudzałem się; bo mi było twardo i zimno, dla tego też zerwałem się z posłania jeszcze do dnia i puściłem w dalszą podróż szybkim krokiem, dla rozgrzania się.

Widok wsi i domków podobnych do polskich, a szczególnie do wiosek na Rusi z dworkiem, którego obszerność i wspanialsza nieco architektura wskazywały, że tam mieszka dziedzic lub dzierzawca wioski; obory podobnie jak u nas zabudowane, a w nich dostatek bydła; ta złość psów licznie w każdej wiosce znajdujących się i tłumnie wpadających na podróżnego, który musi się porządnie z kijem uwijać, aby się zabezpieczył od ich ataku i wolne przejście dla siebie otrzymał; prostota obycozajów mieszkańców Węgier, ich powierzchowność gruba, nieokrzesaana, ich zdrowie czerstwe, krzepkie, malujące się na ich licach smagłych, ich ubiór niewytworny z grubego sukna lub kożucha tylko składające się, i ta prosta, na pozór zuchwała

lecz szczerą uprzejmość i ta malowniczość z rozwagą połączona tyle zbliżone i podobne do mieszkańców Polski a bardziej jeszcze Podola, Wołynia, Ukrainy; zrobiły na mnie tak przyjemne wrażenie, że od razu pokochał kraj Węgierski i jego mieszkańców.

W rzeczy zaś samej, Węgry od samego do nich wjazdu, przedstawiają uderzającą różnicę od reszty zachodniej Europy. Wszystko tu jest różne i odmienne, począwszy od fizjonomii kraju, aż do fizjonomii jego mieszkańców i ich ukształcenia. Zdaje się, że cywilizacja Zachodu żadnego jeszcze tam wpływu niewywarła, przynajmniej na masę narodu, szczególnym, choć bardzo łatwo wytlumaczyć się mogącym przypadkiem, śnieg który nie będąc wprawdzie wystarczającym do wytrzymania sanny, cienką jednak rozścielał się warstwą od Paryża aż do Wiednia; zniknąwszy mi nagle zaraz za Wiedniem z przed oczu, tę różnicę Węgier od Zachodu, jeszcze dotykalszą i wybitniejszą uczynił. Wzgórza Preszburga począwszy od samej granicy węgierskiej i okoliczne w dali ginaące, poprzepłatane wzgórzami obfite równiny były już wówczas pokryte przyjemną oku zielonością.

Ku wieczorowi tego samego dnia zdążyłem do jakiejś wioski błotnistej, co jest ogólną cechą wszystkich wsi węgierskich, w której u jednego Żyda przenocowałem na jednem wązkiem łóżku wraz z Morawczykiem. Szedł on w głąb Węgier z jednym Kroatą i Słowakiem, a kiedy z sobą rozmawiali, rozumiałem ich, ale nie we wszystkim. Nieprzyznawałem się im jednak, kim byłem rzeczywiście i mówiłem z nimi po niemiecku o ile mogłem. Nazajutrz rano rozstawszy się z sobą, udałem się w dalszą podróż, a że w nocy śnieg upadł i było dość zimno, uszedłszy z milę na czczo chciałem się ogrzać ciepłą potrawą i posilić. Zaszedłem do karczmy, którą mi wskazano, ale u której ani drzwi ani okien nie było, tylko w sieniach i karczmie kupy śniegu nawianego. Wszedłszy do tej pułki i obejrawszy się naokoło, postrzegłem w głębi ja-

kieś drzwi, zacząłem do nich kołatać. Długom pukał i kołatał, aż się w końcu otworzyły; chciałem wejść do tej małej przybocznej izdebki napelnionej Żydami, Żydówkami i Żydziętami, ale tu mocny fetor w nos mię uderzył, żem się musiał cośnąć i w izbie na wszystkie cztery wiatry otwartej pokrzepiwszy się szklanką zlego wina, ze smaku i koloru podobnego do moszczu, a za powszechny napój już od Preszburga używanego, jako też jednę buleczkę co tam nazywają *zemel*, wyszedłem, zły z zawodu, jaki spotkał mój żołądek i dziwiąc się niedbalstwu i niechlujstwu nędznego Żydostwa. Wkrótce potem śnieg stał i ja musiałem iść po błoście grzązkiem, lgnącym; bo ziemia urodzajna, czarna i tłusta. Przeprawa przez wsie była dla mnie najtrudniejszą, gdyż mówiąc bez przesady, nie szedłem, lecz musiałem się dźwigać z stężonego błota, w którym wiałem aż po za kostki, czasem aż pod kolana i gdzien o mało nieraz nie zostawił obuwia.

Największy w Węgrzech pod względem dróg i mostów administracyi panuje nieporządek, a nawet wątpię, czy o niej tam kiedy słyszano. Dobilem się nareszcie do jednej karczmy opodal ode wsi stojącój, obszernój i porządnie zbudowanój; zastałem w niej mnóstwo podrózných rozmaitego stanu i ukształcenia, najwięcej jednak wieśniaków i rzemieślników. W liczbie tych podrózných znajdował się mężczyzna w pewnym już wieku, poważnej postawy i w czamarze, czyli jak tam nazywają attylce, a którego twarz marsowa i dekoracya, jaką był ozdobiony, dowodziły że był wojskowym i że niebył thórzem. Zbliżyliśmy się do siebie i zaczęliśmy rozmawiać, częścią po włosku, a częścią po łacinie i po niemiecku. Każdy bowiem Węgier nieco ukształcony, kilka języków niezawodnie posiada, a po łacinie wielu nawet wieśniaków mówić umie, co pochodzi ztąd że w Węgrzech księża, jako to parochowie i wikaryusze są obowiązani uczyć czytać i pisać dzieci swych parafian, a uczą je po łacinie. Madziar w attylce rzeczywiście był dawny wojskowy, co w czasie wojen na-

poleońskich zwiedził wiele krajów Europy, a teraz wia-  
wszy demissyą siedział jak to mówią na swojej grzędzie. Dał mi wiele objaśnień dotyczących się Węgier; to jest: o dążności Madziarów do narzucenia wszystkim Wę-  
gier mieszkańcom ich języka; o nienawiści jaka ztąd po-  
wstała między Madziarami, których było tylko cztery mi-  
liony, a Słowianami, których liczono więcej jak dwójna-  
sób tyle; o różnoplemienności mieszkańców, z kąd różnica  
w dążeniach politycznych i ich sympatyach i niechęci; co  
wszystko stanowiło wielką przeszkodę, trudną do poko-  
nania w otrzymaniu od cesarza dla Madziarów, to jest: dla  
Węgier całych domagań się i praw zapewniających na  
przyszłość oddzielną Węgier narodowość, prawie zupełną  
od Austrii ich niezawisłość, bo połączoną tylko z nią  
w osobie króla będącego zarazem cesarzem austryackim;  
w końcu wskazał miejsce, do którego miałem się udać po  
mojem do Pesztu przybyciu, dla zaanonsovania się w dzien-  
nikach jako nauczyciel języka francuzkiego; gdyż pod tém  
mianem jemum się przedstawił.

Przenocowawszy zwyczajem w Węgrzech przyjętym,  
to jest: na ziemi i na słomie po niej rozesełanej, wszyscy  
społem i pokotem; każdy nazajutrz udał się w swą stronę,  
ale przeciwną, -tęj którą ja się udał, oprócz jednego  
młodego stelmachu, który ze swemi na plecach instru-  
mentami szedł do miasteczka Komorna będącego na dro-  
dze do Pesztu. Ten stelmach jeszcze z wieczora przyrzekł  
mi towarzyszyć, z czegom niebardzo się cieszył; bo samo-  
tną podróż zawsze przenoszę, grzeczność jednak nakazy-  
wała przyjąć jego dobre dla mnie chęci i jemu podzięko-  
wać. Ale gdy nazajutrz deszcz rzęsimy zaczął padać, a za-  
chmurzony horyzont groził całodzienną słągą, wyjrzawszy  
za próg, chciał mój stelmach zaczekać i mnie do tego  
namawiał. Ale się namówić nie dał: bo niechciałem i  
czasu darmo tracić i życzyłem pochwycić tę okoliczność  
dla odosobnienia się i rozłączenia z moim towarzyszem,  
który chociaż miły, grzeczny i uprzejmy mógł mnie je-



dnak nudzić swą rozmową — kiedym przeto nie dał się przekonać i rozwinąwszy parasol, mimo deszcz, ruszyłem w drogę, mój towarzysz który zapewne powstydzil się bojaźni niepogody, pospieszył za mną; później mi dziękowałem mu niepozwolił dzień czasu stracić; i bardzo mi się przydał. Nauczył mnie jak po węgiersku mówić: za grosz chleba, za grosz wina — *ecz garusz kenich, ecz garusz bor* i wiele innych wyrazów, które już zapomniałem. Choć deszcz padał i błota było co niemiara, podróż była dość wesołą, bo byłem dnia tego w dość wesołym usposobieniu, widząc się niedaleko od celu mojej podróży, a przynajmniej od jego głównego punktu oparcia się, to jest: od Pesztu. I chociaż dekorowany Madziar wywiódł mnie z poprzedniego o Węgrach złudzenia; w tak jednak smutnym kolorze przedstawiał mi ich stan i różnorodne usposobienie w dążeniach politycznych, że wszystkiemu, co mówił, wierzyć nie mogłem; posądziłem go o przesady i miałem nadzieję, która niestety wkrótce znikła. Zwykle oświadczeniu drugich wierzyć nie chcemy: a nasze przekonania teoretyczne biorąc za rzeczywistość praktyczną, zwykle ohybiamy celu i po takim zawodzie dopiero baczniejsi jesteśmy i więcjéj cenimy doświadczenie drugich.

Nad wieczór przemokli do nitki przybyliśmy do miasta Komorna, leżącego na lewym brzegu Dunaju i jak na Węgry niezle zbudowanego, bo nawet brukowanego. Jest to przytém jedna z najglówniejszych i najmocniejszych fortec węgierskich, a którą wówczas poprawiano. Mój towarzysz jako stelmach należał do cechu swego rzemiosła i udał się wraz zenną do naczelnika cechu tego miasta. Dom był porządny, ciepły i wygodny; gospodarz Niemiec rodem a gospodyni Węgierka mili i uprzejmi, przyjęli mnie z wielką grzecznością, pozwolili u siebie przenocować, rozebrać się i przesuszyc: tą ostatnią czynnością sama się gospodyni zająć raczyła. Prosiłem o kolacyą: natychmiast mi ją dano, jadłem z apetytem i zapłaciłem bardzo mało, choć jedzenie było dobre i obfite, a wino

przewyborne. Po wieczerzy gospodarz zaproponował mi grę w maryasza, właśnie tę jedyną, którą umiem, a którą mnie nauczył był jeszcze mój ojciec. Siadło nas czworo do gry: gospodarz, dwie jakieś młode panny i ja; ale jakież było moje zadziwienie, kiedy usłyszałem jedną z tych panien doskonale po łacinie liczącą karty: duo, sex, sedecim, viginti itd. Tymczasem zajęto się wyszukaniem dla mnie furmanki do Pesztu: bo byłem nieco zmęczony a przedewszystkiem chciałem się doń jak najprędzej dostać. Przyszedł jakiś młody Madziar rzemieślnik czy rolnik w nowym kozuchu, na którym rozmaite floresy czerwonym i zielonym kolorem były powyszywane, jak to jest w Węgrzech zwyczaj; ten Madziar miał mnie zaprowadzić do miejsca furmanki, którą i sam także miał do Pesztu jechać. Choć mało umiał po łacinie, ale dla okazania ku mnie swojej przychylności, ciągle, mówiąc do mnie, powtarzał amice, co znaczy przyjacielu.

Po przespaniu się na miękkiej pościeli i w ciepłe, a szczególnie po dobrej wieczerzy, obudziłem się czerstwy, zdrowy i w dobrym humorze: miła i uprzejma gospodyni podała mi dużą szklanicę pieniącego się wina, godnego ust samego Bacha i smaczną przekąskę, za którą równie jak i za nocleg nie przyjąć nie chciała. Tymczasem mój nowy towarzysz podróży, amicus, przyszedł po mnie i ja pożegnawszy się z dobrymi ludźmi wyszedłem od nich. Przewieźliśmy się czolnem na prawy brzeg Dunaju, na rodzaj przedmieścia, bo tam była furmanka i tym brzegiem jedzie się z Komorna do Pesztu. Mój towarzysz kazawszy mi czekać pod jakąś rzeźnicą, sam odszedł po furmankę i przez dwie najmniej godziny ani się pokazał. Jużem zwątpił o nadziei jechania i chciałem się udać w podróż pieszo, aby drogiego nie tracić czasu, gdy w tém usłyszałem z daleka głos często powtarzający amice, amice, — obejrawszy się postrzegłem mojego towarzysza, którego już niejednokrotnie poblogosławiłem nieboskimi słowy, stojącego przy gotowej już furmance, a nawet po-

krytej budą z grubego płótna, co w Węgrzech jest pewnym rodzajem wyszukanej wygody i zbytku. Cena była umiarkowana i oprócz mnie i mojego towarzysza było jeszcze z nami dwóch Madziarów jadących także do Pesztu, jeden stary, otyły i marsowej twarzy, zwolennik zagorzały habsburskiego domu, którego genealogią dokładnie umiał na pamięć, a niezmiernie ceni starożytność przechodzącą zaszczytem wszystkie panujące w Europie rody; a drugi nierównie młodszy, miły i więcej republikanin; od początku podróży aż do jej końca, ciągle się z sobą sprzeczali to po węgiersku, to po niemiecku; stary Madziar czasami czerwienił się i pienił, ale młody zawsze przy swoim obstawał.

Ruszyliśmy w końcu z Komorna; para koni dobrych, rącho nas unosiła po złej drodze, pełnej wybojów i nacielanej gdzie niegdzie krąglakami drzew całych, po których wóz bez resorów skacząc trząsł niemilosiernie. Proszę sobie wystawić przyjemność podobnej jazdy, na którąm wprawdzie mało zważał, gdyż mnie szło jedynie o pospiech. Tego dnia stanęliśmy na noc w jednej obozicy, bo mającej nawet osobne dla podróżnych pokoje, a w nich łóżka z pościelą, co było jawnym dowodem, żeśmy już niedaleko stolicy Węgier, której zwyczajem i wykształcenie wpływało na bliskie jej okolice, nawet aż do wygód życia. Ale ja dla oszczędności nie dałem się im uludzić i z młodym republikaninem, prawdziwie po republikancku położyłem się na słomie rozesłanej po ziemi i obok wszystkich innych podróżnych. Zacząłem już zasypiać, gdy usłyszałem kilkakrotnie i donośnym, pełnym gniewu głosem, powtórzone wyrazy — haro, haro — obudzilem się i ujrzałem, a raczej patrzyłem, jak dwóch Madziarów stało naprzeciw siebie i pojedynkowało się po polsku — na pięście. Niemily to był wprawdzie, ale zarazem zabawny był widok: dwóch ludzi w całej gniewu zapalczywości stojących do siebie *en garde* i policzkujących się nawzajem z całej siły aż się łoskot rozlegał, bez por-

wania się za barki, jak gdyby się wyzwali o wygraną, czyja twarz więcej pięściowych razów wytrzyma. Lecz co jeszcze dziwniejsza, że kilkunastu Madziarów, widzów tój sceny, stało spokojnie, uformowawszy się w półkole, opartych na swych kijach, z fajkami w ustach, i przypatrujących się z największą obojętnością zbroczonym krwią zapaśnikom, bynajmniej nie starając się ich rozdzielić, a tём samém zapobiedz temu barbarzyńskiemu zwyczajowi. Nareszcie siermierz porwali się za barki, i waląc się na ziemię przewrócili stół, na którym stała świeca i ją zagasili, mordując się już po ciemku wtłoczyli się na nas; musieliśmy tedy uciekać z naszego legowiska, i cała prawie noc przeszła wśród tój niespokojności, co nieprzeszkadzało bynajmniej kilka grajcarów zapłacić za nocleg, chociaż młody republikanin mocno się temu sprzeciwiał.

Tego samego dnia, to jest: 27 stycznia 1843 roku przejechawszy obok letniego pałacu węgierskiego Palatyna niedaleko od Budy położonego, już późno w wieczór przybyliśmy do miasta samego Budy nazwanej po niemiecku Ofen. Nie chcąc nocować w Budzie, potrzebowalem przewieźć się i to natychmiast do Pesztu. Most jeszcze między temi dwoma miastami nie był naprowadzony, a z powodu późnej a bardzo ciemnej nocy, trudno było znaleźć łodzi z przewoźnikiem. Po długich w końcu poszukiwaniach i kłopotach, znaleziono łódź i przewoźnika. W czasie tego nieporządku i nieładu mój amicus gdzieś zniknął bez wieści, a ja z młodym republikaninem i kilką jeszcze nieznanym mi osób, z pewnem niebezpieczeństwem przeprawilem się przez Dunaj już tutaj dość szeroki i głęboki. Przechodząc ulicami Pesztu, mój republikanin zachwalał z uniesieniem jego piękność i wspaniałość, szerokość ulic, bogactwo sklepów, architekturę domów i t. d., i jeżeli z powodu późnej i ciemnej nocy i złego oświetlenia, nie mógł o tём wszystkiém sądzić, to w zamian byłem zadowolony patryotyzmem młodego Madziara i jego dumą, która kazała mu mniemać, że nic piękniejszego i lepszego



nad to, co się w jego ojczyźnie znajduje, nigdzie być nie może. Lubię widzieć w każdym człowieku takie zamiłowanie kraju, choćby nawet było przesadę, gdyż to dowodzi poczciwości jego serca i mocnego do swęj ojczyzny przywiązania, stokroć wyżej cenię podobnie szlachetne uczucie prostego nieukształconego krajowca, nad samolubne, podle i nizkie uczucie kosmopolity dla którego tam ojczyzna gdzie mu dobrze: *ibi patria ubi bene*. Śród uniesień republikanina i moich nad nimi uwag, zaszliśmy na nocleg do gospody, pod czerwonym wolem.

W tęg gospodzie zastałem mnóstwo górali polskich z pod Karpat, a przynajmniej im podobnych ubiorem i językiem, a przybyłych tam z dostawą wełny czy zboża. Z przyjemnością przysłuchiwałem się ich rozmowom, i temu miłemu dźwiękowi mowy polskiej, mowy, jak powiedział poeta, w sercach wykochanej, ich wesolość i dowcipkowanie, dziwnie i rażąco odbijając od ich biednego odzienia, bo złożonego jedynie z obcisłego kożuszka i równie obcisłych, jakby na goleniach obszytych skórzanych spodni, dowodziły i przekonywały, że spokój i szczęście duszy nie zasadza się na zewnętrznych oznakach dobrego bytu i bogactw, ale na wewnętrznem usposobieniu, na czystości serca i sumienia. Porównywając byt materyalny górali, i w ogóle wszystkich wiejskich mieszkańców Polski, z tymże bytem nierównie lepszym wieśniaków zagranicznych i porównywając pierwszych chęć przedstawiania na małym, na uspokojeniu koniecznych potrzeb życia, a szukających szczęścia w wyższej sferze moralnej, w swojej duszy, w religii z chciwością nieustanną powiększania bogactw materyalnych drogich, i o tyle tylko umiejących i mogących być szczęśliwymi, ile mają srebra lub złota w worku; nie wahałem się ani chwili przyznać istotnej wyższości naszego ludu choć prostego i nieoświeconego, nad ludami zachodniej oświeconej Europy. Ale zarazem przekonałem się, że ktoby chciał, albo śmiał lud nasz jeszcze dziewiczy prowadzić do jego wyższych przeznaczeń drogą utworowaną

przez politycznych rozpustników zachodu, lub jego rozwiązyjących socyalnych reformatorów, ten zgubiłby go na zawsze, ten byłby, stałby się jego prawdziwym aniołem ztracenia; boby go naprowadził na drogę nierządu serca i sumienia, z których skazą i przyćmieniem próżno stanowiąc prawa i ustawy ograniczające stosunki członków społeczeństwem między sobą; sztucznymi sposobami można podtrzymać stan chorobliwy społeczności, ale samą chorobę nie wyleczysz.

Chętnie byłbym się wdał w rozmowę z góralami, gdyby moje położenie mogło mi tego dozwolić; ale bacząc na następstwa jakieby dla mnie ztąd wyniknąć mogły, udawałem, że wcale ich nierozumiem, choć czasami mówili o rzeczach tak śmiesznych, iż je rozumiejąc niepodobna się nieśmiać; wówczas, jak to powiadają, ukąsiłem się za język i anim się uśmiechnął. Tu także po raz pierwszy jadłem węgierską potrawę nazwaną *gulasz*: jest to mięso w drobne kawałki pokrajane, i w czystej wodzie z solą przegotowane, poczem wraz z juską, w której kilka tylko kąsków mięsa się znajduje, wlewa się do kubków farfurowych i przysuje się pieprzem, jak tam nazywają papryką (pieprzycą) i imbierem. Ilość tych przypraw zostawia się smakowi jedzącego. Gulasz jest zwykłą potrawą ludu w Peszcie. Jeżeli mięso jest świeże a woda, w której się ono gotuje, jest zaprawna jarzyną i korzennymi przyprawami, gulasz jest smaczną potrawą. Ale jeżeli, jak to często się trafia, gotują go z przygotowanej już sztuki mięsa, wówczas niema najmniejszego smaku, choćbyś z pół funta wsypał do niego imbiru i tyleż papryki. Drugą potrawą od Węgrów ulubioną i w całych Węgrzech używaną, jest słonina, bez której Węgiel żyć nie może. Szczególniej zaś delikatnego słonina ma nabierać smaku, kiedy się do niej doda suchego, bez octu chrzanu; skosztowałem i tój potrawy, ale tak była rycerską, że z wielkiem uszanowaniem od niej się usunąłem.

Po wieczerzy położyłem się spać na rozeslaną na

ziemi słomie obok i wraz z góralami. Mój republikanin i górale prędko usnęli, ja mimo bezsenności przeszłej nocy i mimo trudów podróży długo, długo niemógłem zasnąć. Stałem już na miejscu, do którego tak gorąco dostać się pragnąłem, postawiłem stopę, że tak powiem, na gruncie moich bezpośrednich działań na przyszłość, szło tylko o sposoby, o środki jakich miałem użyć, ażeby korzystnie sercem raz pokochanej sprawie, można służyć. Nieznając miejscowości ani ludzi, trudno było w tej chwili coś stanowczego przedsięwziąć; biłem się tedy z myślami, a przypuszczając wypadki w jakich się mógłbym znajdować, szukałem środków, jakiemiby można z nich się wycofać i to nie bez korzyści dla moich zamiarów; a tymczasem najwięcej chodziło mi o to, abym pod jakimkolwiek pozorem mógł się zatrzymać w Peszcie. Przypomniały mi się rady dekorowanego Węgra, postanowiłem z nich korzystać, i w tych myślach i tym zamiarze usnąłem. Nazajutrz pożegnuawszy się z moim republikaninem, który w dalszą udawał się podróż, około dziewiątej z rana 28 stycznia udałem się naprzód do policyi dla okazania mojego pasportu i żądania na mocy jego pozwolenia pobytu miesięcznego, który mi bez żadnej trudności i niewchodząc w jego powody, natychmiast był udzielony. Dzięki Bogu, dobry początek, pomyślałem sobie, ale kto wie co się później stać może. Potrzeba tedy było koniecznie wynaleść jakiegokolwiek powody pobytu, nie tracąc zatem czasu udałem się natychmiast z policyi prosto do bióra wskazanego już mi przez dekorowanego Węgra i tam za małą bardzo opłatą kazałem się ogłosić jako nauczyciel języka francuskiego. Co i uczyniono.

Gdybym miał szczerą chęć i postanowienie być tylko nauczycielem, mimo lekceważenia i pewnego wstrętu Węgrów ku Francuzom, jako ludziom lekkim i niestałym, mógłbym znaleźć zatrudnienie i dochód przyzwoity; ale ponieważ użyłem stanu nauczyciela francuzczyzny, jako pozorów do rzeczywistych moich widoków, i niechciałem na siebie

przyjmować obowiązków mogących krępować mnie w moich działaniach, zbywałem zatem tych, co się do mnie zgłaszając nakładali uciążliwe warunki zajęcia całego mojego czasu, pod rozmaitemi pozorami, zobowiązując się tylko do pewnych w dniu godzin, co znowu nie zgadzało się z ich chęciami. Jakkolwiek bądź, z tych i rozmaitych powodów, starałem się zabrać znajomość z ludźmi różnego stanu, abym z rozmów potocznych i niby przypadkowo i jedynie przez ciekawość cudzoziemca wszczętych, mógł powziąć dokładną wiadomość o stanie Węgier i usposobieniu ich mieszkańców. Ale nim o tém obszerniej opowiem, winienem czytelnikowi dać poznać pierwiej miasta Peszt i Budę.

Peszt miasto obszerne, jak na Węgry nawet wielkie, i pewno najludniejsze, w wielkiej części, szczególnież od Dunaju pięknie murowanemi gmachy zabudowane, między którymi w środku miasta odznacza się pałac hrabiego Karoli, u którego wówczas był bibliotekarzem jakiś Polak, podobno Królikowski, ale z którym się nie znalazłem; leży na lewym brzegu Dunaju, na obszernej płaszczyźnie, dogodnej do jego rozpostarcia się; ma ulice szerokie, brukowane, place czyli rynki obszerne; kilka kawiarni bardzo porządných; sklepy z pewną wytwornością urządzone i bogate; szkoły wyższe i kilka kościołów katolickich i reformowanych choć nieodznaczających się piękną architekturą, jednak dość okazałych. Peszt może się słusznie nazwać stolicą Węgier. Naprzeciw Pesztu z drugiej strony Dunaju leży miasto Buda, złe, nieporządnie wzdłuż brzegu, i u spodu wzgórza zabudowane. Sam zamek Budy, niegdyś królów węgierskich, a dziś Palatynów czyli wojewodów mieszkanie, leży na podługowatym, od brzegu Dunaju dość stromym, i wzniosłym pagórku, przecinającym w poprzek i prostopadle do Dunaju, miasto na dwie nierówne części. Cały ten wzgórek wraz z zamkiem niemającym w sobie nic osobliwego, tak pod względem architektury, jak i ogroinu, i wraz z licznemi prywatnych



obywateli domami, otoczony jest murem prawie naokoło, wewnątrz murów znajduje się przechadzka drzewami wysadzana. W dawnych czasach, ta forteca mogła być dość obronna, ale dzisiaj z przyczyny wyższych nierównie, od wzgórza gdzie się forteca znajduje, gór w piękny łańcuch z sobą spojonych i jakby w pół księżyc, a raczej w łuk, którego cięciwą jest Dunaj, obejmujących miasto Budę, i w niewielkiej od zamku odległości będących, dziś powiadam forteca ta, szturmowi działowego ognia niewytrzyma, prawie nie jest żadną fortemą.

Na najwyższej z gór Budę otaczających, a patrząc z Pesztu, będącej po lewej ręce i przypierającej do Dunaju, znajdowała się postrzegalnia astronomiczna; tuż przyniej Gólgota, Kalwarya, z której schodząc do miasta znajdują się na jej pochyłości ważniejsze przejścia męki naszego Odkupiciela JEZUSA CHRYSYSTUSA dość starannie malowidłem lub złą rzeźbą oddane, i zamknięte w kaplicach. Położenie Budy jest dość przyjemne i szczęśliwe, a widok z niego na Peszt i rozległe naokoło niego ciągnące się płaszczyny jest prawdziwie piękny; w przeciwną zaś stronę zupełnie zasłonięty górami. Pod samym zamkiem, to jest: pałacem Palatyna, w ogrodzie na stromej pochyłości wzgórza od strony Dunaju będącym, znajduje się więzienie stanu, w którym, jak mi mówiono, Koszut (Koszut) będący w czasie mojego w Peszcie pobytu, naczelnym redaktorem dziennika madziarskiego, bardzo długo siedział, wiele wycierpiał, i nadwerżył zdrowie tak, że go odtąd niemógł odzyskać. Oba miasta Peszt i Buda łączy most drewniany na łodziach, który zwodzą na zimę, a który wkrótce po moim tam przybyciu został naprowadzony. W czasie mojego tam pobytu zaczęto stawiać powyżej nieco drewnianego, most nowy, materiały już były gotowe, bryły z ciosowego granitu były już obrobione, i dwa z nich ogromne słupy, na których miały się opierać czy arkady, czy most wiszący na drótkach, już w Du-

naju stały. Nie wiem czy dziś ten most jest już skończony.

Może komu przyjdzie na myśl zrobić sobie zapytanie mogące być dla mnie zarzutem, jakim sposobem, mając pasport na kupca, mogłem się odważyć przemienić to miano na nauczyciela? Proszą na to zapytanie daję odpowiedź. W ciągu mej podróży przekonałem się, że bardzo mało kto rozumie po angielsku, i pasport poznawano tylko z herbu Anglii na wierzchu pasportu umieszczonego, wraz z podwiązką i jej dewizą *honne soit qui mal y pense*, jako też z podpisu ambassadora, znajdującego się u spodu pasportu. Lecz gdybym na przypadek był w tym względzie zapytany od władz, natenczas postanowiłem powiedzieć, że doznawszy zawodu w przedsięwzięciach handlowych, i straciwszy majątek z przyczyny nieprzewidzianych, a często w handlu trafiających się okoliczności, dla utrzymania życia musiałem się chwycić tej ostateczności, to jest: przejęcia na siebie tak nieznośnego, nudnego i prawie dziś jeszcze w pogardzie będącego nauczycielskiego stanu. Czy podobne tłumaczenie, gdybym się widział do niego zmuszonym, mogłoby mnie usprawiedliwić w oczach i przekonaniu władz podejrzliwych, o tem nie wiem; wiem tylko, że mnie nigdy i nigdzie o to niepytano, a ja miałem z pasportu dwojaką korzyść; bo stósownie do miejscowości mogłem uchodzić za nauczyciela i kupca. Prawda, że niemając zamiaru ostatecznie i na długo pozostać w Peszcie, ogłoszenie się w dziennikach może kto uważać za zbyteczne; ale ponieważ z moich planów, jak już wiadomo, wypadało mi koniecznie w tem mieście dwa lub trzy zabawić miesiące, musiałem tedy użyć tego wybiegu, abym na wszelki wypadek, jakem o tem wyżej powiedział, miał się czém zasłonić przed władzami i usprawiedliwić przed nimi powód mego w Peszcie pobytu, chociaż, jakem się później i sam przekonał, ta ostrożność w Węgrzech była niepotrzebną.

Ze znajomości, jakie pod obcym nazwiskiem zabra-

łem, i z tych przed którymi się odsłoniłem, kim byłem w istocie i jakie miałem zamiary, dokładne powziąłem wyobrażenie o stanie i usposobieniu Węgier. Im więcej poznawałem ten naród, tém mniej polegałem na jego czynnej i skutecznej dla Polski pomocy; tém się więcej przekonywałem, że moje nadzieje były tylko marzeniem, uludą. Reforma na korzyść narodowości madziarskiej, a na której czele stał wówczas Koszut, dzisiejszy minister węgierski, była popieraną z całą energią, nawet zaciętością, jakiej tylko sekciarze nowej a upodobanej idei są zdolni. Madziarowie w wielkiej mniejszości w Węgrzech znajdujący się, ale więcej energiczni, więcej niepodlegli charakterem, dumni ze swego zdobywców świata pochodzenia, dumni władzą, jaką z pokolenia w pokolenie przelewali, nad zdobytym niegdys przez nich Pannonii (Węgier) krajem, niechcący, może niemogący zapomnieć o swojej przeszłości, czując się wyższymi i z rodu i z dotychczasowego używania praw politycznych i socyalnych, od nierównie liczniejszych Słowian, wśród których jako zwycięzcy osiedli, niepojmując, czy niechcąc pojąć, ani wymagalności czasu i stosunków, jakie między nimi a Słowianami zaszły; nie mając w końcu w swém sercu uczucia sprawiedliwości dla liczniejszych nierównie swoich współobywateli mieli dwie trudności, a raczej dwie wielkie przeszkody w ich zamiarach do pokonania, a których poznać zarazem nigdy nie byli w stanie.

Pierwszą z tych przeszkód, stanowiącą zarazem główny cel ich zamiarów, było słuszne, sprawiedliwe od cesarza Austrii domaganie się autonomii narodowej, czyli zupełnej samodzielności używania praw tak politycznych, jako też i socyalnych sposobem, jaki się narodowi węgierskiemu podoba, i jakie sam dla siebie bez wpływu Austrii postanowi, z którą Węgry w takich tylko życzyli zostawać stosunkach, o ile cesarz Austrii był zarazem królem węgierskim, konstytucyjnym, niemogącym nic względem Węgrów stanowić, a tém mniej działać bez zezwo-

lenia ich sejmu. Drugą rzeczywistą przeszkodą, bo najwięcej Węgom zawadzającą w osiągnięciu głównego ich celu, było przymusowe niejako narzucenie ogółowi mieszkańców Węgier, najwybitniejszej cechy narodowości, to jest: madziarskiego języka, do którego w Słowianach była niejako wrodzona, a łatwo tłómaczyć się mogąca antypatya.

W skutek tych dążeń, chociaż wcale z sobą nie sprzecznych, ale zawadzających jedna drugiej, i mogących z czasem ze zbiegiem nieprzewidzianych wypadków przywieść Węgrów do upadku i utraty niepodległości narodowej, Madziarowie jęli się, nie miarkując sił swoich, do dźwigania ciężaru, który niepodtrzymany słabemi barki runąwszy, może ich zgnieść na miazgę, a ich imię wymazać z historii narodów żyjących. Może się myłę, ale to łatwo nastąpić może.

Jakkolwiek bądź Węgry domagały się wówczas od Austrii, ażeby wojsko węgierskie i pod dowódcami tylko z Węgrów wybranymi, ciągle miało swą konsystencją tylko w Węgrzech; ażeby administracja kraju we wszystkich jej gałęziach tylko Węgom była powierzona; ażeby język madziarski był uważany za jedynie narodowy, a użycie jego po szkołach, kazalnicach i w administracyi wszędzie było zaprowadzone; ażeby nieposiadający tego języka do żadnego urzędu w kraju nie byli przypuszczeni itd. Ten ostatni warunek wszystko paraliżował, bo w tymże samym prawie czasie Słowianie, rodowici od protoplasty kraju mieszkańcy, i nierównie od Madziarów liczniejsi, a po naszej rewolucyi 1830 roku, na wzór okolicznych im Słowian, budzący się ze snu i przypominający się do wielkiej swój rodziny, zaczęli także pielęgnować i uprawiać swą narodowość, i usiłowali choć z mniejszą wolą od Madziarów, zaprowadzić w całych Węgrzech użycie swego języka.

Z tego jednego powodu, zręcznie przez stronnictwo austriackie przybranego we wszystkie zarody waśni, zwad,



niechęci zobopólnej, mogącej się z czasem wyrodzić w domową wojnę, nienawiść między dwiema narodowościami doszła do tego stopnia, że uczniowie dość liczni w Peszcie podzielili się na dwa nieprzyjazne sobie stronnictwa Madziarów i Słowian, tak dalece, że mieli dla siebie osobne miejsca schadzek i osobne kawiarnie, w których albo samych tylko Madziarów, albo samych Słowian znaleźć można było. O czém niejednokrotnie na własne przekonałem się oczy. Uczeń Słowianin z uczniem Madziarem mówić z sobą nie chcieli. Madziary uskarżali się na Słowian, że nie dość mają ducha niepodległości, że są znikczemni i lubią niewolę domu rakuzkiego i jemu sprzyjają; co po części wielką było prawdą. Słowianie zaś wyrzucali Madziarom, że będąc narodem najezdniczym, napływowym, chcieli gwałtem im swoją, a obcą dla nich narzucić narodowość, oni, którzy się powinni uważać za szczęśliwych, znalazłszy śród Słowian gościnność i przytułek, a której zawdzięczając, powinni się złąć z nimi ogółem w jedno ciało, przyjąć ich język i stać się jednolitym z nimi narodem. W tém Słowianie mieli wielką słuszość.

Z tego, cóm dotąd powiedział, łatwo wnieść można, że walka tak zacięta między dwiema narodowościami, ograniczająca się jedynie dotychczas na słowach i pismach, mogła się wyrodzić z czasem w walkę na oręż; co niestety od niejakiemu czasu już się sprawdza. Madziarowie zatem znajdują się w nader przykrém położeniu; gdyż oprócz wojny wewnętrznej, najokropniejszej z wojen, ściągną na siebie koniecznie i wojnę zewnętrzną z Austryą, która z tego Węgier zamieszania korzystać nieomieszka, i jąwszy się, niby Słowian obrony obrażonych w swych prawach, będzie jedynie broniła swoich nad Węgrami pretensyi; gdyż nie przypuszczam, aby cesarz austriacki i jego z ducha dotąd meternichowskie ministeryum mogło i chciało, zadosyć czyniąc wymaganiom Węgrów, uronić dobrowolnie cokolwiek z swoich praw nad Węgrami. Ma-

dziarowie zatem przez brak taktu, przez napauszoną zarozumiałość w swe siły, a nadewszystko przez chęć narzucenia nierównie większej większości mieszkańców Węgier swojego języka, postawili siebie w najfałszywszem i najniebezpieczniejszem położeniu. Walka, która z tego powodu w Węgrzech się rozpoczęła, kto wie czy się nie skończy zupełną Madziarów klęską, aż do zatarcia ich nazwy. Jeśli to ma nastąpić, Madziarowie, jako Madziarowie, nigdy więcej już nie powstaną. Ale ztąd i na całe Węgry wielkie nieszczęście spaść może, przynajmniej na czas długi; bo Austria raz zwycięzka, usiłować będzie wyprzeć z narodowego Węgrów życia wszystkie arterye ich żywotności.

Do tych dwóch stronnictw głównych, już rozdzierających naród, których następstwa, rozumowo i przez przypuszczenie tylko wyż wyprowadzone, bodaj się nie ziściły i to w krótkim czasie, dodajmy stronnictwo trzecie, niemieckie, a raczj austryackie, które zacięcie obstawało za utrzymaniem języka niemieckiego we wszystkich aktach urzędowych, administracyjnych, sądowniczych, w szkołach i na kazalnicach, które wszystkiemi sposobami starało się utrzymać dawne i w całej nietykalności *statu quo*: dodajmy różnorodność pochodzenia i języka mieszkańców Węgier, jako to: Słowian różnego narzecza, Madziarów, do których należą Seklery (Szeklery) Austryaków, Sasów (w Siedmiogrodzie), Cyganów, Żydów i Romunów (Wolochów) mających osobną religiją, zwyczaje, osobne swe prawa, a co większa wyłączone, a różne swe sympatye; dodajmy do tego bogactwo, dumę, napauszoną zarozumiałość przy niskiej oświacie, a nawet głupocie politycznego i socyalnego życia magnatów, używających drobniejszj, zagonowj, ciemnej a burzliwej szlachty w czasie wyborów na sejm deputowanych, do swoich osobistych widoków, pojąc ją winem i gorką; lud wiejski, chociaż od niejawnego czasu uwolniony od gleby, do której jako niewolnik był

przywiązany, lecz żadnych jeszcze praw politycznych nie-  
używający, ciemny i idący za tym, kto mu większe choć  
chwilowe obiecuje korzyści; całą administracją kraju jeszcze  
po większej części w ręku austriackich lub austriackiemu  
rządowi oddanych; a będziemy mieli o ówczesnym stanie  
Węgier dokładne wyobrażenie, i nie będziemy się wcale  
dziwili, że na sejmie w Preszburgu kwestye rozstrzygane  
były na korzyść tych, którzy mieli silniejsze barki i ostrzej-  
sze szable, i że każde ważniejsze wotum przytwierdzone  
było marsową kresą nie na jednej sejmującej twarzy. Sło-  
wem, działo się wówczas w Węgrzech prawie to samo,  
z wyjątkiem zajazdów, co się działo w Polsce od czasu  
sławego sejmu nazwanego niemym, aż do jej rozbioru.  
Oby podobieństwo przyczyn podobnych nie spowodowało  
następstwa.

Węgry tak były wówczas słabe, że nie byłyby w sta-  
nie wytrzymać ani jednego natarcia, jednego z trzech na-  
szych wrogów, o czém mnie zapewniali najzapaleńsi na-  
wet patryoci węgierscy, ale dobrze, jasno i bez uprzedze-  
nia rzeczy widzący. Jak na takim narodzie w czémkol-  
wiek polegać, i jakiej od niego można spodziewać się, żą-  
dać pomocy? Przykro mi, bardzo przykro takie o Wę-  
grach mieć przekonanie, radbym zataić, nie widzieć, co  
w nich jest zdroźnego, a co ich do niechybnej przypro-  
wadzi zguby; ale szacunek dla prawdy zmusza mnie do  
bezstronnego sądu. Tak postępując, dotknąłem drażliwie  
i własne swe uczucie, bom od dzieciństwa nauczył się  
naród węgierski kochać, który miał i ma dotychczas wiele  
podobieństwa z polskim. Te same cnoty nas zdobią, te  
same wady nas gubią. Przeszłość Polski ściśle jest po-  
łączoną z przeszłością Węgier. My od nich, oni od nas  
mieli swych królów. I jeżeli dziś jeszcze na wspomnienie  
Jadwigi i Batorego serce się Polaka wzrusza, a czoło mi-  
mowolnie chyli, to nie bez dumy Węgrzy wspominać mu-  
szą o naszym rycerskiego ducha Warnieńczyku! Zresztą  
ta prostacza piosnka, a której utwór sięga dawnych je-

szcze wieków: „Węgier, Polak dwa bratanki, I do szabli i do szklanki!“ czyż nie maluje, nie oddaje dokładnie spólnej dwóch narodów ku sobie skłonności i podobieństwa ich cnót i wad? W tym sądzie zatém o Węgrach nie byłem powodowany żadnem uprzedzeniem, żadną stronnością. Ale ponieważ najwięcej na nich polegałem, na nich liczyłem, najusilniej też starałem się ich poznać we wszystkich ich ruchach politycznego życia. Przytém prawdziwy tylko przyjaciel, najprędzej dostrzeże wady przyjaciela; bo te go więcej w nim rażą.

Powziąwszy o całych Węgrach powyższe wyobrażenie, zdawało się, że nie w nich nie pozostawało dla mnie do czynienia! Ale człowiek w najtrudniejszym położeniu ma jeszcze nadzieję i stara się z samych trudności i zawał usłać sobie drogę do jej ziszczenia. Moje położenie było takie, iż musiałem wybierać między Słowiańszczyzną a Madziaryzmem. Po długim wahanii się przechyliłem się na stronę ostatniego, więcej w sobie życia i energii mającego, i z Madziarami tylko w ściślejsze wchodziłem stosunki. Pókim z nimi mówił o sprawie węgierskiej, o sposobach, jakiemiby można wycofać się z przykrego położenia, w jakim siebie postawili Madziarowie, póty mnie słuchali, choć nie we wszystkiem zgadzali się ze mną, szczególnież kiedy chodziło o pogodzenie się ze Słowianami, ta kwestya już wówczas tak była położoną, że tylko bronią mogła się rozstrzygnąć. Ale kiedym zaczął z nimi mówić o połączeniu sprawy węgierskiej z polską, kiedym im dowodził, że ta sprawa jest jedną i tą samą, że to, co Polaków spotkało, Węgrów wkrótce spotkać może, że nie mając żadnego sprzymierzeńca w stanowczej walce przegrać muszą, że tym sprzymierzeńcem jest Polska, a po niej Turcyja, że w Polsce, mimo nieszczęść, przez które przeszła i przez które jeszcze przechodzi, są jeszcze siły bardzo wielkie, a zasoby ukryte; że Polacy doświadczeni w nieszczęściach i bojach mogą im i radą ramieniem dopomóc; kiedy im, powiadam, o tém wszy-



stkiem mówiłem, zdawali się tego nie rozumieć, nie pojmować; ubolewali nad nieszczęściem, jakie Polskę i Polaków spotkało, okazywali dla ich nieszczęść spólcucie, chociaż o Polakach z obojętnością, a czasami nawet z lekceważeniem odzywali się, uważali, że losy Polski na zawsze były rozstrzygnięte i że próżno już myśleć o przywróceniu jej niepodległości, a ztąd naturalny wniosek wyprowadzali, że Polska w dzisiejszym stanie lub kiedykolwiekbądź, mimo najszczerzą chęć Polaków, nietylko że nie może być dla Węgrów żadną pomocą, ale owszem połączenie sprawy węgierskiej z polską mogłoby Węgom zaszkodzić, że zatém węgierska sprawa z polską żadnej styczności mieć nie powinna, nie może. W końcu przestrzegali mnie, abym był bardzo ostrożnym w mówieniu, nie wydawał się przed nikim, kim byłem i w jakim przybyłem celu, żeby z Polakami będącymi w Peszcie i w Węgrzech w żadne nie wchodzić stosunki, gdyż wielu między nimi było ludzi podejrzanych, którym zaufać byłoby niebezpiecznie. Ta przestroga i własne doświadczenie w tym względzie były powodem, że przed żadnym Polakiem w Peszcie nie odkryłem swojego nazwiska, ani nawet imienia, chociaż mi się zdarzyło nieraz z niektórymi Polakami spotkać. Wówczas mówiłem z nimi tylko po francuzku.

Wszystko to mnie odstręczało, raziło i bolało, alem postanowił jeszcze wytrwać aż do końca. Koszut, będący wówczas na czołe dziennikarstwa Madziarów, kierował całym tym ruchem w Węgrzech, poruszał, zapalał, unosił umysły i serca Madziarów; każde słowo, każda myśl z ust jego lub z pod jego pióra wyszła stawała się prawem dla nich, młodzież szczególnie, nie przesadzając, była jego Seidem; krótko mówiąc, Koszut był wyrocznią dla Madziarów, był ich bożyszczem. Chciałem tedy, przyprohwadzony, prawie przyparty do ostateczności, widzieć się z nim samym i z nim się rozmówić. Prosiłem tedy tych, co mnie dobrze znać zdawali się, aby mnie jemu

przedstawili, uprzedzili o moich zamiarach i zapewnili, że o wszystkiém i szczerze może ze mną mówić. Nie wiem dla czego żaden z nich na siebie nie chciał przyjąć tego obowiązku; czy znając mię krótko, to jest: od niedawnego czasu, nie ufali mi zupełnie i nie życzyli dla tego, abym pozyskał zaufanie Koszuta; czy téż wiedząc o moich zamiarach, jak i o sposobie widzenia rzeczy względem Polski Koszuta, nie chcieli mnie darmo narażać na przykrą, nieprzyjemną odpowiedź ze strony tego ostatniego, lub téż dla innych niewiadomych mi powodów, każdy z nich pod rozmaitemi wymawiał się pozorami; już to że Koszuta nie zna osobiście; już to że Koszut jest ciągle bardzo zajęтым i nie lubi wizyt; już to że nieufny i żadnego zaufania nie przyjmie i inne rozmaite dawali powody; skończyło się na tém, że znowu sam sobie byłem zostawiony.

Znudzony, wzruszony uporem jaki wszędzie napotykałem i tym zawodem jakiego doznałem tam, gdzie się spodziewałem znaleźć najmocniejszą postawę przyszłych mych w Polsce działających, już bliski byłem od odstąpienia zamiaru widzenia się z Koszutem, ale po chwili rozwagi wstyd mi się zrobiło przed tak słabą cofać się zaporą; każdy opór w szczerze przedsięwzięтым, że tak powiem, w ukochanym zamiarze, drażni mnie i zapala do pokonania przeszkody i do jego osiągnięcia. Postanowiłem tedy udać się sam od siebie, bez niczyjjej rekomendacyi do Koszuta, chociaż mu nie byłem osobiście znanym, choć moje wyszarzane odzienie mogło go zaraz przekonać, że z żadnym człowiekiem znaczenia i wpływu nie będzie miał do czynienia; choć z tego samego powodu, mógł powziąć o mnie niekorzystne mniemanie, a nawet mieć mnie w podejrzeniu; bo w świecie zwykle cenią człowieka z jego powierzchowności. Ja tylko byłem silny mojem przekonaniem i prawością moich zamiarów.

Jednego tedy dnia, około 20 lutego, udałem się do jego mieszkania, gdzie zarazem było i bióro redakcyi

Z przedpokoju wszedłem do pierwszego pokoju, w którym było kilka stołów a około nich dość młodych ludzi zajętych rozmaitą biórową pracą. Zapytałem, czy mogę się zobaczyć z Koszutem? Po chwili odpowiedziano, że jest zajęty, ale za kilka minut będzie wolny i można się z nim zobaczyć. Oczekując chwili widzenia się, przypatrywałem się tymczasem rycinom w jeden rząd naokoło ściany tego pokoju i gęsto obok siebie pozawieszanych w ramach i za szkłem. Miał to być zbiór portretów wielkich ludzi: dostrzegłem między niemi portrety: Washingtona, Bolíwara z podpisem Ingrata Patria itd., to jest: niewdzięczna ojczyzno! nie będziesz posiadała zwłok moich. Lafayettea, a nawet Casimira Perrier, Tiersa, Dupina, Sauzet i Maugin. Ale mimo pilnego przypatrywania się, nie mogłem w tym zbiorze dostrzedz ani Kościuszki, ani Dąbrowskiego, ani Poniatowskiego Józefa. Ztąd już złem sobie wróżył. W tém dano mi poznać, że pan Koszut gotów jest mnie przyjąć. Wszedłem tedy do pokoju drugiego, znajdującego się po lewój stronie pierwszego; pokój długi, czysty i bardzo po prostu, aż do mierności umeblowany, w nim zastałem Koszuta samego jednego w długim szlafroku i w okrągłej czapeczce bez daszka na głowie tuż przy drzwiach stojącego.

Wszedłszy w te słowa odezwałem się po francuzku: „Przepraszam pana, że go śmiem odrywać od ważnego zatrudnienia i utrudniać go moją prośbą: jestem Catharo i przybywam z Francyi, niemogąc mu być przedstawionym przez kogokolwiek, sam się odważam polecić się jego względom i prosić go, aby mając tu wpływ i znaczenie chciał mi dopomódz tymczasem w wynalezieniu obowiązku nauczyciela języka francuzkiego.“ „Pan tak prędko mówisz, że niewiem czym go we wszystkiém mógł zrozumieć i niewiem czy pan zrozumiesz moją odpowiedź, bo choć rozumiem język francuzki gdy czytam i kiedy kto nim wolno mówi; płynnie nim jednak tłumaczyć się niemogę,“ odpowiedział mi Koszut po niemiecku i zaraz dodał: „Czy pan

nie mówisz po niemiecku?“ „Rozumiem trochę, ale nim nie mówię“ i powtórzyłem zwolna po francuzku to, com na wstępie powiedział. Tą razą dobrze zrozumiał bo odpowiedział: „My mamy już tyle nauczycieli języka francuzkiego, iż wątpię, abym mógł zadosyć uczynić jego żądaniu.“ „Ale ja Pana uprzedzam, że stan nauczyciela jest tylko dla mnie koniecznym pozorem dla zostania w Węgrzech, czas jakiś; życzylbym z Panem pomówić o ważniejszych rzeczach: lecz przedewszystkiē chcialbym się dać Panu poznać.“ „Mów Pan otwarciej.“ Jeżeli mam z Panem mówić otwarcie, a wyznam że w tym jedynie celu do niego przyszedłem, to się przyznaję: że jestem Polakiem i udaję się z Francyi do Polski; muszę jednak czas pewny zabawić w Węgrzech.“ Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem i po chwili rzekł: „Może Pan potrzebujesz pieniędzy? w tēm mogę w części dopomódz.“ Zaczerwieniłem się po uszy, i odrzekłem: „Bardzo dziękuję Panu za jego dobre serce, ale pieniędzy wcale niepotrzebuję; i jeżeli udaję się do Polski, to nie dla pieniędzy.“ „Jak się Pan nazywasz?“ „Rufin Piotrowski.“ „Nie pojmuję więc, dla czego niektórzy Polacy z Francyi przedzierają się do Polski, w któręj dzisiaj nic niema do czynienia; gdy znowu inni, a mieliśmy ich wielu w Węgrzech, nie wiadomo także dla czego ztąd koniecznie chcieli wyjechać do Francyi i wyjechali; na ich podróz były u nas składki.“ „Wszystko to być może i ja się nie dziwię wcale, że Pan nie pojmujesz przyczyny zmuszającej niejako Polaków i to tylko niektórych do powrotu do kraju; właśnie chcialbym Pana o tēm wszystkiēm objaśnić i otwarcie z nim pomówić.“ Koszut równie pilnie i badawczo mi się przypatrując jak ja jemu, rzekł: „Ja nie chcę i nie pragnę bynajmniej wiedzieć o cudzych interesach i tajemnicach.“ „I temu wstrętowi dowiedzenia się o tēm, cobym Panu pragnął powiedzieć także się nie dziwię: bo nie będąc mu znany, nie mogę bezwątpienia rościć żadnego prawa do zwierzenia się jemu, jak równie do zyskania jego zaufania; zdaje mi się jednak, że



między ludźmi dobrej woli i wiary porozumienie się prędko nastąpić może: i gdyby nawet w głównym celu z sobą się nie zgodzili, to mogą o nim mówić otwarcie, szczerze i bez niedowierzania, bez nieufności: proszę zatem Pana o cierpliwe mnie wysłuchanie.“ „Ale ja Panu powiedziałem, że o niczem nie chcę wiedzieć, ani o celach, ani o tajemnicach czyichkolwiek.“ „Widzę, że Pan i mnie to co mu mam powiedzieć zbyt lekceważysz: a jednak zaręczam Panu, że tego lekceważyć nie można, daj mi Pan tylko chwilę czasu do pomówienia z sobą.“ „Cóż mi Pan chcesz powiedzieć.“ „Oto, że w Polskę może nastąpić i to nie długo, nowy ruch, nowe powstanie; bo proszę nie mniemać, aby Polacy uważali siebie za zupełnie i na zawsze zwyciężonych, mają oni jeszcze w sobie dość mocy ducha i zasobów, aby powstać z upadku; idzie tylko o to, aby te zasoby pomnożyć i wzmocnić przyrzeczam narodu, niającego ten sam co Polska interes.“ „Polacy sami nie wiedzą czego chcą; o jakim sprzymierzonym narodzie Pan chcesz mówić?“ „O Węgrach, których dobrze zrozumiany interes jest ten sam co i Polaków.“ „Węgry bynajmniej nie myślą o żadnej rewolucyi, a ich sprawa żadnego niema związku ze sprawą Polski.“ „Wierzę, że w tej chwili Węgry o żadnym ruchu, o żadnej nie myślą rewolucyi, ale to jednak łatwo nastąpić może, a sprawa węgierska nierównie więcej, niż się zdaje pozornie tylko rzeczy biorąc, ma związku ze sprawą polską i właśnie chcę to Panu dowieść, chcę go o tém przekonać.“ „Przepraszam Pana, ale dłużej z nim mówić nie mogę, nie mam czasu, jestem zajęty.“ „To niech mi Pan dzień i godzinę naznaczy, a nie zaniedbam się stawić.“ „Tego uczynić nie mogę, bo nie wiem kiedy będę wolny od zatrudnień.“ „To znaczy, że Pan o tém com mu przed chwilą napomknął, nie życzysz więcej ze mną mówić; a jednak upewniam Pana, że tego lekceważyć niepodobna; niech się Pan zastanowi i rozważy i nie odmawia mi naznaczonej godziny czasu, której koniecznie po-

trzebuję tak dla przekonania Pana o czystości moich zamiarów, jak o ich ważności, bo mogących mieć wpływ na sprawę węgierską.“ „Jużem Panu powiedział, że Węgry nie myślą o żadnem powstaniu, że ich sprawa nie może mieć żadnej styczności, że godziny do rozmowy naznaczyć mu nie mogę; ale jeśli się Panu koniecznie podoba, to przyjdź którego dnia tu do bióra, a ja jeśli będę miał czas, to go przyjmę.“

Kosztut, który w ciągu całej rozmowy z utkwionem na mnie, równie jak ja na niego, patrzył okiem, wyrzekł te ostatnie słowa głosem najzimniejszej obojętności i jakby dla pozbycia się natręta. To mnie ubodło i natychmiast odrzekłem: „Jeżeli znajdę sposobność, w której najmniej byłbym natrętnym, będę korzystał z pozwolenia jakie mi dałeś, a tymczasem przepraszam za zabranie mu kilku chwil drogiego czasu“ — i skłoniwszy mu się odszedłem. Rozmawialiśmy ciągle stojąc na jednym i tém samym miejscu przy drzwiach od bióra zamkniętych, Koszut w długim szlafroku i z czapeczką okrągłą nakształt tocque na głowie, ja zaś w długim angielskim dobrze wyszarzanym surducie i z kapeluszem w ręku. Jam mu się przypatrywał jako niezwykleму człowiekowi, mającemu wpływ moralny prawie nieograniczony na cały swój naród i mogącemu z czasem rozrządzić jego losami, jego przyszłością; on zapewne patrzył na mnie z ciekawością i dziwiąc się nowego rodzaju dyplomacie. Koszut wzrostu jest miernego, bardzo mało słuszniejszy odemnie; stosunkowo do wzrostu jest krępy i barczysty, zdrowia jednak bardzo słabego; twarzy chudej, cery bladej śniadawej, nosa ściągłego, brwi gęstych, koloru ocz nie pamiętam, o czole i włosach na głowie mówić nie mogę, bo były przykryte czapeczką; miał wasy i ciemne gęste lecz nieporządnie utrzymane faworyty na okolo twarzy (collier); głos jego cichy, lecz wyraźny, dźwięczny, miły i przejmujący, rzekłbym nawet, rozczulający. Kiedy zaczyna mówić, robi jakby mały grymas ustami; mówi śmiało i dobitnie bez

żadnych oznak i ruchów salonowości. Ta śmiałość, znamionująca charakter determinowany, dziwnie się odbija od jego skromnej postawy i ułożenia. Cała postać Koszuta, gra jego rysów, cera blada, wyraz cierpienia rozlany po jego obliczu, jego spojrzenie i jego głos znamionują w nim głęboko czującą, namiętą i ognistą duszę i serce czule i tkliwe. Rozmawiając mówiłem do niego ciągle po francuzku, a gdzie było trudniej, po niemiecku. Odszedłem z podziwieniem dla niego, lecz zarazem z wielkiem z niego niezadowoleniem.

Po tej rozmowie z Koszutem i po jego mnie przyjęciu, a szczególnie z obojętności, z jaką się odzywał względem sprawy polskiej, wpadłem w stan duszy przykry, do nieopisania. Długom się wahał, czy miałem pójść do niego. Możeby z czasem dał się przekonać, a poznawszy mnie bliżej, byłby może więcej ze mną otwarty i nabyłby innego o sprawie polskiej przekonania; możeby dostrzegł, że ta sprawa jest zarazem i sprawą Węgier. Takie mniemanie może było nie bezzasadne: lecz potrzeba było na to poczekać w Peszcie miesiąc jeden i drugi. A tu mi na funduszach, mimo oszczędnego życia, prawie zupełnie zbywać zaczęło; gdyż pieniędzy ofiarowanych mi tak przez znajomych Madziarów jak i przez samego Koszuta przyjąć nie śmiałem, nawet nie mogłem bez ubliżenia charakterowi, jaki na sobie miałem. Zresztą moja osobista duma i uczucie własnej godności przyjąć mi wzbraniały pomoc ofiarowaną przez tych, którzy nie podzielali moich zamiarów. Lecz co mnie najwięcej zraziło do powtórnego widzenia się z Koszutem, to jego ostatnie z zimną obojętnością wyrzuczone słowa: nie miałem serca narazić się na powtórny a tak przykry odkaz. Postanowiłem tedy z tych i wielu innych powodów odłożyć zniewolenie Koszuta dla naszej sprawy do pomyślniejszych okoliczności i za pośrednictwem osób z Polski do niego wysłanych. Z tego postanowienia wypadło i drugie, to jest: że nie mając nic więcej do czynienia z Węgrami i w Węgrzech, potrzeba

było je opuścić. Ale dokąd się teraz udać? Po przekonaniu się, jak trudno obcych nakłonić do zrozumienia naszej sprawy, która zarazem jest i ich sprawą, nie miałem się już po co udawać do Turcyi, a nawet nie było o czém. Przedsięwziąłem więc ostatecznie przedrzeć się do Polski, do ziem ruskich, jak to było w pierwiastkowym zamiarze. Ale nim to nastąpi, muszę tu nieco o pod rządnych powiedzieć rzeczach.

Jeszcze na początku mojego do Pesztu przybycia, kiedym zaczął w ściślejsze z Madziarami stosunki wchodzić, i kiedym widział wszystkie trudności towarzyszące nowemu dla mnie zawodowi, różne wówczas w mój głowie i w mém sercu powstawały myśli i uczucia, ale kiedym się już przekonał, że niepodobna Madziarów do moich nakłonić zamiarów, kiedy szczególnież Koszut dał mi wyraźnie do poznania, że o moich zamiarach ani mówić, ani słyszeć nie życzy, przynajmniej na teraz; wówczas prawdziwie czując się zawiedzionym w moich nadziejach, byłem przyprowadzony do stanu trudnego do opisania, żal i oburzenie, pogarda i litość na przemian mną miotały. Często, w tém usposobieniu, w samotnych za Pesztem lub nad Dunajem przechadzkach, dumalem, rozważałem, biłem się i mordowałem z myślami, z mojm sercem, z obowiązkami względem kraju, lub z samolubstwem zachęcającóm nas do spokojnego i szczęśliwego życia. Prawie żalowałem, żem wyszedł z Francyi, w której jednak żyć nie było niepodobna; żem opuścił nędzne, lecz spokojne życie tułacze, w którym gdybym się mógł zająć swą tylko przyszłością, mógłbym jeszcze jako tako być szczęśliwym, a żyjąc tylko dla siebie, i pozbywszy się uczuć dla kraju, mniej nierównie, niebym nie cierpiał. Tak często człowiek spreczny jest sam z sobą, tak często zawód jakiego w stosunkach z ludźmi doświadczy, robi go samolubem, nieużytem. Ale dzięki Bogu, nieludzkie te i niegodne serca człowieka uczucia nie długo w mój piersi gościły, i wracałem do



mego zamiaru z większym uporem, z silniejszym zamiłowaniem.

Zauważyłem także, iż w stosunkach z ludźmi koniecznie jest potrzebném pewne zewnętrzne decorum, tytuł rodowy lub nabyty, albo przynajmniej wystawność znamionująca bogactwo. Wtedy lepiej cię widzą i łatwiej ci wierzą. Każde słowo wychodzące z ust dygnitarza, lub potrząsającego workiem, większej nabiera wagi i znaczenia, a najmniejsza z ich strony uprzejmość zwykle bywa uważaną za osobliwsze względy. Gdybyś miał najszlachetniejszą duszę, najpocziwsze serce, najwznioślejszy umysł, ale bez tych zewnętrznych oznak, które podług przyjętego w świecie zwyczaju są prawie jedyną gwarancją wzniosłości serca i umysłu; natenczas musisz znieść nie jedno podejrzenie dolegliwie cię obrażające, nie jedno napomknienie, w drażliwem cię stawiając położeniu, nim zyskasz, prawie przemocą zdobędziesz, zaufanie. To było dla mnie powodem licznych wniosków, ale to pewna, że nie na korzyść jakichbądź przywilejów. Wszystko to mnie zrażało i odpychało, lecz przypomniawszy sobie, że „im sroższe ciernia kolce, tém miłsze jest zwycięstwo,“ postanowiłem mało zważać na wszystkie na przyszłość przeszkody.

Między innemi znajomościami poznałem także w Pesszcie jednego Francuza, który się w Węgrzech został, jeszcze z czasów wojen Napoleońskich, lecz którego niepomnę nazwiska. Był on dawniej fechtmistrem w tém mieście; syn jego piękny mężczyzna zastąpił go w tém rzemiośle, a on sam wolny od tego zatrudnienia spokojne już prowadził życie. Ten Francuz miał u siebie w domu liczny zbiór fajek rozmaitych wieków i narodów, wielkości i kształtu; zbiór ten prawdziwie był ciekawy, i mógłby znaleźć miejsce w jakim bądź muzeum osobliwości. Wielkość niektórych fajek, ich kunsztowna robota, rzeźby na nich wyrabiane, a wyobrażające herby dawnych ich właścicieli

były zadziwiające. Ten Francuz, jak tylko mu się nadarzy sposobność wojażowania po obcych krajach, to podróżuje tylko dla tego, aby gdzie do ulubionego swego zbioru, nowój i nowego kształtu fajki dostać; szczególniejsza *passya*. Cały jeden pokój swojego pomieszkania obrócił na fajki, które w pięknych szafach pogatunkowane wiszą za szkłem.

Oprócz emigrantów w Peszcie znajdujących się, a z którymi, jak już powiedziałem, w żadne nie wchodziłem stosunki, i jeśli się z którym z nich spotkałem, rozmawiałem tylko po francuzku, najprzykrzejszy był dla mnie widok jednego pułku austriackiego z samych Polaków złożonego i mówiących czysto polskim językiem. Lubilem się przysłuchiwać ich rozmowom, tak dla wdzięku samej mowy, jak dla przysłuchiwania się o czem mówią, czy myślą o Polsce? czy są niechętni rządowi austriackiemu? Ale ze smutkiem przekonałem się, że tylko głupie po prostu żołdackie rzeczy były przedmiotem ich rozmów.

Z pod czerwonego wołu przeniósłem się do Żyda, ale ani jego, ani nazwiska ulicy nie pamiętam, stancją zgodziłem miesięcznie i nie drogo; żyłem zaś jak tylko można najnędźniej. Kiedym sobie chciał zrobić ucztę, to zjadłem kubek nieszczęśliwego gulaszu i wypilem szklanekę wina, zwykłym jednak pokarmem moim był chleb, sól i woda. Tak żyłem całe tygodnie, cały miesiąc, lecz co w tym sposobie życia było dla mnie najnieznośniejszém, to troskliwość, z jaką musiałem się ukrywać, aby nikt o tém nie wiedział; jednak jak się później pokaże, mimo mą staranność w ukrywaniu się, Żyd się o tém dowiedział. Czy wielka ilość wody, którą zwykle wypijał przy solonym chlebie, czy cały ten sposób życia długo zachowany, czy też jaka inna przyczyna wpłynęły bardzo na mój organizm. Nie byłem chory, nic mię nie dolegało, czulem się tylko mocno osłabionym. Jedną, ale tylko jedną noc, jak silnie, gwałtownie i obficie poty na mnie uderzyły

bez żadnej dolegliwości, że po obudzeniu się rano, całą pościel, poduszkę, prześcieradło, koldrę i siennik ujrzałem nie zmoczone, ale zlane potem: dość powiedzieć, że siennik na całą długość mej osoby był przemoczony na drugą stronę, jak gdyby kto wiadro wody nań wylał. Nigdy mi się to w życiu ani przed, ani potem nie zdarzyło, i nigdy nie widział, aby kto tak mocno się pociał. Cały ten dzień czułem się mocno osłabionym, ale drugiego dnia przyszedłem do naturalnego stanu zdrowia.

Chociaż żyłem z taką oszczędnością, przy drobnych a nieodbitych wydatkach, tak się mój fundusz wyczerpał że kiedym się zdecydował, kiedy zmuszonym się widział zdecydować udać się do ziem ruskich, bardzo mi mało pieniędzy pozostało.

Po widzeniu się z Koszutem, po przekonaniu się, że mi w Węgrzech na ten raz nic niepozostaje do zrobienia i kiedym już postanowił udać się do ziem ruskich, pozostawała mi jeszcze jedna trudność, na pozór nie wielka lecz w mem położeniu bardzo niebezpieczna, do pokonania. Pasport wizowany do Konstantynopola niemógł mi służyć do Rossyi, bo nawet przez ambasadora rossyjskiego nie był wizowany; długom tedy myślał, czy mam ambasadora angielskiego w Wiedniu prosić tylko o wizę rossyjską na dawnym pasporcie, czyli też o nowy prosić pasport? Kto nie był w podobnem położeniu, ten nie może osądzić, ile podobne przeszkody niepokoją i męczą człowieka; bo każdéj chwili mogą go narazić na największe niebezpieczeństwo, a nadewszystko, że mogą zniweczyć w jednéj chwili wszystkie jego zamiary. Po długim wahaniu się postanowiłem prosić ambasadora angielskiego w Wiedniu o nowy dla siebie pasport do Rossyi. W tym celu napisałem do niego po francuzku list, jako Józef Catharro, rodem z Malty, a następnie poddany angielski, w tym liście zawiadamiam ambasadora, że moje interesa handlowe zmuszając mnie do udania się bezzwłocznego do Rossyi,

proszę zatem Jego, aby mi na mocy pasportu wydanego w Paryżu, a który w tym liście do niego załączam, raczył wydać pasport nowy, i kazawszy go zaawizować przez ambasadę rosyjską w Wiedniu, był łaskaw takowy m przesać do Pesztu, gdzie mnie przemijająca zatrzymuje słabość, która właśnie jest powodem, że osobiście nie mogę stawić się w ambassadzie. W końcu poleciwszy się jego względom oczekiwałem łaskawej odpowiedzi. Zapieczętowawszy list oddałem go na pocztę.

Oczekiwałem odpowiedzi, której niebyłem pewien otrzymać podług moich życzeń, z wielką niespokojnością; obawiałem się, aby z odpowiedzią nie przyszedł rozkaz zaarrestowania mnie. Ale jakież było moje zadziwienie i radość, kiedy w kilka dni po moim liście otrzymałem pasport zupełnie nowy, datowany z Wiednia i wizowany przez ambassadora rosyjskiego. Żałuję, żem zapomniał nazwisk obu ambassadorów angielskiego i rosyjskiego. Ten pasport w owczesnym mojem położeniu i usposobieniu moralnym wielką mi przyniósł ulgę i dodał otuchy; bo był nowy, i datowany z Wiednia, a nie z Paryża, co przed władzami rosyjskimi było niejako zaletą i najmniejszego podejrzenia o mającym pasport ze Stolicy Chin europejskich, niemogło w nich wzbudzić. To miało miejsce przy samym końcu miesiąca lutego. Bawilem tedy w Peszcie przez cały ten miesiąc, który w tym roku był tak piękny i ciepły, że dla nieznośnego gorąca musiano się odziewać w letnie suknie.

Otrzymawszy pasport natychmiast poszedłem do policyi dla uzyskania w niej wizy i przepisania mi drogi, to jest miast znaczniejszych, przez które musiałem do Rosyi przejeżdżać, i to najkrótszą drogą na Podole. Ale kommissarz policyi niemógł żadnym sposobem pojąć innej drogi, tylko tę, która z Pesztu prowadzi przez Koszyce (Kaszau) do Galicyi, co mnie nadzwyczaj oddalało od celu mej podróży; gdyż postanowiłem wprost udać się do



Rusi, z kąd dopiero miałem wracać do Galicyi. Niemogąc się tedy w żaden sposób z sobą porozumieć, i poważniejszy się na dobre, kommissarz żadnej drogi mi nie przepisał, z czego byłem bardzo kontent; bo byłem swobodny i wolny wybrać tę, która mi się zdawała jeżeli nie najkrótszą, to przynajmniej najdogodniejszą.

## ROZDZIAŁ VII.

*Podróż z Pesztu na Podole przez Erlau, Tokaj, Syhot, Trybusę i Koresmöze (Jasyn). Przygody téj podróży, przybycie na szczyt Karpat. Rzut oka na Węgry.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi 27 września 1848 r.

Kiedy już wszystko do Podróży było przygotowane, i kiedym opłacił co się komu należało, zostało mi wszystkiego na przebycie przestrzeni od Pesztu do Kamieńca Podolskiego, dwadzieścia dziewięć złotych polskich. Żyd wiedząc, jakim sposobem przez cały żyłem miesiąc, a ztąd wnosząc, że w wielkiej znajdowałem się potrzebie; kiedy już spakowałem moje ruchomości do tłumoczek, wyniósł od siebie wielką bułkę chleba i podając mi ją rzekł: „Niech Pan będzie łaskaw to odemnie przyjmie i nie brzydzi się, że to od Żyda pochodzi; w drodze chleb zawsze się przyda: dałbym Panu pieniędzy, ale ich nie mam, niech Pan będzie łaskaw to przyjąć.“ Wstyd i wdzięczność za dobre serce Żyda zarazem mnie ogarnęły, i ja co niechcąc przyjąć złota od znajomych mi Madziarów, ani od Kosznta, przyjąłem ze wzruszeniem kawał chleba od starozakonnego; bo sposób dania był wcale inny i z innych pochodził pobudek. Żyd po prostu, niewiedząc kim byłem, dał mi jałmużnę z serca, z uczucia litości dla bliźniego, przyciśnionego niedostatkiem i nędzą. Tamci zaś

znając i mnie i moje zamiary, przez swój datek, chociaż równie z dobrego serca pochodzący, ubliżali mojemu charakterowi, mojej godności, zwłaszcza, że ani mojego celu, ani środków do jego osiągnięcia nie podzielali. Otóż dla czego jałmużnę, kawałek chleba przyjąłem od Żyda z wdzięcznością, a odrzuciłem pomoc pieniężną tyle mi potrzebną, lecz ofiarowaną może z lekceważeniem tego, którego chciano wesprzeć. Wybrałem się tedy w podróż z dwudziestą dziewięcią złotych polskich i bułką chleba dnia 28 lutego 1843 roku na pieszo.

Niebo, które przez cały luty było pogodne i jasne, zaczęło się pokrywać chmurami i w sam dzień mojego wyjścia z Pesztu drobny deszczyk zaczął padać; zanosilo się na długą słotę, droga coraz się gorszą stawała, coraz mi ciężej i niewygodniej po błocie iść było, aż zmordowawszy się, około południa zaszedłem na odpoczynek do karczmy stojącej nade drogą. W niej zastałem kilku Węgrów wracających z Pesztu próżnemi wozami i jadących ku tej samej stronie i tą samą drogą, którą mi iść koniecznie potrzeba było. Jeden zatem z tych Madziarów zobowiązał się mnie wziąć z sobą za nic prawie nieznaną cenę. Siadłem z nim na wóz, rozumie się prosty, drabiniasty, nietylko niepokryty, ale w którym i słomy nie było, tylko worek owsa; deszcz zaś wciąż padał. Późną porą dnia tego przybyliśmy do jednej wioski, gdzie potrzeba było koniecznie zanoć. Moi Madziarowie zatrzymali się z swemi wozami, i tym na którym i ja się znajdowałem w pośród wsi, i śród dość szerokiej, lecz dosyć wklęsłej ulicy, na której z powodu deszczu uformował się wyraźny staw, w którym woda dochodziła koniom aż po brzuch; mój Madziar, wraz z swymi towarzyszymi, podkasawszy szerokie jak spódnica spodnie, bossemi nogami skoczył do wody, i przebrnąwszy bród, wraz z innemi wszedł do karczmy, w której, jakem się domyślał z ich gestów, znajdował się gospodarz, do którego mieli zajechać na noc. Siedziałem i mokłem na wozie,

doczekując się ich powrotu z karczmy, przynajmniej pół godziny, a wysiąść z wozu żadnym nie mogłem sposobem; bo musiałbym w takim razie całkowicie się rozbierać. Niecierpliwiłem się, kłąłem madziarską niedbałość, oczekując chwili, aż zajedziemy do jakiej gospody, choć niewygodnej, to przynajmniej cieplej. Nareszcie wyszedłszy z karczmy, przybrnęli do wozów, a mój Madziar wlaźszy na swój wóz, dał mi do zrozumienia, że jedziemy na nocleg do dobrego gospodarza i do wygodnej gospody. Wkrótce zajechaliśmy na przestronne podwórze, prawie dziedziniec, dobrze zabudowane, i przed dom schludny i obszerny. Cieszyłem się, że przynajmniej będę mógł się przesuszyc i przeoblec; gdyż byłem przemokły do ostatniej nitki, chociaż wciąż trzymałem nad sobą parasol, którego koniec niezgrabny mój Madziar, wlażąc po niedźwiedziemu na wóz, odłamał, a przez to nie mogłem wicęć żadnego z parasola mieć użytku. Powyprzęgano i zaprowadzono konie do małej stajenki, a ja z niecierpliwością oczekiwałem aż się drzwi domu otworzą; dziwiłem się zwyczajowi miejscowemu, który gościom tak długo każe czekać za drzwiami.

Tymczasem na dziedzińcu wszystko się uciszyło, konie i ludzie znikli; sam jeden stojąc śród podwórza, patrzałem na drzwi gościnne nim się otworzą, aż w tém mój Madziar, dziwiąc się zapewne przyczynie mej długiej między nimi nieobecności, wysunął głowę ze stajni, dając mi poznać, abym wszedł do niej, do której gdy wszedłem, oświadczył mi, że w niej będziem nocowali; ale oświadczył z takim rodzajem zadowolenia na twarzy, jak gdyby mi chciał powiedzieć: tu będziesz miał nocleg przewyborny i wygodny, i ja ci to dobrodziejstwo wyświadczam. Przyznam się, że podobnie grzeczna i uprzejma gościnność wcale mi się niepodobała, ale musiałem ją przyjąć. Madziarowie zatlili hubkę krzysiwem, i śród słomą pokrytej a niskiej stajni, na środku małej przestrzeni rozdzielającej konie stojące po jednej i po drugiej stronie, naniečili mały ogień z mierzwy i słomy, który pomalu wciąż pod-



niecali temiz materyalami. Dobyli z torb chleba, ja dobyłem także kawał z mojej, dostali później słoniny, którą osadziwszy na małych drewnianych rożenkach, przypiekali na ogniu, i tak nieco stopioną okraszali swój chleb, który smaczno z wielkim zajadali apetytem. Patrząc na tę ich ucztę pomyślałem: „że lubicie słoninę, że macie do niej wielki apetyt i skłonność, nie w tem zlego, ale pojąć nie mogę, dla czego macie tak wielką sympatya do sposobu życia tyle zamilowanego od zwierza, który wam jej dostarcza.“ Jakby dla zbicia takiego o nich mniemania i dla zawstydzenia mnie, mój Madziar, dał mi także słoniny spory kawał już wprawiony na rożenek i pokazywał, jak się z nim mam obchodzić. Nie potrzebowałem jego w tym względzie nauki, bo nasi czumacy na Ukrainie tak samo robią, a jam to nieraz i widywał i robił. Jakkolwiekbaż, ta potrawa tą razą bardzo mi się smaczną wydawała. Mój Madziar resztę niedojedzonej słoniny stopił, roztał w dłoniach i wypomadował sobie czarne, gęste i długie włosy jak najobficie, starając się, aby w tej operacyi jego toalety każdy włos aż do skóry głowy tłustością był napuszczony. Wszyscy inni toż samo uczynili; a gdym zapytał: dla czego to robią? odpowiedzieli: że to chroni od wszelkiego robactwa.

Po tak hojnej kolacyi, pozrzucali z siebie koszule i tak nadzy zaczęli je przed ogniem suszyć a raczej zakopcać; ja zdjąwszy surdut i frak, chciałem także je przesuszyć, ale to było niepodobieństwem przy słomianym i mierzwanym ogniu. Nareszcie zabraliśmy się do spania na mokrą mierzwie i do ciała przemokli; każdy z nich położył się gdzie mógł: przemyślniejsi powłazili to za jassą, to w żłoby. Mój Madziar wybrał mi miejsce najwygodniejsze, a nawet dał mi pod głowę swój worek z owsem. Ale przestrzeń była tak krótka, że głowa i nogi sięgały tylnych kopyt koni stojących naprzeciw siebie po obu stronach stajni, tak dalece, że się obawiając, aby głowa lub nogi nie były zdeptane, obróciłem się grzbietem do

pobocznej ściany i przyparłszy do niej wór z owsem, całą noc prawie siedzący przedrzemałem. Wątpię, czy Pan Châteaubriant w swych podróżach wśród puszczy amerykańskich i wśród dzikich ich mieszkańców przepędzał przy ich ogniskach nocy więcej romantyczne i więcej pełne poezyi.

Nazajutrz do dnia w dalszą ruszyliśmy podróż nie zobaczywszy nawet oblicza gościnnych gospodarstwa; dla ogrzania się, w najbliższej karczmie wypilem spory kielich wódki, która w Węgrzech jest i dobra i tania. Około południa brzybyliśmy do miasteczka Gyöngyös sławnego dobrem winem, którego także pokosztowałem. Ponieważ droga była zła i koła grzęzły w błocie po piasty, wleliśmy się bardzo wolno i już późno w noc przez objazdki i brody przybyliśmy do wsi z kąd był mój Madziar. Sądziłem, że tu już przynajmniej będę mógł się ogrzać i przesuszyć, ale mój Madziar, stosując się zapewne do zwyczaju ogólnie tam przyjętego, zamiast do domu, zajechał do stodoły, do której przyniesiono mu wyborną wieszakę i którą ze mną się podzielił, i tam na gumnie w stodole wraz z sobą ofiarował mi nocleg. Aże siana w stodole było podostatkiem, wryłem się tedy w to siano, gdzie mi było i ciepło i wygodnie, i tak smacznie spałem, że drugiego dnia dopiero około dziesiątej z rana obudziłem się. Zapłaciwszy co się Madziarowi należało i rozpytawszy się o drogę, poszedłem pieszo poprzecznymi drożynami, około zwalisk jakiegoś starego zamczyska, i wpadłem do jednej wioski, gdzie psy pięknej, ale dotąd przezemnie niewidzianej rasy, sierści białej, gęstej i długiej, i ogromnej wielkości i siły, tak na mnie mocno natarły, że istotnie byłem w niebezpieczeństwie być rozszarpanym, nimby mi pomoc dano; byłem winien swe ocalenie jedynie potężnemu kijowi, którym byłem uzbrojony, i mnóstwu kamieni tam znajdujących się, któremi jak kulami na nie ciskałem. Wkrótce potem przez bezdroża i góry zszedłem do miasta Erlau, jak na Węgry dość obszernego, ale nieporządnie, w dole między górami zabudowanego. Wcho-

dząc do niego, przypatrywałem się piwnicom w skale kuty, gdzie wina erlauskie dość głośne zachowują się. W przechodzie przez to miasto, którego ulice pełne były błota, i gdzie się ani chwili nie zatrzymywał, postrzegłem tylko kościół piękny i obszerny.

W pobliżkiej za miastem i dość porządnie zabudowanej gospodzie zatrzymałem się dla wypoczynku i posiłku; gospodarz, gospodyni i ich młoda córka, piękna w całym znaczeniu tego wyrazu i jak na stan z pewnym przepychem ubrana, nim siedli do obiadu, zmówili na głos modlitwę błogosławienia, a po obiedzie modlitwę dziękczynną z wielką pobożnością, co mi się bardzo podobało. Byli katolicy. Wkrótce przybył jakiś staruszek żebrak, obciążony ciężarem który złożył na ziemię; młoda piękna Węgierka ze skwapliwością podała mu jałmużnę. Lecz gdy staruszek siłąc się nie mógł złożonego udźwignąć na barki ciężaru, i gdy siedzący mężczyźni i ja z nimi obojętnie na to patrzaliśmy, młoda Węgierka, z całą wytwornością ubrana, a którą podwyższała skromność zdobiąca jej lica, postrzegłszy kłopot staruszka, rącho ku niemu poskoczyła i dopomogła. Ten akt miłości bliźniego na-przód mnie zawstydził, a spojrzawszy później na Węgierkę, jej piękność prawdziwie zdała mi się niezrównaną. Tyle dobroć serca i litość dodaje uroku piękności. Przypomniało mi się przytém zdanie pogan, którzy utrzymywali, że „w piękném ciele, piękna jest dusza“ i to prawdziwsze zdanie chrześcian: że kto z serca kocha Boga i szczerze się doń modli, ten wspiera i prawdziwie kocha bliźniego.

Po wyjściu z gospody udałem się wielkim gościńcem w dalszą popróż: gdy w tém napędził mnie jakiś Madziar, któremu dawszy zrozumieć dokąd idę, powiedział mi, że mnie nierównie krótszą do tego samego miejsca doprowadzi drogą, będąc miejscowym i znając dobrze pobliżkie okolice; zboczył tedy z drogi głównej i wprowadził mnie na świeżo poorane pole. On szedł spiesznie, bo lekko

był odziany, nie miał żadnego na sobie ciężaru i maszerował boso, ale ja grzązłem w rozmokłą rolę, której ziemia, czarna i tłusta lgnęła do butów całemi skibami. Takem się zmęczył tą niewygodną, a spieszoną podróżą, że po gorącym zimny pot na mnie wystąpił; bo chciałem koniecznie zdążyć za nim, a przybliżająca się noc kazała mi się obawiać, abym się na bezdrożu nie zbląkał i nie był przymuszonym gdzie w polu zanocować. Ku zachodowi słońca wyszliśmy nakoniec na blonia, a ja postrzegłszy opodal wioskę, zatrzymałem się dla wytchnienia, bo już iść dalej nie mogłem, i tym sposobem rozstałem się z moim przewodnikiem, któremn wcale nie byłem wdzięczny za wyświadczoną mi usługę. Po chwili wypoczynku wolnym krokiem przyszedłem do wspomnionój wioski, gdzie u Żyda w karczmie zanocowałem. Prosiłem tego Żyda, który mówił po węgiersku, aby mnie nauczył, jakim sposobem po węgiersku rozpytywać się o drogę i o inne rzeczy do podróży koniecznie potrzebne? Jam go się pytał po niemiecku, a on te same wyrazy mówił mi po węgiersku, co wszystko zapisałem w pugilaresie dla nauczenia się na pamięć; dziś jednak z tych wyrazów żadnego nie pamiętam. Mój złamany parasol, który już chciałem cisnąć gdzie na drodze dla ulżenia sobie ciężaru, tak się podobał Żyda młoděj żonie, że chciała go koniecznie odemnie nabyć i dała mi za niego półpięta złtp., a więc moje fundusze znowu się pomnożyły.

Przenocowawszy w cieplej karczmie i wygodnie choć na słomie i na ziemi, puściłem się w dalszą drogę krokiem przyspieszonym. W nocy przepadł niewielki śnieg na wilgotną, mokrą ziemię; mocny przymrozek z wiatrem północnym zamroził wodę i ziemię, i dodawał ochoty do marszu; mijalem też, prawie bez odpoczynku dzień cały, wieś, miasteczka, góry i doliny, aż dopiero późno w nocy przybyłem do jakiegoś lichego miasta w dole u spodu góry położonego, błotnistej do nieopisania i samymi tylko Żydami zamieszkałego. Byłem bardzo zmęczony, potrze-



bowalem wypoczynku i posilenia się pokarmem; ale czy z przyczyny zaszłego już szabasu, czy też z jakich miejscowych przesądów, nigdzie nie chciano mnie przyjąć na noc, tłumacząc się, że niema miejsca do spania; obszedłem z jakie dziesiątek domów włócząc się po błocie za kolana, ale wszystko na próżno; takie tam było Żydostwo nieuczynne: aż nakoniec jeden Żyd jeszcze się modlący, zezwolił mnie przyjąć na noc, ale pod warunkiem abym mu świece pogasił, jak się modlić przestanie. Naprzód sądziłem, że żartował, ale przekonawszy się, że to jest warunek *sine qua non*, zgodziłem się na to, i nie tracąc czasu rozebrawszy się, położyłem się na gołej, wązkiej ławie, bo i słomy niebyło, a przykrywszy się surdudem i frakiem, czekałem póki Żyd modłów swych nie skończy, abym mu pogasił świece. Dotąd nie mogę pojąć co to za przesąd! Nareszcie Żyd przestał się modlić a ja podniósłszy się i przysunąwszy bliżej ku sobie lichtarz, dmuchnąłem raz, dwa, i wszystkie siedm, czy dziewięć świec zgasiłem. A Żyd w krzyk na całe gardło! Aj wej! i zaczął dopiero z gniewem, prawie z płaczem mi tłumaczyć, że potrzeba było każdą z osobna świeczkę palcami zagasić. Szczerzem się uśmieł z jego dla mnie na przyszłość lekcyi gaszenia Żydom świec, nic mu jednak nieodpowiadając, ale swoją gościnnością najdoskonalej się zemścił, gdyż całą noc spać nie mogłem, tak mi było zimno, twardo i niewygodnie.

Ledwo zaczęło świtać, już byłem ubrany; wyszedłem na podwórze, aż tu ogromne kupy śniegu nawiane i silny wiatr z ostrym mrozem dął od północy, jak raz mnie w oczy; szedłem ile mi sił starczyło, ale gwałtowny wiatr mocny stawiał mi opór. Podróż dnia tego była dla mnie bardzo przykrą, gdyż cały ten dzień wiatr mocny, mroźny, przelatany czasami gęstą mgłą śniegu, jak to zwykle bywa w marcu, dokuczał; czulem, że mnie na wskroś przejmował. Ku wieczorowi wiatr nieco ustał i nastąpiła mała odwilż. Jam się czuł jednak mocno przeziębłym

i potrzebowałem ciepłego noclegu. Zaszedłem do najbliższej karczmy stojącej nade drogą. Jej właściciel, czy tylko arędarz, uprzejmie mi ofiarował nocleg w izbie bez okien i gdzie była wielka kupa nawianego śniegu. Wyszedłem z karczmy gniewny na gnuśne, niedbałe i nieschlujne Żydostwo, z mocnym postanowieniem, nigdy oddać u Żyda, chyba tylko w ostateczności, nienocować. Wychodząc z karczmy, tuż przy niej ujrzałem średniego wieku i olbrzymiej postaci mężczyznę, którego zapytałem po niemiecku, czy w pobliskiej wsi, którąm widział, jest jaki karczmarz (koczmaro), ale nie Żyd, tylko Madziar? A ten do mnie się odzywa: „Po słoweński do mnie, po słoweński — po niemiecki nierozumie;“ dla ostrożności jednak nieodezwałem się do niego po słowiańsku, chociaż mi to wielką bardzo sprawiłoby przyjemność, ale pokazując mu częścią na migi, a częściej jeszcze powtarzając wyrazy: *Madiar koczmaro, Madiar koczmaro nicht Jude*, dałem mu do zrozumienia, że niechcę stanąć na noc u Żyda, tylko u Madziara. On też mi wskazał karczmarza Madziara.

Widać, że w Węgrzech tak samo jak u nas w Polsce, do godła karczmy, dla większego umartwienia podróznego, i dla dania mu uczuć większej przyjemności domowego zacisza, przywiązane są wszystkie niedogodności, jakie tylko pocziwego człowieka na tym świecie trapić mogą, mniejsza o to czy Żyd, czy chrześcjanin w nią siedzi. Gospoda zatem do której zaszedłem, chociaż w niej karczmarz był Węgier nie Żyd, była zimna, wilgotna i brudna. Prawda, że w Węgrzech nietylko w karczmach, ale wszędzie pod względem wygod życia i ochędóstwa największe panuje niedbalstwo i nieporządek, o higienie jeszcze tam zapewne niesłyszano, a uczony Eskulap mógłby z głodu umrzeć. Śród śniegów i mrozów widziałem kobiety wiejskie, kraśne jak burak, lub nawet sine od zimna, chodzące z lekką tylko płachtą na głowie i boso. Mężczyzni zwykle chodzą w koszulach lub szerokich sier-

mięgach rzuconych tylko na ramiona i spiętych pod szją; domy w ogóle od zimna źle opatrzone, a piece tak urządzone, iż całe ciepło wychodzi kominem. Przeziębły i nie mając gdzie się ogrzać, wpadłem w stan zamyślenia, a dobywszy książkę od nabożeństwa, zacząłem odmawiać wieczorne pacierze i czytać modlitwy, nim nastąpi czas spania. W tém przyszedł jakiś Madziar, widać bardzo znajomy mojego karczmarza, i po chwili wszedł ze mną w rozmowę po łacinie. Zapewnie mu się podobałem, bo zaprosił mnie do siebie na noc, mówiąc, że u niego będzie mi wygodniej i cieplej. W rzeczy samej, domek choć szczupły, ale był ciepły, co dla mnie było najważniejszą rzeczą: wino i wieczerza, za którą nic wziąć nie chciał, jak mi się wówczas zdało, była bardzo dobra. A kiedym zachwalał przed gospodarzem byt szczęśliwy życia wiejskiego, ten mi ciągle odpowiadał: „Prawda że chleb jest, wino jest, bydło jest, ale pieniędzy niema“ (panis est, vinum est, pecus est, sed pecunia deest). Kiedy czas było zabierać się do spoczynku, przyniósł dwa ogromne kule słomy, rozesał je na ziemi, przykrył prześcieradłem, położył pod głowę poduszkę, i wskazawszy że to dla mnie, zaprosił do spania. Spałem tak dobrze jak nigdy i ocuciłem się dość zdrowym i rzezkim.

Nazajutrz z rana, a to była niedziela, uprzejmy gospodarz poprowadził mnie dla pokazania drogi, i nie chcąc, mimo powtórne moje naleganie, nie przyjąć za wieczerzą i nocleg, pożegnawszy się ze mną wrócił do domu. Że zaś był śnieg z przymrozkiem, a drogę szczególnie między wsiami niezbyt utarte, łatwo więc ślad ich się gubi i potrzeba iść manowcami. I ja też mimo wskazaną drogę, z niej zbłądziłem, i tylko manowcami doszedłem do pobliskiej wioski, zkąd zamiast iść bitym gościńcem, dla skrócenia drogi z wielką trudnością wdrapałem się na wysoką górę, za którą spotkałem człowieka pędzącego piękne i wielkie stado owiec. Był to Słowianin, rozpytałem się o drogę do miasta Toller, którą mi wskazał najdo-

kładniej. Udawszy się nią, przybyłem nad szeroki, wysoko wezbrany, głęboki i cienkim lodem pokryty strumień. Z połamanego w kierunku drogi lodu, łatwo osądziłem, że go przejeżdżano w bród; oglądałem się na wszystkie strony, czy kto nie nadjedzie wozem, na który wsiadłszy mógłbym ten strumień przebyć. Ale nikogo nie dostrzegłszy, i sądząc, że lód mnie znieśie, chciałem po nim przejść na drugą stronę; lecz zaledwo parę kroków postąpiłem naprzód, gdy lód podemną się załamał, i ja prawą nogą utonąłem w wodzie powyżej kolana, w bót zaś pełno nalalo się zimnej wody. Cofnąłem się nazad i myślałem co tu zrobić, aby przejść na drugą stronę? Potrzeba i konieczność są najlepszymi nauczycielami. Zrzuciłem tedy z siebie tłumok, i położywszy go na łodzie silnie go popchnąłem pałką przed siebie i naprzód, a sam położywszy się brzuchem na łodzie i rozpostarłszy po jego powierzchni ręce i nogi, dla podziału ciężaru ciała na większą lodu przestrzeń, dopelzłem choć z trudnością do tłumoka; tu znowu go popchnąwszy jedną ręką i laską naprzód, znowu do niego dopelzałem: powtórzywszy kilkakrotnie tę samą operacyą, przebyłem bez najmniejszego przypadku na drugą stronę strumienia. Czemu tego rozumu przed chwilą nie miałem?

Przewdziawszy bót, spiesznym zacząłem postępować krokiem i wkrótce przybyłem do poblizkiej wioski w samą porę, kiedy po odbytem nabożeństwie zaczęto wychodzić z kościoła. W Węgrzech ten sam, co w Polsce, jest naganny zwyczaj, że z kościoła idzie się wprost do karczmy, jakby dla uczynienia aktu skruchy i żalu za to, że się straciło godzinę czasu, jeżeli nie na szczerój modlitwie, to przynajmniej w miejscu gdzie się modlą, i dla tego karczmy zwykle bywają stawiane tuż przy kościołach. Ledwie zaszedł do tój karczmy, gdy się wnet do niej nacisnęło pełno samych Madziarów, ale Madziarów najczystszej rasy; byli wzrostu niewielkiego, ale barczyści i krępi, fizyonomii grubych, dzikich i nieokrzesanych;



brody nie mieli, tylko wąsy w górę pokręcone, przyodziani burkami strzępiącemi kudły, w czapeczkach okrągłych, podobnych do tatarskich, za któremi u niektórych dla ozdoby były pawie piórka z boku zatknięte; jednym słowem, ich postacie przypomniały mi najdokładniej owe dzikie hordy od morza Kaspijskiego przybyłe, a o których historycy tyle nam opisów podali. Przodkowie tych Madziarów, spółtowarzysze Atylli, mogli tylko do nich być podobni i pewno takimi byli. W mojem dotychczasowem życiu wiele krajów zwiedził, ale podobnie barbarzyńskiej powierzchowności ludzi nigdzie mi się jeszcze widzieć nie zdarzyło.

Minąwszy Töller, miasteczko w dość obszernej między górami dolinie położone, zacząłem wstępować na miejsce dość podniesione, z którego później zstępując drogą idącą u podnóża długiej góry, spotkałem dwóch ludzi zajętych jakowąś pracą i mówiących z sobą ruskim językiem, dobrze mi znanym, bo z małą różnicą w wymawianiu, zupełnie podobnym do języka ukraińskiego. Dźwięk tej mowy, tyle przypomnień dziecięcego i młodzieńczego wieku we mnie obudzający, wielkie na mnie uczynił wrażenie; zwolniwszy kroku przysłuchiwałem się ich rozmowie, sam jednak wcalem się do nich nie odezwał. Około drugiej z południa postrzegłem w dali wysoką, odosobnioną, nieco po prawej ręce będącą górę; była to góra na której się rodzą tyle słynne tokajskie wina. Choć droga była błotnista, bo słońce dogrzewając śnieg stopiło, spiesznym jednak i posuwistym prawie bez wytchnienia idąc krokiem, zdążyłem na noc do błotnistej i nieporządnie zabudowanej, a przez samych niemal Żydów zamieszkałego miasteczka, blisko samego Tokaju położonego. Mimo przedsięwzięcia nigdy u Żyda nie nocować, musiałem tą razą od niego odstąpić. Nocleg jak to zwykle w domu żydowskim, był zimny i niewygodny. Przyrzekł mi Żyd dać słomy na posłanie, musiałem z tém wszystkiem przespać się na dwóch długich i wąziutkich ławeczkach postawionych obok siebie, ale

z których jedna była o dobry cal wyższą od drugiej. Próznom usiłował zachować równowagę ciała i spać tylko na jednej ławeczce, usnąwszy równowagę straciłem i spałem na obu. Po przebudzeniu się z rana, uczulem w boku okropne klócie, że sądziłem, że mi żebra były połamane.

W nocy mocny przymrozek zamroził błoto, a ja po grudzie jak najspieszniej od niewdzięcznej oddaliłem się gospody. W godzinę najdalej byłem już w mieście Tokaju, a szedłem do niego wciąż drogą ciągnącą się po pod wysoką górą i po prawej będącą ręce; chciałem zaprobować tokajskiego wina i kazałem sobie dać pół butelki: ale tak było złe, że zapytałem Żyda winiarza: dla czego chce mnie oszukać i zamiast Tokaju dla czego mi podał jakiegoś tylko moszczu? Ale ten mi z najzimniejszą krwią odpowiedział: że kto chce pić prawdziwe tokajskie wino, niech do Tokaju nie przyjeżdża; gdyż najlepsze jego wina jeszcze na pniu bywają sprzedawane i z Tokaju wywożą się dalej, w Tokaju zaś zostaje to co jest najgorszego. Ledwie skończyłem moje wino, a pić go musiałem bo zapłacone, winiarz fizyonomii chytrzej i obłudnej pyta mnie: z kąd jestem? i czy mam pasport? Rozgniewany że mi złego dał wina, ostro i z pogardą mu odpowiedziałem: iż Żyd winiarz powinien tylko swojego wyszynku pilnować a nie pasportów. Żyd coś powiedział po madziarsku do Madziarów tam będących, którzy zastąpiwszy mi drogę domagają się o pasport. Z największą zimną krwią zacząłem sprzeciwiać się ich żądaniu. Aż przybywa jakiś urzędnik także Madziar, a któremu zapewne o tém znać dano i żąda odemnie pokazania pasportu, ale to na ostro, prawdziwie po madziarsku. Przekonawszy się, że to był istotnie urzędnik, pokazałem mu mój pasport, na którego widok urzędnik i Żyd zdjęli czapki i zaczęli mnie spólnie przeproszać. Tak to Anglicy każą sobie wszędzie szanować! takie poważanie dla ich pasportu wszędzie mają. W całych Węgrzech ten tylko raz jeden o pasport mnie zapytano.

Miasto, a raczej miasteczko Tokaj, małe, błotniste, złe i nieporządnie zbudowane, złożone z drewnianych i beżpiętrowych, niskich domów, z bardzo nielicznym wyjątkiem leży u samego sposobu wysokiej i stromej góry tokajskiej, nad samą rzeką Cissą (Tejssą) na której znajduje się tu most drewniany. Tu słyszałem na rynku ludzi mówiących językiem madziarskim, polsko-góralskim i rusko-góralskim.

Dzień był piękny, pogodny i ciepły. Przeszedłszy most wspomniony i rozpytawszy się o drogę, udałem się tą, którą podług wskazania uważałem za najwłaściwszą. Po kilkogodzinnym marszu, droga zaczęła się dzielić na małe poboczne drożynki i ja poszedłszy jedną z nich, znalazłem się wkrótce bez najmniejszego śladu drogi, wśród obszernego i ścierniem najeżonego pola, była to płaszczyna wielkiej przestrzeni. Niepatrząc już drogi, szedłem manowcami w kierunku wsi, której bielące się domki z dala ujrzałem. Zmierzając do niej napotkałem karcznię i dokładnie rozpytawszy się o drogę, puściłem się dalej. Chociaż dzień cały szybkim postępowałem krokiem, obejrzawszy się jednak w tył, widziałem ciągle tokajską górę tuż nademną wiszącą, co mnie nadzwyczaj martwiło; bo mi się zdawało, że jeszcze niedaleko od niej odszedł, po nogach jednak miarkowałem, że znaczną ubiegł przez ten dzień przestrzeń.

Zmęczony i niewygodnym noclegiem i szybkim marszem, ku zachodowi słońca prosiłem o gościnność młodego Madziara stojącego przed wrotami domu dobrze zabudowanego, ale daleko ode wsi odległego. Dawszy znak zezwolenia, powrócił do domu i wyszedł na me przyjęcie wraz z swą siostrą, młodą dziewczyną, ubraną po wiejsku i boso. Ta mnie najuprzejmiej zapraszała do wniścia do domu, a wkrótce potem zaczęła się krzątać około wieczery, oczekując przybycia matki, starszej siostry i szwagra. Ja tymczasem rozebrałem się i zdjąłem buty, tak dla ulgi nóg, jak i dla przesuszenia obuwia. Moja

młoda gosposia, wraz z młodszym jeszcze od niej bratem, ale poważnie fajkę ćmiącym, zaczęła skrobać kartofle. Niemając nic do czynienia i zawdzięczając gościnności, chciałem im dopomóc, ale się tak niezręcznie i niezgrabnie brał do dzieła, że oboje aż się kładli od śmiechu. Młoda szczególnież dziewczyna, wesola, pusta, nie mogła się utulić od śmiechu, ucząc mnie, jak mam z kartoflami się obchodzić. Niewielem jednak z tej nauki korzystał, bo gdy ona pięć lub sześć oskrobała kartofel, jam zaledwo jedną mógł podolać. Śmiałem się i ja także i z siebie samego, i z ich wesołości, a w braku innej przyjemniejszej, i to dla mnie było chwilową rozrywką. Przytém prawdziwe miałem upodobanie w skromnej naiwności młodej wieśniaczki. Przy nieceniu ognia postrzegłem, iż głąby z kukurydzy, obrane z ziarenek, dobrze wysuszone, palą się przewybornie, i mnóstwo ich było u moich gościnnych gospodarstwa za piecem.

Niezadługo nadeszła matka z córką i zięciem, ale tak pijanym, iż ledwo się na nogach mógł trzymać. Po wieczery, do której matka uprzejmie mnie zaprosiła, złożonej z kartoflanej zupy gęsto mąką w maśle przysmażaną zaprawianej, z kartofli smażonych w słoninie i z mięsnej potrawy, poszliśmy spać. Ledwieśmy się położyli, aż mój Madziar pijany zachorował, zaczął womitować i stękać; matka i żona zaczęły mnie prosić, abym tej chorobie mógł zaradzić. Ja, nie lekarz, musiałem zostać doktorem pijanego Madziara. Kazałem mu naprzód wypić po obfitych womitach dwa kubki zimnej wody, i wyprowadziwszy do sieni, stojącemu wylałem na głowę całe wiadro także zimnej wody, która zciekając z głowy, całego jego zmoczyła. Ryknął Madziar od operacyi, ale musiał dostać do końca; później kazałem go powić w prześcieradło zmoczone w zimnej wodzie i przykryć ciepło, ażeby spotniał. Nazajutrz Madziar był zupełnie zdrowym, oprócz małego bólu głowy.

Od samego ranka zaczęło się chinurzyć i zimny deszcz



zaczął padać. Pożegnawszy się z gospodarstwem, którzy mi byli wdzięczni za wyleczenie chorego, jak ja byłem im wdzięczny za udzieloną mi gościnność, wsparty na moim kijku pielgrzymim w dalszą mojego przeznaczenia udałem się podróż. Jeszcze dobrze przed południem przybyłem pod samą wieś Bogdań, od której mnie oddzielała rzeczulka na 40 lub 50 kroków szeroka, i z przyczyny dżdżów i stopniałych śniegów dość głęboka, a w niektórych miejscach jeszcze pokryta lodem. Szukałem mostu lub przynajmniej brodu, lecz niemogąc go znaleźć, postanowiłem czekać, aż kto z przejeżdżających albo mi go wskaże, albo mnie na wozie przewiezie. Strzelec Madziar, czatujący na zwierzynę i włóczący się po tamtej stronie rzeczulki, widząc zapewne mój kłopot, dorozumiał się, o co mi chodziło. Zawołał tedy na mnie, i z jego gestów więcej, niż z mowy, pojąłem, że mi wskazuje miejsce, gdzie można w bród przejść rzekę. Madziar stanął na prost tego brodu, a ja rozebrawszy się do naga, wzięwszy tłumoczek i wszystkie rzeczy na głowę, webrnąłem do rzeki, której miejscami lód musiałem rozbijać dla zrobienia wolnego przejścia, i której głębokość w niektórych miejscach dochodziła mi pod pachy. Z pokaleczonem nieco od ostrego lodu ciałem, i bez żadnego innego przypadku przebrnąłem na tamtą stronę. Ale trząsałem się od zimna, jak liść od wiatru. Tylko Twardowski mógł podobną kąpiel proponować temu, komu swą duszę zapisał. A jednak wcale mi to nic nieszkodziło, owszem uczulem się rzeświejszym i lżejszym do marszu. Madziar uprzejmy, mimo deszcz drobny, ale rześisty, rozesłał swą burkę, którą był odziany, na ziemi, abym czystiej i wygodniej mógł się ubrać.

W Bogdań, wsi dużej, bardzo wiele mieszkańców jest Rusinów, o czém mogłem sądzić z mowy, jaką tak w przechodzie przez wieś, jak i na odpoczynku w niej słyzałem. Wkrótce deszcz ustał, słońce błysło, a ja cały ostatek dnia tego, to jest: całe popołudnie, szedłem po mokrym śniegu, który tu jeszcze niestajał. Od wyjścia

z Bogdań żadnego do samego wieczora niespotkałem człowieka, któryby mi wskazał drogę; szedłem więc tą, co mi się zdawała najwięcej utartą. Ku wieczorowi dość mocny przymrozek ściał śnieg i drogę uczynił ślizką i niewygodną. Już była noc późna i ciemna, śniegu tylko szarawa białość ją nieco rozwidniała, a ja niespotykając nigdzie po drodze ani człowieka, ani mieszkania, sądziłem, że zbłądziłem w tej dzikiej na oko okolicy. Ostatnich sił dobywałem, aby dojść do jakiej wsi lub mieszkania, i kiedy prawie już byłem przygotowany do całonocnego marszu, około jedenastej w nocy, prawie natknąłem się na jakieś mieszkanie nade drogą stojące; trudno pojąć, ilem był kontent z tego szczęśliwego zdarzenia. Zacząłem kołatać do drzwi, aby mi otworzono. Po chwili drzwi się otworzyły, a z mowy poznałem, że tu, niestety! Żyd karczmarzem. Byłem przemokły, przeziębły, prawie zmarznięty; słowem, głodny i chłodny, chciałem się posilić, ogrzać. Ani jednego, ani drugiego tu nieznalazłem. Sama gospodyni Żydówka była chorą, Żyd niebardzo zdrowy, i więcej ani ducha tam niebyło w tym przybytku utrapienia. Takiej nędzy w żadnej karczmie jeszcze niewidziałem; bo ani chleba, ani wódki w niej niebyło, a zimno, jak na dworze. To nieszczęśliwe, łazarzowe położenie moich gospodarzy, więcej mnie tknęło, aniżeli moje własne. Nerozbierając się zatem, częścią drzemiąc siedzący, częściej się jednak przechadzając dla ogrzania się, przepędziłem ostatek nocy. A rozpytawszy o drogę, jeszcze przed świtem opuściłem smutną gospodę.

Ze wschodem słońca zaczęła się ślota: deszczyk drobny, zimny i rześisty wciąż padając, rozgrzeził ziemię, a około południa deszcz ulewny do ostatka popsuł drogę i prawie było niepodobieństwem iść dalej, ale chciałem koniecznie dojść do miasta Namiń; nie szedłem zatem, ale brnąłem, wiązłem w błocie po kolana, szczególnież zbliżając się ku miastu położonemu nieco w dole na płaszczynie i po obu stronach rzeki Cissy (Tejssy). Po dłu-

gich nareszcie i wielkich trudach dotarłem do miasta Namiń, zamieszkałego niemal przez samych Żydów, ale Żydów w całym znaczeniu tego wyrazu, z ubioru i ze zwyczajów zupełnie do polskich podobnych. Niektórzy z nich widząc mnie w długim surducie, z czarną długą brodą i w kapeluszu, wzięli za swego jednowiercę, Żyda, i po przyjacielsku podawali mi ręce do uściśnienia. Ale postrzegłszy swój błąd, cofali się nagle, jakby sparzeni od ognia; dziwiąc się i rozmawiając z sobą, z jakiego byłem kraju, którego mieszkańcy tak są do nich podobni? Szczepczem się śmiały z ich domniemywań i niechciałem ich z błędu wyprowadzić.

Choć jeszcze było daleko do wieczora, z przyczyny ciągle padającego rześistego deszczu i złej drogi, chciałem w tym mieście zanocować, i wiele czasu już straciłem na doczekaniu się nocy, gdym się dopiero dowiedział, że tu płynie rzeka Cissa, przez którą trzeba przeprowić się promem. Zeby zatem ta zwykle długa i nudna przeprawa nie zajęła mi jutro rano drogiego czasu do marszu, pochwyciłem za mój tłumoczek i przybyłem nad Cissę, nad którą stałem i mokłem dość długo, doczekując przewozu, a przez którą przewiozłem się na promie już bardzo późno w wieczór. Przepłynąwszy Cissę zatrzymałem się na noc w ostatnim domku tego miasta czy jego przedmieścia, u jednego bardzo biednego Madziara.

Przy słabym odblasku ledwie tlejącego ognia na kominku, postrzegłem w kącie i w cieniu siedzącego mężczyznę palącego fajkę, a którego głos nienaturalnej grubości, mocy i dźwięku świadczył o jego sile fizycznej i zdrowiu; dowiedziawszy się z rozmowy, jaką miałem z gospodarstwem, w którą się stronę udaję, ten mężczyzna oświadczył, że mi będzie towarzyszył, gdyż także w tę samą iść musi drogę. Przespawszy się na słomie i ziemi wraz z przyszłym kolegą mej podróży, do dnia jeszcze przy ciemku nocy, byliśmy już ubrani i gotowi do podróży. Mój kolega skrzesał ognia i zapalił fajkę. Przy

migocącym światłem iskier, dostrzegłem coś szczególnego w jego ubraniu; ale jakżem się zadziwił, gdy wyszedłszy na dwór ujrzałem i przekonałem się, że mój towarzysz był nie kto inny, tylko stara baba, ale tak szkaradna, tak straszna, zdrowa i silna, że Sybilla opisana w Parodyi Iliady, przez poetę ukraińskiego Kotlarzewskiego, mogłaby być pięknocią. Przyspieszyłem kroku, aby się odczepić od złego geniusza, co mnie prześladował swą obecnością, ale mimo ciężaru, jaki niosła na sobie, tak szybko, ciągle paląc fajkę, maszerowała, że żadnym sposobem nie mogłem się od niej odczepić; bo mi niepodobna było jej wyprzedzić. Na moje szczęście, między jadącymi z przeciwka ludźmi, był jej ktoś znajomy, zatrzymała się tedy dla pogadanki, nawet dość długiej. Uchwyciłem tę sposobność i prawie biegiem oddaliłem się jak mogłem najdalej, może od poczciwej w sercu, ale okropnej powierzchowności baby. Jeżeliby kto niewierzył, że są czarownice, na łopatach przez komin wylatujące, niechby spojrział na nią, a największy niedowiarek zachwiałby się w swoim przekonaniu.

Był to dzień dziewiąty marca z wielką czcią przezemnie od kilku lat obchodzony; bo zamykający tajemnicę mej duszy. Idąc, szczerem się modlił i dwa wielkie etapy w tym dniu uczyniłem. Przenocowawszy w karczmie dość wygodnej, gdzie Słowianin był gospodarzem, wolnym krokiem postępując, spotykałem często po drodze Słowian, ruskim językiem i po chrześcijańsku mnie pozdrawiających. I język i to pozdrowienie były dla mnie miłym przypomnieniem. Około południa przybyłem do miasteczka Szelös leżącego u spodu wysokiej góry. Z samego rana było mi już niedobrze, czułem się niezdrowym i słabym; za ledwie minąłem miasto, w którym się ani chwili nie zatrzymałem, kiedy omdlawszy zupełnie na siłach, położyłem się na tuż przy drodze będącym niewielkim pagórku, pokrytym piękną zieloną murawą, dla odpoczynku; pod wielkim drewnianym krzyżem, na którym było wyobraże-



nie ukrzyżowanego Zbawiciela. Już drugi dzień jak deszcz przestał padać i zanosilo się na długą pogodę; niniejszy dzień był piękny i słońce dogrzewało. Zastanawiając się nad mým położeniem, nad celem mych usiłowań, w końcu nad sobą samym, nad tém, co tkwiło w mój piersi, wpadłem w stan marzenia. Ileż mi myśli przez głowę, ile uczuć i wstrząśnień nieprzeszło przez serce w ciągu godzinnego wypoczynku! A wszystkie me wspomnienia i nadzieje głębokim zakończywszy westchnieniem do Boga i do Tego, którego święte wyobrażenie nademną wisiało, podniosłem się z miejsca i wolnym, bo osłabionym krokiem, powlekłem się dalej.

Droga od Szelös idzie u samego podnóża wysokiej góry zasłaniającej horyzont z prawej strony, po lewej jej stronie ciągną się obszerne łąki przeplatane wielką ilością łoży. Nieco dalej droga zwraca się cokolwiek w prawo, i wstępuje zwolna na górę i między góry pokryte lasem. Jest to wstęp do Karpat, a raczej pierwszy ich od dołu stopień. W tém samotném, ustronném zaciszu była prawie zupełna wiosna. Pierwiosnki i fiołki, które nad wszystkie inne przekładam kwiaty, znajdowały się tam w wielkiej obfitości śród zieleniącej się po lesie trawy, i swą upajającą zmysły wonią, mile, rozkosznie drażniły nerwy, miękczyły serce, rozkwilały duszę. Strumyk niewielki z gór spadający i ciekący obok drogi, śród uroczystej ciszy jaka tam panowała, przezroczyością swjej wody i łagodnym szmerem dodawał ozdoby i wdzięku temu miejscu; a dobroczyune ciepło i światło słońca, przy śpiewie ptasząt budzących się z odrętwienia, ożywiało całą tę ustron nowym i czarującym urokiem. Widok pięknej przyrody, choć w szczupłym zamkniętej zakresie, powlezionej przytém jakby melancholią, ciemném jeszcze tłem lasu, miał dla mnie powab, pociąg i urok, któremu się oprzeć nie mogłem. Czy usposobienie, w jakim już zostawałem, czy skutek długo więzionych w piersi uczuć, uczulem gwałtowną, niepohamowaną potrzebę wynurzenia się: pierś mi

się wzdeła, powieki nabrzmiały, konwulsyjnie kilka razy zaszlochałem, i łyzy rzęsiście, choć chwilowo, ale gorące jak samo uczucie, co je wywołało, spływały po mojem obliczu. Po co i dla czego? za czem i po kim?

O wiosno mojego życia, o jedyne szczęście mej duszy, gdzieżeś ty? Czy jesteś błogą rzeczywistością mojego przeznaczenia, czyli też tylko zwodniczą jego uludą. Mogę ci wiek cały żywota błogosławić, mogę ci nawet złorzeczyć, ale nigdy, nigdy cię niezapomnę!

Te kilka łąz, kilka westchnień rzewnych, ulżyło uciśnionej piersi, a wolnym ciągle postępując krokiem, po dwugodzinnej blisko podróży, wstąpiłem nareszcie na sam wierzch téj góry, na której ruscy górale wesoło pracowali, w swych burch sukmanach, około naprawy drogi. Cudny ztąd i po raz pierwszy w mem życiu widziany odsłonił mi się widok. Przedemną stała otworem obszerna, w gzygzaki zaginana i gubiąca się w dali dolina; jej szerokość nieprzechodząca ćwierci polskiej mili była z obu stron ścięsniona, a raczej zamknięta pięknymi pasmami to okrągłych, to podługowatych gór, jakby ogniwami w piękny i misterny łańcuch z sobą spojonych, i wznoszących swe szczyty lasami pokryte wysoko nad jej poziom, nierównie niższy od poziomu góry, z której patrzałem. Wzdłuż i pośrodku téj doliny ciągnęła się wązka smuga czystej jak zwierciadło wody. Długom się nasyciał tym widokiem, aż kryjące się za góry słońce powlókłszy żywo purpurowym blaskiem, odbijającym się na ciemnawem tle widokręgu, wielką przestrzeń nieba w całej uroczystej wspaniałości i wielkości ten zachwycający widok mnie przedstawiło. Ani przed tem, ani po tem nic podobnego nie widziałem.

Z sercem przejętém wdzięcznością, z duchem korzącym się i podniesionym ku Temu, który nieustannie tworząc cuda w przyrodzie, tak żywo nas przekonywa o swęj w wszechświecie przytomności, dobroci i opiece, z jaką troskliwie nad nim i nad człowiekiem czuwa, zacząłem

zstępować z góry; przeszedłem obok długiej wioski, nad samym gościńcem i na samej pochyłości leżącej, i znalazłem się na pięknej dolinie. A powolnym ciągle postępując pochodem i przypatrując się zajmującej okolicy, spotkałem strzelca, strażnika, pilnującego lasów i zwierzyny. Ten między innymi powiadał mi, że w tych górach i lasach dosyć znajduje się niedźwiedzi. Z nim także przeszedłszy most drewniany, rzucony przez jakąś rzeczkę, której niepomnę nazwiska, z pomiędzy gór wypływającą, przybyłem do jednego miasteczka, błotnisteo i nikczemnego, i w niem na drugim jego końcu zanocowałem u jednego Rusina. Rusin, jakiś profesjonalista, rzemieślnik, wesóły, rozmowny, przyjął mnie, chociaż cudzoziemca, bardzo uprzejmie, dał na pościel siana, na którym miękko, wygodnie i ciepło się przespawszy, uczulem się nazajutrz trochę zdrowszym. U niego Polacy, żołnierze austriacy mieli także swą szwalnię butów i liderwerków. Z przyjemnością przysłuchiwałem się ich rozmowom w polskim języku, ale się wcale przed nimi nie wydawał, że ten język umiem.

Następny dzień był piękny i zachęcający do rączego marszu; ale niebędąc zupełnie zdrowym, dla oszczędzenia sił osłabionych szedłem pomału. W tém napędziła mnie dość wielka liczba ruskich górali, młodych, rączo i wesóło, choć boso, idących, w kapeluszach okrągłych, niskich z szerokimi skrzydłami, w krótkich burych sukmanach i płóciennych brudnych spodniach. Jeden z pozostałych za mną opodał górali, odezwał się na całą donośność głosu do swych towarzyszy, co mnie już wyprzedzili: „A strzeżcie się, żeby was ten djabeł brodaty nie zjadł;“ (A stereżytsia szczob was toj czort borodatyj ne zjiw). To było powodem dla nich mnóstwa żartów ze mnie: ale kiedy przechodząc koło krzyża, na którym było wyobrażenie Chrystusa, zdjąłem kapelusz i przeżegnałem się, rzekli do siebie: to katolik, i przestali żartować. Tyle ten lud słowiański wszędzie jest religijny i bogobożny,



takiego ludu musi być wielkie przeznaczenie. Przepłynąwszy w jednej wsi na pramie rzekę Cissę, tak znowu uczulem się omdlałym na siłach, że musiałem usieść dla spoczynku, jakiś nadzwyczajny smutek znowu mnie ogarnął i pograżyłem się w dumaniach. W tém jadący w stronę, w którą i ja szedłem, piękny pojazd, zrównawszy się ze mną nagle się zatrzymał. Hajduk z huzarska porządnie ubrany, zbliżył się do mnie i rzekł czystym ruskim językiem: „A zkąd wy? jeżeli zechcecie ze mną jechać, to was podwiezę i nic za to nie chcę.“ (A zwitkił wy? koły choctel zo mnoju jichaty, to was pidwezu i niczoho nechocz). Udałem, że nierozumiem po rusku. I pytam go się po niemiecku, czy on Madziar? Ale ten z pewnym rodzajem oburzenia i wstępu odrzekł: „O nie! ja nie Madziar, ja Rusin.“ Ztąd wnosilem nie bezzasadnie, że ogólnie wszyscy węgierscy Słowianie, jakiegokolwiek narzecza lub nazwy narodowej, niemieli spólcucia dla Madziarów. Madziarowie tedy w smutnym znajdowali się położeniu, a ja większego coraz nabierałem przekonania, że na tak rozdwojonym w owym już czasie i w samym swém łonie narodzie, trudno nam Polakom polegać.

Tymczasem mój Rusin stojąc nademną i czekając aż wdzieję bóty, ciągle po rusku do mnie prawił, chociaż w jego przekonaniu ruskiego języka nierozumiałem; nareszcie gestem pokazawszy mi, że trzeba jechać, siedliśmy do powozu i pojechali. Jakże mi było przyjemnie siedzieć w tym powozie, i jak byłem wdzięczny dobremu Rusinowi, który będąc młodym, wesołym i trzpiotem, opowiadał furmanowi o swoim Panu mnóstwo facecyi, czasami tak śmiesznych, że niepodobna było nieśmiać się z ich opowiadania. Przyjechawszy już po zachodzie słońca do miasta Sigetz, po rusku nazwanego Syhot, kupiłem hajdukowi wina, z czego był bardzo kontent, i rozstawszy się z sobą po przyjacielsku, każdy w swą udął się stronę. Ja zacząłem szukać noclegu, który znalazłem u jednego szewca czy rymarza.



Między innymi przyszedł do mego gospodarza młody mężczyzna bywałec, a krawiec z professyi, i znający dobrze Galicyą, gdzie długi czas bawił, zajmując się krawiectwem po wielu jej miejscach i miastach. Ponieważ mówił po niemiecku, zacząłem się go rozpytywać o drogę w Stanisławowskie. Wskazał mi dwie drogi: jedną dłuższą, ale bezpieczniejszą i wygodniejszą, a drugą nierównie krótszą, ale niebezpieczną; bo jak on i inni mi powiadali, zdarzały się na niej nierzadkie wypadki zabójstwa, popełniane najwięcej przez włóczęgów Wołochów. Ponieważ ta ostatnia droga była najkrótszą, o co mnie najwięcej chodziło, ją przeto wybrałem. Dodnia ruszyłem w podróż i uczulem się prawie zupełnie zdrowym.

Wspomniałem, że po wyjściu na górę Schelös, odkryła się przedemną piękna dolina. Otóż ta dolina, którą aż dotąd ciągle podróżowałem, ciągnie się mil kilka (do dziewięciu) aż do miasta Syhot dość porządnie zabudowanego. Góry, zamykające tę dolinę prawie przez całą długość jednakowej szerokości i nieregularnej z obu stron w gzygzaki zaginaną, są nieporównanej piękności, a tak jednokształtne i odpowiadające podobieństwem jedna drugiej naprzeciw siebie leżącej, iż zdawałoby się, że dla symetrii umyślnie ręką ludzką były usypane. Ich geste zaokrąglone lub podługowate wierzchołki są jakby ogniwa wielkiego i pięknego łańcucha; całe ich pasmo, z jednej i drugiej strony doliny, cudny przedstawia widok. Od miasta Syhot dolina załamuje się na prawo ku Siedmiogrodowi i zapewne ciągnie się daleko. Ja ztamtąd wziąłem się na lewo szerokim rozdołem, którego horyzont z przodu był zamknięty nowym stopniem Karpat.

Niemal o milę od miasta Syhot, przybyłem do sporej wioski, w której nad rzeką Cissą wiele widziałem drzewa, klepek i beczek przygotowanych zapewne do splawu. Po tej bowiem rzece splawiają drzewo z lasów pokrywających Karpaty, jako też beczki i inne drewniane, a przygotowane już naczynia, w głąb kraju węgierskiego. Tuż

za drewnianym mostem po którym przebyłem Cissę i na przeciw niego, stały koszary napelnione żołnierzem austriackim, przyparte pod samą wyniosłą górę tuż za nimi wznoszącą się. W niewielkiej od koszar odległości usiadłem na wzgórku tak dla odpoczynku i posilenia się, jak dla przypatrzenia się pięknej okolicy, której dzień pogodny i jasne, czyste, wiosenne słońce nowęj dodawało ozdoby. Ledwie usiadł i jeść zaczął, aż przychodzi ku mnie goral Rusin, w zwykłej burój i krótkiej sukmanie, z długim włosom, bosom i baranią kołpakowatą czapką na głowie. Pozdrowiwszy mnie swoim językiem i po chrześcijańsku, usiadł tuż przy mnie i zapytał: „A z kąd wy?“ a gdym nic nieodpowiadał, udając, że nierozumiem, po chwili rzekł: „Hum! nierozumiecie, musicie być Niemcem.“ Dałem mu kawałek chleba, przyjął go i jadł wraz ze mną, a choć w jego przekonaniu nierozumiałem po rusku, opowiadał mi jednak o miejscowości, o niebezpieczeństwie podróży w górach, wskazywał drogę, którą iść lepiej, i tym podobne rzeczy mi wciąż mówił. W końcu wstał i pożegnawszy mnie wyrazami: „zostawajcie z Bogiem,“ odszedł. Żałowałem, że moje położenie niedozwalało mi najmniejszego na siebie ściągać podejrzenia, i że musiałem udawać, że ruskiego języka nierozumiem, chciałbym, korzystając z otuchy, jaką mają górale do gadania z tymi nawet, co nierozumieją ich mowy, nagadać się z tym góralem. Podobną sposobność mówienia z nim często później napotykałem, ale te same przyczyny wzbroniły mi korzystać z tej samej sposobności.

Przeszedłszy wspomniany most drewniany, znalazłem się na prawym brzegu rzeki Cissy, która postępując ku jej źródle, przechodzi bardzo ściśnionem górami łożyskiem przez Trybusę, i bierze swój początek u samego szczytu Karpat pod miastem Köreschmötze, po rusku nazwanem Jasyn. Droga za mostem przykro zwraca się na prawo i idzie nad samym brzegiem prawym rzeki Cissy. Podniósłszy się zatem z miejsca, gdzie mnie góral zostawił,

zapusiłem się tą wąską drożyną, ciemno gęstemi ocienioną drzewami, a w ciasny, stromemi skałami z obu jej stron wznoszącemi się zamkniętą wąwoz. Nowy to był dla mnie, a zatém zajmujący widok. Wkrótce wyszedłszy na niewielką, lecz głęboką dolinę, ujrzałem na pochyłości góry z przeciwniej strony rzeki leżącej, skromne góralskie chatki w nieładzie między drzewami rozrzucone, i pasące się trzody drobnego bydła i owiec. Ta dolina wkrótce zwężając się stopniowo, zamieniła się znowu w ciasny wąwoz, z obu stron zamknięty stromemi, wysokimi, nad głową wiszącymi, już to skalistemi, już pokrytymi lasem górami, z których częste, a ze stających śniegów wezbrane strumienie i potoki z wielkim, gwałtownym pędem i szumem spadały.

Ta wspiana dzikość i ponurość przyrody, a ztąd nowość i świeżość nieznanych jeszcze dotąd wrażeń, te wysokie, posępne, nad głową wiszące i co chwila podróżnemu grożące niebezpieczeństwem skały, ten szmer, szum i łoskot strumieni i potoków, horyzont objęty ciasnemi i stromemi ścianami gór, wąska smuga błękitu nieba służąca jakby za sklepienie tym urwistym ścianom, ta samotność nietylko mej osoby, ale duszy i serca samotność, w której zostawałem, miały dla mnie w sobie coś z tego okropnego powabu, co zniewala i pociąga nasze serca, niedozwalając im zarazem oddać się uczuciu i używaniu całkowitego szczęścia.

Okolo południa przybyłem do wioski, mogącej się w tych miejscach nazwać miastem; była to wieś zwana Trybusa, w rozszerzonym nieco rozdole między górami położona; zaszedłem do gospody, w której Żyd był karczmarzem i gdzie Rusinki góralki, pochlebając Żydówce o której łaskę i względy zapewne mocno dbały, z przychyny dnia niedzielnego, hojnie się raczyły gorzałką. Żyd, prawdziwy polski arendarz, poważny, otyły, z siwą długą brodą, w długim czarnym kaftanie, uprzejmy i grzeczny dla wszystkich, widać z zadowolenia, jakie błyszczało na

jego czerstwej, uśmiechającej się twarzy, że był szczęśliwy z swojej posady, i widział się najpierwszą, pierwszą nawet od popa w tej wiosce osobą.

Żydzi w Węgrzech począwszy od Preszburga do Pesztu, a z Pesztu aż po Erlau z nielicznym wyjątkiem gołą brody, zostawując tylko wąsy z węgierska w górę podkręcone, częściej z niemiecka się ubierają, żyją wygodniej i mniej mają przesądów; ale zacząwszy od Erlau, zaczynają się przedstawiać w całej okazałości niechlujstwa, niedbalstwa i przesądów: a im bliżej ku Polsce, tém więcej zbliżają się, a w końcu zlewają bez najmniejszej różnicy z Żydami polskimi; w Namiń na przykład widziałem Żyda szolarza, uczącego dzieci, ciągle krzyczącego na całe gardło i mordującego nieszczęśliwe Żydzięta to kręcieniem za uszy, to ciąglem smaganiem dyscypliną, którą bez ustanku trzymał w ręku — zupełnie jak to widziałem kiedyś po miastach na Ukrainie. Dodać jeszcze do tego potrzeba, że po miastach węgierskich, bliżej granicy Polski będących, w większej znajdują się mnogości, jak po miastach od granicy tejże oddalonych.

Minawszy Trybusę, szedłem drożyną błotnistą i niewygodną, a ciągnącą się po prawym brzegu Cissy, już nie w kształcie rzeki tutaj, ale w kształcie wielkiego i wezbranego potoku płynącej. Ta sama wąskość wąwozu i podobnie wysokie i strome góry jak przedtém, wąwoz ten ścieśniają; z różnicą że więcej tu było błota, i gorsza i niewygodniejsza droga. Szedłem tą drogą aż do wieczora. Jak przed Trybusą, tak i za nią przez cały ten dzień nikogo niespotkawszy i już dobrze się zciemniało, a jam się podróżą zmęczył; niepewny jak daleko jeszcze do wsi, lub jakiegobądź mieszkania, zabierałem się do przenocowania w górach. Że zaś noc była chłodna, dla ogrzania się dobytek ze skałki i nanieciłem ognia i już częścią z potrzeby, a częścią dla rozmaitości życia chciałem się zabrać do spania na łożu z gałęzi usłaném, w tém usłyszałem głos ludzi rozmawiających i



idących drogą; pokusa wzięła mnie zapytać jak daleko do wsi? odpowiedzieli mi że blisko; odpadła mnie natychmiast ochota nocowania w górach, więc zebrawszy się czem prędzej poszedłem wraz z nimi. Bardzo późno w nocy przybywszy do wskazanej wioski, zaszedłem na noc do następczonego mi przez tychże ludzi mieszkania, w którym był wyszynk wódki. Gospodarz domu, Rusin i bardzo biedny, jeszcze nie spał i gościnnie mi ofiarował nocleg. Wypiłem kieliszek śmierzdzącej wódki dla po-  
krzepienia sił zwątlonych, chciałem kupić chleba dla przekąski i na jutrzejszą podróż, ale nie było ani kawałka w domu — poczciwy gospodarz poczęstował mnie pieczonemi kartofflami. Poczem nietracąc czasu położyłem się na gołej ławie, ale w cieplej izbie. Gospodarz uprzątnąwszy się ze wszystkiem, zabierał się także do spania. Ale nim spać poszedł, uklęknąwszy przed obrazami i złożywszy ręce zaczął się modlić tak szczerze, tak serdecznie, że mi się jeszcze nie zdarzyło widzieć człowieka tak gorącą i z tak wielką wiarą modlącego się — mówił pacierz na głos i po rusku: niewiem jednak czy był grekiem czy unitą.

Dodnia mym zwyczajem poszedłem dalej: ranek był zimny, nawet mroźny, ale dzień był gorący, droga błotnista, popsuta i grzędka; przeszedłem przez jakąś wioskę i później spotkałem odosobnione domki, jako téż jadących konno mężczyzn i także konno jadące kobiety to ze zbożem, to z jakiemiś antałami przez grzbiet koni przewieszonemi. W wygodniejszej porze roku, po tej samej drodze, którąm szedł dotychczas od wejścia w wąwozy, jeżdżą także lekkimi wózkami, o czem łatwo można było sądzić tak z jej szerokości, jak i ze śladów na niej zostawionych. Zbliżając się ku samym Karpatom, to jest ku głównemu ich łańcuchowi widokrąg zaczął się rozszerzać: tu spotkawszy kilku strzelców (Jäger) rozpytałem się o drogę i nad zachodem słońca przybyłem do wioski na obszernem wzgórzu i pod samem niemal mia-

stem KÜreschmütze (Jasynem) położonej. Wstąpiwszy na to wzgórze, zatrzymałem się nieco, dla nasycenia się widokiem wspaniałych ojczytych gór Karpackich, na których szczycie orzeł nasz biały usiał sobie gniazdo i wskazał nam Polakom drogę do sławy i szczęścia.

Po chwili odpoczynku i dumania, zaszedłem do karczmy, dla szukania noclegu. Zastałem w niej pełno chłopów i chłopek Rusinek pijących gorzałkę i pijanych. Aż mi przykro było patrząc na to upośledzenie człowieka oddającego się nałogowi pijaństwa. Młode, hoże, krasne młodyce i dziewczęta, miały w spojrzeniu i w układzie całej ich wysmukłej i giętkiej kibici, coś z tej bezczelności i tego bezwstydu, jaki zwykle cechuje kobiety rozwiozłości oddane. A jednak były to żony i córki niemal całej tej wioski. Ten bolesny widok mnie zastanowił i chciałem dojść przyczyny zgubnego nałogu tej wsi mieszkańców. Gdym nad tem rozmyślał, w izbie z drugiej strony sieni będącej, wlaź do téjże izby jakiś Niemiec w porządną lisią szubę sukнем pokrytą odziany, z fajką w zębach i szczęśliwą tłustą fizyonomią. Był to, o ile mi się zdawało, dzierzawca propinacyi tej wioski, a może i samęj wioski. Wszedł natychmiast ze mną w rozmowę po włosku, bo na zapytanie kim byłem? odpowiedziałem, żem Włoch. A on dawniej będąc wojskowym, bawił we Włoszech i nauczył się cokolwiek po włosku. Ale ja byłem nierównie mocniejszym od niego we włoskim języku.

Po krótkiej ze mną rozmowie, ograniczającej się prawie na pojedynczych wyrazach, kazał do siebie przywołać szynkarza, którym był Rusin, a zapytawszy go, jak wielki był wyszynk wódki, i mniemając, że nierozumiem po rusku, nauczał w tymże, choć pokaleczonym języku, jakim sposobem on ma zachęcać do picia, komu może kredytować, a komu za gotówkę dawać, i inne tym podobne dawał instrukcye, a wszystkie zmierzające do tego, jak ostatni grosz, jak ostatni dobytek od biednego wyłudzić wieśniaka. Karczmarz Rusin, taki sam frant jak

jego Pan, chwalił się przed nim z podstępów, jakich używał, i uzyskał pochwałę i nagrodę. Słuchając ciekawie całej tej spiskowej rozmowy, byłem oburzony do najwyższego stopnia i pomyślałem sobie: „Ha! ty pijawko niecna, ty zdradliwy pajaku, co zastawiasz sieci z taką zęczością na kieszeń, zdrowie i obyczaję ciemnej i prostodusznej ludzkości? Maszże ty ludzką duszę? Maszże ty serce?“

Z tego powodu w tej samej chwili przyszło mi także na myśl, że niemal w całej Polsce spekulowano podobnym sposobem dla powiększenia dochodów z propinacyi, kosztem spodlenia i demoralizacyi nieoświeconego ludu. A Pan Podstoli Krasickiego świadczy, że to zło od dawna u nas było zakorzenione, i że między innymi przyczynami obojętności ludu dla sprawy narodowej była i ta, jako najwięcej przyczyniająca się do zniszczenia w człowieku wszytkiego, co jest uczciwem i szlachetnem.

Jeszcze na wstępie do karczmy, prosiłem karczmarza o nocleg, który mi go przyrzekł, i czekał tylko, jak mówił, aż się ludzie rozejdą. Gdy już było bardzo późno, a jam mu moje żądanie powtórzył, chciał koniecznie, abym mu swój pasport dla bezpieczeństwa powierzył do schowania na noc. Znając dobrze jego nikiżemność, nie chciałem mu go powierzyć, aby mnie w jaki kłopot nie wprowadził; gdy więc bez powierzenia mu pasportu nie chciał mi dać noclegu, a ja mu go nie chciałem powierzyć, musiałem wśród ciemnej nocy wynosić się z karczmy, z której wyszedłszy, ujrzałem w niebardzo dalekiej odległości błyszczące się z okna światelko, które mnie przywiodło do nędznej lepianki, w której od biednych, lecz poczciwych gospodarstwa, z uprzejmością na noc byłem przyjęty.

Nazajutrz około godziny siódmej z rana, już byłem w Köreschmötze (Jasynie), pogranicznym a następnie ostatniem mieście węgierskiem, u spodu samego grzbietu Karpat bardzo tu wysokich położonem. Tu należało wizo-



wał pasport. Ale ponieważ było bardzo rano i musiałbym długo czekać, nimby urzędnik granicy lub komory był gotowym w swém biurze do wizy pasportu; więc idąc za popędem niecierpliwości, która mnie gnała, abym jak najrychlej ujrzał rodzinną ziemię, szczególnież tak blisko niej już będąc, nie zatrzymałem się w tém mieście ani chwili, a spiesznym przeszedłszy je krokiem, drogą złą, gliniastą, rozgrzowaną, śród gęstego jodłowego lasu otworzoną, zacząłem wchodzić z początku na powolnie wznoszącą się tylko, a później na przykrą górę; na pochyłości tej góry droga kilka razy w gzygzaki pod ostrym kątem łamie się, nim się po niej dojdzie na sam szczyt góry stromej, wysokiej i głębokim pokrytej śniegiem. Sam szczyt gęstym, jodłowym okryty lasem, stanowił dawniej granicę między Węgrami a Polską, dziś jest granicą między Węgrami a Galicyą, co poświadczały graniczne słupy na samym grzbiecie Karpat stojące. Stałem tedy już na samej granicy ziemi polskiej; lecz nim się dalej w głąb kraju zapuszczę, chciałbym jeszcze rzucić ostatni, jakby pożegnalny wzrok węgierskiej ziemi i jej mieszkańcom.

Nie mogę mówić o całych Węgrzech, tylko o tej części, którą przeszedł. Węgry począwszy od Preszburga, przez Komorno, Peszt, Erlau, Tokaj i Syhot aż do Köreschmötze (Jasyna), przedstawiają najrozmaitsze widoki oku podróżnego. Od wejścia do Węgier aż do Erlau, kraj po większej części jest płaski, małemi tylko wzgórzami i dolinami przecinany. Od Erlau zaś aż do Schölös, jest więcej górzysty; od tego zaś miasta aż do Jasyna same tylko niemal są góry. Doliny, wzgórze i góry przecinające ten kraj w rozmaitych kierunkach, osobiwą i jemu tylko właściwą nadają fizyonomiją. Często śród obszernej płaszczyzny, można napotkać kilka lub kilkanaście gór wysokich, z kształtu podobnych do mogił na Ukrainie, spojonych z sobą w łańcuch, zupełnie odosobnionych od ich systematu. Ziemia w ogóle dobra, żyzna i płodna w zboże, wino i inne produkta; bydła, koni, owiec podo-



statkiem, a szczególnie wielkie i liczne trzody świń tam się znajdują. Mieszkańcy rozmaitych plemion i pochodzenia, są zdrowi, silni, barczyści i gościnni. Wiele prostoty w obyczajach, ale tak mało ukształcenia w massie ludności nawet powierzchownego, że możnaby ją wziąć za naród dopiero wychodzący z kolebki barbarzyństwa. Ztąd też rolnictwo w wielkiem znajduje się zaniedbaniu, a przemysł i handel jest po większej części w ręku przybyszów. Kościół lub cerkiew znajduje się niemal w każdej wiosce, co dowodzi wielkiej mieszkańców religijności. Księża obowiązani są zajmować się początkową parafian edukacją, i ztąd to pochodzi, że wielu wieśniaków mówi po łacinie, to jest: zna wiele wyrazów łacińskich. Klimat umiarkowany, zdrowy i sprzyjający roślinności. Potrzeba dobrze zrozumianego życia politycznego i ulepszenie socyalnego zaledwie czuć się daje. Szlachta stojąca na czele narodu, przy małej w ogóle oświacie i braku praktycznej znajomości życia publicznego mało jest zdolną zaradzić nieporządkowi, jaki w tym kraju panuje. Oby ten kraj piękny nie padł ofiarą nieładu i niezgód, jakie go w tej chwili rozdzierają.

## ROZDZIAŁ VIII.

*Dalszy ciąg podróży na Podole z Karpat przez Dylatyn, Kołomyję, Czerniejowce, Nowosielicę, Chocim (w Bessarabii). Przybycie do Kamieńca Podolskiego.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi, 4 października 1848 r.

Wstąpiwszy na sam szczyt Karpat pokrytych lasem, śniegiem i lodem, zatrzymałem się na nich tak dla wytchnienia, jak dla przypatrzenia się pełnemu dziwów przyrody widokowi, jaki się przedemną i za mną odsłonił. Dostałem perspektywę którą z sobą miałem, i zapuściłem wzrok, myśl i duszę w Galicyą. Po jedenastu latach tułactwa po raz pierwszy ujrzałem ziemię ojczystą, ujrzałem tę Polskę, za którą tak długo tęsknił, wdychał i płakał; ale to jest ziemia obiecana tylko tym, którzy bez grzechu i z czystym sumieniem na nią wstępują. Niegodziło się mnie występnemu zbiegowi, który wraz z tyłą, bo z siedmdziesiąt tysięcy moich spółbraci, haniebniem ją opuścił i zdradził, ją świętą i niepokalaną, za którą umrzeć wszyscyśmy byli powinni; niegodziło się, powtarzam, mnie wstępować do niej bez przebłagania, bez skruchy, bez żalu za największą ze zbrodni, i bez szczerego a mocnego postanowienia poprawy. Padłem więc na kolana, wzniosłem oczy w niebo, a schyliwszy zawsty-

dzone czoło, gorącym ją usta pocałował i gorętszą jeszcze łą ją skropilem. Takie było moje przywitanie się z ziemią rodzinną, z ziemią sławy, klęsk, cierpień i nadziei. Można tylko czuć, a nieopowiedzieć, jakiegom wówczas doznał wrażenia.

Zacząłem nareszcie schodzić z wierzchołka góry nie tak stromej i przykrzej ze strony Galicyi, jak od strony Węgier, do leżącej nieco niżej już polskiej wsi Jabłonnej czy Jabłonki, rozsypanej na pochyłościach gór i w dolinie, a przez którą także płynie niewielka rzeczulka tegoż samego co i wieś nazwiska. Zaszedłem do karczmy dla posilenia się; a gdy zacząłem jeść kapustę i kartofle, mnóstwo chłopów Rusinów przybyło pod karczynę z końmi obładowanemi różnego rodzaju jukami. (Jak w Węgrzech, począwszy od miasta Syhot aż do Jasyna (Köreschmötze), tak w Galicyi od miasta Dylatyna aż do Jabłonnej, z przyczyny złej drogi i gór, najwięcej rozmaite towary przewozi się na koniach jucnych, a bardzo na rzadko wózkach). Postawiwszy konie, wieśniacy weszli do karczmy, zaczęli pić wódkę i rozmawiać z sobą czysto ruskim językiem, którego zawsze chętnie słuchałem, dla tego, że po polskim był to mój drugi rodziny język, język Ukrainy. A kto się na Ukrainie urodził, i tęskne, smutne a uroczne jej dumki słyszał lub nócił, ten mimowolnie musi kochać jej język. Pijąc i rozmawiając, długo mi się naprzód przypatrywali, aż nareszcie jeden z nich najśmielszy, otworzywszy gębę, zapytał mnie: „A zkąd wy?“ (a zwitkil wy?), a gdy udając, że nierozumiem, milczałem, powtórnie mnie zapytał: „A co wy za jeden?“ (A szczo wy takieje) i z otwartą gębą czekał odpowiedzi; a gdy mu i tą razą nie odpowiedziałem, pomruczał sobie pod nosem: „Hum, nierozumie po rusku musi to być Niemiec.“ (Hum ne ponimaje po ruski, to musyt' but' Nimec) i odstąpił odemnie. Aż tu jeden z gromady do przed chwilą mówiącego do mnie w te się odezwał słowa: „Co ty go pytasz zkąd on? to musi być jakiś wszędobylski,

z daleka, z kąd kruk i kości nieprzynosi; kto wie, może on tam gdzie aż z Ukrainy?" (Szczu ty joho pytajesz zwitkil wen? to musyt' but' projdyswit zdaleka: zwilkil woron i kostij neprynosit; chto znaje? może win tam deś aż z Ukrainy). Potwierdzili wszyscy widoczném przyzwoleniem tak mądre zdanie, a jam sobie w duchu pomyślał: wieleś ty prawdy powiedział, ale kto ci dał ten duch proroczy?

Droga z Jabłonněj, choć błotnista, zła i niewygodna, zdawała mi się mniej przykrą, góry ją ścieśniające były więcej od siebie oddalone i nie tak wysokie, z czego byłem zadowolniony; gdyż szczupły widok horyzontu już mi się zaczął przykrzyć. Chłód, zimno i wiatr, mocniej się czuć dały natychmiast po przejściu Karpat. Po drodze częściej tu spotykałem mężczyzn i kobiety na jucnych koniach jadące. Minałem jakąś wioskę, do której karczmy niewstępowałem, później spotykałem rozsypane pojedyncze i odosobnione chatki, aż w końcu późna noc zapadłszy, potrzeba mi było szukać noclegu. Karczmy w wiosce, do której przybyłem, wcale niebyło, a wieśniak góral do którego zaszedłem, na noc mnie nieprzyjął i powiedział, że można przenocować u wójta czy sołtysa, którego mieszkanie mi wskazał; zaszedłem więc, bo zajęć musiałem do wskazanego miejsca. Niezastałem samego gospodarza, tylko gospodynią, która mnie uprzejmie przyjąwszy, nie śmiała jednak sama bez zezwolenia męża ofiarować mi noclegu. Po półgodzinném oczekiwaniu przyszedł nareszcie sam gospodarz góral hucuł, zdrowy, czerstwy, krępy i barczysty, w swojej burej kapocie i w spiczastej baraniej czapce, ale dobrze podchmielony i w towarzystwie trzech kolegów wcale od niego nietrzeźwieszych. Dowiedziawszy się od żony, że był podróżny, przybliżył się do mnie i zapytał po rusku: z kąd i kto byłem? A gdym mu nie nieodpowiedział, usiadł przy mnie i przypatrując mi się z ciekawością, znowu mnie zapytał, ale także po rusku, czy nieumiem po niemiecku? lecz gdym



i tą razą nic mu nieodpowiedział, po chwili milczenia rzekł: „Ani po rusku, ani po niemiecku nieumie, co to za djabel?“ (Ani po ruski ani po nimečki neumije. Szczo to za czort?) a przypatrując mi się ciągle i dziwiąc, na rozmaite wpadali względem mnie domysły i wyrażali się z całą otwartością, która mnie nieraz do śmiechu pobudzała, od którego jednak się wstrzymałem. W końcu zapytał mnie gospodarz, czy miałem pass? — udałem, że m to zrozumiał, i dostawszy z zanadru podałem mu mój pasport. Rozłożywszy go i przypatruwszy mu się dość długo, jak gdyby mnie cudzoziemca chciał przekonać, że go czytał i po angielsku rozumiał, podał go nareszcie jednemu z tych co z nim przysli, widać najmędrszemu z nich wszystkich, pytając go zarazem, czy to był ważny pasport? Kolega mego gospodarza tyle zapewne uczony i mądry, ile sam gospodarz, wzięwszy pasport do ręki, przybliżył się do światła, i długo mu się, a szczególnie ję jego pieczęci herbowej przypatruwszy, wyrzekł nakoniec tonem komicznie poważnym: „Ten pasport jest bardzo ważnym, za nim cały świat przejść można, sam król na nim podpisany.“ (Sej pass welme ważny, za nym ciłij świt można projty, sam korol na nym pidpysawsia). Ale jaki król i z jakiego kraju? mniejsza o to. Na tak uroczyste zapewnienie gospodarz natychmiast stał się więcej uprzejmym, mówił do mnie po rusku, że zezwalał, abym u niego nocował, poczęstował mnie pieczonemi kartoflami i wskazał miejsce do spania na ławie. Długo i bez żadnej przyczyny zrzędził i gniewał się na służącą młodą dziewczynę, a szczególnie na żonę; zwyczajnie jak pijany.

Nazajutrz rano minąwszy koszary zbudowane pod górą i nad samą drogą, w których było pełno grencegrów, i posiliwszy się w karczemce pieczonemi kartoflami, bo chleba w niej nie było, około południa wyszedłem zupełnie z pomiędzy gór, a wkrótce stanąłem w miasteczku Dylatynie, w dolinie między górami położonem. Tam kupiwszy kilka bułek na drogę, niezatrzymując się ani

chwili, wyszedłem za miasto, a usiadłszy tuż prawie za niem nade drogą, rozkopaną i wznoszącą się w tém miejscu na wzgórze, zacząłem się posilać. Nademną był niewysoki, ale przykry pagórek. Gdym w myślach zatopiony pożywał mój pokarm, zaszumiało coś nagle nad moją głową, jakby jaki wicher; ledwiem się zdołał obejrzeć, już ujrzałem przed sobą czterech czy pięciu chłopców, od dziesięciu do czternastu lat, spadłych z góry jak jastrzębie, w koszulkach i spodniach płóciennych brudnych i boso, wierutnych pauprów krakowskich. Najstarszy z nich stanąwszy tuż przedemną, natychmiast mnie zapytał czystą, piękną polszczyzną: „Czy Pan szewc, czy Pan krawiec, czy Pan jaki inny rzemieślnik?“ A gdym mu nic na to nieodpowiedział, zapytał mnie o to samo po niemiecku, lecz nieotrzymawszy i tą razą żadnej odpowiedzi, rzekł do swoich towarzyszy: „To musi być niemy, albo głuchy; albo jedno i drugie;“ i uderzywszy się piętami w zadek poskoczyli wesoło na przeciwległą górę.

Odpocząwszy, rzuciłem się dla skrócenia drogi na prawo od gościńca, po zaczętej, lecz niedokończonej i opuszczonej szosie, i wkrótce i ostatecznie, z gór między którymi sześć dni ciągle byłem w podróży, wyszedłem na równinę płaską, rozciągającą się na lewo, jak tylko można zajrzeć, a która z prawej mej ręki przypierała do spodu Karpat ciągnących się ku południowi. Znalazłem się tedy na płaszczynach Podola galicyjskiego, wśród mego rodzimego żywiołu, wśród wsi, chat i wieśniaków tyle podobnych do ludu ukraińskiego. Rzucam okiem na przedmioty, które zdawały się przypominać dawne widoki i dawniejsze wrażenia, które przesyłały do głębi mej piersi; było mi ochoczo, wesoło, rzesko i żałośnie, płuca znanem im ożywione powietrzem, żywiej pchnęły krew do obiegu, od tak dawna stygnącą w żyłach. Przy pięknym dniu pogodnym, choć chłodnawym, wśród lubych marzeń i wspomnień tłoczących się do głowy i poruszających serce, szedłem, prawie niemyśląc dokąd idę, spiesznym krokiem po

gościńcu ze Stanisławowa do Czerniejowic. Przechodząc przez wsie i wioski, z upodobaniem rzucałem wzrokiem na okazalsze w nich domy i dwory, w których mieszkali tych wsi dziedzice. Szlachta polska tyle miłująca swą ojczyznę i gotowa każdej chwili ostatnią kroplę krwi przełać za nią, za jej swobody, niepodległość, wielkość i szczęście, pełna wad i przywar, ale w gruncie duszy zaena, poczciwa, cnotliwa i prawdziwie szlachetna. Wieleby jej można zarzucić, to prawda. Ale wzięwszy wszystko na bezstronną skalę rozsądku, zważywszy na trudne okoliczności, w jakich się kraj znajdował, możnaby ją z wielu wad i błędów usprawiedliwić, a z pewnością powiedzieć, że w niej jednej tylko spoczywa przyszłość Polski i wszystkie tej przyszłości nadzieje; bo ona jedna ma historią, ma podanie, świadczy o istnieniu i nieszczęściach Polski, i ona jedna ma wiedzę jej przeszłości, Chciałbym wstąpić do którego z tych dworków, chciałbym być zajęć do każdego z nich, choćby tylko dla przywitania swych braci duszy i serca przychylnem, serdecznem słowem, choćby tylko dla powiedzenia im: z ziemi wygnania przychodzę, bo mi tęskno za wami. Chciałbym się przynajmniej odezwać do nich pieśni ukraińskiej słowami: *Wieżyniite dwery w brami, ladzka w nich piśń zahude; Pożuryt'sia kozak z wamy, zaśpiwaje taj pide.* (Otwórzcie mi swe podwoje, Lackim śpiewem wam zadźwięczę, Wypowiemy troski swoje, Kozak — pieśnią wam zadźwięczę). Ale mimo tę chęć, z wielu ważnych powodów, do żadnego z dworów niezaszedłem.

Mając zamiar dopiero z Podola wracać do Galicyi, niechciałem napróżno tracić czasu przesiadując u szlachty galicyjskiej i narażając ją niepotrzebnie na prześladowania rządu i biurokracyi austriackiej. Przymtem szlachta galicyjska nauczona doświadczeniem, nie każdemu, kto się mienił emigrantem polskim, łatwo wierzyła; musiałbym tedy długo ją przekonywać o czystości moich zamiarów, a najwięcej o ich korzyściach i następstwach dla



sprawy Polski. Zdarzyłoby się także mogło, że trafiłbym na złego Polaka, któryby i mnie i wszystkie moje zamiary w samym początku zgubił. Z tych tedy i wielu innych powodów przez cały ciąg mej podróży przez Galicyą, do żadnego niezaszedłem w niej szlachcica. Choć kieszeń prawie zupełnie była pusta, choć mój żołądek czczy i wychudły; przemógł rozsądek nad sercem.

Ale jeżeli z takim uczuciem byłem dla szlachty, nie-  
szczęśliwej, cierpiącej i prześladowanej za uczucia i my-  
śli, jakie żywiła dla Polski, to niemniej zastanowił mnie i uderzył smutny widok ludu wiejskiego. Po tylu latach nieobecności w kraju, różnica materialnego stanu ludów zachodnich, od stanu ludu galicyjskiego, tém więcej była uderzająca. To jego położenie w społeczności, której jest dzieckiem i spółobywatelem, to jego upośledzenie w towarzystwie, którego tylko jest, że tak powiem, roboczym wołem, brak oświaty, a ztąd ciemna głupota, malująca się na jego obliczu smutnem, tęsknem i ponurem, z nędzy i poniżenia, w jakim ten lud zostawał, przedstawiały prawdziwie rozdzierający widok, niemówię dla człowieka serca i dla przyjaciela ludzkości, ale dla każdego, kto ma tylko jakiegokolwiek uczucie godności osobistej.

Nie tu jest miejsce rozwodzić się nad powodami, które całą ludzkość wiejską i w całej Polsce w dawnych jej granicach zamkniętej, przyprowadziły do tego stanu poniżenia, upośledzenia, nędzy, cierpień i rzeczywistej niewoli, która starszy z chłopą nawet piętno człowieka, musiała w nim koniecznie zagłuszyć nie tylko uczucie miłości dla ojczyzny, ale nawet uczucie własnej godności. Tak ciężkiej niewoli, niemówię co do bytu materialnego, ale niewoli moralnej, umysłowej, ale nawet niewoli duszy, z pewnością twierdzą, nie było w całej Europie, nawet w Rosyi, a wątpię, czy gdzie była, czy nawet być mogła, na całym bożym świecie większa od tej? Kto był tego przyczyną? na kim cięży cała tego występku, tej zbrodni odpowiedzialność i poprawa? Wie o tem każdy,



kto się do niej poczuwa, a jeżeli tak jest ślepy, że tego widzieć nie chce, niech będzie przekonany, że swojego czasu będzie mu sprawiedliwość wymierzona.

Tego dnia zanocowałem u jednego biednego Rusina, który mnie uprzejmie przyjąwszy, podzielił się ze mną nędzną swą wieczerzą, za którą nic wziąć niechciał. Pasport mój jednak odebrawszy, schował w komorze i na klucz na noc zamknął, pewno dla tego aby nieuciekł.

Dnia jutrzejszego kazałem przynieść wódki i napiwszy się z poczciwemi gospodarstwem, poszedłem dalej. Około południa przybyłem do Kolomyi, miasta mającego obszerny rynek, drewniane domy i mnóstwo Żydów; kupiłem na rynku tak nazwane dwa małaje, rodzaj chleba z prosianej mąki, ale złe i gorzkie. Dzień był piękny, ciepły i dobry do pochodu, ale niemógłem dostatecznie korzystać z tej sposobności, włókłem się bowiem zwolna i pomału, tak się czułem osłabiony na siłach, że po prostu powiedziawszy, ledwie lazłem, a przytem starłem sobie nogę: rzeczywiście cierpiałem wiele. Jadący młodzieńiec parokonnym wózkiem, widząc zapewne moje osłabione siły z powolnego i niepewnego chodu, zrównawszy się ze mną, zatrzymał się i wziął mnie z sobą, gdyż w tę samą, co i ja udawał się stronę. Wziąwszy mnie za cudzoziemca, bom mu się za takiego wykazał, różne, z początku nieśmiało, później coraz śmieliej, zaczął mi opowiadać nadużycia, jakich się rząd austriacki dopuszcza nad Polakami i ich narodowością. Wiedziałem ja o tém dobrze, ale miło mi było słuchać, wynurzającego się młodzieńca ze swemi dla ojczyzny uczuciami i swą nienawiścią ku jej ciemnicy. Z długiej rozmowy przekonałem się, że miał poczciwe serce i był dobrym, prawym Polakiem. Zrównawszy się ze wsią, w której mieszkał, i ponieważ już było dość późno, prosił mnie, abym zbroczył z drogi i u niego chciał zanocować, ciągle jako cudzoziemiec. Ponieważ zostawał w jakimś małym obowiązku u jednego obywatela, do którego się schronił przed

prześladowaniem, jakiego on i wielu uczniów doświadczało w Przemyślu, czy w Tarnowie, gdzie chodził do szkół, niemógł zatęm tak innie przyjąć, jak sobie życzył. Przyjęcie jednak, jakkolwiek było skromne, ale było otwarte i szczerę. Wzajemnością tedy i otwartością nawzajem się wyplacilem. Wiele mi przez noc rzeczy naopowiadał, wiele mu rad i przestroóg udzielił, rozrzewnił się młodzieńc, dowiedziawszy się, kim jestem, i przyrzekł mi, że nikomu o tęm niepowie. Żaluję, że niezatrzymał jego nazwiska w pamięci.

Dodnia pożegnawszy się z młodzieńcem, od którego niechciałem przyjąć i nieprzyjąłem trochę pieniędzy, jakie mi z dobrego serca ofiarował, w dalszą poszedłem drogę. Nocą upadł śnieg, a mocny przymrozek z wiatrem dodał mi pozornęj przynajmniej rzeźwości do podróży. Około godziny dziewiętej z rana przybyłem do miasteczka Śniatyna, gdzie niezatrzymawszy się ani chwili, szybkim dalej puściłem się krokiem, choć sił mi brakowało i noga była startą. To wysilenie przywiodło mnie wkrótce do zupełnej prawie niemocy i omdlenia; o ile jednak mógłem, włókłem się wciąż dalej: byłem prawdziwym dla siebie tyranem. Ale inaczej być niemogło, bo do Kamieńca jeszcze daleko, a pieniędzy ledwo jeden został mi się dziesiątek złotych polskich. W końcu jednak tak mi się źle i mdło zrobiło, że nieusiadłem, ale padłem na ziemię; chwilę leżałem prawie bez przytomności, zimny pot na mnie wystąpił, serce przyspieszonem biciem pukać zaczęło. Ale wkrótce odzyskawszy przytomność, leżąc odpoczywałem.

Już było dobrze z południa, kiedy podniósłszy się z ziemi, poszedłem dalej, i zatrzymałem się w karczmie opodal ode wsi stojącej, a gdzie Ormianin był karczmarzem. On sam, żona i dzieci mówili po polsku, milem słuchał tęg mowy, a szczególnięj szczebiotania drobnych dziattek. Kazawszy sobie dać piwa do chleba, co miałem, zacząłem się posilać. Mój Ormianin, młody, przystojny,

rosły i bronet, długo mi się naprzód przypatrywał, i znać przekonawszy się, że trafił na swego, wywołał mnie na ustroń i zapytał po cichu, w niemieckim języku, czy nie miałem przypadkiem w tłumoczku co niósłem tytoniu z Węgier? a onby mi za niego dobrze zapłacił. Odpowiedziałem, że nie miałem. Ale on uśmiechnąwszy się dwuznacznie rzekł do mnie: „My się na tem znamy, Pan się nie masz co przedemną taić, i bądź Pan pewnym, że nikt o tem niebędzie wiedział.“ Na takie *dictum acerbum* zrobiłem mu wielkie oczy, bo wiedziałem, że z mojej fizjonomii sądząc, wziął mnie po prostu za kontrabandzistę (przemycarza) tytoniu. To moje spojrzenie więcęj go zapewne przekonało o błędném mniemaniu, jakie miał o mnie, niż wszystkie jakiegokolwiek słowa, i dał mi natychmiast pokój, chociaż ciągle mi się przypatrywał jeszcze.

Wkrótce potem przybliżył się do mnie młody mężczyzna Polak, co zeskoczywszy przed chwilą z parokonnego woza, wszedł do karczmy, i zapytał mnie po niemiecku: jaki jestem rzemieślnik? Niewiem dla czego odpowiedziałem mu, że m krawiec. I ja jestem krawcem, odpowiedział z radością. I natychmiast kazał dać piwa dla mnie i dla siebie. Zawiązała się między nami krawiecka rozmowa o strojach i modach; trochę byłem w ambarassie, ale z tytułu cudzoziemca i nieumiejącego dobrze po niemiecku, prawilem mu w tym względzie rozmaite brednie, a jeżeli mnie zrozumiał, i zrobił komu garnitur podług opowiedzianej mu przezemnie zagranicznej nowęj mody, to go wystrychnął na fastionabla lub Dandy w całym znaczeniu tego wyrazu. Nakoniec rzekł do mnie: „Ponieważ jadę w tę stronę dokąd Pan idziesz, to go podwożę i kontent będę, jeśli mojemu spółkoledze tę małą przynajmniej oddam usługę; bo to my jednęj professyi ludzie powinniśmy się kochać i wspierać jak bracia.“ Potwierdziłem to piękne zdanie, a w rzeczy samej byłem mu wdzięczny za usługę, jaką mi wyświadczał. Przykro mi tylko było, że musiałem przed nim kłamać i utrzy-



mywać go ciągle w błędzie, bo był jakiś dobry i uczciwy człowiek. Podwiózłszy mnie aż do samego niemal mostu na rzece Prucie tuż pod samemi Czerniejowicami płynącym, sam się udał drogą na lewo, a ja podziękowawszy mu za jego uczynność, zacząłem wstępować na dość wyniosłą górę, na której miasto Czerniejowce jest położone.

Chociaż słońce było już nad zachodem, niechciałem jednak zanoć w Czerniejowcach; taka niecierpliwość, taka gorączka, dostania się co rychlej do miejsca przeznaczenia, mnie opanowała, można powiedzieć trawiła. Z Czerniejowic idzie wielki gościniec do Seretu i Soczawy na Wołoszę; każdy zatem z mieszkańców, któremu zapytał o drogę do Kamieńca podolskiego, to albo mi wskazywał ten wielki gościniec, albo mi się kazał cofać ku Śniatynowi, a żaden niemógł mi wskazać drogi prostej na Chocim; prawda, że żadna droga znaczniejsza nie idzie wprost z Czerniejowic do Chocima, ale ja życzyłem tylko drogi krótszej, a nie wygodniejszej lub pewniejszej. Gdy nikt mi zatem pożądanej drogi niewskazywał, postanowiłem wejść do zajezdnego domu i tam się o nią rozpytać. Wszedłszy do jednego z takich domów, zacząłem się rozpytywać, gdy w tém przybyły do tegoż samego domu jeden kapitan od austyackich szewolizerów, z pewnym jegomością po cywilnemu i dość porządnie ubranym, przypatrzwszy mi się z miną dość ciekawą, a co mi się wcale niepodobało, odezwał się nareszcie do mnie po niemiecku z pewnym rodzajem udanej radości: „Pan jesteś Polak, nieprawda? Zkądże Pan idziesz i dokąd się udajesz?“ (Sie sind ein Pohle, nicht wahr? Woher kommen Sie denn, und wo gehen Sie hin?) A ja mu na to śmiało i kiepsko z angielska po niemiecku: „Ja jestem Anglik, udaję się do Rosyi i pytam o drogę.“ (Ich bin ein Englender, begebe mich nach Russland und ich frage um den Weg). Na to imię Anglik, kapitan przybrał minę pełną dla mnie poszanowania i powiedziawszy przyciągle: „Tak,“ (So-o-o-o) skłonił mi się i wyszedł. Ach ty



żmijo austryacka, ty podły plazie, udajesz pozornie radość dla pokrycia nienawiści, jaką telniesz ku Polakom.

Nieumiano mi i w tej karczmie pokazać drogi, o którym się pytał; wyszedłszy tedy z niej, zacząłem rozpatrywać się po ulicach, gdy w tém jakiś mieszczanin przechodząc koło mnie, na moje zapytanie, odpowiedział: że mu się zdawało, iż do Chocima potrzeba iść na wieś Bojany, i wskazał ku tej stronie kędy wieś leżała; udałem się tedy ku wskazanej stronie manowcami, przez pola i drożyny. Już ciemno się zrobiło, kiedy przeszedłszy przez jedną blisko Czerniejowic leżącą wioskę, i przewiółszy się na czołnie przez rzekę Prut na lewy jej brzeg, przybyłem do drugiej wioski. Udałem się do tuż nad drożyną stojącej chałupy, dla przepędzenia noclegu; była to wsi tej karczemka, a Żyd karczmarz niechciał mię przyjąć na noc, wymawiając się brakiem miejsca. Podczas kiedy się z Żydem o nocleg rozprawił, i kiedy myślał, że może trzeba będzie nocować na podwórzu, przyszło do tej karczemki dwóch Mołdawanów (Multańczyków plemienia romuńskiego, ponieważ oni sami siebie dotychczas nazywają Romuni) i jeden z nich, widząc mój kłopot, ofiarował mi nocleg u siebie.

Dawniejszymi czasy, jeszcze daleko przed naszą rewolucją 1830 roku, byłem ja w Bessarabii i na Multanach, znałem nieco tedy zwyczaje ich mieszkańców i kilka jeszcze wołoskich wyrazów zapamiętałem. Widok tych dwóch Multańczyków, w kozuchach i baranich białych czapkach, odnowił we mnie dawne wspomnienia, tyle zawsze dla nas mile w późniejszym wieku. Przybywszy do skromnego mieszkania mojego gospodarza, gdzie podług zwyczaju krajowego stał tkacki warsztat, i na nim naciągnięte pasma nici do płótna, gospodarz sam natychmiast naniecił ognia, bo gospodyni gdzieś była wyszła i nastawił wodę na mamalygę czyli prażuchę z kukurydzanej mąki, a tymczasem chciał się przedemną pochwalić, jak mądrego i uczonego na swój wiek ma synka. Język wo-

łoski czyli romański, wiele ma podobieństwa do języka rzymskiego czyli łacińskiego, z którego pochodzi. Przy znajomości języka włoskiego, przytém i pamiętając kilka słów romuńskich, mogliśmy się z gospodarzem jeżeli nie rozmówić, to przynajmniej zrozumieć. Syn, chłopak lat dziesięciu, jak na wiek rosły, barczysty, krzepki, w jednej tylko koszulce brudnej, długiej, paskiem podpasanej, boso, twarzy zasmarowanej, i z wiszącymi u nosa soplami, dostał swój elementarz niemiecki, mamałygą jak klejstrem powleczony, rozłożył go i zaczął czytać, to jest: krzyczeć na całe gardło i z całej siły płuc, które musiały być niemałej objętości, zupełnie tak, jak za stadem owiec (otara); mniemałem, że litery brał za owce, które w gniewie za nieposłuszeństwo karcił głosem. Prawda, że czytał płynnie, a poczciwy ojciec nieposiadał się z radości że synek tak donośnie po niemiecku rozprawiał. Wszędzie ta niemczyzna jak jad się wkrada, pomyślałem w duchu. Skończył nareszcie chłopak swój popis, pochwaliłem za jego biegłość w czytaniu, poglaskałem, chociaż ledwo się mogłem wstrzymać od śmiechu; zaleciłem, aby nieco ciszej czytał, to się czytanie lepiej wyda. Tymczasem mój Ampitryon przygotował już mamałygę, wyrwał ją z kotła, pociął nicią w sztuki, a dla okrasy, ponieważ to był piątek, przyniósł kwaśnych ogórków. Jadłem z wielkim apetytem tę potrawę, która mi się tak wyśmienitą, jak nigdy, wydała.

Nazajutrz rano, podziękowawszy poczciwemu gospodarzowi za nocleg i wieczere, puściłem się w dalszą drogę. Dzień był pogodny i ciepły, szedłem spieszno, minąłem wielką wieś Bojany, a idąc przypatrywałem się migoczącej od promieni słońca wodzie Prutu, który wijąc się dość kręto, płynie po pod bukowym lasem, którego tam jest podostatkiem, z kąd ta część Galicyi Bukowiną się nazywa. W mojej wyobraźni brałem ten las za dalszy ciąg lasu, gdzie za dawnych jeszcze czasów, przez zdradę Wołoszy, tyle poległo szlachty drzewami przywalonęj, że

mówiono: „Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.“ Już dobrze było z południa, kiedym przybył do karczmy, na samej granicy Austryi, od strony Rossyi położonej i naprzeciw wsi czy miasteczka Nowosielicy, już w państwie rossyjskiem, w Bessarabii będącej. W tej wsi jest komora graniczna (tamoźnia).

Chociaż było jeszcze dość wczesnie, postanowiłem wytechnąć resztę dnia, jakby dla nabrania sił nowych i nowój odwagi, tyle potrzebnej do wytrwania w niebezpieczeństwach, z którymi za chwilę miałem się spotkać oko w oko, jutro miałem stanąć na ziemi, gdzie każde wolności tchnienie jest podsłuchiwane, i żelazną ręką, posłuszną sercu z granitu, jak największa zbrodnia tłumione i prześladowane! Chciałem się przytém, korzystając z czasu, obznajomić poprzednio ze wszystkimi formalnościami na komorze w Rossyi używanemi; bo formalność w Rossyi więcej ma znaczenia i wagi, jak sama rzeczywistość: pokazałem tedy znającemu się na nich mój pasport. Jakież było moje zadziwienie i gniew, gdy mi powiedział, że niebędę do Rossyi wpuszczony, póki mój pasport niebędzie zawizowany w komorze austryjackiej w Bojanach, w których, że jest komora, wcale niewiedziałem. Nie tracąc więc ani chwili czasu, wracam prawie biegiem do Bojan, więcej niż milę ztamtąd odległych. Wchodzę do bióra komory, zgrzany i zadyszały i proszę o wizę: ale mi w biurze powiedziano, że nie wprzód komora pasport mój zawizuje, aż będzie wizowany przez cyrkuł w Czerniejowcach. Cofam się tedy do Czerniejowic, ale drogą myślałem, że może mi każą rejterować od władzy do władzy, Bóg wie jak daleko; zanocowałem w jednej wiosce u chłopca Rusina, niedoszedłszy do Czerniejowic.

Nazajutrz rano około godziny ósmej przybyłem do Czerniejowic, a że bióro wizy, niewiadomo z jakiego powodu, chyba dla tego, że to był dzień niedzielny, dopiero o dziesiątej miało być otwarte; oczekując zatem tej godziny, poszedłem do kościoła katolickiego dla uproszenia

u Boga mocy duszy, zdrowia i roztropności tyle potrzebnych w położeniu, w jakim się wkrótce znajdować miałem. Modliłem się szczerze i ze łzami, aby prawica Wszchemocnego wsparła mą słabość i otoczyła mnie swą świętą opieką. Takich w życiu chwil potrzeba, i w podobnym znajdować się położeniu, aby się przekonać i uczuć prawie dotykalnie, jaka moc ducha wstępuje w człowieka, kiedy z żywą wiarą, z dziecięcą ufnością, korząc się w pyłe przed swoim Stwórcą i Ojcem, wzywa jego pomocy i opieki nad sobą. Widok dość licznie zgromadzonych polskich dzieci, przystępujących do komunii świętej i po polsku na głos odmawiających pacierze, prawie mnie rozrzewnił. Wszędzie, pomyślałem, znajdują się Polacy, tylko nigdzie niemają swój ojczyzny. O naznaczonej godzinie zawizowano mi pasport bez żadnej trudności i szykan, w Bojanach poświadczono wizę, i tego samego dnia dość późno powróciłem do tej samej karczmy nad samą granicą będącej, ale zmęczony jak nigdy. Położyłem się spać i spałem snem głębokim.

Ze wschodem słońca już byłem na nogach, i przed szlabanem austriackim z tłumokiem na plecach, oczekując niecierpliwie nim go podniosą. Na tej komorze były dwa szlabany, jeden ze strony austriackiej, a drugi odległy o kilkadziesiąt kroków od pierwszego, ze strony rosyjskiej. Lecz gdy po dłuższym, jak mi się zdawało, oczekiwaniu, żadnego z nich niepodnoszono, zostawiwszy tłumok w karczmie, poszedłem do domu naczelnego urzędnika komory austriackiej, i prosiłem go, aby mi kazał swój szlaban otworzyć. Ten mi odpowiedział: że chętnie to uczyni, ale że on wcale nierozporządza szlabanem od strony Rossyi. Przybliżywszy się tedy do szlabanu rosyjskiego, stałem przed nim dość długo doczekując się chwili aż mi go otworzą; lecz gdy czekałem napróżno, a żadnej warty, żadnego człowieka przy szlabanie nie było, znecierpliwiony tą zwłoką, schyliwszy się pod szlaban, przeszedłem na jego drugą stronę, i stanąwszy na ziemi



pod rosyjskim rządem już będącej, pytam pierwszego lepszego żołnierza po niemiecku: gdzie bióro komory rosyjskiej? Ten, którego się pytałem, nierozumiejąc zapewne, o com się pytał, a dorozumiawszy się tylko z gestów, czego chciałem, wskazał mi dom, do którego natychmiast się udałem.

Wszedłszy do bióra komory, postrzegłem w niej od razu kilkanaście mundurów ciemno-zielonych z kołnierzami jasno-trawiasto-zielonemi. Trudno sobie wystawić, jak odrażający był to dla mnie widok. Ta liberya żelaznego despoty miała w sobie coś z tej bajecznej własności bazyliuszka lub Meduzy, na widok której każde szlachetne i poczciwe serce wzdryga się i drętwieje, a krew się w żyłach ścina. Byli to urzędnicy komory, i po większej części Polacy, gdyż czasem mówili do siebie po polsku. Czekając chwilę nim mnie zapytano po moskiewsku: kto jestem i czego potrzebuję? (Kto wy takof, i czewo trebutjetie?). Udając, że nierozumiałem pytania w obcym dla mnie języku zrobionego, odpowiedziałem po niemiecku: „Ja nierozumiem o co Pan mnie pytasz?“ (Ich verstehe nicht was Sie mich fragen?). „Ja jestem cudzoziemiec i chcę być do Rossyi wpuszczonym.“ (Ich bin ein fremder und ich will, dass man mich ins Russland hinein-kommen liess). Niewiem z jakiego powodu mało kto tam natenczas jako tako rozumiał po niemiecku. Ja udawać musiałem, że nieumiem i nierozumiem wcale po rosyjsku, oni zaś jeszcze gorzej odemnie mówili po niemiecku; słowem, że rozmawiając z sobą po niemiecku czas pewny, wcaleśmy się niezrozumieli, aż użyto do pomocy Żyda jadącego z jakimiś towarami i czekającego na komorze; ten był między nami tłumaczem. To było powodem, iż całe niemal bióro było w ruchu i stałem się przedmiotem ciekawości i badań wszystkich.

Zapytano tedy mnie przez tłumacza: „Kto jestem i z kąd?“ „Jestem Catharro z posiadłości angielskich.“ „Kto mnie śmiał puścić do Rossyi bez poprzedniego mel-

dowania się?“ Nikt mnie nie wpuszczał i właśnie przyszedłem dla zameldowania się.“ „Którędyś Pan przeszedł granicę?“ „Zwykłą drogą która tu prowadzi!“ „Wszak szlaban był zapuszczony?“ „To prawda, ale gdy oczekując długo, szlabanu niepodnoszono, przeszedłem pod nim.“ „I warta Pana puściła?“ „Jaka warta, ja niewiedziałem nikogo przy szlabanie.“ Daleki byłem od mniemania, iż tak się tłumacząc, stanę się przyczyną kary żołnierza, na którego kolęj warty przy rogatce przypadła, a który, niewiedomo z jakich powodów, przy niej się nie znajdował. W tém, zapewne uwiadomiony, wszedł sam naczelnik komory, średniego wieku, pękaty, ale sprężysty, nastajaszczy Moskal. Rozpytawszy się o wszystkim, ofuknął się na wszystko i na wszystkich; rozkazał natychmiast ukarać szylchwacha, a mówiąc o mnie powiedział: „A jego téj chwili pod strażą odesłać za granicę.“ (A jewo sejasas pod karaulom odstawiť za granicu).

Świadek całej sceny, i wiedząc na co się zanosi, chociaż udawałem, jako nierozumiejący po rosyjsku, że te wszystkie krzyki wcale się mnie nie dotyczą i mnie nieobchodzą, zapytałem z największą obojętnością: „Czy kto z tych Panów nierozumie po francuzku? i komu ja powinienem mój pasport pokazać?“ Było w tém biórze dwóch czy trzech co ledwie rozumiało ten język, a jeden z nich dość dobrze nim mówił, i natychmiast się odezwał: „Czy Pan masz pasport?“ „Bezwatpienia: za kogoż mnie Panowie macie, żebym pasportu z sobą niemiał?“ i oddałem go jemu. Rzuciwszy nań okiem i ujrzawszy wizę ambassadora rosyjskiego w Wiedniu, poskoczył natychmiast pokazać go naczelnikowi komory, który niemając nic do zarzucenia legalności pasportu, cofnął natychmiast rozkaz odesłania mnie za granicę i położył na pasporcie wizę komory. Zapytano mnie później: „Czy mam z sobą jakie rzeczy i gdzie są one? Odpowiedziałem: że mam, i że się jeszcze znajdują na stronie austryackiej. Kazano abym moje rzeczy przyniósł do komory i dano rozkaz nieszczę-

śliwemu szyldwachowi, aby mnie przepuścił tam i nazad. Ten sądząc z mojego ubrania (bo byłem w długim angielskim surducie, dobrze podszarzanym, w kapeluszu, i z długą czarną brodą), żeś niezawodnie Żyd, chociaż jeszcze płakał z bólu odebranych pałek, chciał się jednak zemścić prawdziwie po moskiewsku, to jest: nie na tym, co go bić rozkazał, ale na tym, za kogo go bito. Ta zasada w Rosyji jest artykułem wiary. Widząc mnie zatem przybliżającego się do szlabanu, podniósł go, ale w tym samym czasie z zaiskrzonymi oczyma, z pięścią podniesioną przybliżył się do mnie, klnąc po moskiewsku: „Ach ty psi synu Żydzie, djabli cię tu przynieśli na moją biedę!“ (Ach ty sukin syn Jewriej, czort ciebia prynios na maju biedu). Znając Moskali i widząc jego zamiar, a nie mogąc znieść obelgi, jakaby mi mógł wyrządzić ten nieszczęśliwy głupiec, wstrzymałem się natychmiast, ścisnąłem pięść i spojrzałem nań okiem zapalonem od gniewu. Z gestu i ze spojrzenia widać poznał, żeś nie Żyd, cofnął się zatem i rzekł: „Idź do diabła, na cztery wiatry, bodajbyś zdechl.“ (Stupaj k czortu na czetyre wietry, szto ty zdoch). Jego przeklinania wcale mi nieszkodząc, więc poszedłem dalej, a on wciąż do siebie mrucał; „Djabli wiedzą co to za człowiek? Żyd nie Żyd, Ormianin nie Ormianin, psi syn, Moszennik.“ (Czort jewo znajet szto jeto za czelowiek? Jewriej nie Jewriej, Armianin nie Armianin, Sukin Syn Moszennik). Rzeczywiście żal mi było tego biednego człowieka, tem bardziej, że choć mimowolnie, stałem się jednak przyczyną bolesnej chłosty, jaką odebrał.

Wziąwszy mój tłumoczek, wróciłem do bióra komory. Przetrzągnięto w nim wszystko do najdrobniejszej rzeczy, porozwijano koszule, chustki, spodnie; zrewidowano kieszenie, rozpruto w surducie kołnierz, rękawy i podszewkę. Miałem w tłumoku Dykeyonarz francuzko-włoski i włosko-francuzki; przewrócono niemal wszystkie jego karty i nic ani przy mnie, ani w tłumoku nieznaleziono,

coby było zakazanem, wyjąwszy to co we mnie spoczywało, a o czem oni wiedzieć niemogli. A zatem byłem człowiekiem wcale niepodjejrzanym.

Zpakowawszy tymczasem moje rzeczy do tobołka i pożegnawszy się grzecznie, ale najobojętniej z rodakami, którzy mieli mnie ciągle za cudzoziemca, udałem się do wskazanej mi oberży, gdzie kazawszy sobie dać jeść, i zmieniwszy ostatnie dziesięć złotych na moskiewskie pieniądze, zacząłem się rozpytywać o drogę do Chocima. Jeden ze słuchających powiedział, że w Nowosielicy można czasem znaleźć okazją jechania do Chocima i był tak dobrym, że się tём zajął. Właśnie znalazły się wówczas w powyższem miasteczku próżne wozy, podwozy, wracające aż pod Berdyczów, a które dostawiały zboże czy owies do Nowosielicy, i wracały przez Kamieniec Podolski; lepszej sposobności dla mnie być niemogło. Zgodziłem się, a raczej zgodzono się za mnie, za cenę prawie nic nieznaczącą, i około południa ruszyliśmy w drogę.

Bóg wejściu memu do Rossyi pobłogosławił, a chociaż samowolne przestąpienie granicy było zupełnie przypadkowe i pochodzące tylko z niecierpliwości; kiedym się jednak później nad niem zastanowił, było coś w tём jakby fanalistycznego, a co nawet pochlebiało nieco mej miłości własnej, żem bez pozwolenia wkroczył w granicę Rossyi, tak jak niepotrzebowałem jej pozwolenia przychodzić do niej z myślą i uczuciem nieprzyjaznem najzaciętszemu z wrogów Polski. Ta zgodność wewnętrznego usposobienia i przypadkowe zgwałcenie nic nieznaczącego przepisu wprawdzie, ale pochodzącego od tego, który nam przepisuje i nakazuje, jak mamy czuć, myśleć, ledwie nieoddychać, nabierało w mem przekonaniu pewnej wagi; bo byłem z sobą zgodny w teoryi i praktyce.

Jadąc na drabiniastym wozie, przysłuchiwałem się rozmowie niegdyś zagonowej szlachcie, a dziś w odnowcy zamienionej; mówili do siebie ruskim, ukraińskim, słowem, chłopskim językiem; przedmiotem ich rozmowy



było nieszczęście i stan poniżenia, do jakiego rząd rosyjski ich przyprowadził. Znałem ja kiedyś, i znałem bardzo dobrze zagonową ruską szlachtę; bo sam będąc synem podobnego szlachcica, w częstych i ścisłych z nią byłem stosunkach. Niebyła ona uczoną i światłą, ale patriotyczną i dumną z tytułu szlachcica, ciągle powtarzając dawne przysłowie: „Szlachcie na zagrodzie, równy wojewodzie.“ Była w ogóle biedną, czasem nędzną pod względem bytu materialnego, ale bogata zasobami serca i szczęśliwych czasów wspomnieniami. Do naszej rewolucyi jako tako podtrzymywała dawne swe przywileje; przynajmniej niebrano jej w rekruty, a dobrowolnie zaciągający się szlachcie do szeregów rossyjskich, patrzył, jak mówią, już na oficera. Póki zatem wspomnienia przeszłości, podania, szanowane w szlachcie były, przyznaniem jej od rządu rossyjskiego małych i nie niezuważających względów, póty szlachta była dumną i miała pewne uczucie godności. Dziś, gdy ją zupełnie zrównano z nieszczęśliwą masą wieśniaków, znikła, zniknąć musiała w niej duma i uczucie własnej godności. Ten, który mnie wioził, i jego koledzy, byli zagonową szlachtą, a dziś więcej są nieszczęśliwi i upokorzeni od samych wieśniaków i niżej od nich stoją nawet jako ludzie; dla czego? bo ich upokorzono moralnie, bo ich upokorzono we własnym ich przekonaniu; tak upokorzony ezłowiek jest na zawsze zabity.

Ponieważ miano mnie za cudzoziemca, nikt się zatem do mnie nieodzywał i ja do nikogo, ale w milczeniu to najwięcej tłoczy się i myśli do głowy i uczuć do serca. Znalazłem się na równinach Bessarabii (Rai chocimskiej), którą nigdyś zwiedzał w dziecinnych jeszcze latach moich, a w której tyle pamiątek i wspomnień naszych dzieł, dziejów sławy się znajduje. Tu już uczulem zapach stepów ukraińskich i coś ze świeżości tego powietrza, co ożywiając duszę, przynosi zarazem do niej smutek i tęsknotę. Dzień był piękny i pogodny, przypatrywałem się

tedy z prawdziwą przyjemnością jakby przypomnianym, a w głębi piersi schronionym widokom, tym wiejskim chałkom, niskim, małym, lepionym z gliny, słomą pokrytym i białym; tym otarom (stadom owiec) błakającym się po tych stepach, tój tyrsie, co w gęstych a długich warkoczach pochyłona na ziemię za podmuchem wiatru ze strony przeciwnój, podnosi się z ziemi i wydaje świst wprowadzający człowieka w zadumanie. Dość już późno wieczorem zatrzymaliśmy się na noc w jednej maleńkiej, ciasnej i niewygodnej, a samotnie wśród stepu stojącej karczmie. Wkrótce po naszym do niej przybyciu wszedł jakiś żołnierz rossyjski z piechoty, ale zbiedniony i rzewnie płaczący; był młody, wysmukły i wcale przystojny.

Kto chce mieć dokładne wyobrażenie o niewoli i niewolniku, ale o niewoli i niewolniku ciałem, sercem, duszą i duchem, niech się dobrze wpatrzy w oblicze i postawę rossyjskiego żołnierza; a jeżeli na ten widok cierpień i poniżenia istoty ludzkiej serce mu się niewzruszy i niezapala zemsty i pogardy oburzeniem przeciw temu, który tak szatańsko-szyderczo naigrawa się z przeznaczeń ludzkości, iż człowieka przemienia w bydlę, pozbawione samodzielnych uczuć i myśli, a posłuszne jednemu tylko uczuciu bojaźni kija i niemające żadnego wyobrażenia o żadnym innym prawie, oprócz prawa ślepego posłuszeństwa; ten nie jest człowiekiem, temu światło prawdy nieprzyświeca; on jest duchem ciemności i spółnikiem sprawcy największego z nieszczęść, bo upośledzenia człowieka, istoty na obraz samego Boga stworzonej.

Takim niewolnikiem przedstawił się mi ów żołnierz, cierpiąca i upośledzona istota; wypiwszy półkwaterek wódki na pociechę serca, usiadł sobie w kącie smutny, zamysłony, pojękując tylko czasem. Domyśliłem się, że musiał dostać palki. Po niedługim czasie przybyło jeszcze trzech żołnierzy, kolegów pierwszego. Zaczęli się wszyscy hojnie raczyć wódką i pocieszać zasmuconego. „Co u trzeźwego na myśli, to u pijanego na języku;“ powiada przy-

słowie. Otóż dowiedziałem się z ich rozmowy otwartej i szczerzej o przyczynie kary. Pokazało się, że prosty żołnierz był w większych łaskach u jakiejś krasawicy, niż Pan oficer; chcąc się pozbyć rywala, Pan oficer szukał do tego rozmaitych powodów, nawet miał użyć dyplomatyczno-politycznego sposobu, ale gdy i to niepomogło, chciał zapalę niebezpiecznego a szczęśliwszego rywala ostudzić kijami; znalazł zatem do żołnierza przyczepkę i okropnie go zkatował. Co za barbarzyństwo! co za dzikość!

Wyjechaliśmy nazajutrz prawie jeszcze w nocy i około ósmej godziny ujrzałem miasto Chocim. Na widok obszernych płaszczynu około Chocima rozciągających się, na których tylokrotnie rozstrzygały się losy Polski i całej Europy, i gdzie Polacy waleczności i poświęcenia się cudów dokazywali, niemógłem się nieunieść dumą, żem ich potomek, że nazwę Polaka noszę, ale porównując dzisiejsze ojczyzny naszej położenie z dawniejszą jej świetnością i sławą, czułem się więcej, niż kiedykolwiek, upokorzonym. O! cienie naddziadów naszych, gdybyście z mogił powstać mogły, i spojrzeć na waszych obcym jarzmem przygnieconych i zhańbiouych potomków, pewniebyście niewierzyły, że to są Polacy, wasi synowie; że w nich wasza krew płynie, wasze szlachetne i dzielne serce w ich piersi bije; a z bólu, żalu i wstydu chętniebyście wróciły do waszych mogił, przekładając śmierć i grobową ciszę nad widok niewoli i spodlenia, jakie plemię wasze dziś ugniata! I w rzeczy samej, porównując nas do naszych przodków, mimowolnie czujemy się zawstyżeni i upokorzeni, pod każdym względem. Niema w nas ani hartu duszy, ani gorącego zamiłowania ojczyzny i wolności, co popycha człowieka do nadzwyczajnych czynów, i czyni go niepokonanym wśród bojów, trudów i największych przeciwności. Więcej dziś w nas jest powierzchownej oglady, więcej nabyliśmy wiadomości, obszerniej nauczyliśmy się rozprawiać o tém, co jest piękne, wzniosłe

i szczytne, ale zaledwo czuć to umiemy, a jeszcze mniej sięgać po to. Z przodków, olbrzymów cnót i czynów, przerodziłszy się w karłów zepsucia, wad i czczych słamazarnych teoryjek. O! stokroć więcej cenię dziękiego, lecz umiejącego czuć i bronić wolności barbarzyńca, nad wykształconego i światłego człowieka, niewolnika; w pierwszym tli iskra wolności samego Bóstwa, drugiego zrenica płonie ogniem skalanój zepsuciem duszy szatana, wskazanego jeśli nie na cierpienia, to na upośledzenie i znikczemnienie.

Przy wjeździe do Chocima, miasta na pochyłości wzgórza ku Dniestrowi i nad samym Dniestrem położonego, źle, nieporządnie i z drewnianych, niskich i nikczemnych domów zbudowanego, bardzo wielką liczbę żołdactwa rossyjskiego postrzegłem. Z tego wniosłem, że tam musi być dość znaczna załoga. Zaczęto to miasto fortyfikować na nowy sposób, i fortyfikacye były wówczas daleko posunięte. Zjechawszy z Chocima na dół nad sam Dniestr, furmanki się zatrzymały dla napojenia koni i dla innój jeszcze jakiejś przyczyny. Przypomniawszy sobie, że w czasie konfederacyi barskiej Kazimierz Puławski, sławny konfederat barski, ten sam co później zginął pod Hawannami w Stanach Zjednoczonych Ameryki, walcząc za ich swobody, będąc zamknięty w Chocimie od Moskali i mając tylko z sobą samą kawaleryą, potrafił ją spuścić z murów, a raczěj z wysokiego brzegu nad Dniestr, i ujsć z ich rąk pierwěj niż się Moskale dowiedzieli, że go już niema w fortecy. Podbiegłem tedy wzdłuż brzegu Dniestru, ale ten brzeg był tak wysoki i stromy w całej swój długości, iż istotnie dziwiłem się, jak on mógł coś podobnego dokazać; to prawie było niepodobném. Musiał to być wielki chwata ten Kazimierz Puławski.

Jadąc wzdłuż prawego brzegu rzeki Dniestru, nierównie niższego w tém miejscu od brzegu lewego więcėj stromego, i ku jego źródle, przybyliśmy wkrótce na wy-



sokość miasteczka Żwańca położonego w małej odległości od Chocima i na dość wysokiej górze z prawego brzegu; przewieźliśmy się przez Dniestr wcale tu nie głęboki i nie szeroki na promie, i wjechaliśmy do Żwańca źle i nieporządnie zabudowanego, a jednak wsławionego za czasów wojen kozackich; tu bowiem król Jan Kazimierz z polskimi wojskami był zaniknięty w obozie od Kozaków i Tatarów. W Żwańcu przez czas odpoczynku przypatrywałem się mustrującym się rekrutom rosyjskim; cóż to za nieszczęśliwe stworzenia! jak ich męczą i mordują pałkami i pięściami; pięście oficerów rosyjskich muszą być téj samej twardości i hartu co knuty; tak niezmordowanie nimi i ręczo okładają żołnierzy po twarzy, zębach i po karku; słowem, biją nimi jak w drzewo.

Ze Żwańca droga prowadzi do Kamieńca Podolskiego i z wolna i nieznacznie podnosząc się w górę, wstępuje nareszcie na samą górę wznoszącą się nad całą okolicą. Jadąc z wolna, przypatrywałem się widokom Podola, gęsto po dolinach rozsypanym, bogatym w sady drzew owocowych, a szczególnie w wiśnie i śliwki. Zbliżając się pod samą górę, tak dla ulżenia koniom, jak i dla przejścia się, zszedłem z wozu i bardzo długo siedłem piechotą; na samym wierzchu góry wsiadając do wozu, postrzegłem, że zgubił małą i prawie nic nie znaczącą co do wartości pieniężną pamiątkę, ale do której wielką przywiązywałem wagę. Zatrzymałem wóz, zacząłem szukać, długom szukał, i obiecałem nagrodzić, ktoby mi ją znalazł, ale wszystko było na próżno. Któżby wierzył, że ten mały wypadek nadzwyczaj mnie zasmucił? Ztąd wniósłem, przeczulem, prawie byłem pewnym, że mnie jakieś wielkie nieszczęście spotka w Kamieńcu, że może w nim będzie moja zguba. Byłem nieco zabobonny, bom Ukraińiec; z wypadków, ze zjawisk w przyrodzie, ze zjawisk w świecie moralnym, z ich wpływu na człowieka, wnosiłem o przyszłości, o przeznaczeniu. Wówczas wierzyłem jeszcze w przeczucia, dziś niestety wierzę tylko w prze-

1) mylnie; To było przed Zborowem  
Chmielnicki i Kozakami.

czucie śmierci. Cobym dał za to, gdyby mi dawniejszą wrócono wiarę, dawniejszą pewność, a choćby tylko nawet dawniejsze złudzenia. Najokropniejszy ze stanów człowieka jest stan zwątpienia, zwątpienia o wszystkim, nawet o sobie samym.

Zjeżdżając z góry, przypatrywałem się zajmującemu położeniu Kamieńca, do którego po raz pierwszy w życiu przybywałem. Z miejsca, z którego patrzałem, Kamieniec zlany z przedmieściem Folwarki zwanem, wydał mi się długim a wązkim; wjeżdżałem do niego z przykrą góry po drodze w nięj wydrążonej, obok dawnej, ale bardzo warownej polskiej, dziś zaniedbanęj i opuszczonej forteczki, przez wałącą się już od starości bramę, na której był jeszcze z kamienia wyrobiony orzeł biały; dalej przez most przez Turków jeszcze zbudowany. Przypatrując się wszystkiemu tym, tyle mnie zajmującym, bo tak przypominającym naszą przeszłość, pamiątkom, i ze smutnem przecuciem mojego losu wjechałem do Kamieńca. Mój furman przywiozłszy mnie śród rynku, zatrzymał się, bo tu koniec męj podróży. Zapłaciwszy, co mu się należało, szukałem oczyma jakieję oberży. W tém kupa Żydów nagle mnie obstałwszy, zaczęli mnie witać jak swego spółwyznawcę, ściskając mi ręce po przyjacielsku i pytając się zkąd przyjeżdżam; ale wkrótce postrzegłszy swój błąd, cofali się jak od ognia dziwując się i rozmyślając, z jakiego byłem narodu? Musiałem jednak, w wiadomym moim ubiorze i z moją czarną brodą, bardzo być podobnym do Żyda, bo to już po raz trzeci podobna mnie cześć spotkała, z której, żart na stronę, nie bardzo byłem zadowolniony.

Przybyłem do Kamieńca Podolskiego około drugięj godziny z południa dnia dwudziestego pierwszego czy dwudziestego drugiego miesiąca marca 1843 roku. Cała zatem podróż z Pesztu zajęła mi czasu dwadzieścia dwa dni. Wyjechałem z Paryża ze stem pięciudziesiąt (150) franków, dnia dziewiętego stycznia 1843 roku; przybyłem do

Pesztu dwudziestego siódmego stycznia tegoż roku; ba-  
wiłem w Peszcie aż do dwudziestego ósmego miesiąca lu-  
tego tegoż samego roku; wyszedłem z Pesztu dwudziestego  
ósmego lutego, a przybyłem do Kamieńca dwudziestego  
drugiego marca 1843 roku; cała więc podróż z Paryża  
do Kamieńca zabrała mi czasu dwa i pół miesiący. Po  
obliczeniu się z kasą jeszcze mi zostało parę złotych  
polskich.

Łatwo powiedzieć: że to, i tak się stało; ale Bogu  
jednemu tylko wiadomo, com czuł, zniósł i wycierpiał.  
On mi dodał mocy i odwagi. Jemu jednemu tylko niech  
będzie za to cześć i chwała!

## ROZDZIAŁ IX.

*Pobył w Kamieńcu. Maskowanie się. Pozwolenie pozostania w Kamieńcu. Jestem nauczycielem języka francuzkiego. Przykrość położenia z przyczyny pseudo-imienia. Stan ówczesny tych prowincyj, nadużycia władz rossyjskich.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi 10 października 1848 roku.

Stałem nareszcie w Kamieńcu, do którego z takim upragnieniem dążyłem, a gdzie albo się miały urzeczywistnić moje zamiary, moje najczulsze nadzieje, albo w którym przybyłem szukać mej zguby. Pokazano mi oberżę wcale nieokazałą u rogu rynku, tuż obok, bo tylko przez drogę, i naprzeciw katedralnego kościoła znajdującą się. Gospodarzem w niej był jakiś stary, z białym włossem, ale poczciwy Polak, którego jednak zapomniałem nazwiska. Wszedłszy do oberży, z moim tłumokiem w ręku, zastałem w niej dość liczne zgromadzenie samój młodzieży, niemal wszyscy byli Polacy, część z nich grała w billard, reszta grającym przypatrywała się; w tém zgromadzeniu było także dwóch młodych oficerów rossyjskich z piechoty. Wszyscy podług przyjętego w Polsce, a szczególnie w tamtych prowincyach zwyczaju byli z odkrytymi głowami; wiedziałem o tym zwyczaju dobrze, ale dla oryginalności i udając cudzoziemca wcale nieświadomego miejscowych zwyczajów, wszedłem w kapeluszu, i długi czas z przy-



krytą głową pozostałem, pytając się pierwój po niemiecku, a później po francuzku: „Czy można dostać w tój oberży przynajmniej na kilka dni mieszkanie?“ Słyszałem, jak niektórzy, patrząc na mnie, mówili między sobą: „Widać, że nigdy niebył w Polsce, bo w kapeluszu stoi;“ pomyślałem sobie: to dobrze.

Ledwem się odezwał po francuzku, aż tu wszyscy zaczęli szeptać: „To Francuz, to Francuz.“ Kilku z młodzieży polskiej spojrzało na mnie okiem ciekawém i badawczém, ale żaden z nich nieśmiało do mnie się przybliżyć. Jeden tylko mężczyzna do czterdziestu lat mający, a jak się później dowiedziałem, rodem z Krakowskiego i bawiący podówczas w Kamieńcu dla jakiegoś ważnego processu, i jeden z rossyjskich oficerów przystąpili natychmiast do mnie i zaczęli ze mną rozmawiać i rozpytywać się. Młody szczególnie oficer, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Rogaczew, a który dla tego zapewne, że rodowity Rossyanin, niemógł na siebie żadnego ściągnąć podejrzenia, od razu do mnie się przyczepił, mogę powiedzieć przywiązał; mówił po francuzku bardzo dobrze, a po polsku jak rodowity Polak. Ale cóż oficera rossyjskiego, szczególnie młodogo, przystojnego, z zamożnej pochodzącego familii najwięcej może obchodzić? A już ci krasawice, mniejsza zład, z jakiego rodu i narodu? Stał on, jak się z rozmowy dowiedziałem, długi czas w Warszawie; nic go Warszawa, nic go jój rząd, nic nadużycia rządu i los mieszkańców nieobchodził; ale zachwalał przyjemność towarzystwa Polek, ich polor, ich wdzięki i piękność, a szczególnie ich ujmującą zalotność. Przyznam się, że ta ostatnia pochwała pięknych Warszawianek tak była dla mnie wielką obelgą i to samo znaczyła, jakby mi dał w policzek. Czyż zasługujące na podobną pochwałę Polki niepowinny się rumienić? Dalej zaczął mnie się rozpytywać o Francyi, o Paryżu, o jego osobliwościach, a zwłaszcza, czy piękne i miłe są Paryżanki? i że dla ich widzenia tylko

chciałby pojechać do Paryża. Choć przedmiot rozmowy był dla mnie bardzo najmniej zajmującym, a nawet ekliwym, korzystając jednak z usposobienia młodego oficera, który właśnie tym przedmiotem rozmowy dawał mi sposobność przekonać słuchających, że z różnicą tylko szukania sposobu do życia, i mnie to samo zajmuje; że swój swego znalazł; starałem się potakiwać i zadowolnić jego ciekawość. W takim razie, rzecz prosta, nieszczęśliwie dla Paryżanek ani słów pochlebnych, ani pochwał, ani zalet; chociaż prawdę powiedziawszy, jeżeli kogo najmniej znać mogłem, to pewnie Paryżanki. Opowiadałem mu niektóre zdarzenia mogące wesprzeć moje opowiadanie, a zaostriżyć jego ciekawość. To go najwięcej zajmowało i obchodziło. W opowiadaniu usiłowałem być wesołym, nieco nawet wolnym w wysłowieniu się, i używałem częstokroć naumyślnie wyrażen świadczących o lekkości mojego charakteru, i o zupełnej obojętności dla tego, co właśnie najwięcej mnie obchodziło. Miły, lekki, trzpiot, ale w gruncie dobry Rosssyanin, był ze mną otwarty, śmiały i szczery; to pochodziło, jak powiedziałem, ztąd tylko, że był Rosssyaninem, że żadne podejrzenie paść na niego niemogło. Ja też z mej strony usiłowałem mu się wywzajemnić, o ile moje położenie mogło mi tego dozwolić i nakazywało. Umyślnie tedy wciąż z nim rozmawiałem o przedmiotach lekkiej wagi, bynajmniej o Polsce i o Polakach żadnej nieczyniąc wzmianki; ten przedmiot był dla mnie zupełnie obojętnym i w niczem mnie nieobchodził.

Ale, jeżeli Rosssyanin śmiało, otwarcie i wesoło ze mną rozmawiał i przestawał, to się wcale inaczej działo z moimi rodakami. Ci patrząc tylko na mnie z daleka, z ukosa, i jakby z bojaźnią, obawiali się nawet przybliżyć się do mnie, jakby przez samo nawet zbliżenie siebie do tego, który przybywa z zagranicy, nie ściągnąć na się podejrzenia stuocznej policji. Ich pewno nieobchodziły ani piękność Paryżanek, ani osobliwości Paryża, Francji,

ani może całego świata. Obchodziło tę szlachetną młodzież polską coś wznioślejszego, coś bardziej zajmującego jej serce i umysł; obchodziły ją los, nieszczęścia i zła dola ojczyzny, jej rodaków i jej samęj, a o czém łatwo można było wnosić z milczenia, smutku i ponurego wyrazu tych młodzieńców oblicza i wejrzenia. Ile ich tam było, w żadnego obliczu niedostrzegłem tój wesołości, tego zadowolenia, jakie zwykle towarzyszą młodemu wiekowi. Widać było, że więzy i szpony niewoli zapuszczono aż do głębi ich duszy, nałożono kajdany na ich myśli i uczucia serca, w ich ruchach nawet niebyło zupełnej swobody. Okropny był to dla mnie widok i okropniejsze jeszcze sprawiał mi cierpienia. Długi czas, bo lat jedenaście, wciąż bawiąc za granicą, stan ten młodzieży tém bardziej wydał mi się rażącym.

Przechadzając się po sali, słyszałem, jak z cicha i ostrożnie do siebie szepтали: gdyby się go można jakim sposobem zapytać, co tam nasi we Francyi robią, wiele ich tam jest, jakie tam ich jest położenie, czy prędko do nas wrócą, co Francuzi myślą o Polsce, czy są dla Polski jakie nadzieje? i tym podobne czynili sobie pytania. Widząc tę ich bojaźń i nieśmiałość, która niedozwalała nie jednemu z nich zapytać mnie o powodzenie, lub nawet życie swojego ojca lub brata, uczułem cały ciężar niewoli, nakazującej milczenie nawet wrodzonym i najgwałtowniejszym uczuciom serca. Serce mi się ścisnęło, pierś mi się nieraz podniosła od ciężkich westchnień, chciałbym się z nimi rozmówić, nagadać, udzielić im wiadomości i pocieszających nowin, o ich krewnych i o naszej sprawie. Ale nie!... najtkliwsze uczucia na stronę tam, gdzie idzie o dopełnienie świętego obowiązku względem ojczyzny. Nietylko żem nie dał poznać, że rozumiem, że widzę ich niecierpliwą, a szlachetną ciekawość, ale owszem udałem dla nich zupełną, zimną nawet obojętność, i jakby z niechcenia starałem się ich unikać, jak oni mnie unikali z umysłu i z bojaźni; udawałem wesołego i najwię-

cój zajmowałem się Rossyaninem dla odwrócenia nawet pozoru podejrzenia.

Pan Rogaczew do pewnego rodzaju ukształcenia łączył dobroć serca; zaprosił mnie tedy na pierogi z mięsem, które umyślnie kazał robić i uczył mnie wymawiać pierogi; krztusiłem się od śmiechu, udając trudność w wymawianiu wyrazu: pierogi, których w mojem życiu pewno więcej zjadłem, jak Pan Rogaczew ich widział. Śmieli się inni, że zawsze wymawiam z francuzka, co wcale mi nieprzeszkadzało, źle wymawiając, jeść dobrze i z apetytem polskim, polskie pierogi.

Dzień ten nadzwyczaj wiele mnie kosztował; starałem się bowiem uchodzić za wcale innego człowieka, przywdziać maskę innych uczuć, innych myśli, niż byłem w istocie, niż czułem i myślałem; udawałem na pozór wesolość i trzpiotostwo, unikałem poważniejszych rozmów, okazywałem najzimniejszą obojętność dla Polski i Polaków. A w duszy byłem na śmierć smutny i poważny, a widok niedoli i nieszczęść mych braci, mój ojczyzny, więcej niż kiedykolwiek wzmacnił ku nim me przywiązanie, mą miłość. Ale za tę wewnętrzną pracę i walkę dostatecznie i hojnie byłem wynagrodzony; bo tak mi się dobrze powiodło, że przy końcu dnia postrzegłem, iż każdy mnie uważał za przybysza Francuza, szukającego tylko pewnego sposobu do życia, a dla którego tam jest ojczyzna, gdzie mu lepiej. Tegom tylko właśnie pragnął; bo od pierwszego wrażenia, wiele, prawie wszystko zależało.

Dla lepszego pokrycia istotnych moich zamiarów, tego samego dnia oświadczyłem w toku rozmowy wszystkim przytomnym, że gdybym mógł znaleźć miejsce na nauczyciela języka francuzkiego w tamecznym gimnazjum, lub przynajmniej w prywatnym jakim domu, chętniebym pozostał w Kamieńcu; w przeciwnym razie udałbym się w głąb Rosyi, chociaż mówiąc nawiasem, wcale nie było o czem. Zaczęto mi w tym względzie dawać rozmaite rady: że miejsca dobrego od razu i natychmiast trudno znaleźć, że



trzeba tymczasem umieć przestać na takim, jakie się zdarzy; że dawszy się poznać, można albo w samym Kamieńcu, albo w jego okolicy dobrą otrzymać posadę; że przedewszystkiem potrzeba pójść do dyrektora tutejszego gimnazjum i zasięgnąć od niego rady, a nawet protekcji; że tymczasem oni sami będą dla mnie szukali zatrudnienia, i tym podobne rzeczy mi radzili. Jam tego wszystkiego słuchał, ale sobie samemu zostawiłem sposób zastósowania się do okoliczności. Przedewszystkiem życzyłem sobie znaleźć zatrudnienie w jakim domu rossyjskim, aby i cień zniknął żem Polak, że myślę o Polsce, i żem emigrant polski.

Oberżysta tego samego dnia i wkrótce po mojem przybyciu oświadczył mi, że niemogę być przyjętym na noc, póki nie otrzymam poprzednio karty pozwolenia z policyi. Udałem się tedy do policyi, do kommisarza wydziałowego (Czastnawo Prystawa), którego zastałem burczącego ostro na Żydów, za to zapewne, że mu albo bardzo małego, albo żadnego kubana niedali. Kommisarz wydziałowy w mundurze ciemno-zielonym z czerwonym kołnierzem i ze szpadą u boku, na moje żądanie odpowiedział; że może mi dać pozwolenie na dwa lub trzy dni najwięcej, a jeżelibym chciał dłużej w Kamieńcu zabawić, winienem się udać do rządu gubernialnego i od niego otrzymać pozwolenie pobytu.

Przenocowawszy w mojej oberży, poszedłem nazajutrz około jedenastej godziny z rana do rządu gubernialnego, dla otrzymania tego pozwolenia pobytu. Wszedlszy do obszernej sali służącej za bióro, zastałem w niej mnóstwo młodzieży polskiej, podzielonej na kupki, każda około swego stołu i pod przewodnictwem swojego stołownaczelnika. Wprawdzie nie wszyscy pracowali; większa z nich część pobrawszy się pod rękę spacerowała sobie po sali; widać, że pracowali tylko, a raczój, że ich przytomność w biórze w pewnych dnia godzinach była potrzebna, dla dosłużenia się choć pierwszego stopnia, który

zwykle w Rosyji bywa dawany, nie w nagrodę rzeczywistych zdolności i pracy, ale w nagrodę pewnego przeciągu czasu do służby użytego. Tam wszystko w formę objęto, za nie zdolności i praca, musisz przepisaną liczbę lat wysłużyć, abyś zasłużył na stopień, czy to wojskowy, czy cywilny, bez którego w Rosyji szlachcic żadnego niema znaczenia. W tém biórze, czy z przyczyny niedbalstwa, czy przyjętego w Rosyji zwyczaju, niebyło ani jednego krzesła, ani jednej ławeczki, gdzieby doń przychodzący w jakim interesie mógł usieść i spocząć; być może, iż dla wrażenia większego poszanowania dla władzy, rząd despotyczny rozkazał wszędzie po biórach przyjąć ten barbarzyński zwyczaj, nakazujący wszędzie, na ulicy, w pokoju i w biórze stać przed władzą, jak żołnierz w szeregu (na wytiażki). Oddawszy tedy w milczeniu mój pasport i oczekując nań odpowiedzi, musiałem stanąć pod filarem sali. Mniejsza o mnie, mógłem stać i sześć godzin, ale przedemną jeszcze przyszła jedna dama czarno ubrana, musiała być bardzo nieszczęśliwa, bo szło o ojca czy o męża, a ciche i przytłumione łkania świadczyły, że mocno cierpi. Nie miano względu ani na jój pleć, ani na jój cierpienia, i niepodano jój krzesła; nieszczęśliwa oczekiwała, stojąc więcej godziny, nim jój dano jakąś odpowiedź. A jednak wiele krzesel próżnowało tych Panów, co się przechadzali. Ta zimna obojętność na pleć i cierpienia prawdziwie mnie zgorszyła; ledwie mógł wierzyć, że to byli Polacy. Czyż służba przymusowa u cara przymusza koniecznie być nieludzkim, nieczułym i grubianinem? Czy też ze zbytku źle pojętej cywilizacji il faut absolument être sans gêne et sans façon avec les femmes sous tous les rapports? Słowem, powtarzam, zgorszyłem się tym brakiem zupełnej delikatności, tém grubiaństwem młodzieży biórowej kamienieckiej, niezachowującej praw najprostszój grzeczności.

Ja tymczasem stojąc pod filarem z uczuciem niemocy zemścić się natychmiastowego na wrogu ojczyzny, jak

Samson, któremu włos siły odjęto, czekałem odpowiedzi, rozmyślając nad sposobami najskuteczniejszymi dla zadania pewnego i śmiertelnego ciosu. Przechadzający się rzucali na mnie wzrokiem, nic do mnie niemówiąc, ani się nawet zbliżając. Jeden z nich, którego później bliżej poznałem, rzekł do swych kolegów spoglądając na mnie: „Patrzcie, jaka to zimna, jakby lodem ścięta fizyonomia, pełna tajemniczości, nic z niej nie wyczytasz; od razu można poznać, że to cudzoziemiec; my Polacy nie mamy takich fizyonomij, co w sercu to i na twarzy, jak na dłoni.“ Słyszając to, pomyślałem sobie: mylisz się bardzo kolego, ale mi otwartym być się niegodzi. Cieszyło mnie to jednak, że nawet aż do fizyonomii byłem cudzoziemcem. Nareszcie odpowiedziano mi, że chcąc otrzymać pozwolenie pobytu, potrzeba koniecznie podać prośbę do samego gubernatora.

Chociaż umiałem po rossyjsku, nie mogłem jednak sam pisać prośby, naprzód dla tego, aby się nie skompromitować, a powtóre dla tego, że niewiedziałem formy pisania, a forma w Rosyi jest wszystkiem. Przypadek zdarzył, że właśnie w najstosowniejszej chwili spotkałem człowieka, który mi prośbę napisał; bardzo mu wdzięczny byłem za tę usługę, a jak się z nim kiedy spotkam, to mu osobiście jeszcze podziękuję; bo oprócz napisania prośby, wiele mi użytecznych przestrog udzielił.

Z tak wygotowaną prośbą potrzeba było stanąć przed samym gubernatorem, którym podówczas był generał Radiszczew, mianowany gubernatorem wojennym miasta Kamieńca, a cywilnym całej gubernii podolskiej, jak to od rewolucyi listopadowej nastąpił w Rosyi zwyczaj. W dzień i godzinę audyencyi przyszedłem do sali posłuchalnej, do której także przyszło kilku obywateli z okolic i kilkunastu Żydów. Oczekując wyjścia gubernatora, gdy wszyscy inni stali w skromnej i potulnej postawie, ja zwyczajem zagranicznym usiadłem na krześle, jakie tam znajdowało się, przybrawszy ułożenie przyzwoite, ale człowieka, który,

jak to mówią, o nic i niedba, i który wcale niezna zwyczajów miejscowych. Przytomni z tego względu przypatrywali mi się z ciekawością. Ale kiedy gubernator miał już wyjść do nas, młody jakiś urzędniczek w całym uniformie i przy szpadzie, i pewno przeznaczony do utrzymania porządku i nauczania nieświadomych zwyczajów miejscowych, niemówiąc mi ani słowa, przybliżywszy się wziął mnie po prostu za ramię, podniósł i poprowadził na miejsce, gdzie stać powinien; ustanowił nas wszystkich w szereg i w półkole, biorąc każdego z nas za ramiona, poprawiając postawę i równając szereg; zupełnie tak samo, jak instruktor równa i poprawia podstawę. Coś podobnego tylko w Rosyji widzieć można.

Po chwili Pan gubernator, generał Radiszczew, wzrostu mierzego, krępy, nieco otyły, a raczej pękaty, blondyn, twarzy pełnej, rumianej, około czterdziestu kilku lat mający i przyjemnej fizyonomii, wszedłszy do sali, skłonił się skinieniem głowy, ale nie powiedział *zdrawstujcie rehjata*, i w milczeniu po kolei odbierał prośby; na niektóre natychmiast ustnie i krótko odpowiadał, a inne brał z sobą. Ja z kolei oddałem mu także moją prośbę, w której go prosiłem o udzielenie mi pozwolenia pobytu na rok jeden i na całą gubernią podolską, a to dla łatwiejszego wyszukania dla siebie miejsca na nauczyciela języka francuzkiego. Przeczytawszy prośbę, wziął ją z sobą, ani słowa ze mną niemówiąc, z czego byłem bardzo zadowolony. Wkrótce, bo w parę dni potem, i po złożeniu mojego pasportu z wizą ambassadora rossyjskiego w Wiedniu, w biurze gubernium, wydano mi z niego pozwolenie pobytu na rok cały i na gubernią podolską. Dostawszy podobne pozwolenie, ledwie mógł sam sobie i oczom mym wierzyć, że to była rzeczywistość; a w duszy ledwie się posiadał z radości, zdawało mi się, że Bóg czuwa nademną i wspiera moje szczere i bezinteresowne zamiary.

Zabezpieczywszy tym sposobem moją osobę przed



władzami rossyjskimi, potrzeba mi było koniecznie jeden usprawiedliwić przed niemi powód mojego do Kamieńca przybycia; słowem, potrzeba było wziąć się do dawania lekcji języka francuzkiego. Ale na to potrzeba było pierwój otrzymać pozwolenie od dyrektora gymnazium kamienieckiego, którym był podówczas Pan Woszczanin. Udałem się tedy dnia jednego do niego, z zamiarem otrzymania pozwolenia dawania lekcyj w gymnazium, a to jedynie dla zasłouienia się jeszcze więcej przed władzami rossyjskimi. Przybywszy do niego, przelożyłem me zdanie, rozumie się samo z siebie, że po francuzku. Rozumiał dobrze wszystko, com mu mówił, ale sam niemógł się płynnie we francuzkim języku tłómaczyć; wezwał tedy do pomocy swą żonę, która przyszła wraz z małą córeczką: rozinawiałem zatem z dyrektorem przez tłómacza. Zabawne było moje położenie, bom po rossyjsku umiał tak dobrze, jak po francuzku, podwójną zatem odbierałem odpowiedź. Dyrektor mi odpowiedział: „że podług przepisów ministra oświecenia obowiązujących wszystkie gymnazia, chcąc być nauczycielem przy jakimkolwiek gymnazium, potrzeba naprzód złożyć examen przed komisją na to ustanowioną i otrzymać od niej patent;“ odpowiedziałem: „że gotów jestem złożyć examen i chętnie chcę dopełnić tego przepisu.“ „Ale to niedość na tem, dodał dyrektor: aby być przypuszczonym do examinu, potrzeba z sobą mieć świadectwa.“ „Mam pasport, który złożyłem w gubernium i otrzymałem pozwolenie pobytu na jego mocy.“ „Sam pasport nie jest dostatecznym; oprócz niego potrzeba mieć koniecznie z sobą metrykę urodzenia, świadectwo konduity od władz właściwych, i dowody, gdzie i czem Pan się dotychczas trudnił.“ Pomyślałem sobie, to cokolwiek trudniej jak zdać examen. Ale natychmiast odpowiedziałem: „że nieprzewidując wcale przypadku, w którymby wyż rzeczone dowody były mi koniecznie potrzebne, i jako nie miejscowy, nieznając wcale, ani zwyczajów, ani przepisów obowiązujących w państwie rossyjskiem chcą-

cego być nauczycielem, wcalem się w takowe dowody nie zaopatrzył; bom mniemał, że sam pasport już takowe obejmuje. Mogę jednak z czasem i tych dowodów dostarczyć. Dla odległości jednak miejsca, méj nieobecności, trudnościach i wydatkach zwykle towarzyszących wyciągowi dowodów, niemogę Panu naznaczyć terminu, w którym one mogą mi być nadesłane; i Pan bardzo łatwo sam to pojmujesz.“ „Bez tych dowodów Pan żadnym sposobem być niemożesz nauczycielem w gimnazjum; ale nim takowe nadejdą, Pan możesz tymczasem dawać lekye w prywatnych domach, chociaż podług naszych przepisów i na dawanie takich lekcyj potrzebaby mieć także dowody, ale ponieważ Pan ich się spodziewasz, możesz zatem tymczasem trudnić się prywatnemi lekcyami, o które tutaj wcale nietrudno, ale ja Pana ani na piśmie, ani ustnie do tego upoważnić niemogę. Mimo to jednak Pan możesz spokojnie zająć się obowiązkami swojego powołania.“ Tego mi właśnie potrzeba tylko było.

Woszczanin rozmawiał ze mną z wielką uprzejmością, bez żadnych moskiewskich wyskoków; widać w nim było ukształcenie moralne i umysłowe, i zapewne został dyrektorem nie z ukazu i z zasług, ale z nauki (nie po ukazu i po zasługam no — po naykam). Ale m zauważał, że jego żona, młoda i dość ładna kobieta, rzucała na mnie, to jest: na moję brodę i na moję osmoloną cerę wzrok pewnej bojaźni i wstrętu; w końcu niemogła wytrzymać, i rzekła po rossyjsku i na głos do męża: „Jakże okropną fizyonomią ma ten człowiek: wzrok jego sprawia we mnie mimowolne drżenie i wstręt; nie chciałabym nigdzie sam na sam z nim się spotkać. Nieprawdaż duszko (duszeńka), że wzrok jego jest przerażający, a twarz surowa?“ Woszczanin spojrzawszy na mnie, jakby z niechcenia, rzekł do swojej lubej połowicy: „To ci się tak zdaje, jest człowiekiem jak każdy inny; prawda, że ta jego broda czarna i opalona cera, dodaje mu pewnej surowości, ale ja w nim niewidzę nic okropnego.“ Żona

jego pokręciwszy tylko głową, jakby na znak przeczenia, nie nieodpowiedziała, a ja pomyślałem sobie: Pani, jako duch moskiewski, masz może przeczucie, żem duch polski, i dla tego drzysz mimowolnie. Ale jako kobieta, a do tego młoda i ładna, wcale się niemasz czego mnie obawiać. Skłoniwszy się, wyszedłem, i odtąd nigdyśmy się z sobą niewidzieli.

Zabezpieczywszy się pod wszelkim względem tak co do mojej osoby, jak i do dawania lekcyj prywatnych, chciałem podług ułożonego planu, zacząć naprzód mój nowy zawód w domu jakim rossyjskim. Tymczasem rozgłosiło się w Kamieńcu, że przybył Francuz (gdyż za takiego mnie miano, choć pasport był angielski) na nauczyciela, i kilka w tym względzie otrzymałem wezwań, ale nieodpowiadających wcale moim widokom i celom, gdyż wzywający byli wszyscy Polacy, a następnie mogący się łatwo skompromitować, gdyby mnie wytropiono; mnie koniecznie potrzeba było Rossyanina. Wymawiałem się tedy jak mogłem i pod różnemi pozorami. Okoliczności, czy z większą pewnością, sam Bóg zrządził lepiej niż myślałem.

Był w Kamieńcu młody, niezonaty urzędnik rossyjski Dmitrenko, pracujący w wydziale izby skarbowej (kazionnaj Polaty), a rodem gdzieś tam z kurskiej gubernii czy orłowskiej. Niewiem zkąd mu chęć przysła uczyć się po francuzku, chociaż dwadzieścia sześć lat już mając, czytać po frnacuzku jeszcze nie umiał; ofiarował mi u siebie stancyą i herbatę rano i w wieczór z przekąską, czyli śniadanie i podwieczorek; za to winienem był z nim w godzinach wolnych od bióra po francuzku rozmawiać, i czytać go czytać; zresztą cały dzień był do mojego rozporządzenia zostawiony; mogłem gdzieindziej dawać lekye. W mojem położeniu i w moich zamiarach lepszej i pomyślniejszej okoliczności zdarzyć się nie mogło; pochwyliłem ją też z prawdziwą radością, prawie z uniesieniem; odmówiłem innym, co mnie do siebie na stancyą

w Kamieńcu zapraszali, albo którzy mnie wzięść chcieli do domu na wieś, a stanąłem z Dmitrenkiem, urzędnikiem rossyjskim, Moskałem, ja Polak, emigrant polski, wracający do ojczyzny z zamiarami pozbycia się z niej, jakimbądź sposobem i kosztem, Moskali.

Z dotychczasowego mojego w Kamieńcu postępowania, komużby z Rossyan, komu z urzędników i czynowników rossyjskich, komu nawet z policyi jawnej i tajnej, któremu ze szpiegów z najpodejrzliwszym okiem, z najbystrzejszym umysłem, mogło przyjść na myśl, że mogłem być człowiekiem nietylko niebezpiecznym systematowi dyktatorstwa, ale nawet najmniej podejrzanym? Po prostu mogli mnie uważać za przybysza szukającego chleba, i więcej temu sprzyjającego, gdzie więcej znajdzie gościnności i nagrody; a że od razu zawiązałem znajomość z Moskałami, w większą z nimi wszedłem poufalskość, powierzchowną i udaną wprawdzie, i z Moskałem urzędnikiem stanąłem na stancy; rzecz prosta, musiałem więcej Moskałom i ich rządowi sprzyjać, niż Polakom. Tak a nie inaczej mogli Moskale rozumować, jeżeli im przyszło kiedy do głowy pomyśleć o mojej figurze. Polacy także ze swej strony innego przekonania o mnie mieć niemogli. Byłem tedy i powinienem być być uważany za najmniej podejrzanego, a nawet przychylnego Moskałom, a za obojętnego i najmniej sprzyjającego Polakom. Otóż, co to się nazywa, sądzić człowieka z pozoru, a nawet w niektórych razach, ze sposobu jego postępowania! W duszy to, w sercu i w sumieniu naszym, Bóg złożył skarby cnót i obowiązków względem Niego samego, względem ojczyzny, względem naszych najbliższych braci, i względem całej ludzkości. Jeżeli się tylko poczuwamy do tych cnót i do tych obowiązków, a zewnętrzne przeszkody, a wróg ojczyzny i wszelkiej sprawiedliwości badający nietylko nasze ruchy, ale myśl i uczucia nasze, niedozwalają nam jawnie najświętszych dopełnić obowiązków, wtedy, silni naszym przekonaniem, o świętości i czystości naszych zamiarów, uży-



wajmy wszystkich dróg ostrożności i przezorności, abyśmy uśpiwszy czujność nieprzyjaciół, a przynajmniej zwiódłszy ich z toru naszych istotnych zamiarów, mogli dopiąć celu, naszych usiłowań. Mniej patryotyzmu w zewnętrznych oznakach i w słowach, a więcej go miejmy w głębi duszy i serca, a zawsze znajdziemy sposobność służenia naszej sprawie. Nie wywieszajmy godła ojczyzny, jak Faryzeusze wywieszali swe modły, módlmy się do niej w cichości i ze skrucą, a modlitwy nasze będą wysłuchane, i Polska powstanie; bośmy ją całóm ukochali sercem, bośmy za nią poświęcić się i umrzeć będziemy gotowi. Miłość tylko prawdziwa a nie pozorna Polaków ku Polsce wywoła ją z grobu do życia.

Czułem zatem, czułem nawet dotkliwie dwuznaczność pozorowego mojego usposobienia względem Polaków, ale musiałem, powinienem nawet to udane usposobienie przybrać na siebie, aby pod jego zasłoną dopełnić najświętszego obowiązku sumienia, bo obowiązku względem ojczyzny. Niczem u mnie był pozór, niczem podejrzenia, jakieby mogły ztąd względem mnie w umyśle czyimkolwiek powstać. Ja chciałem istoty rzeczy, chciałem wolności i szczęścia Polski i Polaków. Czym się wywiązałem, jakem był powinien, z długu względem ojczyzny, niech Bóg sam mnie w tém sądzi, ja tylko później przytoczę fakta. A ci którzy mnie bliżej poznali, niech powiedzą, czy w ich przytoczeniu choć trochę nadweryżylem prawdę?

Dmitrenko miał dwa pokoje: w pierwszym stałem ja, a w drugim on. Wstawszy rano, do godziny, kiedy podawano herbatę, uczyłem go czytać, w czasie herbaty i aż do wyjścia jego do bióra, rozmawiałem z nim po francuzku, to jest: ja mówiłem, a on mnie słuchał, nie nierozumiejąc. Był bardzo tępego pojęcia i z wielką trudnością wymawiał francuzkie wyrazy, tak, że trudno było pojąć ich prawdziwego znaczenia. Taki sposób uczenia i uczenia się, trwał przeszło tydzień cały. Dmitrenko postrzegł, że nieumiejąc nie po francuzku, a nawet niero-

zumiejąc, bardzo mało korzystał; bo nierozumiał, com do niego mówił, lub co mu wykladałem, wziął się tedy na sposób: chciał mnie uczyć po rosyjsku, aby w języku rosyjskim wykladać mu i tłumaczyć tak znaczenie wyrazów, jak i frazesów francuskich. Śmiałem się w duchu z jego projektu, ale nietylko go potwierdziłem, ale owszem okazywałem bardzo wielką ochotę do nauczenia się języka rosyjskiego i bardzo mu dziękowałem, że się chciał podjąć téj pracy, bo, powiadałem jemu, moim zamiarem jest udać się później w głąb Rosyi, gdzie, jak slyszalem, dobrze nauczycielom francuszczyzny placą, w czém on sam mnie utwierdzał dla dodania mi otuchy prędszego i pilniejszego nauczenia się. Ale, ponieważ najwięcej mi o to chodziło, abym jak najmniej pozornie umiał po rosyjsku, więc okazywałem bardzo wielką trudność tak w wymawianiu, jak w nauczeniu się liter i wyrazów, i umyślnie zapominałem dawniej niż jemu znane mi wyrazy. Zaczął od nauczania mnie najpowszechniej używanych wyrazów rosyjskich, powtarzając je kilkakrotnie; powtarzałem za nim, wymawiając i koślawiąc z francuzka, ale po chwili umyślnie zapominałem, albo znaczenie jednego wyrazu brałem za drugie. Później zaczął mnie uczyć abecadła. Ponieważ głoski rosyjskie, wcale są odmienne od łacińskich, nauka szła jeszcze trudniej; a kiedy przyszło do głoski *ж* (piszącej się po rosyjsku *ж*), zastanowiłem się nad nią, i przypatrzywszy się jej dość długo, zacząłem się śmiać i zapytałem go, czy i to także jest głoska? Dla czego? odpowie. Bo mi się zdaje, że ja widzę pluskwę (*car il me semble que je vois là une punaise*) — *qu'est-ce une punaise? un petit animal*. Niezrozumiawszy, poszedł do dykcyonarza, a znalazłszy znaczenie wyrazu, jak się zaczął śmiać, powtarzając: *jeto prawda, jeto prawda* (to prawda, to prawda), ach sukin syn Francuz; sądziłem, że dostał serdecznego śmiechu. Odtąd niepodobna było czytać po rosyjsku, bo jak tylko mu pokazałem głoskę *ж*, to było dostatecznym, aby się śmiał pół-

godziny; więc cała lekcya języka rossyjskiego poszła za nic, a myślny rozmawiali po francuzku.

Czasami Dmitrenko wymawiał mi, że jestem niepilny, niedbały, a ja mu wymawiałem, że on języka francuzkiego, nierównie łatwiejszego nauczyć się niemoże; trzeba jednak przyznać, że on nierównie więcej odemnie skorzystał, bo po miesięcznym z nim pobycie, mógł się po francuzku jako tako w pospolitych rzeczach rozmówić, a przynajmniej rozumiał, com do niego mówił. Gniewał się jednak na mnie, że nieumiałem po rossyjsku dla wytłómaczenia mu języka francuzkiego, i uskarżał się w mojej obecności, przed tymi, co go odwiedzali, na tępość mej pamięci, mówiąc: „Djabli wiedzą, jaka to twarda ta francuzka głowa; jak go nauczę dziś jakiego wyrazu po rossyjsku, nazajutrz nie niewie: albo chleb nazywa wodą, łyżkę widelcem, a bōty czapką; a jak wymówi jaki wyraz, to tak śmiesznie, że kolek od śmiechu można dostać.“ Co utwierdzało wszystkich więcej i więcej, że jestem istotnie cudzoziemiec, a moje pierwsze zabranie znajomości z Moskalami, i że tak powiem, zbratanie się z nimi, oddalało wszelkie pozory nietylko że jestem Polak; ale że nawet kiedykolwiek słyshał o Polsce. Mój Pan Dmitrenko tak był przekonany o mojej zupełnej nieznanności rossyjskiego języka, że po kilku tygodniach z nim stania przyszedłszy raz z jednym kolegą, cokolwiek podochocony, wziął mię za ramiona i zaczął mówić po francuzku; później chcąc nieco sobie pożartować ze mnie sposobem odpowiednim jego wychowaniu, jego narodowości, i stopniowi jego ukształcenia, pilnie mi patrząc w oczy, zaczął po moskiewsku mówić: „Ty francuzkaja świnia, durak, niczewo nieponimajesz, mat' twoja... tak i tak... Moszennik, sukin syn“ itd., słowem, powtórzył cały słownik grzeczności i komplementów rossyjskich. Śmieliśmy się obaj, on z przekonania, że wcale nierozumiem znaczenia wyrazów, jakie mi powtarzał bezkarnie, ja zaś z błędu, w którym on zostawał, i śmiałem się nierównie

szczerzej; ten co patrzył, śmiał się z nas obu. Nareszcie obracając się do swego kolegi Dmitrenko, rzekł: „Można jego sprzedać, a on się tylko będzie śmiał, jednak jakem go poznał, to jest dobry człowiek choć Francuz, czy czort jego zna, kto on tam taki.“

Ja także mogę powiedzieć o Dmitrence, że choć prosty i nieukształcony, był jednak bardzo dobrym człowiekiem; spokojny, cichy, łagodny, pełnił swój obowiązek akuratnie, choć nie z wielką ochotą, często się uskarżał na swój los nieszczęśliwy i na zawiedzione nadzieje: kiedy się między nami zawiązała pewna poufalość, lubił się przede mną wynurzać z najskrytszemi swemi myślami i uczuciami; lubił bardzo Polki, i miał się ku jednej na dobre, ale podobno nie dla psa kielbasa. Porównyując Moskiewki z Polkami, tym ostatnim pod każdym względem oddawał pierwszeństwo, ja nawet sędzę, że z tego powodu mógłby się przerobić na Polaka. Jednak, kiedy mi mówił o swém do Polek przywiązaniu, to mi się niepodobało: czułem jakby jaką zazdrość za pleć, wstręt i nienawiść ku Moskalom za jój poniżenie, bo ja uważam za istotne poniżenie Polki, kiedy wychodzi za jakiego cudzoziemca, szczególnie za Austryaka, Prusaka lub Moskala. Moskale w ogóle są łakomi na Polki, ale jest to powód więcej do odrzucenia ze wstrętem uczuć niegodnych prawej Polki. Niestety! tak nie jest. Ileż to naszych rodaczek, i to z dostojnych nawet rodzin, oddało swe serce za serce tchnące nienawiścią i zemstą ku naszej narodowości, ku naszemu nawet imieniu, i związało swe dłonie świętokradzko, u ołtarzy Boga cnót, sprawiedliwości i wszelkiej moralnej piękności, z dłońmi zbrczonemi we krwi rodzonych ich ojców i braci; o wyrodne córki ojczyzny, jak wyrodni są rodzice pozwalający na podobne związki!

Kiedy Dmitrenko wynurzał się ze swemi affektami ku Polkom, mówiłem mu, że jest złym patriotą, dając pierwszeństwo cudzoziemkom nad rodaczkami, on mi od-



powiadał: że teraz wszystko to jedno. A kiedym go zapytał o przyczynie tego pierwszeństwa dla Polek, on mi swoją francuszczyzną na to odpowiadał: *Voyez-vous Monsieur Monsieur Catharro, les Russes sont gros et pas délicatesse, et les Polonaises sont comme ça délicatesse, délicatesse, sont très délicatesse*; mówiąc to, aż cmokał, aż mu się oczy świeciły. Takie wielkie łakomstwo mnie od niego zrażało, odpychało. Mimo jego ufnosć we mnie, nie mogłem mu ufać w ważniejszych rzeczach, i nie tylko żadnym słowem, ale nawet żadnym ruchem przed nim się nieodkryłem. *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Stojąc jeszcze z Dmitrenkiem, z którym najwięcej dwie lub trzy godziny na dniu miałem zatrudnienia, i to tylko rankami i wieczorami, zacząłem dawać lekcyje prywatne godzinami naprzód młodym ludziom Polakom w Kamieńcu mieszkającym, za bardzo małą cenę, a później znalazły się lekcyje nierównie korzystniejsze, pod każdym względem. Tymczasem w godzinach wolnych od zatrudnień chodziłem i rozpatrywałem się po całym Kamieńcu, po jego spacerach, a szczególnie po Łubianowu, miejscu zwykłej przechadzki całej publiczności; zabierałem otwarcie i ze wszystkimi znajomości, a ponieważ wiele osób mówiących po francuzku było w Kamieńcu, znajomości zabierały się z łatwością. Słowem, po dwumiesięcznym pobycie, tak doskonale udało się mi zamaskować, że całe miasto, które mnie znało jako cudzoziemca, było przekonane, że istotnie nim byłem; a nazwisko Catharro często powtarzane, tak oswoiło moje uszy, że często zapominał, że się nazywam Piotrowski. Ztąd pochodziło, że bardzo wielka liczba ludzi, a szczególnie młodych, jedynie przez ciekawosć i dla dowiedzenia się czegoś o cudzoziemczyźnie, niemając i mieć niemogąc żadnego podejrzenia kim byłem, przybliżała się do mnie i rozmawiała ze mną po francuzku jawnie, głośno, publicznie w przytomności samego gubernatora, urzędników i policyi. Wypytywano mnie się naprzód o fraszki zagraniczne, później

przy sposobności o ważniejsze rzeczy, opowiadałem to wszystko jak i gdzie stosownie do osób i miejsca mogłem opowiedzieć. W zamian, jako cudzoziemiec, wypytywałem się o Polskę, o zwyczajach, o zabawach, a niby nawiasem i z toku mowy, wpadałem na zapytania, o więcej mnie zajmujących rzeczach. Z początku musiała być wielka zobopólna ostrożność, tak w zapytaniach, jak i w odpowiedziach, bo to było pod rządem rossyjskim. Po pierwszym, drugim i trzecim widzeniu się, następowała większa śmiałość i ufność. Z rozmów, z myśli, z uczuć, starałem się poznać i rozróżnić ludzi, wybierałem swoich, wiedziałem co z którym mogłem mówić. Jednych zbywałem żartami, lub drobną, nieznaczającą rzecz opowiadaniem, z drugimi rozumowałem o wznioślejszych przedmiotach, o położeniu Polski, o przyczynach jej nieszczęść, napomykałem czasami, jeśli poznaj kogo lepiej, o sposobach, jakimi możnaby w smutnym Polskiej położeniu, jej dopomagać, przed innymi udawałem zupełną, nawet najzupełniejszą obojętność dla Polski i Polaków; przed niektórymi z prawdziwym moim i szczerem dla nieszczęść i klęsk Polski odkryłem się uczuciem, a byli nawet tacy, przed którymi potrzeba mi było nie tylko potakiwać, ale nawet chwalić rządy Mikołaja. Wszystkie te rozmowy były jakby tylko przypadkowe, i z kolei w rozmowie wiążących się przedmiotów wynikały, niemające i nie mogące mieć żadnej barwy politycznej, ani politycznego znaczenia. Brano mnie za cudzoziemca, przed którym śmielsi i więcej czujący nieszczęścia swój ojczyzny, wyrzucali się z swymi cierpieniami, a którego chcieli tylko obznajomić i objaśnić o rzeczywistym stanie, w jakim Polska się znajdowała.

Po tych dorywczych rozmowach, po ludziach, z którymi rozmawiałem, sądziłem o stanie Polski i usposobieniu umysłów. Byłem czasami pełen nadziei, a czasami zupełnie mnie objęło zwątpienie. Usiłowałem jednak w tym ostatnim razie krzepić się ufnością w Boga i w jego spra-

wiedliwość, a tymczasem kierowałem się z mojami skrytemi zamiarami, jak tylko okoliczności mogły mi pozwolić.

Chociaż mi było bardzo dobrze i wygodnie stać u Dmitrenki, z tem wszystkiem położenie moje było bardzo przykre; ta ciągła ostrożność, ta nieustająca bacność na siebie, aby się czasem, przypadkiem, z jakim niewymówić słowem, lub niezdradzić ruchem, była dla mnie męczącą; żyłem w stanie nienaturalnym, przymusowym. Można się przymusić na czas jakiś, ale dzień i noc mieć się na ciągłej bacności, to prawdziwie było do nieznieśnienia. Mogłem przytem przez sen coś po polsku powiedzieć, jakieś słówko polskie wymówić, to dość, aby wszystko było straconem, abym i sam zginął. Musiałem tedy, że tak się wyrażę, i we śnie nad sobą czuwać. Z tego zatem powodu, a szczególnie przekonany, że wszyscy i wszędzie mają mnie li tylko za cudzoziemca, chciałem osobną dla siebie mieć kwaterę, aby przynajmniej bez świadka można było czasami choć powzdychać swobodnie. I dla tego po kilku tygodniach z Dmitrenkiem stania, pod najprzyzwoitszemi pozorami, podziękowałem mu za jego gościnność, dobroć i uprzejmość, przeniósłem się na inną zupełnie osobną stancją. Chociaż mu to przykro było, musiał jednak zezwolić, a ja mu przyrzekłem, że kilka godzin na tydzień będę do niego przychodził dla francuzkiego języka, co i dotrzymałem. A ponieważ jego znajomość i pewna z nim zażyłość była mi konieczną dla pozorów, utrzymywałem więc ją póty, aż póki nie wyjechał do Petersburga dla starania się o lepszą posadę przez protekcyą, jaką spodziewał się tam znaleźć.

Od Dmitrenki przeniósłem się do Szadbeja, starego dziwaka, który śród największych letnich upałów chodził ciągle w lisić szubie. Ten jednego ranka spotkawszy mnie u swęj bramy, rzekł: *Bona dies Domine*, a gdy mu nic nieodpowiedział, powtórzył: *Dicis-ne latine?* a gdy i tą razą nic mu nieodpowiadając poszedłem dalej, rzekł rozgniewany, ale już po polsku: „Świnia Francuz,

nawet po łacinie nieumie; jakże on może mówić i uczyć po francuzku?“ Niedługo jednak stałem u Pana Szadbeja, z wielu bowiem względów stancya była mi niedogodną. Zapomniałem uczynić wzmiankę, że w kilka dni po mojem do Kamieńca przybyciu, tak z rady dobrze mi życzących, jak i dla zastosowania się do miejscowych zwyczajów, ogoliłem brodę, zostawiwszy tylko faworyty z francuzka (collier) i wąsy; to było mniej rażącym.

Tymczasem miałem kilka miejsc na widoku, tak w samym Kamieńcu, jak i na prowincyi, dla dawania lekcyj języka francuzkiego. Nieszło mi bynajmniej o większe korzyści materyalne, ale o korzyści sprzyjające moim politycznym zamiarom, i dla tego przeniósłem dom Pani Piekutowskiej, bawiącej podówczas w Kamieńcu, jedynie dla edukacyi swych dzieci, wyraźniej mówiąc, dla tego: naprzód, że mógłbym pozostać w Kamieńcu, na czem mnie wiele zależało, gdyż byłem tuż pod okiem władzy najpewniejszej, żem cudzoziemiec, żem przybył dla chleba, nie dla polityki; słowem, żem obcy przybysz, i że bez ściągnięcia najmniejszego podejrzenia, z przyczyny mnóstwa przybywających za własnymi interessami do Kamieńca osób, łatwiej można było z nimi zabierać znajomości i stosunki. Do tych powodów dodać potrzeba następujący: że kobieta zwykle mniej się może w polityce skompromitować, niż mężczyzna; bo chociaż wziąłem za zasadę, że dom, w którymbym bawił, nigdy niepowinien wiedzieć, kim byłem w istocie, i w jakim przybyłem celu, znając jednak bardzo dobrze prawa, a raczej bezprawia i nadużycia moskiewskie, niechciałem samą mą nawet obecnością kompromitować domu, gdzieby się znajdował mężczyzna, mąż i ojciec rodziny, przypuszczając, gdybym był odkrytym; gdyż wówczas nicby go nieuratowało ze szponów władzy, ani jego zupełna niewiadość rzeczy, ani najczystsza niewinność przed niemi; a cały majątek poszedłby na pastwę skarbcu despoty. To był u mnie akt sumienia, jakiego po mnie wymagały uczciwość, ludzkość



i dobrze zrozumiany interes samej ojczyzny. Żadnych, a jeśli inaczej niemożna jak najmniej skompromitowanych; to było moją zasadą, moim aktem wiary, od którego nigdy nie odstępiałem. Przytém w moim systemacie działania, kobiety miały być wyłączone od udziału i tajemnie w pokątnych czynnościach politycznych, przynajmniej początkowych; nie dla tego, aby mniej zasługiwały na zaufanie, abym mniej miały uczuć patryotycznych i poświęcenia się za nie, owszem pod tym względem przynaję im wyższość nad Polakami, ale jedynie przez wzgląd na zbytek uczuć ich serca, a ztąd i na słabości płci ich właściwe. Pod każdym zatem względem dom Pani Piekutowskiej był mi dogodnym, tak dla moich widoków politycznych, jak i dla tego, że na wszelki wypadek nie mógł być skompromitowanym, a przynajmniej bardzo mało.

W domach uczeiwych polskich, nim przyjmą cudzoziemca na nauczyciela do dzieci, chcą go naprzód poznać i o ile możności zbadać jego moralność. Pani Piekutowska, która potrzebowała nauczyciela dla córek, a słysząc o mnie, życzyła naprzód ze mną się widzieć dla ocenienia mnie i dla przekonania się, czy mój wiek pozwoliłby mi być nauczycielem córek. Podobne postępowanie matek bardzo pochwalam. Zawiadamia mnie tedy przez swojego kuzyna Longina Zwinogrodzkiego, który przyszedłszy do mojego mieszkania i oświadczywszy mi po francuzku życzenie Pani Piekutowskiej, odwraca się do swego znajomego i bez żadnej żeny, niedomyślając się nawet, że Polak, rzekł do niego po polsku: „A wiesz: że tego Francuza poprowadzę na pokaz do mojej ciotki i moich kuzynek, którym ma dawać lekye; ale potrzeba, aby się pierwój mógł podobać, to jest: aby miał przynajmniej lat ze czterdzieści; ale jak mi się zdaje, jeżeli niema czterdziestki, to blisko niój krąży, pewno się podoba i biore go jak swego.“ Niezważając na ten komplement pochlebny i ubliżający, ubrawszy się poszedłem.

Zastąpiłem Panią Piekutowską w porządnym, dobrze

umeblowanym, i bardzo czysto utrzymanym salonie, siedziała w fotelu, miała około lat czterdziestu, dość poważnej tuszy, twarzy pięknej i dziewiczej prawie czerstwości. Powitawszy mnie uprzejmie, oświadczyła mi powód, dla którego mnie wezwała. Rozmawiając ze mną po francuzku, uważałem, że wybierała przedmioty poważnej treści, a z ich mojego rozwiązania, zdawała się wnosić i sądzić tak o mojej moralności, jak i zdolnościach nauczycielskich. Widać, że jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w części znalazła we mnie to, czego dla dzieci życzyła; bo po godzinnej przeszło rozmowie, zapytała mnie, jakiegobym żądał za pracę wynagrodzenia? oprócz stołu i stancyi, które mi ofiarowała. Tu dopiero moje położenie było bardzo przykre. Nieprzywykły do podobnych umów, niewiedziałem, jak to powiadają zkaąd zacząć. Ale przypomniawszy, że nauczyciel francuzczyzny, zacenilem bardzo wysoko i targowałem się prawdziwie *comme un maître de langue*, dla zniszczenia pozoru podejrzania. Kiedy umowa była już zawartą, drzwi się poboczne otworzyły i weszły do salonu dwie panny, jedna piętnaście, a druga szesnaście lat skończonych mająca. Pani Piekutowska rzekła do mnie: „rekomenduję Panu przysze jego uczennice,“ były to córki Pani Piekutowskiej. Młodsza Matylda, a starsza Olympia. Spojrzawszy na nie, pomyślałem sobie: szkoda, że muszę być waszym — tylko nauczycielem i że niemam przynajmniej jednym dziesiątkiem lat mniej; bo były hoże i mile panny, jak to zwykle Polki, a jeszcze niewychowane za granicą. Matka im oświadczyła na głos po polsku: zdaje mi się, że to jest człowiek poważny, rozsądny i nie trzpiot, jak to zwykle Francuzi bywają; może zatem być waszym nauczycielem i jużem go przyjęła; a córki odpowiedziały jednogłośnie: jak mama chce.

Znalazłszy się sam na sam z trzema Polkami, w polskim domu, widząc tę powagę i godność tak w matce jak w jej młodych córkach, patrząc na ich oblicza pełne do

broci, uprzejmości i szczeroty ze szlachetnością połączonej, przypomniały mi się dawniejsze przedjedenaścieletnie czasy; przykro, tęskno i przyjemnie mi się zrobiło: chciałbym z nimi otwarcie i szczerze pomówić. Prawie wyrzuciłem sobie, że muszę przed nimi uchodzić za kogo innego, niż byłem w rzeczy samej. Ale wspomniawszy na me położenie i obowiązki, jak i na następstwa, jakieby mogły wyniknąć tak dla mnie jak i dla nich z mojego przyznania się, postanowiłem być dla nich nie kim innym tylko nauczycielem i Catharro.

Podług umowy, miałem tylko na dzień dwie godziny z rana od dziewiątej do jedenastej zatrudnienie z panienkami: to jest miałem im wyklądać ważniejsze i trudniejsze prawidła grammatyki francuzkiej, poprawiać kompozycye francuzkie, które albo na pamięć pisały z danego jakiego tematu, albo tłumaczyły z polskiego, resztę zaś czasu zbywającego miałem użyć na rozmawianie z nimi dla wprawy, bo chociaż dobrze czuły ten język francuzki, potrzebowały jednakże jeszcze wprawy do płynnego w nim wysłowienia się. Reszta dnia a raczej cały dzień był do mojego rozporządzenia i mogłem dawać lekcyje prywatne gdzieby mi się takowe otworzyły; oprócz stołu i stancyi, ofiarowano mi za to w pieniądzach dość przyzwoitą nagrodę, ale już nie pamiętam w jakiej ilości. Tylko w Polsce można tak łatwo zarabiać na życie.

Przeniósłem się zatem około połowy miesiąca maja do mieszkania Pani Piekutowskiej i stałem wraz ze starszym jej synem Konstantym mającym lat trzynaście a chodzącym do gimnazjum w Kamieńcu; w chwilach wolnych od szkoły mówiłem z nim po francuzku dla wprawy i niektóre reguły grammatyki objaśniałem. Myśmy we dwóch stali w drugiej stancyi, a w pierwszej kuzyn Pani Piekutowskiej Zwinogrodzki, ale nie Longin, imienia jego niepamiętam; miał lat około 25, spokojny, łagodny i w nic się niewdający, chociaż stał wraz ze mną, nigdy

jednak niewiedział kim byłem, rozmawialiśmy tylko po francuzku, i miał mnie ciągle za Francuza.

U Pani Piekutowskiej zacząłem dopiero żyć prawdziwie po polsku, stół wyborny i obfity, towarzystwo przyjemne i mile; stancyja czysta i w wielkim porządku utrzymywana, słowem na wygodach życia wcale mi nie zbywało, a w miesiąc później, kiedym chciał na się włożyć spodnie od wielkiego święta, którem jeszcze we Francyi kazał zrobić, a które nawet były za przestronne, na nie mi się nie przydały, bo były tak ciasne, że wciągnąć ich na siebie niemógłem; takem nabrał ciała i tuszy i zdrowie tak mocno nadwerężone, prawie zupełnie odzyskałem. Kiedym pierwszy raz siadł do stołu, na pierwsze danie tego dnia był doskonały baszcz z rurą. Matka i córki zapytały, czy jadłem kiedy podobną potrawę, bo podobno w Francyi ani we Włoszech jęj nieznają? Musiałem odpowiedzieć że nie jadłem, anim nawet widział. To Panu nie będzie smakowała? Istotnie musiałem udać, że mi niebardzo smakowała i wzięwszy kilka łyżek do ust jeść przestałem, chociaż, jak to mówią, jadłbym był oczywiście. Ale później przyzwyczajwszy się niby, wynagrodziłem tę stratę, bo chociaż byłem Francuzem, czy Włochem, jadłem prawdziwie po polsku, bom miał dobry apetyt. U stołu rozmawiałem zwykle po francuzku, ale czasem potrzeba wypadła, że musieli mówić po polsku, szczególnie kiedy chodziło o coś takiego, o czém ja wiedzieć niepowinienem; wówczas to moje położenie było przykre, bo rozumiejąc wszystko musiałem udawać, że nierozumiem, czasem aż mi krew biła do głowy od śmiechu, który przymuszony byłem w sobie przytłumić, a kiedym już niemógł wytrzymać, to musiałem udać, że mi się zakrzuszył jedząc.

Lekcja od dziewiątej do jedenastej godziny z Panami, nietylko że niebyła dla mnie przykrém zatrudnieniem, ale prawdziwą rozrywką; szedłem na tę lekcję nietylko z ochotą, ale z wielką przyjemnością; chętniebym



ja dawał bez żadnej zapłaty. Z początku kilku lub kilkunastu lekeyom Pani Piekutowska sama była przytomną, ale zapewne poznawszy mnie lepiej, więcej sobie tej pracy nie zadawała. Przytém w ogóle Polki tak mało cenią Francuzów, a szczególniej nauczycieli francuzczyzny, że miałyby sobie za wielkie ubliżenie, gdyby o czém inném, jak o lekeyi, mógł pomyśleć; a na najgrzeczniejszy, lecz niestosowny komplement, otrzymałby w odpowiedzi, spojrze-  
nie, wymowniejsze nad słowo, lecz pełne pogardy.

Po obiedzie zwykle przepędzaliśmy godzinę czasu w salonie na pogadance, na rozmowie po francuzku. Na przedmiotach rozmowy wcale nam nie zbywało. Moje miłe uczennice rozpytywały mnie się o Francyi, o jój zwyczajach, o sztukach pięknych, o szczególnych miejscach itd. Ja ze swój strony rozpytywałem ich o Polsce, o zwyczajach polskich, o położeniu i stanie ich ojczyzny i t. d. Opowiadały mi z ochotą i przyjemnością o jój przeszłości, o jój dawniej sławie i świetności, o cnotach przodków, lecz kiedy przyszło mówić o terażniejszym Polski stanie, to w tak żywych kolorach przedstawiały mi jój nieszczęścia, klęski i cierpienia, że czułem się nieraz opowiadaniem młodych dziewcząt wzruszony; mówiac o Polsce, widoczném było, iż chciały mnie przekonać o czystości i sprawiedliwości sprawy polskiej, wymawiały błędy narodowe, a powód nieszczęść składały na zewnętrzne okoliczności, na chciwość silnych a niesprawiedliwych sąsiadów, i na obojętność Europy, a szczególniej Francyi; a kiedy przyszło mówić o waleczności Polaków, to w ich mniemaniu nie mogło być dzielniejszych nad nich na całym świecie; słowem, we wszystkiem i nad wszystkimi narodami Polacy u tych młodych i miłych Polek mieli pierwszeństwo; ja przyznawać musiałem pierwszeństwo Francuzom.

Przyszła mi jedną razą chęć wystawić patryotyzm moich młodych uczennic na próbę, zacząwszy tedy od pochwał dla Francyi, które wspierałem dowodzeniami, prze-

szedłem do Polski i między innemi powiedziałem, że najlepszy dowód, że Francya miała zawsze i ma wyższość nad Polską, jest, że dotychczas jest wielką, silną, szczęśliwą i niepodległą; a co się tyczy Polski, to z tego wszystkiego, coście Panie mi dotąd o niej powiedziały, widzę że były w niej, to jest w części narodu, wielkie cnoty, wielka waleczność, ale ten ostatni przymiot i najdzikszym narodom jest właściwy; że były w niej wielkie poświęcenia się, ale nie było ani ładu, ani porządku, koniec końców, że Polska nie umiała, czy nie mogła obronić swęj niepodległości i ją utraciła, ze skutków potrzeba sądzić o przyczynach. Naród który nie był w stanie obronić swęj niepodległości i który ją stracił, zasłużył na los który go spotkał i niema powodu na ten los się uskarżać; bo go sam sobie zgotował. Tu potrzeba było widzieć ich zapał i uniesienie, gorącą chęć i gorliwość w obronie i uniewinnieniu Polaków; że szlachetność Polaków dla Francyi ich zgubiła, że Francya dla Polski była zawsze niewdzięczną, że ich zawsze opuściła w najtrudniejszym położeniu itd., a gdym ciągle bronił Francyi, przestały ze mną mówić po francuzku, a idąc za szlachetnem uczuciem co ich rozrywało serca, jedna z nich na głos przy mnie rzekła po polsku: „A glupi Francuz, nie zna naszej historyi i śmie o Polsce tak ubliżającym sposobem mówić i jeszcze swoim Francuzom, tym trzpiotom i błaznom daje pierwszeństwo nad naszymi Polakami; nie gadajmy z nim o tem, mówmy z nim lepiej o gramatyce, to jego rzecz.“ One się na mnie gniewały, a tym ich gniewem prawie do łez byłem wzruszony, i jedynie przez wdzięczność za ich tak gorące ku Polsce uczucie i przywiązanie byłbym chętnie stopy ich ucałował; ale musiałem udać że tego co mówiły nierozumiałem, a moję dla nich wdzięczność skryłem w sobie samym. Długo się na mnie dąsały kochane moje Polki, nim przyszedłem z niemi do dawniejszēj zgody i to uniewinniwszy się pierwēj niewiadomością historyi polskiēj. Tu także winienem dodać, że od czasu upadku

naszej rewolucyi listopadowej, sympatya dla Francyi i Francuzów w Polakach i w Polsce zupełnie ostygła. Po prostu, im Polacy nie ufają i mają ich tylko za oszustów politycznych, za zdrajców sprawy polskiej. Ta oziębłość dla Francyi, kto wie, czy nie nosi w sobie zarodków rzeczywistego przeznaczenia Polski.

Było nas w Kamieńcu, oprócz dawno w nim osiadłego i mającego dorosłe już córki, trzech Francuzów niedawno tam przybyłych; jeśli się godzi nazwać Francuzami mnie Angliko-Włocha, a innych dwóch Szwajcarów. Jeden z nich, młodszy, nazywał się Bardet, drugiego nazwiska nie pamiętam. Widywałem się czasami z nimi i rozmawiałem, ale to byli prawdziwi chercheurs de fortune. Nie wiem, z jakiego powodu zaczęto mnie w Kamieńcu więcej poważać, i to wkrótce po mojem przybyciu, i poszukiwać, od innych. Kilku obywateli Polaków z prowincyi, kiedym już był u Pani Piekutowskiej, tak z początku mojego do jęj mieszkania przeniesienia się, jak i daleko później, zgłaszało się lub przychodziło do mnie dla zobowiązania mnie być nauczycielem ich dzieci, a następnie i przenieść się do nich. Ale dla powodów, którem już przytoczył wyżej, to jest: dla zostania w Kamieńcu, i dla nieskompromitowania ich osób i majątku, słowem, aby na wszelki wypadek nie ściągnąć na nich jakiego nieszczęścia, nie mogłem ich żądaniu zadosyć uczynić. Ale odmawiając, potrzeba było dać powody odmówienia. Wymawiałem się tedy stosownie do okoliczności, albo przyjętym już na siebie obowiązkiem, którego podług umowy wszystkich warunków dopełnić winienem, albo umyślnie tak wysoką nakładałem cenę, że szlachcica od razu zraziłem, i byłby nierozsądnym, gdyby za francuzczyznę tak drogo płacił. Chociaż niejedną tą odpowiedzią był ze mnie wówczas niezadowolony, po schwyтaniu mnie był mi szczerze obowiązany i wdzięcznym za odmowną odpowiedź, chociaż nie wiedział o rzeczywistej przyczynie tej odmowy.

Ale jeżeli odmawiał obywatelom na prowincyi, to

z chęcią przyjmowałem lekcye w Kamieńcu, a niektóre z nich, położenie moje a nawet cel przybycia, przyjąć mi nakazywały, już to dla poznania się bliżej z sobą, już to dla zamaskowania się przed władzami. Jak z wiadomego powodu stanąłem z Dmitrenkiem, tak ten sam powód kazał mi przyjąć obowiązek dawania lekcyj kilka godzin na tydzień dzieciom byłego pułkownika wojsk rosyjskich, będącego podówczas prezesem izby skarbowej kamienieckiej gubernii, Pana Abazy. Był to bardzo dobry i uczciwy człowiek, jak na Moskala; był z pochodzenia czerkieskiego z miasteczka Abazy, i dla tego przeważano jego ojca i jego samego Abazą. Znajdował się w kampanii dwunastego roku i mocno mu się dały we znaki berenmyce francuzkie. Nie umiał sam ani słowa po francuzku, żona jego bardzo mało, jej siostra trochę lepiej, a najlepiej umiały ich dzieci których było czworo, dwie córki i dwóch synów. Dwie najstarsze córki (jedna miała z nich rok szesnasty) i najmłodszy syn, były dobre dzieci i łagodne; ale starszy, to był wierutny Moskal, złego serca, mściwy, uparty, krnąbrny, stworzony do mordów, rzezi i do pobierania pałek.

Lekcye były od godziny szóstej do siódmej wieczorem; po lekcyi dawano herbatę i rozmawiało się po francuzku, rozumie się najwięcej z dziećmi, bo dzieci najlepiej tym językiem mówiły. Oboje Państwo Abaza, jej siostra i dzieci, oprócz ich syna urwisza i riczuna, byli dla mnie, jako dla Francuza, bardzo uprzejmi, grzeczni, gościnni, a nawet szczerze przychylni; byłem lubiony w tym domu. Ale mimo te zalety i przymioty cechujące Rosyan, a które z przyjemnością, z uczuciem bezstronnej prawdy Państwu Abaza przyznaję, w całym jego domu, w całej jego rodzinie, nietylko że nie było najmniejszego współczucia, litości nad nieszczęściami, klęskami i niedolą Polski, ale owszem wszystko tam tchnęło uprzedzeniem, nienawiścią, nawet zemstą przeciw Polakom. Jego samego nigdy nie słyszałem źle mówiącego o Polakach, a ci



którzy go znali bliżej, zapewnili mnie, że jest człowiekiem dobrym, uczciwym, sprawiedliwym i surowo bezstronnym. Jeżeli tak jest, lubię i wrogowi mój ojczyzny oddać sprawiedliwość. Ale w całym jego domu tak wielka była ku Polakom nienawiść, że ze wstrętem wchodziłem do niego, jak z oburzeniem wychodziłem. I gdyby położenie moje nie zmuszało mnie do dawania w nim lekcyj francuzczyzny, dla osłonięcia się przed władzami, omijałbym go był o sto kroków, i noga moja nigdyby w nim nie postąpiła. Nieraz takie rzeczy na Polaków wygadywano, a szczególnie ten szubiennik ich syn, że choć byłem w ich przekonaniu Francuzem, ledwie się mógł wstrzymać od uniesienia; mógłbym się był nawet przez to zdradzić, bo rozumiejąc wszystko co po rosyjsku między sobą mówili, niepodobna było nie wzruszyć się, nie oburzyć. Świągotliwe dzieci są odgłosem uczuć rodziców. One mi to powiedziały, że kiedy Mikołaj miał przyjechać do Kamieńca, to wszystkich Polaków służących oddalono z domu gubernatora, w którym on miał stanąć, a na ich miejsce przyjęto na ten tylko czas służących Moskali. A to, jak mówiły, z powodu, aby się co złego carowi od Polaków nie stało. *Czuje zwierz dziki z dala myśliwego.* Pani Abaza, czy dla nadania sobie większej powagi, czyli też jaka nerwowa choroba wówczas napadała, kładła się zwykle do łóżka, kiedym ja przychodził na lekcję, i to w tym samym pokoju, gdzie się lekcye odbywały. Może to jest zwyczajem w Rosyi, iż damy przyjmują mężczyzn wizyty w łóżku, ale przyznam się, że mi to się wcale nie podobalo. Słowem, kontent byłem, kiedym wychodził z domu Abazy, a z prawdziwym, ledwie przezwyciężonym wstrętem doń wstępowałem. Co za różnica prawdziwej przyjemności i błogiego uczucia, jakim czułem w domu Pani Piekutowskiej i w innych domach polskich.

Z przyczyn myjego pseudo-imienia, i z ogólnego mniemania, że jako cudzoziemiec, nic nie rozumiałem języka polskiego, byłem nieraz narażony na zdradzenie się

mimowolnie. Stałem, jakem to już powiedział, u Pani Piekutowskiej, wraz z jej starszym synem Konstantym i jej kuzynem Zwinogrodzkiem; ten po kilku miesiącach z nim ciągłego stania, z przyczyny tępego mojego pojęcia i trudności wymawiania i nauczania się języka polskiego, które umyślnie udawałem, tak był przekonany, że nie po polsku nie rozumiem, że dla dowodu tego co twierdzę, przytaczam następujący przykład: „Jednego razu przybyło do niego kilku czy kilkunastu jego kolegów i przyjaciół, i zaczęli w mojej przytomności rozprawiać o swoich interesach familijnych, domowych, biórowych i służbowych, a w końcu o kawalerskich, jak to zwykle bywa między mężczyznami, a szczególnie młodymi; kobieta zwykle u nich jest przedmiotem ostatecznym rozmowy, jest to jakby wety po obiedzie, po ważniejszych i utrudzających rozprawach i zatrudnieniach. Jeden z nich widząc mnie przechadzającego się w drugim pokoju, zapytał na głos Zwinogrodzkiego: co to za jeden? Ten mu odpowiedział: że to jest Francuz. Ach! czy nie możnaby go zapytać i dowiedzieć się od niego o moim rodzonym bracie, który jest emigrantem z 1830 roku? Czy dawno z Francyi przybył? Kilka miesięcy dopiero; odpowiedział Zwinogrodzki. Ale daj pokój z takimi pytaniami: wszak wiesz, że nam o takie rzeczy dowiadywać się nie można, nie wolno, jak wiesz także dobrze, co za to czekać może. Chcący mieć koniecznie wiadomość o bracie, którego bardzo dobrze znałem osobiście w Paryżu, rzekł do Zwinogrodzkiego: „Jeżeli ty nie chcesz go się zapytać, to go się sam zapytam; czy on mówi po polsku?“ „Oho! rozmówisz się z nim po polsku! Kilka miesięcy już tu między Polakami bawi, a ledwo może kilka wyrazów polskich rozumie; taki osieł, taka tępa głowa. Jednak jak co mówi po francuzku, mówi do rzeczy i ma wiele wiadomości, ale co się tyczy języka polskiego, to tak głupi, jak bót, choć mu w łeb strzelaj.“ Argument był tak silny, że ledwo od śmiechu nie parsknął. Ja, co miałem

właśnie w tój chwili potrzebę wejścia do pierwszego pokoju po książkę, usłyszawszy taki na siebie wyrok, zanurzyłem natychmiast oczy i głowę do książki i skryłem się do pokoju drugiego. Chociaż stałem ze Zwinogrodzkiem blisko siedm miesięcy, nigdy i w niczém jemu się nie zwierzyłem; bo trzymając się raz przyjętój zasady, aby nikt w domu, gdzie bawiłem, niewiedział kim byłem w rzeczy samój, niechciałem, aby powierzonój sobie tajemnicy nieodsłonił Pani Piekutowskiej swój kuzynie, a przeto, aby siebie, jój i jój rodziny nieskompromitował. Bo kto o czém niewie, o tém nic powiedzieć niemoże. Jednak, gdy zostałem odkrytym, ta jego wiadomość wcale go nie wymówiła przed władzami rossyjskiemi; był wzięty także, więziony i wskazany wprawdzie na małą karę, bo tylko na ciągle mieszkanie w gubernii mińskiej bez pozwolenia kiedykolwiek wrócenia do gubernii podolskiej. Taka to sprawiedliwość moskiewska! Sędziom Zwinogrodzkiego nie mogło się zapewne pomieścić w głowie, aby przez siedm miesięcy stojąc wraz ze mną, niemógł się dowiedzieć, przekonać, kim byłem i dla czego przyszedłem z Francyi?

Miałem, jakem to powiedział, bardzo dobry apetyt; lokaj Pani Piekutowskiej, Jan, któregom za często trudził podawaniem mnie chleba, wziął się na sposób i od razu dał mi trzy kromki. Jedną razą starsza z moich uczennic Panna Olimpija, wesola, jak wszystkie kobiety jój wieku, widząc przedemną wielką kupę chleba, śmieśnóm się jój to zdało, a chcąc pożartować, a może się i zemścić na Francuzie tak nieprzychylnym jój narodowi, śmiejąc się, rzekła na głos po polsku do swój młodziej siostry Panny Matyldy: „Matyniu, Matyniu, patrzno! Nasz Jan, znając dobry smak tego cudzoziemca, dla oszczędzenia sobie pracy, od razu przed nim położył trzy ogromne skiby chleba, a chociaż nie lubi Polaków i Polski, widać, że mu nasze polskie potrawy bardzo smakują i przyznać potrzeba, że się dzielnie uwija z łyżką około barszczu.“ A Panna Matylda na to: „Ach Olympciu, co

ty gadasz? jeżeli cokolwiek zrozumie, to się będzie gniewał, a ty wiesz, że to podobno Włoch rodem, a Włosi są zli i mściwi.“ To mówiąc, taki wzrok bojaźni rzuciła na mnie, że jakbym ją w tój chwili chciał zasztyletować. I pytanie i odpowiedź były tak doskonałe, że mi się aż gorąco zrobiło, krew mi od chęci śmiania się uderzyła do głowy, zczerwieniłem się po uszy, i niewiedziałem co z sobą począć.

Inną razą wszedłszy jak zwykle do salonu o godzinie dziewiątej dla lekcji, Panna Matylda nieskończyła jeszcze swój toalety. Matka chcąc ją przynaglić do prędszego ubrania się, woła na nią do drugiego pokoju gdzie się ubierała: „Matylsiu! ubieraj się prędzej, Pan Catharro już przyszedł i czeka na cię.“ A Panna Matylda na to: smutno-płaczliwym głosem: „Ach! mamó moja kochana! kiedyż dasz mi pokój z tym nieszczęśliwym, niezdolnym katarzem?“ Pytam jak się tu nieśmiać? jak zachować powagę i serio? A jednak potrzeba było wstrzymać się od śmiechu i wstrzymałem się.

W innych domach z tój samej przyczyny te same spotkały mnie nieprzyjemności, stósownie do towarzystwa osób, poważniejszych lub młodych; często w mój obecności mówiono o mnie, na moją niekorzyść lub pochwałę, ganiono mnie albo sypano komplementami, moja powierzchowność jednym się podobała drugim nie. Znajdując się jedną razą w towarzystwie złożoném po większej części z młodych ludzi, kobiet i mężczyzn, jakiś z młodzieży do jednéj młodej Polki mówiąc o mnie rzekł: „niech Pani patrzy jaki ten Francuz ma wąż ładny!“ a młoda Polka na to: „wąż prawdziwie francuzki, nie szczególnego. To jak nasz Sobjeski miał wąż, to był wąż prawdziwie polski;“ byłem tedy cudzoziemcem aż do wążów. Ja wszystko to słysząc i rozumiejąc, musiałem zachować zimną krew, udać że nie rozumiem. Ale raz jeden znagła i niespodzianie tak mocny i żywy komplement spotkał mnie od jednéj młodziutkiej i pięknej mężatki w żywe oczy, że



ten raz jeden tylko mógłem się cokolwiek zdradzić, bom się rzeczywiście zmięsział, ależ bo to była piękna i niebezpieczna pokusa!

Wszystko to dla mnie jednak było jeszcze niczem: mógłem się wstrzymać od śmiechu; od zdradzenia się; a mnie to wcale nieobchodziło kto i jak o mnie sądził, czy mnie chwalił czy ganił: czym się komu podobał lub nie: ale co mnie rzeczywiście było nieznośnem, przykrém, ubliżającym, to: że częstokroć mówiono w mej obecności o rzeczach takich, o których wiedzieć tylko powinny osoby do nich wtajemniczone, albo o których się tylko mówi we cztery oczy; wówczas to położenie moje było prawdziwie do zniesienia, czułem że uczucie własnej godności, że sama delikatność niepozwalaly, zabraniały mi być świadkiem podobnych rozmów i zwierzań się; czułem że mimowolnie obrażałem, zdradzałem najświętsze prawa, bo prawa serca, zaufania i przyjaźni; bo co mnie mogły obchodzić czyje stósunki familijne, interessa rodzin, ich zamiary, co mnie mogło obchodzić złe lub dobre pożycie małżeństw, lub skłonność czyjego serca, albo jego wstręt i odraza do kogo? W takim przypadku szukałem zwykle pozoru do oddalenia się, ale nie zawsze można było i znaleźć do tego pozory bez wzbudzenia podejrzenia że rozumiem po polsku.

Ale wszystkie te nieprzyjemności, hojnie wynagradzane były przez uprzejme przyjęcie jakiego wszędzie doznałem a zacnemu domowi Pani Piekutowskiej winienem tu oddać sprawiedliwość: że chociaż mnie miano tylko za Francuza, postępowanie ich ze mną było tak uprzejme, delikatne i szlachetne, iż żywą na zawsze w mem sercu chowam dla nich wdzięczność. A jeżeli po mojem schwytaniu, doznali z mojej przyczyny jakiej nieprzyjemności, lub prześladowania od władz rossyjskich, to jest tylko powodem dla mnie więcej wywiązać się z długu na mem sumieniu ciężącego, niemogąc inaczej, podwojeniem dla nich uczucia wdzięczności.

Takie było moje życie pozorne, sztuczne, powierzchowne i przybrane: chcąc się we wszystkim zastosować i zatrzymać w błędzie tak władze rossyjskie jak i ogół mieszkańców Kamieńca, przybrałem na siebie postać i usposobienie odpowiednie mój fałszywej narodowości i memu powołaniu; co innego czułem i myślałem a co innego musiałem mówić; kiedy smutek gniótł mą duszę, okazywałem wesołość i lekkość; słysząc i rozumiejąc wszystko co około mnie mówiono, udawałem, że nic nierozumiałem, prawie byłem głuchym i niemym. Kto się w podobnym nigdy nieznajdował położeniu, ten niemoże pojąć całej przykrości, całego udręczenia moralnego, jakie podobny stan człowieka za sobą pociąga. Można czas jakiś przymusić siebie do przybrania udanych uczuć, udanej nazwy; słowem, do stania się innym, od siebie samego człowiekiem, ale żyć tak kilka lub kilkanaście miesięcy, i to wśród żywiołów, tak mocno ci przypominających, kim jesteś, wśród swoich rodaków, i na własnej ziemi, i żyć, i obcować z nimi, jako cudzoziemiec, prawdziwie to jest zbyt męczące, to jest do niezniesienia. Mocne tylko uczucie obowiązku mogło nakazać tę wewnętrzną walkę samego z sobą.

Mimo jednak tego uczucia obowiązku, mimo mocnego postanowienia w niczem się nie zdradzić, trudno czasami mi było przemódz samego siebie, i oprzeć się smutnym wrażeniom zewsząd cisnącym się do duszy; musiałem się tedy czasem mimowolnie poddać temu usposobieniu, gdyż postrzeżono, że chętnie lubił samotność, że byłem bardzo smutny i milczący, że za poważny na lekkość francuzką; ale wówczas liczono to na skarb jakiegoś nieszczęścia, co mnie mogło w życiu spotkać, tęsknoty za krajem (Francją lub Włochami), lub za kim, czy za czem innym itd; nigdy jednak nie wpadano na istotną przyczynę podobnego chwilowego usposobienia i smutku.

Z zabranych dotąd i zabierających się coraz więcej nowych znajomości, dla których byłem tylko Monsieur Catharro, już powziąłem dokładne o usposobieniu i stanie

provincyj ruskich, jako to: Podola, Wołyń i Ukrainy, wyobrażenie; t<sup>ę</sup>m ch<sup>ę</sup>t<sup>ę</sup>niej, otwarciej i szczerzej przedemną się zwierzano, że nienosząc na sobie żadnego urzędowego charakteru, użalano się tylko przedemną, jako przed cudzoziemcem, przychylnym sprawie polskiej i Polakom, a spólczującym i ubolewającym nad ich niedolą, a który nie miał żadnego powodu nadużyć zaufania w nim położonego. Z takich to rozmów, często sam na sam z drugim, mógłem sądzić o człowieku, o jego usposobieniach i stopniu uczuć patryotycznych; bo każdego człowieka poznać można na wskroś, kiedy niemając przyczyny być ostrożnym, wynurza się otwarcie i bez obawy być zdradzonym, ze wszystkimi swemi uczuciami, ze swym sposobem myślenia. A jeżeli poznałem kogo, że ma uczciwe zasady, że szczerze kraj swój kocha, wówczas, jako cudzoziemiec, przychylny i sprzyjający sprawie Polski, podawałem mu rady i sposoby, jakiemiby i w tak trudnych okolicznościach można dopomagać i służyć przyszłemu, może bliskiemu odrodzeniu Polski. Jeżeli przyjął me rady i potwierdzał je, miałem wówczas pilniejsze na niego oko i starałem się, żeby był moim.

Tak postępując poznawałem ludzi, jeszcze jak Catharro cudzoziemiec, a gdym kogo dobrze zbadał i poznał, dałem mu się poznać jako emigrant Piotrowski; liczba takich była bardzo mała, ale kogom sam wybrał, oprócz dwóch, żaden mnie niezawiódł, nie był słabym; zawiedli mnie i okazali się słabymi ci, których przez kogo innego poznałem. Ale ponieważ jeszcze na wstępie powiedziałem, że ani o środkach i sposobach, ani o osobach pośrednio lub bezpośrednio działających nic niepowiem, bom mówić niepowinien przez wzgląd na okoliczności, w jakich się Polska znajduje, i na czujność i dzikość naszych nieprzyjaciół, czyhających na każde nasze tchnienie, a zat<sup>ę</sup>m i tu o t<sup>ę</sup>m wszystki<sup>ę</sup>m przemilczę, a czytający, jeżeli ma rozsądek i uczucie dla sw<sup>ę</sup>j ojczyzny, to moje postępowanie łatwo oceni i sw<sup>ą</sup> ciekawość

z chęcią poświęci dla spokojności swych rodaków. Powiem tylko, że po przyznaniu się do mojej właściwej narodowości i do mojego nazwiska, wiele miałem trudności w przekonaniu innych, że kim innym niebyłem. Roszczać prawo do zaufania, musiałem udowodnić, z kąd rodem i kto byłem, kogo znałem i kto mnie znał, słowem, musiałem złożyć rękojmię niedwuznacznego mojego do Polski przywiązania, jak i szczeręj chęci poświęcenia się dla niej. Musiałem, że tak powiem, zdobyć przemocą zaufanie. Otóż co znaczy, po jedenastu latach nieobecności w kraju, gdzie przy wypadkach i zmianach znikli znajomi i przyjaciele, gdzie wszystkie twarze dla ciebie są obce, wrócić do niego samemu od siebie, choćby w najszczerzej chęci służenia jemu! Przemoc i dzikość obejścia się despoty z Polakami, szpiegostwo i podstęp jego policyi, przedajność, chytrość i obluda spodlonych, a wiernie tyranowi służących wyrodných rodaków, zakazała nawet i to właśnie najpoczciwszej, najwięcej swą ojczyznę kochającej części Polaków, wierzyć komukolwiek w jego uczciwość, w szczerść jego zamiarów, w jego przywiązanie i poświęcenie się dla ojczyzny. Niemógłem ja, niemoże żaden sumienny człowiek, tój ich nieufności, tój podejrzliwości i niewiary przypisywać im jako obojętność i oziębłość dla sprawy narodowej. Owszem prawdziwa miłość ojczyzny, dobrze pojęty jój interes, bo przyszłość i jój nadzieje, nakazywały im, aby pierwszemu lepszemu, co się mieni patriotą, lub wysłannikiem patriotów, łatwo niewierzyć, nieufać. Lecz z łaską Pana Boga i ta trudność dała mi się pokonać. Uwierzono nakoniec w czystość moich zamiarów, w moje poświęcenie się, a nawet w środki jakie podawałem.

Rozpatrzywszy się, tam na miejscu, w kraju, w stosunkach rządu do obywateli i do włościan! i nawzajem poznawszy, obejrzawszy wszechstronnie usposobienia mieszkańców, rozmaitych stanów i wyznań, obliczywszy zasoby i materyały mogące się w danym czasie użyć, prze-



konalem się, jak towarzystwo demokratyczne a raczj jego centralizacya mało były obznajmione i z usposobieniem i zasobami kraju, a środki, jakich używało do pobudzenia Polski do przedwczesnego ruchu, były zupełnie przeciwne tym jakie jedynie w kraju mogły być użyte. Towarzystwo liczyło na masę, na gąszcz narodu, a ta masa, martwa i nieczula, jak bryła, nie miała nawet pojęcia co to jest ojczyzna, a tém mniej co to jest Polska; liczone że tę masę można popchnąć do ruchu, do poświęcenia się obietnicą polepszenia bytu materyalnego, a masa nie mając żadnej wiary w tę manę, co jęj z nieba spaść miała, zostawała pod wpływem i władzą absolutną, najabsolutniejszą z władz, bo moralną, duchową, duchowieństwa greckiego, tyle nieprzychylnego katolickiej Polsce. Towarzystwo zaniechało zupełnie stronę moralno-duchową narodu polskiego, a ten naród właśnie żyje i oddycha tylko przez religią jego jedyną osłodą i otuchą w gorzkiej swj doli, opuszczono najsilniejszą dźwignię życia, energii i poświęcenia się za Polskę. Powstawano na szlachte, wskazano ją zawczasu, jeżeli nie na co gorszego, to na moralny ostracyzm, wołano przez lud, dla ludu, a tu właśnie w całej Polsce, a tém bardziej na Rusi, bez szlachty polskiej, wśród dnia z latarnią Polski nieznajdziesz, a lud ciemny, nieoświecony, niezrozumiałby wcale, gdyby mu o Polsce mówiono, a tém mniej jeszcze, gdyby mu powiedziano: „Ty sam jesteś Panem siebie, rządź się i władaj sobą, jak ci się podoba.“

Z tych powodów, chociaż jako chrześcianin i katolik przyjąłem główne zasady Towarzystwa Demokratycznego, jako to: wolność, równość i braterstwo, czyli miłość, które są zasadami samej ewangelii, niemogłem jednak przyjąć i podzielać środków, jakich używało, a które właśnie wykrzywiały jegoż zasady; bo zamiast spoju moralnego ludzi z ludźmi zaprowadzało między nimi li tylko stosunek interesów materyalnych. Jeżeli zatem powyższe środki, do żadnego towarzystwa, do żadnej społeczności,

szczególnie chrześcijańskiej, nie mogą być użyte bez skłóślawienia czystego pojęcia głównych zasad Towarzystwa Demokratycznego, to t $\acute{e}$ m mniej mogły i mogą być kiedykolwiek zastosowane do społeczności polskiej, tyle moralnej, tyle religijno-duchowej, a pojmującej swe ulepszenie, swe doskonalenie się tylko na drodze moralno-duchowej, za któr $\acute{e}$ m samo z siebie koniecznie przyjść musi i ulepszenie bytu materialnego j $\acute{e}$ y wszystkich mieszkańców. W połozeniu szczególnie, w jakim się Polska znajdowała w $\acute{o}$ wczas i dotąd jeszcze znajduje, s $\acute{r}$ odki i sposoby towarzystwa, tak przeciwne i szkodliwe usposobieniu narodu polskiego, gdyby nawet miał swą niepodległość, t $\acute{e}$ m stały się szkodliwsze i niepraktyczniejsze, gdy idzie o ich użycie do odzyskania t $\acute{e}$ j niepodległości; bo czyż to, co może zabić moralnie naród zdrowy, silny i niepodległy, może przywrócić do życia i wskrzesić naród osłabiony, po $\acute{c}$ wiertowany, chorobą złożony, zakuty w kajdany, prawie zabity?

Jeżeli zat $\acute{e}$ m, jeszcze będąc we Francyi, przewidywałem złe skutki dla kraju, mogące wyniknąć ze s $\acute{r}$ odków, jakich Towarzystwo Demokratyczne używało do urzeczywistnienia swych zasad w Polsce, i do zachęcenia ludu polskiego do poświęcenia się za Polskę, to stanąwszy na miejscu, w kraju, nabyłem najzupełniejszego przekonania o niemożności zastosowania tych s $\acute{r}$ odków i sposobów do zobowiązania ludu, i popchnięcia go do wzięcia za or $\acute{e}$ ż w obronie sprawy Polski. Tu miałem stanąć w zupełnej sprzeczności z Towarzystwem Demokratyczn $\acute{e}$ m co do sposobów i dr $\acute{o}$ g, jakimi naród dotychczas przygotowywano do powstania. Uczulem wi $\acute{e}$ c $\acute{e}$ j niż kiedykolwiek fałszywy kierunek, jaki nadawano nawet samemu duchowi przyszłego powstania, które żadnym sposobem w kr $\acute{o$ tkim czasie ani mogło, ani powinno wybuchnąć, bez przyniesienia rzeczywistej szkody dla Polski.

Nie namawiałem tedy do rychłego powstania, o którego niemożności, a przynajmniej o zgubnych skutkach

byłem przekonany w położeniu, w jakim się Polska wówczas znajdowała. Owszem odradzałem to powstanie niezwłoczne wszystkimi sposobami. Ale natomiast usiłowałem, ile tylko było w mej możności, zaszczerpić w tych prowincjach zasady, nie praw człowieka i obywatela, ale zasady czysto ewangeliczne równości, braterstwa i wolności, od tak dawna całej Polsce znajome; za środki do urzeczywistnienia tych zasad, nie brałem pośledniej strony człowieczeństwa, to jest: dobro bytu materialnego, ale chwyciłem wyższą jego stronę, stronę moralno-duchową, zobowiązywałem serce i sumienie do wymiaru sprawiedliwości dla młodszych naszych braci, dla massy wiejskiego ludu, do podzielenia się z nim uczuciem bratniej miłości, do zjednania go dla siebie obchodzeniem się ojcowiskiem. Lud na tej drodze zjednany, niewiedząc nawet o celach, chętnie usłucha głosu tego, w którym nawykł widzieć swego tylko przyjaciela, opiekuna i ojca. Nie do mass zatem potrzeba mu było się odzywać, ale do wyższej warstwy społeczeństwa, w której cała potęga moralna i umysłowa, cała dźwignia przyszłości Polski spoczywa. Tej zatem części narodu, tej jego duszy, nie ująć groźbą, bo łatwo zna słabość grożącego, ani polepszeniem bytu materialnego, bo łatwo przestać może na tym, jaki ma. Czemże ją zobowiązać dla sprawy narodowej, jeżeli potrzebuje być zobowiązana? Oto wywołaniem w niej tych uczuć bezinteresowności i poświęcenia się, którego przez tyle wieków dawała dowody dla swego kraju; obudzeniem w niej sumienia dla wymiaru sprawiedliwości młodszą a liczniejszą braci, i wskazaniem środków i sposobów, jakimi by to jej poświęcenie się, to uczucie sprawiedliwości, można z korzyścią obrócić dla sprawy narodowej. Kto tego dokáže, najważniejszą część rewolucyi dopełni. Bezwątpienia i w części niedozwolono mi tego dopełnić; ale takie, a nie inne, były moje zamiary.

Niechodziło mi jeszcze tą razą o zawiązanie spisku, który, jak tylekrotne doświadczenia nauczyły, mógłby nowe

klęski na naród sprowadzić, ale o wyrobienie zdrowego i jasnego pojęcia o naszej sprawie i o środkach jedynie z jej pomyslnym skutkiem mogących się użyć, a do wyrobienia pojęć niepotrzeba spisku, tylko rzewnej myśli, którą przez rozmowę i prostą tylko pogadankę można zawsze i wszędzie rozwijać, bez ściągnięcia na siebie najmniejszego podejrzenia. Dla tego przestrzegałem kogo mógłem, aby żadnych niezawiazywać spisków, w żadne niewdawać się pisma, jako to: korespondencye tajemne, lub spis osób; to są żakowskie rzeczy, za zbyt małe sposobiki do wielkiej sprawy. Spisek czyli porozumienie się pewnych osób i na pewnych punktach osadzonych jest potrzebny tylko przed samym wybuchem. Kiedy przez myśl, przez ideę rzuconą, którą naród pojął, zrozumiał i przetrawił, jeżeli nie całość, część przynajmniej jego wielką dla niej zobowiązałeś, już moralnej i umysłowej dopełniłeś w nim rewolucyi; porwanie się za broń, jest ostatnim i najłatwiejszym jej aktem: ale bez uprzedniego moralnego przygotowania próżno tworzyć i rozgałęziać spiski. Naród niepojmując o co idzie, zostanie tylko albo biernym widzem, albo chwilowo i niejako z przymusu przystąpi do działania; co jeszcze nigdy pożądanego niewydało skutku.

Na poparcie com dotąd mówił, tak o stanie Polski, to jest prowincyi ruskich, o niemożności rychłego w tych prowincjach powstania; jako też o szlachcie tej jedynej i prawdziwej duszy ożywiającej Polskę, przez którą li tylko można wpływać i działać na przyszłe odrodzenie Polski, ale nie przez środki i sposoby, jakie Towarzystwo Demokratyczne podawało; niech mi wolno będzie choć w krótkości pomówić o sposobach i środkach, jakich Mikołaj używa na zabicie i zniszczenie naszej narodowości. To postępowanie rządu rossyjskiego wydatniejszemi uczyni moje wyż przytoczone dowody, o fałszywym, błędnym kierunku działań Tow. Dem., które czystego nie miało pojęcia ani



o usposobieniu kraju, ani o rzeczywistej a jedyniej jego moralnej potędze.

Rząd rossyjski, rząd Mikołaja, w swoim systemacie wynarodowienia i zabicia Polski, po długim doświadczeniu, poznał i przekonał się: że istotną i najżywotniejszą podstawą narodowości polskiej, jest szlachta, język polski i religia katolicka z nielicznym bardzo wyjątkiem przez całą szlachtę we wszystkich prowincjach Polski wyznawana; zniszczyć zatem tę podstawę, tę podwalinę jest jego jedynem od lat wielu usiłowaniem, i do dopięcia tego celu żadnych nieopuszcza sposobności, wszystkich używa środków, bo wie, że po zniszczeniu tej podwaliny cała budowa Polski musi runąć i zamienić się tylko w gruzy. Szczęśliwy, jeżeli znajdzie sposobność, lub najłżejszy pozor, schwytania polskiego szlachcica, zesłania go do Syberyi, lub do półków kaukaskich, i skonfiskowania, to jest zagrabienia dla siebie jego majątku i w tym względzie, wszystkie z Emigracyi wyprawy, szczególnież Szymona Konarskiego, a nawet sama rewolucya listopadowa, największą mu oddały usługę: jakim sposobem i dla czego? bo mu dały powód do zamienienia tysiąca szlachty, nie już w chłopów, ale w istotnych niewolników; a politycznie i pod względem socyalnym uważając, w bydło uległe tylko prawu kija i knuta. Majątki tej nieszczęśliwej szlachty przechodząc na własność skarbu (kazny), to jest do skarbicy największego z rozbójników i rabusiów na świecie, o tyle mu dostarczają moralnych i materyalnych środków, i siły, o tyle mu dodają rzeczywistej mocy, do pogiębienia nas; o ile nam tychże środków, tej siły i mocy odejmują, do odparcia jego przemocy. A jak dalece w tej gałęzi polityki i finansowości rząd rossyjski postąpił, poświadcza to gubernija podolska, w której jednej więcej niż dziewięćdziesiąt tysięcy dusz, to jest poddanych wraz z ziemią, przeszło różnemi czasy, z rąk obywateli do skarbu; o czem miałem sposobność przekonania się najoczewistniej. Jeżeli ten sam stosunek rozciągniemy do

wszystkich gubernii, będziemy mieli dokładne wyobrażenie, tak o wielkiej liczbie szlachty zniszczonej, podupadłej, umarłej cywilną i polityczną śmiercią, jak i o ogromnych zasobach, jakie rząd Mikołaja ma we własnym naszym kraju do pogńębienia nas samych, gdybyśmy tylko niewięcej nawet nad półtora miliona oceniali, jeden tysiąc dusz wraz z ziemią do nich należącą, a raczej do której należą (adscripti glebae).

Tak skonfiskowani, obdarci ludzie i majątki, dzielą się na dwie kategorie: na tak nazwanych skarbowych poddanych (kazionnych krestian) i na kolonistów wojskowych (wojennych posieleńców). Pierwszymi zarządza izba skarbowa (kozionnaja Połata) w każdej gubernii ustanowiona, albo bezpośrednio sama przez się, albo pośrednio wypuszczając w dzierżawę. Drudzy zostając pod zarządem osobnego wydziału wojskowego, przeznaczeni są na żołnierzy z pokolenia w pokolenie; z naszych zatem spółobywateli, z naszych własności ziemskich ma rząd rosyjski pieniądze, chleb i wojsko, gotowe na nas się obrócić każdej chwili. Prawda, że nadużycia w zarządzie dóbr skarbowych i kolonii wojskowych są wielkie, i skarb nie ciągnie z nich ani tyle dochodów, ani tyle siły i mocy, ileby mógł, ileby powinien, ale w zamian tej straty zyskuje na przywiązaniu do rządu, czynowników różnych klas, tych istnych pijawek ciągle przypiętych do ciała Polski, którzy z własnego interesu stają się najzarliwsiymi obrońcami i systematu rządu rosyjskiego, i stróżami czujnymi wszelkich bezprawów i nadużyć jego naczelnika Mikołaja.

Trudno 'sobie wyobrazić, z jaką dzikością i barbarzyństwem rząd i jego siepacze obchodzą się z kolonistami wojskowymi. W systemacie rządu rosyjskiego tyle jest Mongoło-Tatarszczyzny, tyle jest Dżengiskanizmu wszystko niszczącego, a jedyną znajdującego pociechę i rozkosz w przelewie krwi ludzkiej i w pogńębieniu rodu udzkiego, że po tém jednem możnaby poznać, czyja krew

plynie w żyłach carów rosyjskich, a Mikołaj ma jęj w sobie wielką, wielką dozę; kto wie, czy wszystkie uczucia jego okrutnego serca, najczystsza krewią bohaterką nie są zasilane? Kiedy z zagrabionych obywatelskich majątków, a przeznaczonych na kolonije wojskowe, potrzeba było te kolonije urządzić podług liczby mieszkańców, i formy wydanęj, tak do budowy domów, jak i kształtu wsi, zaczęto nieszczęśliwych wieśniaków wypędząć z ich domków, z ich wiosek do naznaczonego miejsca na koloniją, wraz z ich żonami i dziećmi. Widok to był rozdzierający serce każdego człowieka, ale nie serce mongolskie; kiedy patrzano na tych nieszczęśliwych mężów, żony i dzieci, żegnających z płaczem i rozpaczą swe domki, gdzie się porodzili, wykołysali i wzrosli; każde drzewko, które własnymi rękami posadzili, i groby swych ojców, krewnych i przyjaciół, które rzewnemi oblewali łzami; był to w każdój wiosce jęk, płacz i ryk, jakby na strasznym sądzie. I chłopci nawet nie niezyskali na przejściu do rządu ojcowskiego Mikołaja z pod opieki szlachcica polskiego.

Szlachcic polski nie nawykły czuć i myśleć podług ukazu w najzdrażliwszém jest położeniu, i dla tego, że Polak katolik, ma prawo na kandydata do Syberyi lub Kaukazu. Rząd rosyjski znając to usposobienie szlachty, czuwa na każde jęj tchnienie i dla tego pozaprowadzał roje czynowników. W każdym powiecie tych gubernii jest Stanowój naczelnik powiatu mający pod sobą ósmiu lub dziesięciu asessorów (Zasiedatelęj); między innemi najważniejszym ich jest obowiązkiem czuwać nad patryotyzmem Pólaków, a szczególnięj szlachty polskięj; tego obowiązku z taką dopełniają troskliwością, że dom każdego szlachcica raz a czasami i kilka razy na tydzień jest odwiedzany. Ale to nie koniec na tych wizytach. Potrzeba jeszcze tak Stanowemu, jak i Zasiedatelom okupić się, gdyż inaczej urażony znajdzie tysiące sposobów szkodenia, powie np. szlachcicowi, że jest podejrzenie, iż u niego

przechowuje się emissaryusz, że są korespondencye zakazane, i pod tym pozorem ma prawo przetrząsać stodoły, stajnie, wozownie, spichlerz, dom, kommody, kufry i łóżka; ma prawo zajrzeć wszędzie i zabrać najmniejszy szparzał papieru, a dla akuratniejszego spełnienia służby przyjedzie te poszukiwania czynić śród nocy i bez najmniejszej ceremonii każe się podnieść z łóżka nietylko szlachcicowi, ale nawet i jego żonie. Doniesie np. wyższej władzy, że taki szlachcic myśli po polsku i odbierze przykaz uważania nad nim, a jak zacznie czuć, to i z domu niewyłązi. Powie np. że we wsi takiego to szlachcica ukrywa się zbiegły rekrut, nakazuje zatem robić poszukiwania po całej wsi, po wszystkich polach do niej należących, odrywa ludzi od pracy i to właśnie, kiedy potrzeba albo żąć zboże, albo kosić siano, albo obsiewać. Albo co gorsza szepnie wieśniakom do ucha, że Car im chce darować, uwolnić od pańszczyzny, i że tylko szlachta się sprzeciwi. Żeby zatem podobnych się nieprzyjemności pozbyć szlachcic musi się koniecznie i to drogo okupić.

Oprócz tej jawnej policyi czuwającej nad szlachtą, jest jeszcze w każdej wsi pop (ksiądz rossyjski) naczelnik duchowny i przewodzca moralny wsi całej. Ten ma wpływ nieograniczony nad ciemnym wieśniakiem. Będąc sam religii greckiej panującej w Rossyi, tak jak i jego owczarnia, wpaja w nią nienawiść do religii katolickiej, a zatem i do tych, co ją wyznają. Aże po największej części w ruskich prowincjach szlachta tylko polska i część mieszczan ją wyznaje, więc w wieśniakach obudza się nienawiść religijna najwięcej ku szlachcie. Ale pop z polecenia wyższego nieprzestaje na tej missyi, czuwa on jeszcze nad każdym krokiem szlachcica, a na spowiedzi zobowiąże chłopa sumienie, aby mu doniósł o wszystkim, coby wiedział o swoim Panu. Pop, jest to szpieg domowy, czuwający dzień i noc nad duszą szlachcica. Rząd wynagradzając tę gorliwość popów i chcąc jeszcze ją, jeśli podobna, powiększyć, wydał podczas mojego pobytu w Ka-



mieńcu rozporządzenie: ażeby dziedzic wsi, w której się pop znajduje, wydzielił mu z własnej ziemi i bez żadnej nagrody, na własność pewną ilość gruntu (niepomnę jaką), i swoimi ludźmi kazał mu go corocznie uprawić, zasiać, zboże zebrać i wymłócić. Niewiem, czy to rozporządzenie przyszło do skutku.

Na dowód, że w Rossyi względem Polaków jeszcze większe nadużycia dźać się mogą bezkarnie, przytoczę dwa przykłady: jeden, jak mi powiadano, całej gubernii podolskiej i kijowskiej znany, a drugi całemu Kamieńcowi i mnie dobrze wiadomy, bo się zdarzył w czasie mej bytności w Kamieńcu. Wkrótce po naszej listopadowej rewolucyi przybył do Kamieńca na gubernatora podolskiej gubernii, jakiś generał rossyjski, którego zapomniałem nazwiska. Ten zniósłszy się z jednym spodlonym i przedajnym Polakiem, postanowił zrobić majątek i zasłużyć się Jego Cesarskiej Mości. Cóż robi? kompromituje szlachtę. Ale jakim sposobem? Nastrojony nikczemnik Polak, zmyśla listy od emigrantów tych okolic, do takiego a takiego szlachcica podolskiego, pod taką a taką datą z Paryża lub zKądinąd, naturalnie w celu konspirowania, i pisze zarazem na ten list odpowiedź przyzwalającą na wszystko, udając, jak tylko można najpodobniej, rękę szlachcica. Później te listy, a takich było dosyć, niby przypadkiem i rozmaitemi sposobami dostają się do rąk gubernatora, który każe chwytać szlachcica i pokazuje mu czarno na białym, że jest winien i że pójdzie w katorżnuju robotu, do kopalni w Syberyi. Szlachcic, chociaż przekonany o swojej niewinności, ale podobnie przekonany o niepodobieństwo wydostania się, lada jakim sposobem, ze szponów i kruczków moskiewskich i drogą prawdy i sprawiedliwości; po oświadczeniach i przysiędze o swojej niewinności, kończy nareszcie ofiarowaniem Panu gubernatorowi kilku, kilkunastu, lub nawet kilkudziesięciu tysięcy rubli, aby się z tój matni wydostać. Gubernator przyjmując takową ofiarę, jakby z niechcenia i z gnief-

wem, daje jeszcze poznać szlachcicowi, iż wielką mu łaskę wyświadcza, przestając na tak małym wynagrodzeniu. Szczęściem, że nadużycie było zbyt krzyczące i z całym cynizmem wykonywane, aby się mogło długo utaić. Gdy się wykryło, gubernator zwałił wszystko na swego spółnika, jako słabszego; ten przewidując los, jaki go mógł spotkać, obwiesił się, czy zastrzelił, a gubernator szubienicznik był tylko pozbawiony obowiązku i wysłany do innej gubernii. Nie jestże to raczej pobłażanie, jak kara za zbrodnią?

Drugi przykład stał się w Kamieńcu, w czasie mojej w nim bytności w 1843 roku. Głową miasta Kamieńca był podówczas powszechnie szanowany i lubiony obywatel Czajkowski, dość podeszłego wieku. Jakiś Moskal od dawna mieszkający w Kamieńcu, niazadowolony z Czajkowskiego, że mu ten musiał odmówić stanowczo w jednem niesłusznem żądaniu, postanowił na Czajkowskim się zemścić. Pewny, iż każdego Polaka najłatwiej można zgubić, jeśli się rzuci na niego podejrzenie przywiązania do ojczyzny, chwycił się następującego sposobu: zmyślił list do Czajkowskiego niby pisany z Francyi przez emigranta polskiego Pana Stępkowskiego, byłego przed rewolucją listopadową obywatela i marszałka szlachty powiatu jampolskiego, czy uszyckiego, gubernii podolskiej, a który za czynny udział w tej rewolucyi schwytyany, był wskazany do ciężkich robót na Syberją; w drodze jednak uratowawszy się ucieczką za pomocą księdza Romanowskiego, wraz z nim przybył do Francyi, w której ciągle bawił. Napisawszy, czy znalazłszy kogo, co mu ten list napisał, chytry Moskal miał zamiar zwinąć go w trąbkę i włożyć do wydrążonej na ten cel laski, którą podrzuciwszy do mieszkania Pana Czajkowskiego jakimbądź sposobem, miał natychmiast dać znać policyi, że Czajkowski, głowa miasta, ma tajemne stosunki i związki z emigrantami, i że ma na to najoczywistsze dowody. Szczęściem dla Pana Czajkowskiego, że żona Moskala, kobieta

świegotliwa, zwierzyła się tajemnicy przed swoją przyjaciółką, ale sumienną kobietą i sumienną Polką, mówiąc do niej, że wkrótce Czajkowski nie tylko przestanie być głową miasta, ale być może i Syberją odwiedzi. Zaczyna kobieta niewahala się poświęcić przyjaźni, złych i mściwego serca a podłej duszy ludzi dla prawdy i niewinności, przestrzegłszy Czajkowskiego o wszystkim. Ten nie tracąc czasu, udał się natychmiast do podpułkownika żandarmeryi Pana Tymkowskiego, mieszkającego także w Kamieńcu, i opowiedziawszy mu wszystko, zobowiązał go, aby natychmiast wraz z nim poszedł do mieszkania zloczyncy dla pochwylenia go na gorącym uczynku.

W rzeczy samej znaleziono w jego mieszkaniu i list napisany i łaskę wydrażoną, ale jeszcze nie zupełnie skończoną. Pan Tymkowski, rodem Małorosyanin, choć żandarm, oburzył się tak haniebnym czynem, i sądząc, że to Polak chciał się go dopuścić, a może tylko dla dotknięcia Polaków, rzekł do Czajkowskiego: widzisz Pan, jakiej podłości Polacy są zdolni; pocziwy starzec na to odpowiedział: szczęściem, że to jest Moskal. Wzięto natychmiast tego nikczemnika, ale niewiem, co się z nim stało. Za karę, pewno go zrobią jakim czynownikiem w Polsce (budet pożałowan w czynowniki za przywieszenost' k Prestolu).

Otóż, na jak blachęj postawie spoczywa spokojność, bezpieczeństwo i życie pod rządem rosyjskim każdego Polaka, a szlchcica i szlachty, na wyniszczenie której, jako na guiazdo, na ognisko uczuć narodowych, car Mikołaj wziął się zapamiętale. Lecz niedość na tém: Heroldya petersburska podaje w tym względzie Mikołajowi bardzo ważne usługi. Gdybyś miał najlepsze, najautentyczniejsze dowody, żeś z antenatów szlchcic herbowy, że twój protoplasta był wojewodą jeszcze za Chrobrego, jeżeli się tylko nie wylegitymujesz przed nią, że masz tysiące rubli, które łaskawym jej względem zechcesz po-

wierzyć, zostaniesz tylko ty i twoje dzieci odnodworcami; można cię brać w rekruty, bić pałkami i knutem.

Drobniejszą szlachtę, szlachtę tak nazwaną zagonową, w której piersiach spoczywa serce patriotyczne, jednym pociągiem pióra Mikołaj zamienił w odnodworcey, a z Podola rozproszył ją po guberniach ekaterynosławskiej, chersońskiej i innych. Ażeby jednak, i tak już zmniejszonej liczbie szlachty drobniejszej, utrudnić dosługiwanie się stopni wyrównywających szlachectwu, wydano ukaz, że kto nieskończył gimnazium, do żadnej służby cywilnej, mogących przynieść rangę, to jest stopień, nie będzie przyjęty. A z drugiej strony rozkazano: iż do gimnazium niewolno przyjmować, kto niełoży dowodów szlachectwa potwierdzonych przez Heroldyę. W taką to matnię trwogi, bojaźni i nicestwa wplątał rząd rossyjski polską szlachtę. Dla czego? Oto dla tego, że on lepiej wie i zna, niż wielu z naszych rodaków, że w niej jednej jeszcze przechowuje się narodowość polska w zabranych prowincjach, że w niej jednej tylko bije jeszcze serce gotowe się każdej chwili poświęcić za wolność i niepodległość Polski, za wolność i szczęście polskiego ludu. Ta gotowość do poświęcenia się za szczęście, wolność i niepodległość ojczyzny, jak i całego ludu, więcej nieco przekonywa, niż czcze wyrazy: równość, wolność i braterstwo, na papierze kreślone, a sercem niepojęt!

Ale wynikaż ztąd, że szlachta tych prowincyj, wzgardziwszy dostojeństwem, względami i umizgiem, jakie car Mikołaj każdej chwili gotów jest ofiarować w zamian zrzeczenia się tylko - li ję uczuć patriotycznych dla Polski, będąc tak prześladowaną i uciśnioną, maż już pozostać w tym stanie bierności, i ograniczyć się tylko na swych uczuciach i życzeniach dla Polski? na zajmowaniu się jedynie ulepszeniem bytu materialnego, resztę zdając na Opatrzność? Czyż ta szlachta tyte nieszczęśliwa i godna najserdeczniejszego spółczucia, bo pocziwa, w gruncie duszy szlachetna, gorąco kraj swój miłująca, pojmujeż czy-



sto i jasno swoje położenie, swe posłannictwo i obowiązki, jakie na niej ciąży? Czyż się znajduje na wysokości przeznaczenie, jakie coraz nowsze wypadki, jakby zwiastuny przyszłości, dla Polski wskazują? Wież ona, gdzie są jej siły, moc i potęga, i jakimi sposobami takowe ze swego łona; z łona kraju wydobyć? Oh! nie, stokroć, tego, w niej niewidziałem. Usnęła na łożu boleści, na łożu Prokusta, w które ją wtoczył despota północy, jakby oczekując tylko chwili wyzionienia ostatniego tchu życia! Zamiast krzepienia się wszystkimi sposobami i przygotowania się z korzyścią do nowych, może bliższych zapasów, zdaje się, iż ślepo tylko fatalizmowi powierzyła przyszłe swe losy; nad trudy ciała, nad pracę i kształcenie umysłu i serca, przeniosła miękkie, gnuśne i zniewieściałe życie kanapkowe, lenistwo umysłu, rozpustę serca i czece, bezowocne, podróże zagraniczne. Niema w niej tej dumy, tego hartu duszy, wzniosłych uczuć, ale nieszczęśliwego człowieka, który przymuszony uleża przemocy, i żyć ze swymi ciemniznami, rozumie swe położenie i umie w razie danym z niego korzystać. A jednak szlachta ruska tyle ich jest i w szeregach wojskowych, i po biórach cywilnych, w Syberji i na Kaukazie!

Dla zabicia języka polskiego w zabranych prowincjach, którego każdy wyraz jest żywą protestacją przeciw moskiewszczyźnie, rząd rossyjski, nietylko że nieoprzestał na zniesieniu uniwersytetu wileńskiego, liceum krzemienieckiego i wszystkich dawniejszych gimnazjów i szkół, ale na ich miejsce pozaprowadzał szkoły wcale nowym sposobem, jego widokom przeciw narodowości polskiej odpowiednie, to jest: zniósł w nich wszędzie język polski, a wszędzie nauki rozkazał wyklądać w języku rossyjskim. Lecz, ażeby po stancyach i ukradkiem języka polskiego nieuczono, albo przynajmniej nim nie mówiono, przy każdym gimnazjum kazał pozakładać konwikty za tak umiarkowaną cenę, ażeby każdy szlachcic przy najminiejszej fortunie i dochodach, niemógł się wy-

mówić od umieszczenia w nim koniecznie i z rozkazu swego syna, drogością wydatków i niemożnością ich zapłacenia. Gdy tym tylko rodzicom wolno z domu do gimnazium swe dzieci posyłać, którzy w mieście, gdzie jest gimnazium mieszkają. W takim konwiktzie, dyrektor, profesorowie i korepetytorowie, jeżeli nie są rodowici Moskale, muszą z obowiązku, tak jak i uczniowie w nim będący, mówić tylko li po rossyjsku. Ani słowa po polsku tam nieusłyszysz. Synowie zatem Polaków, już od dzieciństwa najpierwsze swe wrażenia i myśli zaczynają, uczą się i muszą wyrażać w języku rossyjskim. Gdyby nie patriotyzm naszych Polek, które, aby mieć pozór posyłania dzieci z domu do gimnazium, przyjeżdżają umyślnie na mieszkanie do miast gimnazjalnych, nie jeden może z Polaków młodych po rewolucyi w szkołach wychowany, zapomniałby swojego ojczystego języka, a może nawet ledwieby się poczuwał, że jest Polakiem.

Religia katolicka, jako żywotna część naszej narodowości, jest jedną z największych przeszkód niedozwalających Mikołajowi zlać Polskę z Moskwą, i póty Polacy zostaną katolikami, póty będą różnić się swą narodowością od narodowości greckiej Rossyi, póty będą mieli prawo być niepodległym narodem i dopominać się o jego niepodległość. Każdy zatem Polak czując tę prawdę, choćby nawet nie był katolikiem, przez miłość ojczyzny, powinien nim zostać; jest to zaporą, za którą grecka Rosya nigdy nieprzekroczy; jest to słup graniczny, przypominający zawsze nam Polakom, dokąd nasze i naszych przodków sięgały posiadłości, a które, patrząc w ten słup, zawsze odzyskać możemy. Upadek Polski byłby niechybny, z zagładą nawet jój imienia, gdyby Polacy zmienili swą religią na którąkolwiek inną. Polak, dla tego, że Polak, powinien być gorliwym katolikiem. On, co się poczył, narodził, wykołysał się, wzrósł w młodzieńca, wzmógł się w męża i zajaśniał wielkością i sławą na katolicyzmie; on się pokrzepi, wzmoże, sił nabierze, odzy-

ska niepodległość i wolność swęj ojczyzny, tylko przez katolicyzm, przez jego zasady, zaparcia się samego siebie dla dobra wszystkich, i poświęcenia się dla niego. Mikołaj czuł to dobrze, i dla tego postanowił niszczyć religią katolicką w Polsce wszystkimi możliwymi sposoby. Niedosć, że rozkazał, aby dzieci z małżeństw mieszanych były koniecznie religii grecko-rossyjskiej, niedosć, że używa przemocy dla nawrócenia tysiącami wieśniaków unitów, nawet katolików, na tak zwaną Błahocestiją, jak to się stało w Litwie i na Białej Rusi, niedosć, że wszystkich podchwytnych i podstępnych wyszukuje środków dla odwrócenia od katolicyzmu, a przejścia na schyzmę; ale otwarcie niszczy klasztory, zabiera ich majątki na skarb, i osadza je swoimi czerncami (mnichami) lub popami, jak to np. uczynił w Poczajowie, Wiśniowcu, Kamieńcu Podolskim i po innych miejscach. W samym Kamieńcu, już od dawna kościół Franciszkanów, wypędziwszy z niego zakonników, i inny jeszcze kościół, zdaje się Ś. Jana, czy Ś. Krzyża, przemienił na schyzmatyczne cerkwie. Do kościoła unickiego sprowadził czeredę swych czernców, a w 1843 roku, w czasie mojego w Kamieńcu pobytu, zniósł tamże dwa klasztory: Dominikanów i Trynitarzy. Zakonników powysyłał gdzieś tam w głąb Litwy do jakiegoś klasztoru na ten cel obranego, przeznaczony im szczupłą, prawie na chleb tylko i wodę wystarczającą pensją, w zamian majątków ziemskich, jakie im zagrabił. Podobnie się dzieje i po innych miejscach. Na tém jednak prześladowaniu Mikołaj nie poprzestaje; on chce nawet, aby pozostałe katolickie duchowieństwo, tak świeckie, jak i zakonne pomału zdemoralizować, zmniejszyć jego ku katolicyzmowi gorliwość, a tém samém uczynić je narzędziem swoich dalszych widoków. Wie on, że to najwięcej zależy od przełożonych gorliwie czuwających nad swą owczarnią, albo ją zaniedbujących, i dla tego wszystkich utrudniających używa sposobów, aby ten tylko był wyniesiony na wysoką dostojność duchowną, kogo on

sobie życzy i wybierze, a nie zaś ten, którego kapituła do potwierdzenia mu przedstawi. Na dowód przytoczę następujący przykład, który się zdarzył za mojej w Kamieńcu bytności.

Po śmierci Czarkowskiego, biskupa dyecezyi kamienieckiej, kapituła podała na kandydata księdza Chołoniewskiego, autora „Snu w Podhorcach,“ męża znakomitego urodzeniem, światłem, gorliwego katolika i patriarchy; bo był polskim szlachcicem. Rząd rossyjski stanowczo nie przyjął, odrzucił jego kandydaturę, a następczał na nią kogoś innego, którego sumienna kapituła wcale sobie nie życzyła. Ztąd zamęt, a dyecezya i biskupstwo zostawało bez pasterza i biskupa. Jak się to skończyło, o tém już nie wiem, wiem tylko, że ksiądz Chołoniewski nie był biskupem nominowany i niezadługo potem dowiedziałem się o jego śmierci. A jak się rozzuchwalila schyzma względem naszych katolickich księży, przytoczę tego jeden przykład.

Pozwolono było w gimnazjum kamienieckim, dla uczniów Polaków katolików, wykladać przez katolickiego księdza katechizm w języku polskim. Nauczycielem katechizmu był jeden młody ksiądz, którego zapomniałem nazwiska. Nastąpił czas egzaminu. Prezydował na tym egzaminie jakiś archierej, czy archimandryta, coś naksztalt biskupa w hierarchii kościoła greckiego. Po egzaminie brodaty prezes dał mu swe życzliwe błogosławieństwo, to jest: przeżegnał przytomnych znakiem św. krzyża; nasz ksiądz katolicki nie mógł co innego i lepszego zrobić, jak tylko się uklonąć, co i uczynił i to zapewne aż nadto było dostatecznym. Ale cóż powiecie! Ten brodacz tak się na księdza uniósł gniewem za to, że go nie pocałował w rękę, że go zwymyślał obelżywemi słowy i wymagał, zmuszał, aby go koniecznie pocałował. A gdy nasz ksiądz z cierpliwością chrześciańską znosząc obelgę, opierał się nakazowi i tłómaczył się: że u nas katolików nie jest bynajmniej we zwyczaju całować przełożonych w rękę; jak to? odpowie



archierej, a wy swego papieża nietylko w ręce, ale i w nogi całujecie. Bo to naprzód jest nasz papież, odpowie ksiądz z pokorą, a powtóre że my go ani w ręce, ani w stopy nie całujemy, tylko w święcony pierścień i w sprzączkę jakie nosi na rękę i u swych trzewików. Poprzestał tą razą na tém tłumaczeniu archierej, ale mu pogroził, że za to zuchwalstwo zasłużył odwiedzić Syberyą, i że od niego zależało wyświadczyć mu tę usługę; lecz że tą razą ma jeszcze wzgląd na jego wiek młody i niedoświadczenie; radzi mu jednak i życzy, aby mu się w życiu coś podobnego więcéj nie zdarzyło.

Słowem: rząd rossyjski, carowski, nie oszczędza niczego, coby mogło posłużyć do zniszczenia najistotniejszych żywiołów naszej narodowości, i nałożył więzy na myśl, serce, technienie i sumienie narodu. Dziwnym zbiegiem nieprzyjaznych nam wypadków i okoliczności, spażeniem, przywróceniem pojęć o naszym narodzie, o życiu naszego narodu, o jedynéj sile i potędze jego moralnéj, Towarzystwo Demokratyczne bijąc na szlachtę polską, pomijając katolicyzm z największą obojętnością, a nawet uważając go w swoich instytucjach hierarchicznych za nieodpowiedni, za szkodliwy, za niezgodny z rozwijaniem się swobód i wolności narodu, z innych zupełnie przyczyn, z innych a dyametrycznie przeciwnych powodów, wspomagało, prawie wtórowało zamiarom Mikołaja. Byłbym niesumiennym człowiekiem, byłbym wyrodnym Polakiem, gdybym posądzał całe Towarzystwo D. o umyślną chęć szkodenia ojczyźnie. Uchowaj mnie Boże od tak wielkiéj zbrodni, od zbezczeszczenia mych braci, w których piersiach, jak w mojej własnej, gorące bije serce dla kraju, i którzy każdéj chwili gotowi poświęcić dla niego swe życie; ale śmiało i bez obrazy prawdy i sumienia można powiedzieć, że jednych podług Trętowskiego: „Tytania duma w karléj duszyczce,“ drugich wiek młody, niedoświadczenie, mała oświata, a ztąd nieznamość rzeczy krajowych i zarozumiałość; ogółu zaś towarzystwa,

jak niemal całej Emigracyi, z nielicznym wyjątkiem, ta łatwość przejścia się obczyzną z uszczerbkiem i szkodą naszych cnót, podań i zwyczajów rodzimych, a ztąd zapewne i błąd, w jakimśy popadli, że co obce, to dobre, nawet aż do form rządu, aż do stosunków socyalnych obywateli do obywateli, aż do środków i sposobów praktykowanych li tylko za granicą, a wcale u nas niepraktycznych, i że chciano Polsce najszczerczej dopomagać, lecz nie po polsku, tylko po francuzku, po angielsku, albo nawet i po włosku. Te wszystkie powody, wynikłe może z naszego i Polski nieszczęsnego położenia, mimo najlepszą chęć, tyle klęsk nowych na Polskę sprowadziły. Towarzystwo D. najczynniejsze, najwięcej się téż do tego przyczyniło. Błądzić, jest ludzką rzeczą, ale trwać w błędzie, jest to rzeczą szatana. Po tak smutném doświadczeniu, jeżeliby Towarzystwo D. jeszcze przy swoim obstawało, niechy go nie mogło odtąd wymówić od surowej odpowiedzialności przed narodem, przed potomnością, przed historią. Ale mocno będąc przekonanym, że nic się na świecie nie dzieje bez woli i dopuszczenia Boskiego, i że bez niej i włos z głowy nikomu nie spadnie, uważam, iż wszystko, co dotąd w Polsce zaszło, zająć koniecznie musiało, dla przysposobienia jej może do nowych przeznaczeń. Do nikogo zatem nienawiści, do nikogo nie trzeba mieć żalu.

Do tego okropnego stanu, o którym przed chwilą mówiłem, części żywotnej naszój narodowości, dodajmy zupełną obojętność, a nawet, gdyby tego potrzeba wymagała, to jest: gdyby rząd zezwolił, straszną nieprzychylność ciemnego a zbyt uciśnionego jarzmem niewoli ruskiego wieśniaka, którego sumienie i wola są pod zarządem prawie absolutnym popów, dodajmy do nich jeszcze, chytrność, przewrotność, raczej nieprzychylność niż sprzyjanie nam Żydów, licznie po miastach osiadłych i prawie zawsze większą część ludności ich składających, a będziemy mieli dokładne pojęcie i wyobrażenie o stanie rze-

czy, jaki zastałem na Podolu i na całej Rusi. Cóż w takim stanie kraju, przy takim usposobieniu najliczniejszej części narodu można było przedsięwziąć? Czy licząc na oburzenie, na obrazę wszystkich uczuć i godności najwięcej patryotycznej, ale zbyt drobnej cząstki narodu, zachęcać ją do szermierki z tym przekonaniem, że ona skończyć się koniecznie musi z naszą przegraną i nowe kłeski na kraj sprowadzić? Czyli zwątpiwszy o bliższej przyszłości, potrzeba było i sobie i wszystkim powiedzieć: nie myślmymy o niczem i poddajmy się przelnaczeniu, a przynajmniej uwolnimy się od trapiącego i trującego każdą życia chwilę niepokoju, od tęsknoty za nazwą Polski i Polaka; słowem, słuźmy despotcie wiernie, a w nagrodę urojonych swobód i szczęścia nadziei, w zamian uczuć patryotycznych i wspomnień niepowrotnej sławy i wielkości, używajmy materyalnego dobrobytu, łask i względów, jakich zapewne wówczas car dla nas szczedzić nie będzie. Ani jedno, ani drugie, gdyż ani jedno, ani drugie nie jest godne sumiennego człowieka, ani prawdziwie kochającego swą ojezyznę syna, obywatela. Sam nie wątpię nigdy o lepszej przyszłości Polski, bo nie wątpię nigdy o sprawiedliwości Boga, nie mógłem zwątpieniem zarazić serc rodaków, jak równie nie mógłem namawiać i zapalać do lekkomyślnego ruchu.

## ROZDZIAŁ X.

*Opisanie Kamieńca. Stan mojej duszy. Wyjazd do Bessarabii. Niedotrzymanie tajemnicy. Prózne poszukiwania władzy. Niebezpieczeństwo mnie grożące. Przyczyna, dla której niechciałem uciekać.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi 15 października 1848 r.

Jeżeli jakie miasto w Polsce przechodziło przez różne koleje losu, to bez wątpienia Kamieniec Podolski; a jako miasto warowne na swój czas i położone prawie na kończywie Starój Polski od strony Turcyi, musiało koniecznie temu losowi ulegać. Jeszcze za czasów Olgierda, wielkiego księcia litewskiego, zdobywcy Kijowa i całej Rusi aż po morze Czarne, Kamieniec stał się stolicą jednego z książąt litewskich, lenników w. księcia litewsk. Po zgonie Bolesława, ostatniego z książąt mazowieckich, a księcia halickiego, kiedy Kazimierz W., ostatni z Piastów, posiadł Halicz (Galicyą) i Kamieniec został do Polski przyłączony i już słynął jako miasto obronne. Za Jagiellów, a szczególnie za Zygmunta Staroego, który na przedstawienie Ostafija Daszka (Daszkiewicza), szlachcica owruckiego, pierwszy z kozaków Zaporozkich utworzył pograniczną milicją pod dowództwem tegoż Daszka pierwszego kozaków hetmana (atamana), Kamieniec zaczął być punktem ważnym w obronie granic Rzeczypospolitej. Ste-



fan Batory wzmocnił to miasto mocną fortecą tuż przy Kamieńcu wzniesioną, i ozdobił mocną, choć niewspaniałą bramą. Za czasów wojen kozackich, kiedy Doroszenko przyjąwszy wiarę mahometańską, poddał się przez nienawiść ku Polakom, sultanowi tureckiemu, Kamieniec, mimo mężną obronę polskiej załogi musiał się Turkom poddać, którzy wszedłszy doń, zamienili kościoły w meczety, a obrazami z kościołów wyrzuconemi, na okazanie wzgardy ku religii katolickiej, powyszcili ulice w miejscach, gdzie było błoto, aby ich piechota i kawalerya łatwiej po nich przejść mogła. Krasieński, biskup kamieniecki był pierwszym założycielem konfederacji barskiej.

Miasto Kamieniec składa się z samego miasta na skale nieco niżej od otaczających ją wzgórz pobudowanego, a otoczonego na około niewielką rzeką Smotrycz, płynącą na około miasta w głęboko i szeroko wydrążonem w skale korycie, ze stromemi i wysokimi brzegami, z dwóch przedmieść, z których jedno większe, a do którego się wychodzi przez bramę wietrzną zwaną, czyli Batorę, nazywa się Folwarki, a drugie poniżej Kamieńca i za mostem kamiennym, łączącym oba brzegi Smotryczy od strony fortecy z miastem, nazywa się z turecka Kerwasary, gdyż tam najwięcej Turków mieszkało. Ztąd też w Kamieńcu, z przyczyny rozmaitych kolei, przez które przeszedł, mnóstwo jest pamiątek historycznych narodowych. I tak w fortecy, o której uczyniłem wzmiankę, a którą miałem sposobność wszechstronnie obejrzeć, znajduje się dawny kościółek polski, a raczej kapliczka murywana. Na tej kapliczce od tyłu i zewnątrz był dotychczas dobrze zachowany w wypukłych rzeźbach herb Rzeczypospolitej z koroną królów polskich. Na starej i opuszczonej bramie przedmostowej od strony fortecy i od wjazdu do Kamieńca są jeszcze szczątki orła polskiego, a na bramie prowadzącej z przedmieścia Kerwasary do Kamieńca, orzeł polski z kamienia wyrobiony w zupełności jest zachowany. Na bramie wietrznej, najokazalszej

z miasta, znajduje się na jej wierzchu napis łaciński, że ta brama była zbudowaną przez króla Batorego z wyrażeniem daty roku. W Kamieńcu, nieprzenośnym czteremastu tysięcy mieszkańców, z których połowa jest Żydów, znajdowało się ośm kościołów: z tych trzy zamieniono na schyzmatyckie cerkwie, z dwóch wypędzono zakonników jeden ormiański: pozostały do użytku katolików tylko katedralny kościół i Karmelitów bosych. Przy kościele katedralnym Turcy w czasie swojego nad Kamieńcem panowania wzniesli Minaret, z którego Muezzini zwolywali Mahometanów na modlitwę, albo im ogłaszali czas modłów i ablucyi; ten Minaret dotychczas stoi z półksiężycem na szczycie, na którym utkwiony jest krzyż. W kościele dominikańskim cała ambona, dzieło Turków, wraz ze wschodami na nią wiodącemi, z jednej bryły granitu jest wykuta. Jedyne most w Kamieńcu, murowany, bez żadnych zasad architektury, ale mocno zbudowany, jest także dzieło Turków. Ogród spacerowy Łubianówka, tak nazwany od imienia byłego niegdyś podolskim gubernatorem Pana Łubianowskiego, który do jego założenia najwięcej się przyczynił, może się nazwać osobliwością dla miasta Kamieńca. Jest tam także drugi ogród spacerowy, mniejszy od Łubianówki, między stromemi brzegami Smotryczy założony, niewiem dla czego nazywa się ogrodem Wita. Stoi w Kamieńcu jeszcze dom opustoszały, gdzie niegdyś sejmiki szlachty polskiej odbywały się.

Kamieniec zatem, kto w jego martwych głazach czytać umie, ma w sobie mnóstwo pamiątek historycznych narodowych mocno przemawiających do serca Polaka. Samo położenie Kamieńca niewyluczając jego okolic jest tak szczególne, iż trudno coś podobnego gdziekolwiek znaleźć. Te zabytki starożytności i osobliwość położenia tak ujęły Mikołaja, że gdy przejeżdżał przez Kamieniec 1842 roku, mimo przedstawienia gubernatora podolskiego, że to są zabytki i wspomnienia narodowości polskiej, rozkazał takowe w zupełności zostawić i zachować, a Vernetowi sła-

wnemu malarzowi francuzkiemu, z którym podówczas podróżował, polecił Kamieniec i jego okolice przenieść na płótno. Musi zatem gród ten w całej swój wdowiej szacie żalobnej i osierocenia, mieć wiele wdzięku i powabu, mocno pobudzać i ujmować serca, kiedy taki glaz jak Mikołaj, dał się wzruszyć jego wdziękami i przez wdzięczność najistotniejsze jego ozdoby, bo wspomnienia przeszłej świetności i nieszczęść, rozkazał ocalić.

Gdyby w Kamieńcu oprócz tych zabytków i wspomnień naszej przeszłej wielkości, nic więcej niebyło coby nam przypominało dzisiejsze położenie Polski, jej klęski i niewolę, to już byłoby dostatecznym dla każdego Polaka kraj swój kochającego, do pogrążenia go w smutku, tęsknocie, w melancholii. Ja patrząc codzień na te pomniki mógłbym być w innym usposobieniu. Ale kiedy oprócz martwych ruin i zwalisk naszej narodowości patrzeć jeszcze potrzeba było na istotną, stopniowo i szybko chylącą się do upadku moralną jej budowę, to jest na upadek i prześladowania szlachty, religii i języka; wówczas nieraz mogło mi się zdawać, że chodził po smętarzu Polski, po którym snuły się zamiast Polaków, tylko ich cienie, sam będąc prawie tylko cieniem. Na obliczach nie tylko starców, mężów, ale i młodzieńców zamiast zadowolenia z przyjemności życia i tej wesołej swobody cechującej i objawiającej swobodę i szczęście duszy, widziałem tylko smutek, niepewność, prawie brak życia wyryte. Do tych przyczyn już i tak wystarczających do przyprawienia czującego człowieka o śmierć moralną, o zabicie w nim i stłumienie ostatnich iskier życia duszy, przyłączyło się także i moje położenie, zamiary i cel przybycia. Wszystkie te powody, mimo dobre i wygodne życie, mimo udawanie lekkości i obojętności cudzoziemca, mimo nadzieję, jaką bliżej i ściślej znajomym a znającym już mnie pod właściwym nazwiskiem i charakterem, usiłowałem wlać w ich serca, duszę i przekonanie, tak mocno wpływały na usposobienie mojego ducha, iż mimo największą usil-

ność i pracę wewnętrzną, często musiałem się poddać uczuciom tych smutnych i bolesnych wrażeń. Postrzegłem, iż zauważano ten smutek i kładzono go na karb rozmaitych mojego życia wypadków, a które każdemu człowiekowi zdarzyć się mogą; nigdy niewpadano na rzeczywisty jego powód, a nawet domysł.

Dla ukrycia się z moim smutkiem przed ludzkim okiem, i dla uniknięcia spostrzeżeń ciekawości, często w chwilach czarnego usposobienia wychodziłem samotny na przechadzkę do Lubianówki, do ogrodu Wita, a najczęściej za Kamieniec w pole, w step. Tam dopiero dumalam i rozważałem o wszystkim, układałem i po szczególności rozbieierałem me plany, wybierałem sposoby najstosowniejsze do przeszkód i okoliczności, radziłem się sumienia i serca, często powzdychałem, a niekiedy i zapłakałem; ale nikt o tem ani wiedział, ani słyszał. — W tych po za Kamieńcem przechadzkach zwykle lubilem stawać i zatrzymywać się na jakim wzniosłem miejscu, na mogile, i zapuszczałem myśl, duszę i oko ku lubej mej Ukrainie, gdzie światło życia ujrzałem, gdzie najpierwsze, najczulsze i najwznioślejsze przyjąłem wrażenia, gdzie najczyściej, najgoręcej nauczyłem się kochać moją ojczyznę, moją jedyną Polskę! Odtąd nic mi z uczuć dla Polski nieprzybyło, przybyć nie mogło. Proszę tylko Boga, aby mi ją pozwolił tak gorąco kochać aż do mojego skonu. Patrzałem z uniesieniem, smutkiem i tęsknotą, na obszerne, okiem nieprzejrzane łąny żyta i pszenicy, pokładających się i wznoszących od wiatru, jak fale na morzu, a tak pięknego i bujnego zboża, jakie jest na Podolu i Ukrainie, może niema i na całym świecie. Czystość i świeżość powietrza, jakby tchnienie Boże, zasila i upaja duszę prawdziwie niebiańską rozkoszą, najtkliwszemi a wzniosłemi uczuciami, i z czcią, pokorą, wdzięcznością i uwielbieniem podnosi ją ku Stwórcy. Kto czuje i rozumie oddech tego powietrza, a jeszcze jest złym i występny, ten ma skalaną i niską duszę, ten z dopuszczenia Bo-



żego na karę dla drugich został tam stworzony. Jest to kraina prawdziwie mlekiem i miodem płynąca; dla czegoż dziki despotyzm zabijającym swym tchem ją zaraża, i lud jedynie do wolności i szczęścia stworzony, zdołał wtrącić w przepaść cierpień, i w posłusznych sobie zamienić niewolników? Z tych samotnych przechadzek choć niezawsze wracałem wesół, ale zawsze wracał pokrzepiony; bom zebrał, skupił swe myśli i uczucia, wzmocniłem się na nowe przygody, i zawsze nowe wynalazłem środki do pokonania przeszkód i zawał, i do służenia Polsce, do przyłożenia do jej przyszelego a wspaniałego gmachu choć jednej cegiełki. Boże! Ty sam jeden byłeś tylko świadkiem i boleści mego serca, i pragnień mej duszy, i najgorętszych mych życzeń poświęcenia się dla szczęścia i nadziei Polski! a Ty święty Mistrzu ludzkości, Ty jej Odkupicielu, Ty wiesz gdzie szukał jedynie wsparcia i siły, rady i pociechy.

Jeżeli każdy, to tóć bardziej zamknięty sam w sobie i nikomu ze swych boleści i smutku, uczuć i wrażeń nieudzielający się człowiek, potrzebuje się z niemi wynurzyć przed Tym, przed którym nic w jego duszy ukrytóm być niemoże. Ze wszystkich darów, jakimi Bóg obsypał człowieka, najkosztowniejszym jest bez wątpienia, uczucie naszej bezpośredniej zaległości od Boga, źródła i początku wszelkiej piękności moralnej, a ztąd ufność dziecięca w jego wszechmocność, sprawiedliwość, mądrość i dobroć ojcowską. Czcic zatem Boga i udawać się do niego z całą ufnością serca we wszystkich naszych potrzebach i cierpieniach duszy i ciała, w naszych smutkach i dolegliwościach, jest tak wrodzoną człowiekowi, jak jest naturalną i właściwą rzekom płynąć do morza, a ciałom spadać do środka ciężkości. Religija wzmacniając to wrodzone człowiekowi uczucie uczy go, jak ma najszczytniej i najwznioślej czcic swego Boga, Ojca. Człowiek z tóć uczuciem wrodzonóm, z religią objawioną Chrystusa podnoszącą moralną jego stronę, jego serce, duszę i ducha, do najczyst-

szego i najwznioślejszego poczucia i pojęcia tej piękności spoczywającej w Bogu, a następnie przybliżającą go, o ile człowiekowi to jest dozwoloném, do doskonałości, w największych przygodach życia niemoże być zupełnie nieszczęśliwym, niemoże się poniżyć i upodlić; bo w nim i z nim jest zawsze to co właśnie stanowi wewnętrzną, a rzeczywistą jego istotę, godność, wzniosłość i piękność, czyli jednóm słowem, świętość. Im doskonalszym i świętszym jest człowiek, z tém większą ufnością wzywa pomocy nieba. Szczęśliwy kto się podniósł do tego stopnia świętości. Ja w głębokiém poczuciu mej nicości ku Stwórcy, i zewsząd grubą ziemskości powłoką przyćmionej mej duszy, prosiłem tylko Boga, zachęcony świętymi słowy Zbawiciela: kołaczcie a będzie wam otworzono, proście a będzie wam dana, aby wejrzał na mnie łaskawie, i udzielał mi choć trochę żalu, choć kilka łez pokutującego Dawida; bo sprawa Polski jest zbyt wzniosłą, jest świętą i potrzeba do niej przystępować z jak najczystszeń sumieniem i z pomocą Boga.

Jest w kościele katedralnym od wchodu do niego przez wielką bramę, na prawo kaplica, do której zwykle mało przychodziło modlących się, a często bywała zupełnie prózną. To opuszczenie właśnie mi było dogodnym, aby w samotności, w cichości i opodal od każdego świadka, mógł szczerze wynurzyć się z moich uczuć i z moich trosków przed Bogiem. Prosiłem Go, aby oświecił me sumienie i kierował mojemu dla Polski zamiarom. Psalm Dawida modlącego się o pomoc Bożą w zbudowaniu świątyni Pańskiej i wzmocnieniu murów Jerozolimy miasta świętego, były ulubioną mą modlitwą. Nieraz Bóg łaskaw na męki i cierpienia mej duszy tchnął mi w serce i skrucę pokuty, i nadzieję skutecznego służeńia Polsce, i gorące pragnienie bezwzględne poświęcenia się za nią i za moich rodaków. Im z większą wiarą, mocą i żalem zanosiłem me modły, tém większa w mém sercu wzmagała się miłość i przywiązanie do kraju, tém więcej czulem

świętość jego sprawy, jak i obowiązków względem niego ciążących na mnie. Były chwile, gdzie Bóg mnie swą świętą owionął łaską, wówczas łzy rzewne, łzy gorące pokuty, żalu, nadziei i szczęścia ulżyły i niepokojom sumienia, i męczarniom duszy, wówczas gorąco wierzyłem w Opatrzność i opiekę Boga nad Polską i w jej odrodzenie z Jego pomocą. Boże Wszchemocny, Boże litościwy, wróć mi tę wiarę i tę nadzieję w twoję Opatrzność, dobroć, sprawiedliwość i opiekę nad Polską, powróć mi szczęście pewności w jej bliskie odrodzenie, włóż w me serce zużone, oschłe długą boleścią i cierpieniami, ożywiająca miłość dla ciebie: a wśród największych przeciwności i niepodobieństwa jeszcze niezawątpię o zbawieniu Polski, o wybawieniu z niewoli egipskiej polskiego narodu, i z całą żywą wiarą poświęcę się za nich; Panie! nie daj mi wątpić o Twojej dobroci, chroń mą duszę od zwątpienia, a na wiek wieków, Tobie Ojcu memu, Ojcu i jednemu Opiekunowi Polski, będę śpiewał: Chwała chwała, chwała, Hosanna na wysokościach; Tyś Bóg jeden, Bóg prawdziwy, z Synem Bożym po prawicy, z Duchem Świętym: Święta Trójca, na wieki wieków.

Tymczasem, tak pod zasłoną przybranego nazwiska, jak i pod właściwem nazwaniem, moje znajomości się rozszerzały, i ja wielu nieznając osobiście, od wielu przez innych byłem już znany. Położenie moje stało się nieco krytyczniejsze; bo trudno, aby tajemnica wielkiej liczbie osób powierzona była ściśle dochowana. Niebezpieczeństwo zatem, być odkrytym i schwytanym, było prawdopodobne, jeśli nie pewne; ale z myślą niebezpieczeństwa tak dalecem się oswoił, iż ona na mnie prawie żadnego nieczyniła już wrażenia; powierzyłem swe losy Opatrzności Boga, zawszem się jednak starał postępować i działać z wielką ostrożnością i przezornością.

Z początkiem miesiąca sierpnia wyjechałem z Panią Piekutowską i całą jej rodziną na wakacje do Bessarabii. Przejechałem obok pięknój wsi Paniowca, przewie-

zliśmy się przez Dniestr i wjechaliśmy do Bessarabii, po której w młodoecianym bardzo wieku dosyć podróżowałem. Zanocowaliśmy w miasteczku Bielica u jednego Żyda w oberży, z przyczyny ómy pchel nikt z nas spać nie-mógł. Na drugi dzień naszej podróży przybyliśmy do wsi Bryndzany, gdzie mieszkali Państwo Piekutowscy. Pan Piekutowski, miły i uprzejmy szlachcic polski, przyjął Francuza Catharro gościnnie i otwarcie; ale że bardzo mówił mało po francuzku, mało też kiedy z nim rozmawiałem, wynagradzałem sobie ten brak poważniejszej treści rozmów miłem towarzystwem Pani Piekutowskiej, Panny Olympii i Panny Matyldy. Chociaż to były moje uczennice, wcale to jednak nieprzeszkadzało, żeby się już o nie nie starano, bo Panny były hoże i rosłe. Jeden z moich bliżej znajomych starał się o rękę Panny Matyldy, na jego nieszczęście przezornój i dowcipnój, chociaż pełnej powagi powierzchowności. Panna Matylda widać nie miała do niego skłonności. Jedną razą zakochany chcąc się dowiedzieć, o ile jest w łaskach i w sercu młodej dziewicy, gdy wszczęła się mowa o języku francuzkim, zagadnął ją z nagłą i żartem: jestem pewnym, że Pani nie wiesz, jakie słowa do pierwszej formy należą? Otóż wiem. Jakież? Które się kończą na *er*. Niechże Pani da przykład. Będąc pewnym, że mu Panna zacytuje przykład grammatyki, *donner, aimer*, szczególnież zapewne chciało mu się usłyszeć z jej ust pierwszą osobę liczby pojedynczej, czasu teraźniejszego i trybu oznajmującego, to jest: *j'aime*, kocham. Ale jakże się zdekoncertował, kiedy na czule zaprosiny: „Niechże Pani da przykład,“ ta mu z najzimniejszą krwią odpowiedziała, jakby niepojmując: czego by sobie życzył, naprzykład: *blâmer, repousser, détester*, ganić, odtrącać, brzydzić się; po takiem *dictum acerbum* więcej o francuzczyznę niepytał, i niewiedział, jak miał sądzić. W parę dni spotkawszy go bladym i smutnym, zapytałem: co ci jest? czyś niechory? I bardzo, odpowie, a przyczyną mój choroby jest twoja prze-



klęta francuzczyzna. A to jakim sposobem? Boś doskonale nauczył Pannę Matyldę.

Ponieważ w Bessarabii koni nie braknie, a Pan Picutowski miał ich dosyć, często tedy konno wyjeżdżałem na pola i w step, i hasałem po nim, dawne szczęśliwsze przypominając sobie czasy. Tu prawdziwie i dla mnie były wakacje; na tych stepach bessarabskich, tyle przypominających stepy Ukrainy, wolniej i swobodniej odechnąłem; bo chociaż w Kamieńcu dobrzem się przed władzami zamaskowałem, widok ciągly czerwonych, zielonych i różnopstrych kołnierzy moskiewskich nieprzyjemnie raził oko i nieprzyjemniejsze stokroć w duszy obudzał wrażenia. Tu byłem uwolniony od tych harpij bezustannie me serce szarpiących. A w pięknych letnich wieczornych i nocnych przechadzkach, przy bladém świetle księżycy, używałem prawdziwój przyjemności i rozkoszy życia. Z prawdziwą przyjemnością i ze szczerém uczuciem wdzięczności dziś jeszcze wspominam te chwile. Ja tak rzadko i tak zbyt krótko byłem szczęśliwym na ziemi. Cóż dziwnego, że chwilowy, krótki wypoczynek duszy i serca uważać muszę za nadzwyczajne szczęście stanowiące ważną epokę w mojem istnieniu?

Bessarabija zawarta między rzekami Prutem i Dniestrem, zawsze uważaną była i jest rzeczywiście żyzną, bujną, bogatą w plody ziemne, bydło, konie i owce; szczególnie cenioną była od Turków część jój północna od Chocima, zkąd miała nazwę *Raja chocimska*. Mieszkańcy Bessarabii pochodzenia rzymskiego, tak samo jak Multanczycy czyli Mołdawianie i Wołosi nazywają dotąd siebie Romuni, to jest: Rzymianie, z łacińskiego Romani. I mają wielką słusność tak siebie nazywać, gdyż za czasów, kiedy Rzymianie owdładnęli światem, cała ta część między Prutem a Dunajem, nazwana Dacyą, ziemią Gepidów, służyła Rzymianom za ziemię wygnania dla przestępców kryminalnych i politycznych; była to Syberya Rzymian, do której cesarowie, tak samo jak dzisiaj ca-

rowie moskiewscy, wysyłali ludzi prawych, więc dla nich niebezpiecznych. A nieszczęśliwy Owidyusz wsławił tę krainę wygnania smutnemi, rzewnemi elegijami. Umarł na wygnaniu w Bessarabii; grób jego znajduje się niedaleko Akkermann czyli Białego Grodu, miasta będącego za szczęśliwszych czasów Jagiellów miastem portowém polskiem na morzu Czarném. W cześć Owidyusza, miasteczka, gdzie się grób jego ma znajdować, nazywa się Owidyopol, na polskie wytłómaczywszy, miasto Owidyusza. Język romuński bardzo jest podobny do łacińskiego, jak włoski, hiszpański, portugalski.

Bessarabija pod tureckiem panowaniem używała prawdziwego szczęścia, od czasu zaś, jak należy do Rossyi, swobody mieszkańców znacznie ścieśniać poczęto; lud biorą w rekruty, bojarom czyli szlachcie każą się legitymować w Heraldji petersburgskiej, a roje czynowników, jak smrodliwe harpije, zaraziły tę biedną dziś krainę. Wszystko tam poszło na sposób moskiewski. Wielkie jęj szczęście tylko w tém, że się dostała pod wielkorządztwo hrabiego Woroncowa, jenerał-gubernatora Bessarabii, chersońskiej, ekaterynosławskiej i tauryckiej gubernii czyli Krymu, człowieka bardzo światłego, rozumnego i poczciwego, roztropnego i sprawiedliwego administratora, karcącego surowo wszystkie nadużycia swoich podwładnych urzędników. Ten broni i zasłania jak może mieszkańców Bessarabii przed czulą ojcowską opieką szponów Mikołaja. Wyrobił to, że przez długi czas nie brano ich w rekruty.

Mieszkańcy Bessarabii, mimo zmianę rządu i ucisku, jakiego zaczynają doznawać, zachowali jeszcze dawną swobodę duszy i obojętność względem przyszłości; mieszczą w chatkach z gliny ukleconych małych i ciasnych, ale czystych, wybielonych; honor i bogactwo gospodyni zależy w pościeli i poduszkach, które ułożone na łożku często sięgają pułapu; u bogatszych są nawet dywany. Chleba, nabiału, mięsa, mają podostatek, lubią bryndzę (owczy sér) i mamalygę z kukurydzy; kobiety piękniej

i gustowniej się ubierają od mężczyzn, którzy częstokroć śród lata noszą na sobie kozuchy, albo koszulę na spodnie napuszczoną. Czabany, to jest: pastuchy owiec, żyją niemal całe lato w polu bryndzą tylko i mamałygą, chodząc za swoją otarą (stadem owiec); są tam także liczne tabuny koni i winogrona, z których wino kwaśne nazywa się w Polsce wołoskiem; w ogóle mieszkańcy są charakteru łagodnego i pięknej rasy. Przypatrzywałem się czasem w dni świąteczne z przyjemnością ich tańcowi nazwanemu Dżog. Bessarabija, przez którą wszystkie hordy cisnące się od wschodu do Europy przechodziły, pokryta jest mnóstwem mogił znaczących i sypanych dla oznaczenia szlaku czyli drogi, po której hordy przechodziły. A niedaleko wsi Bryndzany jest w skale wielka i głęboka grotta, w której mieszkańcy okolicy kryli się od napadu Tatarów.

Po rewolucyi listopadowej bardzo wielka liczba szlachty polskiej z ziem ruskich, już to z przyczyny podupałych i prawie zniszczonych, bo skonfiskowanych majątków, już to dla uniknięcia prześladowań rządu, który wywierając swą zemstę za powstania w tych prowincjach, niczego nie szczędził dla znalezienia najmniejszego pozoru do skompromitowania szlachcica, przeniosła się do Bessarabii i tam pobrała dzierżawy. Rząd rossyjski dowiedziawszy się i przekonawszy o tem, pod pozorem, aby schronieni dą tej prowincyi Polacy, z przyczyny bliskości granic Turcyi, nie weszli z nią i z Emigracją w tajemne stosunki, nie pozyskali zaufania krajowców, Multan i Wołochów, i żeby z czasem jakiego nie wywołali tam ruchu, chciał ich wszystkich ztamtąd wypędzić, to jest: kazać im wrócić do ziem ruskich. Jenerał gubernator południowej Rossyi graf Woroncow, czując całą niesprawiedliwość podobnego rozporządzenia i przewidując ostateczną ruinę tylu niewinnych ludzi, wstawił się usilnie za Polakami do Mikołaja, zaręczwszy go, iż on bierze na siebie odpowiedzialność za spokojność zachowania się schronionych

do Bessarabii, jak i za spokojność tójże. To szlachetne wstawienie się hrabiego Woroncowa zostawiło w pokoju tyle i tak już nieszczęśliwych rodzin. Dla tego Pan Woronców, z przyczyny swej sprawiedliwości i dobroci, zasłużył na prawdziwą wdzięczność całego swego wielkorządztwa: lubią go powszechnie i poważają; najlepsza nagroda rządzących.

Bessarabija, jak cała Wołosza, pełna jest wspomnień naszych dziejów, będąc przez kilka wieków lenną Polsce, a jej położenie pograniczne było powodem częstych, tak z Turcyą, jak i z nią samą wszczętych wojen, z przyczyny wyborów gospodarów. O kilka mil ode wsi Bryndzan, gdzie Państwo Piekutowscy mieszkali, jest sławna dolina Cecory (Val di Cecora), gdzie w 1620 roku w odwrocie i po dzielnej obronie poległ wielki wódz nasz hetman Żółkiewski w siedmdziesięcioletnim wieku swojego na usługach ojczyzny strawionego i sławnego, choć pełnego gorczy życia. Prawy syn ojczyzny, prawy Polak, szczerze jej żyzył, radził i służył, ale ani jego rad niesluchano, choć Moskwa byłaby naszą, a jego świetne, wielkie, bo rzeczywiste zasługi, zamiast wdzięczności, wzbudzały tylko zazdrość ku niemu, mężowi nieskalanej i czystej pamięci, tych, którzy ledwie znieść mogli, rażące ich oczy światło jego zasług. Cześć twojej pamięci, cześć twoim zasługom wielki, cnotliwy mężu! Ucz nas z pokolenia w pokolenie, jak mamy kochać i poświęcać się dla Polski! Na tém samym miejscu, gdzie poległ Żółkiewski, został na cześć jego przez jego rodzinę wzniesiony okazały pomnik z łacińskim napisem: *exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor* (o powstań ktokolwiek z naszych kości mścicielem!) i powstał Jan Sobieski, pogromca Turków. Dziś ten pomnik zamieniony w gruzy, już prawie znika, a rząd rossyjski niepozwala, surowo zabrania odnowić go i podźwignąć. Podejrzliwy despotyzm lęka się nawet wspomnień i pomników wolności! Będąc tak blisko, chciałem koniecznie odwiedzić to święte dla każdego serca polskiego miejsce,



ale niemógłem wynaleźć nigdy pozoru, bez zdradzenia się i obudzenia na się podejrzenia. Dotychczas żałuję, że nieodbył tej krótkiej pielgrzymki na cześć pamięci Żółkiewskiego.

W Warnicy, niedaleko Bender miasta, Karól XII, po przegranej pod Puławą w 1709 roku, schroniwszy się do Bessarabii, był wzięty od Turków szturmem. Tu także umarł słynny przygodami swojego życia, stary, i jak sam siebie nazywa, bezfortunny (beztalanny) Mazepa, ostatni prawdziwy ataman kozaków ukraińskich i przychylny Polakom. Tu także dowiedziałem się o śmierci księcia Eustachego Sanguszki na Wołyniu. Nieszczęśliwy autor powszechnie w Polsce znanej pieśni: „Pomoc dajcie mi rodacy, gdyż okrutny los mnie nęka,“ także znajduje się w Bessarabii i trzyma małą dzierżawę.

Po wakacyach w miesiącu wrześniu wróciliśmy wszyscy do Kamieńca. Teraz postrzegłem i przekonałem się, iż wielu, bardzo wielu już wiedziało, kim byłem w istocie, a nawet w jakim przybyłem celu? Dawali mi to nieznacznie do poznania, ale m udawał, że wcale nie rozumiał o co rzecz idzie. Niedotrzymanie jednak udzielonej tajemnicy, wyjawienie jej niepotrzebne przed osobami może niepewnemi, a następnie niemogącemi mieć udziału w zamiarach politycznych, nie dobrego ani dla sprawy, ani dla mnie, ani dla tych, co o moich zamiarach wiedzieli, nierokowało. Tu postrzegłem słabość charakteru, święgotliwość, a raczej chępliwość moich rodaków. Kto tyle jest słabym, iż niema dość nad sobą mocy, aby powierzoną mu tajemnicę pod słowem uczciwości dochował, kto ma w sobie tyle próżności, iż natychmiast chciałby dać wiedzieć wszystkim, iż posiada tajemnicę podług niego odrodzenia Polski, i że on jest osobą bardzo ważną w losach przyszłych swój ojczyzny, ten, bądźmy przekonani, nie tylko nie będzie w stanie danych mu wykonać poleceń, ale za lada niebezpieczeństwem grożącym, niemówię życiu, ale jego spokojności i wygodom, opuści i zdradzi

nietylko swego powiernika i przyjaciela zamiarów, ale nawet zdradzi i opuści sprawę samej ojczyzny, samą ojczyznę.

Z tego powodu, chcąc zapobiedz grożącemu i mnie i moim zamiarom niebezpieczeństwu, zacząłem dochodzić, jak to powiadają, od nici do kłębka, aż do samego źródła, zkąd rozpuszczono te wieści, aby je w samym zarodzie umorzyć, a przynajmniej nadać im błędny, inny, pozorny jaki kierunek, i doszedłem, poprawiłem jak mogłem, ale trudno było szeroko już wieść rozpostartą zupełnie umorzyć. W tych poszukiwaniach zrobiłem jedno spostrzeżenie nie wiele przynoszące zalety tkliwemu uczuciu, które podług mojego przekonania, jeżeli jest czyste, niewinne i wzniosłe, powinno uzacnić, uszlachetnić mężczyznę, obudzić w nim poczucie do wszystkiego co jest pięknem, uczciwem, wzniosłym i cnotliwym, i być dla niego nawet bodźcem do znakomitych czynów; inaczey się jednak stało.

Dwóch z liczby tych, co mnie znali bliżej, a starających się o rękę i serce dwóch zacnych Polek, nie mieli nic spiesniejszego, jak donieść natychmiast o wszystkiem swoim narzeczonym i to może tylko jeszcze w perspektywie, które, już to idąc za skłonnością wrodzoną kobietom ciekawości, już to, być może, przerażone widocznem niebezpieczeństwem, na jakie się narażali mężni ich kochankowie, zaczęły zasięgać rady i pociechy u swych przyjaciółek, te znowu u swoich przyjaciółek, te u mężów, u braci itd., a ci Panowie szczęśliwi, że ich narzeczone, cel i przedmiot ich serca i duszy, boleści, szczęścia, nadziei i życia, czczą już w nich przyszłych bohaterów i zbawców Polski, i drżą o ich życie, myśleli zapewne, że się na tój paradzie wszystko skończy. Nie wiedziałem wcale o tём, że byli zakochani, byłbym im nie zwierzył się tajemnicy; chociaż, gdzież na świecie nietylko młodzi, ale nawet i starzy nie kochają się? Widać tak chciało przeznaczenie.

Nasze kochane Polki zapewne ocenią powody, dla których niechciałem, aby były przypuszczane, i nieradzę nikomu przypuszczać je do politycznych, a szczególnie tajemnych działań, dla nich też powyższy przykład przytaczam: Nikt więc odemnie, wyżej cenić niemoże naszych Polek: ich patryotyzm, ich gorąca miłość i gotowość poświęcenia się każdej chwili dla ojczyzny, zalety i rzeczywiste przymioty zdobiące je, nawet tylko jako kobiety, zmuszają każdego z nas Polaków do wysokiego dla nich szacunku i poważania. I jeżeli my sami jesteśmy dotąd Polakami, jeżeli kraj swój gorąco miłujemy, komuż jesteśmy to po największej części winni, jeżeli nie naszym matkom (siostram) i żonom? Któż, jeżeli nie Polki są pierwsze do składania ofiar, choćby ze ślubnych pierścieni, na ołtarz ojczyzny? Któż goręcej, szczerzej, namiętniej pragnie niepodległości i szczęścia Polski, jeżeli nie one? Któż w stanowczej chwili walki o niepodległość z taką odwagą, stałością, choć z rozdzierającą boleścią serca, wyprawia do niej swych mężów, synów i braci, jeżeli nie Polki? Dla czego, mimo różnego rodzaju wysiłen i okrucieństw naszych nieubłaganych wrogów dla zabicia naszej narodowości, naszych dla Polski uczuć i naszego języka, ta narodowość, te uczucia, ten język coraz silniej się wznagają i kształcą? Bo nasze Polki przyjęły na siebie obowiązek tyle zgodny z ich sercem, z wzniosłością ich duszy, i z prawdziwie macierzyńską troskliwością przekazują i zaszczipiają z pokolenia w pokolenie uczucie i przywiązanie dla kraju, dla imienia polskiego, dla polskiego języka, słowem, dla narodowości polskiej. Czuli dobrze Mikołaj, gdzie jest źródło, serce i życie Polski, i dla tego założył instytut Panien w Puławach. Ale wdał się w nieswoje. On niezna ani cnót, ani godności Polek, jeżeli sądzi, że jego względy, jego umizgi, a nawet i wizyty osobiste niebędą ze wstrętem i pogardą odtrącone! Polki! świećcie, jakeście dotąd przyświecały blaskiem cnót waszych przeznaczeniu Polski! Niedajcie się uwodzić ulu-

dnyum obietnicom zaciętych, nieubłaganych wrogów waszj krwi, waszych wnętrznosci, bo waszych ojców, mężów, braci i synów, które zresztą was same mogłyby poniżyć, spodlić, odarłszy was z jedynj a najszczytniejszj ozdoby, być dobrą Polką. Pomnijcie, że przeznaczenie Polski, jej odrodzenie, w waszych sercach i w waszych ręku spoczywa, bo w pokoleniu, które wypiastujecie, wychowacie dla usług ojczyźnie. Tak szczytnego, tak wzniosłego zawodu, miałybyście się dobrowolnie pozbyć? Dla czcnych osobistych widoków, chciałabyście przenieść udany, nieszczerj, obłudny i tyle was same upokarzający szacunek i przywiązanie wiernych sług, naszych oprawców, nad szczerą wdzięczność, prawdziwą miłość i uwielbienie waszych rodaków?

W skutek rozpuszczonych wieści zaczęto się już odemnie czasami domagać do przyznania się, kim byłem i w jakim przybyłem rzeczywiście zamiarze, jako też do zapoznania się osobiście z tymi, którzy już zkadinał wiedzieli doskonale o mnie. Byłem w bardzo krytycznym położeniu; niebezpieczeństwo było coraz widoczniejsze, ale nieczując żadnej potrzeby przyznawania się wszystkim tym, którzy tego odemnie domagali się, tak ze względu na dobro sławy, jak i dla samj spokojności domagających się wymawiałem się, o ile mogłem, od przyznania się; niezawsze jednak mi się udało, czasami musiałem się przyznać.

Jedną razą widząc się z Albertem Nitowskim, obywatelom z Wołynia, którego po mojem przybyciu do Kamieńca na moje nieszczęście najpierwj poznałem, a który był jednym z tych, co rozmaite wieści o mnie roznosili, i moim złym był geniuszem; zacząłem mu wymawiać jego nieostrożność, przez którą narażał sprawę, mnie, siebie, swoich rodaków i tę, którą kochał, na widoczne niebezpieczeństwo i zgubę; ten po obszernym tłómaczeniu się, po zaręczeniach, po przysiędze nakoniec o czystości swych dla Polski uczuć i zamiarów, tak dalej mówił: wołałbym



żeby pierwój po moim trupie deptano, niż żeby cię miano schwytać i to z mojej przyczyny. Obaczmy wkrótce, jak był wiernym nczuciom dla ojczyzny, jak dotrzymał swych obietnic, zaręczeń i przysięgi.

Po tylu latach nieobecności w kraju, a następnie niemogąc mieć w tym przeciągu czasu żadnych z moimi rodakami stósunków, pierwszą moją myślą było po przybyciu do Kamieńca, szukać sposobności widzenia się z nimi, bez ściągnięcia i na nich i na mnie podejrzenia policyi. Moi rodzice mieszkali w kijowskiej gubernii, w zwynogradzkim powiecie, co wynosiło do trzydziestu mil polskich od Kamieńca. Pókim się nikomu niezwierył z mojego własnego nazwiska, póty niepodobna było i myśleć o widzeniu się z rodzicami, o których życiu niemając od lat jedenastu żadnych wiadomości, wcale niebyłem pewny. Po przyznaniu się do nazwiska właściwego i charakteru przed niektórymi osobami, i kiedym w ściślejsze z nimi wszedł stósunki, prosiłem niektóre z nich, aby przy sposobności chciały się widzieć z moimi rodzicami i doniosły im, że żyję i gdzie jestem? Chciałem, jak tylko można najrychlej, widzieć się z rodzicami, ale pojechać wprost do nich niemógłem, niechciałem, a to dla tego, ażeby w przypadku odkrycia i schwywania mnie, nieściągając na nich surowości dzikich i okrutnych praw rossyjskich; potrzeba tedy było nakazać milczenie wrodzonemu i gwałtownemu uczuciu. Moim zamiarem było, zawiadomiwszy ich o mojej bytności w kraju, naznaczyć do widzenia się z nimi jaki punkt pośredni między Kamieńcem a moich rodziców siedzibą, i jak najbliżej Kamieńca, w miejscu, gdzieby mnie nikt z tych, których dawniej znałem i którzy mnie znali, niepoznał; słowem, życzyłem, aby to widzenie się było niejako przypadkowe; i aby jak najmniej kto o nióm wiedział. Jeden z zacnych obywateli, mając właśnie swe własne interesa do ułatwienia w okolicach mieszkania moich rodziców, przyjął na siebie obowiązek ludzkości ułatwienia widzenia się mnie z ro-

dzicami; miejsce było wyznaczone, o czasie miał mnie zawiadomić po swoim powrocie. Czekałem z niespokojnością i niecierpliwością tak uroczystej dla mnie chwili. Przygotowanie do podróży i wyrobienie pozwolenia wyjazdu do innej gubernii, tak teraz w prowincjach ruskich utrudnione, zajęły temu obywatelowi niemało czasu, narazie kiedy już był prawie zupełnie gotów do wyjazdu, zachorował i na długo, bo w chwili mojego schwytania ledwie jeszcze mógł wstawać z łóżka. Z tego tedy powodu, mimo starań na innych drogach, nietylko żem się z moimi rodzicami niemógł widzieć, ale nawet żadnej o nich i od nich, i o ich życiu lub śmierci nie miał wiadomości. Mocno, boleśnie byłem dotknięty przeszkodami, które mi niedozwolily zaspokoić mojego sumienia, mojego uczucia i dopełnić jednego z najpierwszych i najświętszych obowiązków, bo obowiązku względem rodziców, których po Bogu najwięcej kochać, czcić i szanować powinniśmy. Ja miałem rodziców, którzy mi dawali przykłady cnót i poczciwości, przywiązania do wiary ojców naszych i do naszej ojczyzny. Rzadko które dziecię czulej i troskliwiej nademnie od swych rodziców było wychowane, a większego przywiązania, jakie mieli dla mnie, jeszcze nie widział. Byłem dzieckiem pierworodnym moich rodziców, którzy dali mi wychowanie nad stan i zamożność swoją, i ja miałem być jedyną ich starości podporą. Bóg inaczej rozrządził i moim i moich rodziców losem. Ale najmiłsi moi rodzice! jeżeli przeznaczenie chce, abym was więcej w mem życiu nie oglądał, abym waszych czułych w niedołężnym dziecięcym wieku dla mnie starań, czulszemi i troskliwszemi dla was, w waszej starości, niezawdzięczył staraniami, jeżeli stałem się niegodnym widzieć jeszcze kiedykolwiek wasze oblicze, na które nawykłem spoglądać z uczuciem głębokiego poszanowania i miłości, i usłyszeć z ust waszych ciągle mi błogosławiących, ostatnie błogosławieństwo, błogosławieństwo pożegnania, to bądźcie przekonani, że czcząc waszą pamięć, w mojem

postępowaniu, w mojem życiu, w moich względem Boga, ojczyzny i ludzi obowiązkach, chcę i będę usiłował iść ciągle za waszą radą, waszemi napomnieniami i za waszego serca życzeniem. Przysięgam przed Bogiem, moim Stwórcą i Sędzią sumienia ludzkiego, iż jak dotąd żaden czyn haniebny niezaciężył na mojem sumieniu, tak i do końca życia, mam nadzieję w Bogu, na mnie niezacięży, nieshałbi, nieznikczemni waszego syna, a przed wszystkimi życia obowiązkami, najświętszym dla mnie, jak był tak i będzie, obowiązek względem ojczyzny, względem Polski. Tak mi Boże doponióż!

Jest nieszczęście niekiedy przywiązane do osób tylko, a niekiedy do rodzin. Mój ojciec urodził się w Pradze pod Warszawą. Cały majątek mojego dziadka składał się z trzech czy więcej kamienic na Pradze. Mój dziadek miał czterech synów. Najstarszy z nich Augustyn, skończywszy akademią w Warszawie, w czasie powstania Kościuszki w Krakowie przyłączył się do pułkownika Madalińskiego spieszącego z Poznańskiego na pomoc narodowemu powstaniu, i w czasie téj wojny poległ. Kiedy Suwarow wziął, zniszczył, wyrzwał i krwią zalał Pragę, mój dziad i babka, wraz z trzema synami Jakóbem, Józefem i Franciszkiem, mieli szczęście uratować się z Pragi i od rzezi, ale prawie tylko w koszulach. Kamienice spłonęły, zamieniły się w gruzy, cały majątek niszczał. Po babce była familia na Ukrainie: to było powodem, że z Warszawy rodzina moja cała przeniosła się do niej. Po śmierci dziadka i babki, która wkrótce po ich przeniesieniu się na Ukrainę nastąpiła, mój ojciec i moi stryjowie byli rozebrani od obywateli na opiekę. Mego ojca Józefa, wziął pułkownik Czajkowski, dziadek Michała Czajkowskiego, dzisiejszego powieściopisarza ukraińskiego, a którego rodzona siostra jest za Karolem Różyckim, pułkownikiem i sławnym dowódcą Wołyńców w czasie powstania listopadowego; moich zaś dwóch stryjów, Jakóba najstarszego i najmłodszego Franciszka, wzięli do siebie

każdy po jednym, bracia i obywatele Ukrainy, Jerlicze. Los mego ojca i moich stryjów był w ręku i zależał od woli ich opiekunów. Pułkownik Czajkowski bardzo kochał mego ojca, który zawsze o nim z uczuciem prawdziwej wspominał wdzięczności, ale z rychłą śmiercią opiekuna znikły i mego ojca nadzieje. Poszedł, jak to mówią, na swój chleb i na swoje gospodarstwo, ożenił się z córką zagonowego szlacheica pochodzenia litewskiego, Pana Józefa Zakusily, z panną Agnieszką Zakusilo moją matką. Dobrze się z początku moim rodzicom powodziło, ojciec miał zamiar nabyć w dziedzictwo fabrykę szkła (hutę) i wieś Korolówkę tuż przy niej będącą. Ja jeszcze zapamiętam te szczęśliwsze czasy. Kiedym już miał lat kilka, dla mojej rozrywki i zabawy, dał mi ojciec młodego chłopca kozaczka Ukraińca, który tańcząc w pioskockach i w przysiody, grał na teorbanie i śpiewał dumki ukraińskie o Sahajdacznym, Konaszewiczu, o Potockim, o Neczaju i inne; choć byłem jeszcze prawie dzieckiem, lubiłem słuchać te pieśni pełne smutku, tęsknoty, męstwa i awanturniczego życia; młode me serce, i młoda, lecz ognista wyobraźnia, zaprawiały się czuć i marzyć po krajowemu, nawet po miejscowemu, po ukraińsku, to jest: kiedy się co pokocha, to na wieki, a w czém ulubuje wyobraźnia, to trzeba mieć, to potrzeba wykonać. Zbyt wiernie niestety! jedno i drugie zachowałem. Ale te chwile jakiego takiego szczęścia niedługo trwały; z biegiem wypadków moi rodzice przyszli do zupełnego upadku, prawie do nędzy. Mój ojciec zbyt dumny, by obcej żądać pomocy, wziął się sam do pluga, kosi i cepa, a moja matka, choć delikatnego zdrowia, widziała się zmuszoną odbywać wszystkie obowiązki prostej w domu gospodyni, tak właśnie samo, jak nie jednej nigdyś Pani zdarzyło się w Emigracyi. W takim znajdując się stanie przedsięwzięli mnie edukować i do szkół oddali, ponosząc dobrowolnie wszystkie potrzebne dla mnie koszta z ujmą najkonieczniejszych dla się potrzeb do życia; potrzeba



prawdziwie serca rodzicielskiego i serca takiego, jak moich rodziców, aby się na coś podobnego odważyć! Jak takich rodziców nie cześć pamięci! jak nie zachować ich rad i przestroż? Jak na samo ich wspomnienie można zostać występny, niesumienny, złym człowiekiem, złym obywatelem i złym synem ojczyzny? Odtąd moi rodzice podźwignąć się niemogli, mając pięcioro dzieci do wychowania. A jam z tego powodu zaznał gorzkich chwil w życiu. Na mnie jednym spoczywał los moich rodziców i mojego rodzeństwa, lecz wybuchła rewolucya listopadowa, i ja niebyłem i niemógłem być ostatnim. bo szło o Polskę, o moją ojczyznę, a mój ojciec ledwo ocalał z pod noża Suwarowa. Co się odtąd stało z moim młodszym nierównie odemnie bratem Jakóbem, z memi trzema siostrami i moimi rodzicami, nie wiem.

Najstarszy z moich stryjów, Jakób, oddany był przez Pana Jerlicza, swego opiekuna, do palestry, gdzie przeszedłszy podrzędne stopnie, był ostatecznie jakimś podśędkiem w powiecie wasylkowskim gubernii kijowskiej; dziwnie go los także prześladował. Kupując w dziedzictwo jedną wieś, gdzie kilku było dziedziców, chciał wybrać dla siebie najwygodniejsze w téj wsi mieszkanie; na samym wstępie do jednego domu padł i nogę złamał. Wkrótce syn jego najstarszy, Konstanty, który skończył liceum w Krzemieńcu, wszedł do palestry w Żytomierzu i miał się żenić, ale nagle zachorowawszy, umarł. Drugi syn jego, Adolf, dostał pewnego obłąkania umysłu, a raczej osłabienia. Trzeci, Jakób, będąc jeszcze w szkołach w Żytomierzu, w czasie powstania listopadowego, wszedł do tego powstania; schwytyany od Moskali, był osadzony w więzieniu w Żytomierzu wraz z dzisiejszym emigran-tem Zongołowiczem, znajdującym się we Francyi w mieście Châteauroun; później miano go odesłać do fortecy Chocima w Bessarabii. Co się wreszcie z nim stało, jak równie z najmłodszym jego bratem Augustynem, nie odtąd

niewiem. A o stryju Jakóbie i o całej jego rodzinie, od czasu rewolucyi, najmniejszej nie miałem wiadomości.

Los trzeciego mojego stryja, Franciszka, był najnie-szczęśliwszy. Opiekun jego, Jerlicz, brat poprzedniego, oddał go do wojska rossyjskiego. Był w gwardyi cesarza Alexandra, dostał kilka orderów, został kawalerem, ożenił się z Kurlandką. oddał dwóch synów do korpusu kadetów w Petersburgu, słowem, wynarodowił się i zamienił w Moskala. W czasie rewolucyi 1830 roku był już majorem w pułku moskiewsko - dragońskim.

Gdy wieści tyle mnie niepokojące coraz bardziej i szerzej rozchodzić się zaczęły, jeden poczciwy obywatel dobrze mnie znający, a o kilkanaście mil mieszkający od Kamieńca, umyślnie przyjechał dla zawiadomienia mnie o grażącym niebezpieczeństwie, mówiąc, iż z najpewniejszego (bo od samego wybałał czynownika) dowiedział się źródła, że mnie od dwóch już przeszło szukali miesiący w gubernii podolskiej i znaleźć nie mogli: a tu z Petersburga ciągle władzom miejscowym donoszono, że tam koniecznie być musiał emissaryusz, radził mi tedy ten obywatel, abym jak najspieszniej się z kraju wydalil; to było w samym końcu miesiąca listopada. Domyślałem się łatwo, że mój nagły wyjazd z Paryża niby do Strasburga, gdzie mnie wcale nie było, obudził czujność policyi francuzkiej tyle usłużnej ambassadom trzech nieprzyjaznych nam dworów, a może wznicił podejrzenie nawet samych znikczemnionych Polaków, szpiegów donoszących o wszystkim. co się działo w emigracyi, rossyjskiej ambassadzie, która przesyłała stósowne o tém do Petersburga zawiadomienia, z kąd wysyłano rozkazy po Rossyi dla poszukiwań takich nazwisk emissaryuszów.

Zostając pod samym bokiem, pod okiem i zasłoną władz rossyjskich z przybranem mojem nazwiskiem, a z długich i niepewnych poszukiwań tychże władz wnosząc, że żadne na mnie w ich przekonaniu niepada podejrzenie, byłem pewnym, że się one nigdy niedomyśla, iż ten, któ-

rego szukały, byłem ja, a nie kto inny, chybaży kto z dobrej mnie i pod własną nazwą znających, mnie zdradził i o tém władzy doniósł. Zatem, jeżeli kiedy, to bezwąt- pienia wówczas niemógłem wyjmować mego z gubernium pasportu do wyjazdu z Rosyi bez obudzenia słusznych podejrzeń władzy, a prostą ucieczką wcalebym niezara- dził złemu, jakie ztąd po obudzeniu już czujności rządu mogło wyniknąć, a to z powodów, które cokolwiek niżej przy- toczę; owszem jedno i drugie właśnie mogłoby władze wprowadzić na domysł i tor rzeczywistości. Niemógłem tedy iść za radą zacnego obywatela upatrującego jedynie w moim wyjeździe lub ucieczce z kraju jedyne ocalenie sprawy, spółobywateli i mnie.

Podług przyjętego jeszcze w Węgrzech planu po- trzeba mi było z ziem ruskich wyjechać do Galicyi, ztam- tąd w Krakowskie i w Poznańskie, zkąd dopiero do Emi- gracyi, ale to jedynie w celu, dla wybrania ludzi zdol- nych i prawych Polaków, nie w słowach, ale sercem i du- szą prawych. Wprawdzie i sam miałem zamiar wkrótce już wyjechać do Galicyi, jak najlegalniej i bez zwrócenia najmniejszej władz rossyjskich uwagi, bo z pasportem; ale musiałem koniecznie jeszcze czas jakiś pozostać, aż wszystko, co potrzeba było do ułatwienia skutecznego wy- konania, choć nieco odległego, powziętych zamiarów, nie- byłoby ukończone i do pewnego przyprowadzone porzą- dku, a na czém mi wiele, prawie wszystko zależało. Przy- tém obudzenie czujności i podejrzeń władz rossyjskich, które, podług innych, powinno mnie było znaglić do wy- jazdu, właśnie w mojem przekonaniu było najważniejszym powodem do pozostania na miejscu, i przeszkodą do wy- jazdu; chciałem przeczekać, aż policya uspokoi się w swych podejrzaniach i poszukiwaniach. Ale ktoś powie, jakim sposobem mógłem dłużej prawnie w Rosyi pozostać, kiedy mój pasport był wydany tylko na rok? Odpowiadam, iż na mocy pasportu który miałem, mógłem uzyskać od am- bassady angielskiej w Petersburgu, albo pasport nowy,

albo przedłużenie na tyle lat, ileby mi się podobało; bo gdy mi się udało uzyskać nowy pasport w Węgrzech z Wiednia do Rosyi, pocóż miałyby się nieudać uzyskanie przedłużenia na miejscu i w państwie, w którym już byłem? Pod tym zatem względem niepowinno być żadnej wątpliwości.

Tymczasem raz po raz i dzień po dniu trwożliwsze dochodziły mnie wieści, rady i przestrogi; jedni mi radzili wyjeżdżać, drudzy nie; rad tych słuchałem, ale decyzyą wyjazdu lub pozostania sam sobie zostawiłem. Jak się tylko zaczęły niepokojące rozchodzić wiadomości, dla nieskompromitowania domu zacnych Państwa Piekutowskich, wyniosłem się od nich mimo ich nalegań, rozmaite dając powody, i wróciłem do domu Pana Szadbeja, z którym nigdy niemówiłem; ale choćbym go znał bliżej i z nim rozmawiał, to komissya śledcza rossyjska byłaby bardzo mądrą, gdyby z jego logicznego rozumowania mogła cze- gokolwiek się dowiedzieć, albo go zrozumieć. Gdyby kto nawet chciał, toby niemógł Pana Szadbeja skompromitować; *c' était un homme à toute épreuve contre les subsons*. Właśnie takiego gospodarza potrzeba mi było.

Przewidując co mogłoby nastąpić i chcąc zapobiedz, o ile było w mój mocy, nieszczęściom ztąd wynikłym, uczyłem tych, których bliżej znałem i którzy mnie znali, jak na wszelki wypadek powinni się byli tłómaczyć, to jest: że jeżeliby było niepodobieństwem zaprzeczyć, że kto mnie znał i ze mną rozmawiał, powinien ciągle i stale i śmiało utrzymywać: że mnie znał tylko jako cudzoziemca, że ze mną rozmawiał tylko po francuzku i to o rzeczach podrzędnej wagi, jako to: o języku francuzkim, o literaturze, o widowiskach scenicznych, o zwyczajach zagranicznych, o podróżach itd., że bez żadnej w tym względzie zbliżał się nieufności do mnie, gdyż wiedział, że miałem od rządu pozwolenie pobytu i takowe widział, że zatem nie miał, niemógł mieć żadnego podejrzenia, że bym był Polakiem; bom go nigdy, ani przedmiotem rozmowy, ani ja-



kim innym sposobem na tę myśl niewprowadził, przytém niemógł przypuszczać, aby rząd dawał pozwolenie pobytu emigrantowi w celu buntowania spokojnych mieszkańców przeciw sobie samemu, albo jedynie dla ich skompromitowania; że gdyby przypadkiem był się dowiedział, że Polak, nieomieszkałby o tém donieść władzy; lecz że pozwolenie pobytu wydane mi od rządu usuwało wszelką w tym względzie wątpliwość, że zatem znał mnie tylko jako cudzoziemca i to w najlepszej wierze, że o żadnych buntach, spiskach, namowach nigdy ani wiedział ani słyszał itd.; szczególnież utrzymywać się przy tém, że rząd dał pozwolenie i dla tego żadnego nikt niemógł mieć podejrzania. Ja zaś ich zapewniłem, że się nieprzyznam do nazwy Polaka, że będę ciągle utrzymywał, że podany angielski Catharro itd., że w żadne z nikim bliższe niewchodziłem stósunki, a jeżeli zabierał znajomości, to albo w celu dawania lekcyi języka francuzkiego dla pomnożenia przychodów pieneznych, albo po prostu, dla przepędzenia tylko czasu na nic nieznaczącej gawędzie, że po prostu, cel mojego do Rossyi przybycia, był tylko zarobienie na kawałek chleba, wcale się nie troszcząc o to, co nietylko w Rossyi, ale i na całym dzieje się świecie.

Nie łatwiejszego i naturalniejszego, jak podobne tłumaczenie się podejrzanych; gdyż w takim razie cała wina ciężłaaby na władzach, które mi dały pozwolenie, i które czując swą winę i odpowiedzialność za popelnienie tak wielkiej nieostrożności i niedbalstwa w swoich obowiązkach, i przyczyniwszy się niejako umyślnie do kompromitacyi spokojnych obywateli, musiałyby całą winę przyjąć na siebie, a podejrzanych o stósunki, o związki ze mną uniewinnić. Ja jeden w takim razie mógłbym wyjść najgorzej; bo gdyby mi nawet niedowiedziano, że miał jakie zamiary nieprzyjazne rządowi, to zawsze rząd rossyjski, gdyby koniecznie chciał, mógłby za pośrednictwem swej ambassady we Francyi, posłusznej jemu politycy francuzkiej, polskich szpiegów, dowiedzieć się, że Polak

i emigrant, a w takim razie, wiadomo, jakby sobie ze mną postąpił. Lecz ufając losowi, przypuszczałem, że jeżeli się żaden nieprzyzna z podejrzanych do mojej narodowości, a tém samém i do moich zamiarów, rząd w takim razie niewidząc nic ważnego, ani niebezpiecznego, potrzymałby mnie cokolwiek w więzieniu, kazałby mi opuścić Rossyą. Takie przypuszczenie, takie postanowienie może dowodziło tylko wielkiej ufności w los, i w poczciwość i stałość charakteru ludzi; ale to jest pewna, żem dotąd niemiał jeszcze pojęcia, ani wyobrażenia, do jakiego stopnia ludzie mogą być nikczemni, nietylko słabi. I dla tego wszystko poszło na opak moim nadziejom, moim zamiarom i moim ludzącym przypuszczeniom.

Wkrótce potem zauważałem, że za mną lub obok mnie, częściej pojawiał się czerwony kołnierz, czego dawniej niebywało; wołają mnie do kommissarza wydziałowego, niby dla dopełnienia jakiejś formalności, i odebrano mi pozwolenie pobytu, mówiąc: że za kilka dni nowe formalniejsze pozwolenie mi wydadzą i puścili mnie na wolną stopę. Domyśliłem się tych manewrów i o co rzecz idzie: jedno z dwojga, albo policya, odebrałszy mi pozwolenie pobytu i puściwszy na wolną stopę, chciała pilniej uważać, gdzie i u kogo części będę bywał, i aby od razu wpaść na trop ludzi w ściślejszych ze mną zostających stosunkach, albo że nawet po doniesieniu jeszcze niebyła pewną z kim ma do czynienia; że zaś byłem poddanym Wielkiej Brytanii i miałem pasport ze wszelkimi formalnościami, obawiała się zapewne w tém ostatniém przypuszczeniu, aby przez moje uwięzienie bez żadnych ważnych do tego powodów, nie ściągnąć na się nieprzyjemnej noty, a nawet i surowej odpowiedzialności przed rządem angielskim. Może gubernatorowi i wszystkim czynownikom podolskiej gubernii była dobrze znana sprawa Pana *Churchil*, Anglika w Turcyi. W jednym i w drugim przypadku, wypadało mi podwoić ostrożność w znoszeniu się i stosunkach z bliżej znajomymi. Jeżeli

otwarcie i jawnie bywałem u osób, które mnie znaly jako cudzoziemca, to z tymi, których poznałem bliżej i przed którymi odkrywałem się z mojami zamiarami, widywałem się, jak można najskryciej, i to kiedy konieczna tego wymagała potrzeba. Po odebraniu zatem odemnie pozwolenia pobytu, prawie zupełnie przestałem widywać się z tymi ostatnimi, wyjąwszy koniecznego przypadku, ale to takim sposobem, że i stuoczna policya tegoby niedostrzegła, a przeciwnie pochwyliłem umyślnie moje wizyty u osób niemogących ściągnąć na siebie najmniejszego podejrzenia władzy, jak naprzykład u Pana Abazy i Polaków jemu podobnych. Przebiegłość zatem policji była uprzedzoną przez równą i podobną jej przebiegłość.

Lecz przekonawszy się z pewnością, że policya ma mnie na pilnej uwadze i w nocy czuwa około mojego mieszkania, byłem już pewny losu, jaki mnie wkrótce miał spotkać; dziwiłem się tylko, iż tak niesmiało i jakby z bojaźnią władze względem mnie postępowały; widać, że nawet po doniesieniu jeszcze niebyły pewne, żem Polak emigrant. Najpierwszém tedy i najtroskliwszém mojem staraniem i usilnością było, zapobiedz, o ile możności, nieszczęściu mogącemu z téj przyczyny spaść na innych; był to u mnie akt sumienia, którym usiłowałem dopełnić ze wszelką ścisłością; jednych zatem przestrzegłem, drugich nauczyłem, a raczej im powtórzyłem, jak mieli postępować; innym już przeleknionym dodałem odwagi, której prawdziwie i sam potrzebowałem, a wszystkich zapewniłem.

Może nie jeden z czytelników powie, może już nie jeden z obywateli Podola powiedział: że z Kamieńca do granicy Galicyi jest tylko parę godzin drogi; dowiedziawszy się zatem o niebezpieczeństwie mnie grożącém, mógłbym uciekać, z pewnością dostania się do Galicyi, a przez mą nieobecność zniweczyć nawet powód kompromitowania i aresztowania innych. Prawda, że mógłbym uciekać nawet z pewnością dostania się bezpiecznie do Galicyi;

ale czy moja z Kamieńca ucieczka, po obudzeniu czujności i zwróceniu na mnie uwagi policyi, mogła kogokolwiek ocalić, to jest wielka wątpliwość. Do powodów zatem, które nieco wyżej nadmienilem w tym względzie, niech mi będzie wolno przytoczyć na obronę mojego postępowania, następujące; rozumowałem bowiem tak: że gdyby policya dowiedziała się jakimkolwiek sposobem, że na przykład w Kamieńcu znajdował się jakiś emigrant emisjaryusz, ale ona ani go знаła osobiście, ani nawet nie wiedziała, gdzie i u kogo bywał i z kim się znał, natenczas usunięcie się wczesne takiego emigranta mogłoby oddalić wszelkie powody i pozory rzeczywistego kompromitowania innych, nieusuając jednak bynajmniej podejrzeń policyi względem pewnych osób. Ale o mnie policya wiedziała dobrze, znała mnie osobiście, wiedziała nie tylko ona, ale kto chciał, mógł wiedzieć, gdzie i u kogo bywał i kogom znał (z wyjątkiem może tylko tych, z którymi widywałem się potajemnie), a bywałem w wielu domach i znałem niemal całe miasto, które także mnie znało i widziało we mnie tylko cudzoziemca. W takim razie policya dowiedziawszy się o rzeczywistym moim nazwisku, moim charakterze i o zamiarach, jakie przypuszczała, że mieć mógł, miałaby zarazem w podejrzeniu i wszystkich tych, którzy mieli ze mną jakiegokolwiek stosunki, zatem moja ucieczka, w chwili, kiedy mnie zaczęto mieć na baczości, nie tylko nie zmniejszyłaby podejrzenia policyi względem pozostałych, ale owszem jeszczeby ją powiększyła. Kompromitacye i aresztowania byłyby nierównie liczniejsze, a ponieważ brakowałoby głównego winowajcy, któryby przez przyznanie się lub zaparcie udowodnił winę lub niewinność podejrzanego, w takim razie samo podejrzenie branoby za dowód winy, a nieprzyznanie się, szczególnie pod rządem rossyjskim, tylko za upór surowszą na się ściągający karę; liczba zaś niewinnych ofiar ciążących na moim sumieniu byłaby nierównie większą. Oto jest jedna z najważniejszych przy-



czyn, która mi niedozwalała przed grożącym niebezpieczeństwem szukać schronienia i myśleć o osobistém, własnóm tylko ocaleniu. Druga przyczyna miała za sobą także słuszne powody: ja byłem główną choć nieumyślną przyczyną kompromitacyi osób; szukać schronienia i własnego bezpieczeństwa wówczas, kiedy z mojej przyczyny tyle ludzi, tyle moich rodaków mogło być wystawionych na najokropniejsze prześladowania i męki, jakie tylko dzikość rosyjskiego rządu wynaleźć jest w stanie; przyjść, zamącić pokój i jakiegokolwiek szczęście domowe całych rodzin, a później skryć się samemu, zostawując innych na pastwę wściekłości prześladowców, było dla mnie rzeczą tak niepodobną do wykonania, tak przeciwną wszelkiej uczciwości i sumieniu, tak miało w sobie coś podłego i nikczemnego, iżbym się prędkiej odważył na sto śmierci niż na jeden czyn podobnego rodzaju. Przytém niebyłoby zdradzać i zawodzić dobrą wiarę i ufność rodaków? niemielizby oni słusznego powodu mniemać, iż byłem tylko ślepém, podłem narzędziem wszędzie i zawsze nas gubiącej polityki, słowem, przedajnym, płatnym szpiegiem, któremu umyślnie ułatwiono ucieczkę? Zresztą moja zasada była, jest i będzie zawsze, że kto początkuje w jakimkolwiek dziele, powinien dotrwać do końca; kto apostołuje, wiedzieć powinien, że go czeka męczeństwo i drzeć przed niem niepowinien. Obowiązkiem zatem moim było, obowiązkiem moich dla kraju uczuć i mojego sumienia, wytrzymać próbę aż do ostatka; a zastanawiając się nad tém, ktoby mnie mógł zdradzić i władzy o mnie z pewnością donieść, wpadłem na myśl, iż oto mógł być jeden z tych, którzy mnie znali osobiście i wiedzieli w jakim rzeczywiście przybyłem celu; a zatem zdradzając mnie, zdradził i doniósł władzy o tych wszystkich, których tylko mógł znać; moja więc ucieczka wcaleby ich nieocaliła. Ta myśl, to prawie moralne przekonanie, utwierdziło mnie w mojem postanowieniu poprzedniém; postanowiłem tedy czekać, i jeśli potrzeba zginąć, postanowiłem pozostać

nie dla ocalenia siebie, ale dla dania świadectwa prawdzie i dla obrony i ocalenia drugich, i Bóg mi pobłogosławił w moich życzeniach. Oczekiwałem tedy spokojnie, choć nie bez trwogi, chwili pojmania. A moje podejrzenie o zdrajcy, niestety! zbyt było prawdziwe; zdradził ten, który był uczestnikiem naszych najszczerzych względem Polski zamiarów, sprzedał krew i życie swych braci nawet takich, przy których wzrósł i od których najczulszych doznawał względów; za co? za order, za krzyż Ś. Stanisława trzeciej klasy. Przekleństwo jemu, przekleństwo jego czarnej duszy!

Jestem jednym z tych ludzi, których wszelka niepełność niecierpliwi, niepokoi i męczy, i którzy przenoszą choćby najokropniejszą pewność, nad wątpliwość ludzącą najpiękniejszymi nadziejami. Dla przekonania się tedy o stanie rzeczywistym mojego u władz położenia, poszedłem jednego ranka do najwyższego naczelnika miejskiej policji podpułkownika Grünfelda i przedstawiwszy mu, jakby o niczem niewiedząc, ani się czegokolwiek domyślając, że mi od kilku dni odebrano bez żadnej przyczyny pozwolenie pobytu, że być może, iż czas danego mi pozwolenia upłynął, a ja, jako nierozumiejący języka rosyjskiego, wcale o tém niewiedzialem, i że może dla tego mi pozwolenie pobytu odjęto; co jeżeli tak jest, prosiłbym tedy o udzielenie mi przedłużenia pozostania w Kamieńcu; aże podobno wkrótce mój pasport się kończy, a ja chcę zachować wszystkie przepisy formalności pasportowej; prosiłbym tedy zarazem o wydanie mi mojego pasportu dla posłania go do ambassady angielskiej do Petersburga dla otrzymania od nięj na mocy tego pasportu, innego nowego; gdyż ja niechcę się z Rosyji wydaleć. Zacząłem do niego mówić po francuzku, ale gdy on mi dał do zrozumienia, że po francuzku nierozumie, zacząłem, jak tylko mógłem najlepiej, mówić po niemiecku. Policmistrz Grünfeld odpowiedział mi po niemiecku, szczególnie we mnie wpatrując się sposobem: że pozwolenie

pobytu mi udzielone jeszcze niewyszło, że je mnie wkrótce oddadzą, a wzięto je tylko dla zastosowania się do nowych rozporządzeń policyi. Co się zaś tyczy pasportu, to go natychmiast wydać mi niemoże, gdyż on jest potrzebnym dla dopełnienia jakiejś formalności, po ukończeniu której sam mnie o tém zawiadomi i mnie go odda. Z ócz jego, z dwuznacznego tonu jego mowy dorozumiałem się, a raczêj zapewniłem się o tém, co mnie najwięcej obchodziło. Żadnej już teraz nie miałem, niemógłem mieć wątpliwości, widziałem pewność i pewność okropną.

Chociaż od dawna byłem przygotowanym na wszystko, po nabyciu jednak zupełnej pewności o losie, jaki mnie wkrótce miał spotkać, wpadłem w stan duszy trudny do opisania; wyszedłem tedy od policmejstra smutny, bardzo smutny, i jeżeli kiedy, to wówczas uczulem gwałtowną potrzebę wynurzenia się z mym smutkiem i z moją boleścią przed Tym, który sam jeden był w stanie i mocy je uśmierzyć, uspokoić i dodać mi odwagi: poszedłem zatem, podług mojego zwyczaju, do kościoła. Nigdy szczerzej, goręcej i rzewniej jeszcze się nie modlił, i nigdy większa moc, otucha i poddanie się Opatrzności, niezasiłiły mojego ducha, niewskazywały mi tak dotykalnie sumienia obowiązków.

Skończywszy modlitwę, obejrzałem się i postrzegłem z daleka stojącego i pilnie mnie uważającego policyanta z czerwonym kołnierzem, i pomyślałem sobie: to mój zły anioł stróż; cały ten dzień byłem zamyślony i smutny, ale smutny na śmierć, chociaż od dawna na wszystko byłem przygotowany. Na twarzach moich znajomych widziałem zwątpienie, bojaźń i trwogę, dawałem im do zrozumienia, aby byli spokojni i wytrwali. Tego dnia, gdiem tylko poszedł i gdiem się obrócił, czerwony kołnierz zawsze mnie śledził. Wieczorem dość późno zaszedłem na nieszpory do katedry, a pomodliwszy się szczerze, usia-

dłem w ławkach i rozmyślałem, sposobiąc się w duchu do okropnego przejścia i prosząc Boga tylko o wytrwałość; obejrawszy się, postrzegłem tuż przy mnie czerwony kołnierz. Niech się dzieje wola Boga, pomyślałem; wstałem i wyszedłem z kościoła.

Korzystając z gęstej ciemności nocy, miałem sposobność widzenia się z jednym bardzo poczciwym, prawym i gorącego serca Polakiem, choć jeszcze młodym ale bardzo światłym człowiekiem; dawszy mu niektóre polecenia i przestrogi, tak dla niego, jak i dla innych, rzekłem na koniec: zdaje mi się i jestem prawie pewnym że jutro lub najdalej po jutrze będę przez policyą wziętym, i opowiedziałem mu powody tego mniemania i pewności. A ten mi na to: a więc uciekaj natychmiast i ja z tobą; wszak wiesz dobrze, co nas wszystkich, a szczególnie co ciebie czeka? Wiem o tem bardzo dobrze, ale ja, ani uciekać myślę, ani komukolwiek uciekać radzę i życzę; i w żywych obrazach przedstawiłem mu haniebnosc podobnego postępku, nikczemność człowieka, który drży na widok niebezpieczeństwa, nieużyteczność Polaka będącego za granicą dla ojczyzny, której korzystnie można służyć pozostawszy w kraju, zaszczipiając między spółobywatelami zasady uczciwości, sprawiedliwości i poświęcenia się dla swobód i niepodległości kraju; jako też dla wolności i szczęścia wszystkich bez wyjątku spółobywateli i mieszkańców Polski. Zresztą dodałem: jeżeli potrzeba zginąć, zginę; jeżeli niemogąc żadnym sposobem uniknąć, potrzeba będzie znieść wszelkie męczarnie, zniosę. Musiałem te ostatnie słowa wyrzec głosem tak wzruszającym, tak szczególnego wyrazu, że poczciwy młodzian rozplakał się jak dziecko, uściskał mnie najserdeczniej, a i mnie się łzy potoczyły. Uściskawszy go nawzajem najszczerzej, rozstałem się z nim dodając mu odwagi, której, dzięki Bogu, niepotrzebował wystawiać na próbę, gdyż najmniejsze na niego niepadło podejrzenie i niebył aresztowanym. Po



wróciwszy do stancyi, napiłem się herbaty i długo, długom się przechadzał samotny po pokoju, zanurzony w smutnych, tęsknych myślach i uczuciach, będąc pewnym przyszłości losu, jaki wkrótce miał mnie spotkać. W końcu się położyłem.

## ROZDZIAŁ XI.

*Moje aresztowanie. Początkowe śledztwo. Długie zapieranie się właściwego nazwiska. Zeznania innych. Nikczemność Alberta Nitowskiego i Leszczyńskiego. Słabość charakteru wielu z moich współoskarżonych. Moje przyznanie się do właściwego rodu i nazwiska.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi 18 października 1848 roku.

Miałem sen przerywany, niemiły i smutne marzenia; oknąwszy się pomyślałem: zła to wróżba dla mnie; ale westchnąwszy do Boga i przewróciwszy się na drugą stronę, usnąłem. W tém jakby przez sen, usłyszałem, iż ktoś na mnie wołał i budził po francuzku: Panie Catharro! Panie Catharro! wstawaj Pan. Przecknąłem się, otworzyłem oczy, już zaczęło dobrze świtać i przekonałem się, że to niebył sen. W istocie trzech mężczyzn, w mundurach przy szlifach i szpadach, było w mym pokoju. Byli to, jak się wkrótce przekonałem, podpułkownik Grünfeld, policmejster policyi miasta Kamieńca, major Policzkowski ze sztabu i przybocznej kancelaryi generał-gubernatora wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej gubernii Pana Bibikowa, przysłany umyślnie z Kijowa dla mojego aresztowania, i jakiegoś świeckiego czynownika Zasiedatela czy kommissarza, ale któremu ani osoby,

ani nazwiska niezapamiętał. Policmejster stanął przy jednych drzwiach, czynownik przy drugich, a major Policzkowski mnie budził. Czy kto był pod oknami, o tém niewiem. Choć się już obudziłem, choć widziałem mundury i szlify, i choć wiedziałem o co rzecz idzie, udawałem jednak, że niesłyszałem, a tymczasem uważałem co to dalej będzie. Major Policzkowski trącając mnie z największą delikatnością i budząc, wołał coraz donośniejszym głosem i po francuzku: Panie Catharro, Panie Catharro, wstawaj Pan, wstawaj Pan. A gdym dał poznać, że niby dopiero się obudziłem, jak dziecko, co do szkoły iść niechce, Policzkowski ciągle mi powtarzał: wstawaj Pan, wstawaj Pan, ubieraj się jak najprędzej, i zabieraj z sobą wszystkie papiery jakie tylko masz, i chodź ze mną zaraz do gubernatora. Podniósłszy się z wolna i usiadłszy na łożu, jak człowiek, który niczego się niedomyśla, rzekłem do Policzkowskiego głosem spokojnym i pewnym po francuzku: Czego Panowie odemnie chcecie? o jakich papierach mówicie i dla czego tak rano Pan gubernator życzy sobie widzieć się ze mną? Widzisz Pan, rzekł dalej Policzkowski, dowiedziano się w Petersburgu, że Pan jesteś tutaj, że masz jakieś z sobą papiery i polecenia od kogoś, i dano o tém znać tutejszej policji; chciój je Pan natychmiast z sobą zabrać dla oddania ich Panu gubernatorowi. A ja mu na to: dziwi mnie naprzód bardzo, że w Petersburgu wiedzą, że tu się jakiś Catharro znajduje; a powtóre wcale nierozumiem, o jakich papierach i poleceniach jest mowa? jeżeli Pan mówisz o moim pasporcie, to takowy znajduje się w gubernium, czy w policji! A to nie o pasporcie mowa, Pan masz tu inne papiery. Żadnych innych niemam i nie miałem.

Tak rozmawiając podniósłem się z łożka i dziwiłem się sam sobie, że takie policji przywitanie na dzień dobry żadnego prawie na mnie nie zrobiło wrażenia, byłem spokojnym, zupełnie przytomnym, choć pewnym mo-

jego losu. Prosiłem, aby mi pozwolono się umyć: i owszem, odpowiedział Policzkowski z wielką grzecznością; a tymczasem policmejster i drugi czynownik rzucili się do moich rzeczy, do książek, zaczęli płądrować kieszenie i podszewki u sukien, przewracać kartki u książek i po długich szperaniach znaleźli tylko nie nieznaczące papierki. Takie dowody na poparcie winy tego, którego z taką pompą przyszli aresztować, nieco komicznie wyglądały, i jak mi się zdawało, nie pomalą zdekoncertowały Pana policmejstra, a szczególnie drugiego czynownika. Chociaż po obudzeniu się, jakem powiedział, byłem zupełnie spokojnym i niezmięszanym, przebiegłszy jednak myślą następstwa mojego przytrzymania, trudno było taką samą, jak powierzchownie, zachować wewnątrz spokojność. Z tém wszystkiém umywając się rozmawiałem, jak tylko mogłem najswobodniej z majorem Policzkowskim i śmiejąc się, do niego rzekłem: Wiesz Pan, że odkąd jestem w Kamieńcu, tom jeszcze nigdy tak rano, jak dzisiaj, nie wstał; potrzeba było tak wielkiego zaszczytu, jaki mnie w tej chwili, i niewiadomo dla czego, spotyka, aby mnie zmusić do odstąpienia od nałogowego zwyczaju długiego spania; wyznam jednak Panu szczerze, iż wolalbym złożyć moje uszanowanie Panu gubernatorowi nieco później. Co Pan chcesz, taki jest rozkaz, a rozkaz dla nas jest wszystkim.

Stało się to ostatniego dnia miesiąca grudnia podług kalendarza rzymskiego, a ósmnastego tegoż miesiąca podług kalendarza greckiego tysiąc ósmset czterdziestego trzeciego roku, prawie w rok, bo tylko bez ósmiu dni, po moim z Paryża wyjeździe, a w dziewięć miesięcy po moim do Kamieńca przybyciu. Gospodyni domu nawykła mnie widzieć spokojnym i porządnym, jak mówiła, Francuzem, widząc mnie w ręku władzy, niewiedziała co to znaczyło i za co mnie aresztowano, i patrzyła na mnie oczyma litości i pożegnania.

Ubrawszy się i wzięwszy na siebie płaszcz, wyszliśmy



wszyscy razem na dwór, gdzie było tak prawie już wiadno, jak śród dnia; gdzieniegdzie pojawiali się już ludzie na mieście, mróz był dość ostry, chociaż w tym roku aż do tej pory prawie śnieg niepadał. Pan Policzkowski przez uczucie zapewne delikatności znamionującej dobre i przyzwoite wychowanie, dał do zrozumienia policmejstrowi i drugiemu czynownikowi, że mogą odejść i że on sam jeden będzie mi towarzyszył do gubernatora, za co mu byłem bardzo obowiązany; uważałem jednak, że bardzo blisko trzymał się mego płaszcza, pewno dla ostrożności, abym niemógł uciec; ale mi ta myśl ani przez głowę przeszła. Idąc ulicami i przez rynek, rozmawialiśmy o rzeczach zupełnie obojętnych, o mieście, o urzędnikach, o osobach jemu i mnie znajomym, rozumie się, że wiedziałem kogo mogłem wymienić; w końcu zapytałem go, uśmiechając się: Niech mi pan powie otwarcie, jaka jest istotna przyczyna tej mojej rannej wizyty do gubernatora, i co ja mam z nim do mówienia? bo prawdziwie to mnie zastanawia, a nieradbym jemu w czemkolwiek uchybić. Pan się wkrótce dowiesz sam, bo prawdziwie dotąd jeszcze niewiem z pewnością, co to znaczy i o co rzecz chodzi. Chociaż się śmiałem na pozór, w duszy jednak byłem bardzo smutny i z boleścią żegnałem ostatni w moim życiu dzień wolności, dzień światła. A jak pomyślałem o tem, co mnie wkrótce może czekać, to aż skóra drżała. Pokornie jednak, jak to mówią, miny niestraciłem.

Przybywszy do mieszkania gubernatora Pana Radyszczewa, weszliśmy do obszernej sali. Policzkowski przez ordynansa dał znać gubernatorowi o mojem przybyciu, a tymczasem rozmawiał ze mną o rzeczach wcale nietyczących się celu mego do gubernatora przyjscia; między innymi powiedział, że w tej sali szlachta podolska przyjmowała cesarza zeszłego roku; rozpytywałem się tedy o ceremoniach w podobnym razie używanych, jakbym był zupełnie ich nieświadomym, a tymczasem na jego zapy-

tania dawałem mu objaśnienia o Paryżu, o klimacie, o winie i winogronach; z tego powodu Policzkowski zwrócił mi uwagę, że Kamieniec leży pod tą samą szerokością co Paryż. Możem się mylić, ale mi się zdawało, iż Policzkowski nie był pewnym, czy w rzeczy samej niebyłem cudzoziemcem, i że wcale kogo innego zaarrestował niż się spodziewał.

Jeszcze przed moim przytrzymaniem, postanowiłem, jakem już o tem wzmiankował, utrzymywać się i obstawać jak najusilniej i do ostatka przy nazwie i pochodzeniu cudzoziemca; alem jeszcze dobrze nieznał ani szponów moskiewskich, ani słabości ducha moich ziomek.

Kiedy major Policzkowski ani na krok mnie nieodstępując, rozmową pełną grzeczności, wiadomości i prawie galanteryi starał się mnie przeniknąć, zbadać i odgadnąć, a jam usiłował, znając jego zamiary, przekonać go o ich bezzasadności i o błędzie, w którym zostawał; drzwi z przybocznego pokoju otworzyły się i wyszedł z nich Pan gubernator Radiszczew, który spiesznym krokiem, jakby z przykazom (rozkazem) przystępując ku mnie, z miną tajemniczą i półuśmiechem, jakby chciał do mnie mówić: znam kto jesteś, ty mnie nie oszukasz; niepowiedziawszy nawet ani dzień dobry, ani się ukłoniwszy, zatrzymał się przy mnie nagle, jakby na kommandę i wpatrując mi się pilnie, badawczo, z ironicznym uśmiechem, prędko zapytał po rosyjsku: Pan umie po rusku? (Wy paninajetie pa ruski?) Oho! pomyślałem sobie, Jegomość bierze się na moskiewskie kruczki, ale poczekaj miły ptaszku, nie na swegoś trafił. Więc patrząc mu także w oczy i równie się uśmiechając, odpowiedziałem po francuzku i bez namysłu: Jaśnie wielmożny gubernator zechce mi przebaczyć, że niemogę mu odpowiedzieć na jakieś zapytanie, którego wcale nierozumiem. (Vous me pardonerez Excellence, de ne pouvoir pas repondre a une question que je ne comprende nullement). Gubernator dawszy ja-

kiś znak może umówiony Policzkowskiemu, który natychmiast wyszedł, rzekł do mnie po francuzku: Pan mówisz po rosyjsku? Tyłem wymógł na sobie, że uśmiechając odpowiedziałem: Zostając tak długo w Kamieńcu, zaczynam rozumieć cokolwiek po polsku, lecz po rosyjsku wcale nie: może znam kilka rosyjskich wyrazów; ale JW. gubernator zapewne tak dobrze rozumie i umie po francuzku, iż pozwoli sobie zapytać, dla czego o tak niezwyczajnej porze, tak rano, kazał mi przyjść do siebie? Spojrzał na mnie badawczym, wątpliwym wzrokiem, jakby dla zrozumienia i zdania sobie rachunku z tego co usłyszał; chwilę się zatrzymał, w końcu rzekł: Wkrótce Pan będziesz wiedział dla czego? a tymczasem, wskazując na policmęjstra, który w tej chwili wszedł do salonu z żandarmem, Pan pójdiesz z nimi. Bez wątpienia że pójdę, ale to mnie cokolwiek zadziwia. Gubernator dawszy jakieś policmęjstrowi na ustroniu polecenia, wyszedł. Policmęjster mniemając, że nierozumiałem po rosyjsku, rzekł do mnie po niemiecku: Niech Pan idzie ze mną. Wyszedszy od gubernatora, szliśmy z policmęjstem razem i obok siebie, a żandarm za nami z tyłu. Już dzień był wielki, wielu ludzi widziało jak mnie prowadzono, a raczej jak mi asystowano, bo mnie się rękami ani dotknięto; postępowaliśmy miernym krokiem, a na wszystkie moje pytania, zadziwienia, wątpliwości i nadużycia, jakiego się dopuszczano na mnie cudzoziemcu, policmęjster ciągle, lecz bardzo grzecznie, odpowiadał po niemiecku: Ja nie wiem. Zaprowadził mnie do swego mieszkania, do salonu, dano mi natychmiast do pokoju jednego czynownika z policji w całym uniformie dla warty, dano mu rozkaz, aby ani słowa ze mną niemówił, wszystkie drzwi, mające komunikacyą z salonem, dobrze pozamykano, wszystko z salonu uprzątnięto, a przy każdym oknie i drzwiach na zewnątrz postawiono żołnierza. A więc po formie byłem w areszcie.

Zostawiony sam sobie, z moim niemym maszyną-

stróżem, zacząłem się wolnym po pokoju przechadzać krokiem i rozmyślać: co to począć, jak się bronić o ile można bez przyćmienia swych uczuć i swego sumienia, i jak nareszcie, jeśli potrzeba, z godnością zginąć; udawałem na pozór największą, niezachwianą spokojność i zimną krew, ale czułem, jak wewnątrz wszystkie moje uczucia i myśli były zmacane, wzburzone, i im więcej starałem się i usiłowałem je uporządkować i przytłumić, tém z większą mocą i gwałtownością wstrząsały całym mem jestestwem, całym moralnym moim życiem, moim duchem. Oh! ciężko, zbyt ciężko opierać się władzy, jaką nad nami mają prawa przyrodzone, ale daleko i nierównie jest ciężiej stać się nad nie wyższym i nakazać im milczenie. Kto mocą swego ducha tak o władzę swemi uczuciami, naszego życia więzami, które są tak liczne, tak uludne, a tak mocne, bo wrodzone, iż może się stać każdej chwili ich absolutnym panem, ten jest niezrównanym, ten jest więcej niż człowiekiem, nazwałbym go człowiekiem-duchem, i wyższej wyższości nad tę niepojmuję w człowieku, bo on doskonałością, jaka tylko dozwolona, jest ułomnym, krewkiej ludzkości, najwięcej zbliżył się do samego Bóstwa. Ja, który jestem tylko pospolitym i zwykłym człowiekiem, tej mocy nad sobą mieć niemógłem, bo mnie ziemia-matka w zbyt łkliwe ujęła swe objęcia. Najwięcej lękałem się o los innych, o los moich spółbraci. Gdyby wiedzieli, ile miałem dla nich serca, gdyby byli przekonani, że wolałbym dla ocalenia każdego z nich, ponieść śmierć raczej, niż najmniejszym pozorem nawet ściągnąć na nich podejrzenie udziału w jakichkolwiek zamiarach politycznych, możeby więcej okazali byli stałości, i więcej godności Polaka mieli!

Kiedym już wszystko przewidział, i na każdy przygotowałem się wypadek, i kiedy wynik ostatni wszystkich moich domysłów i rozumowań, było wszelkie prawdopodobieństwo, a nawet pewność śmierci poprzedzonej wszystkimi okropnościami zgonu Szymona Konarskiego, wów-



czas z uczuciem prawdziwej boleści, może nawet rozpa-  
czy, wyrzekłem słowa Dantego: *lasciate ogni speranza*  
(tu niema żadnej nadziei). Jakkolwiek świat wydaje się  
nam złym i niemiłym, jakkolwiek tęskno i nudno czasa-  
mi żyć z ludźmi na świecie, tysiącami dla nas otacza  
się uroki, wiążącemi nasze serca do niego w chwili, kiedy  
go na zawsze żegnamy; i to są ludzie, co nas do niego  
tak mocno wiążą.

Jestem jednym z tych ludzi, których los od kolebki  
aż do zgonu wystawiał na najokropniejsze próby mogące  
zrazić serce od świata i ludzi, a śmierć jako jedyną  
schronę od ustawicznych mąk i cierpień uczynić pożądaną;  
i jam tak sądził, i jam tak pragnął nieraz już śmierci;  
jednak mimo to wszystko, kiedy powiedział sobie, że  
niema nadziei, serce mi się boleśnie ścisnęło, krew gwał-  
towniej krążyć poczęła, płuca się wzdęły aż mało pierś  
niepękla; westchnienie po westchnieniu wylatując z piersi  
tamowało mi oddech, gorączka paliła głowę, i długo wstrzy-  
mane w nabrzmiałych powiekach łzy rzęsiłemi po licach  
puściły się kroplami, a tak gorące, tak rzewne, jak ni-  
gdy, bo nigdy w życiu jeszcze z boleśniejszym bólem  
nieplakał. Ażeby jednak mój stróż niepostrzegł stanu mej  
duszy, i duma litością lub szyderstwem niebyła obrażoną,  
zbliżyłem się do okna, wsparłem się na niem lewą ręką,  
a prawą niby głaszcząc faworyty, łzym sobie ocierał i uda-  
wałem, że mnie jakiś zewnętrzny przedmiot mocno zaj-  
muje.

Cóż było rzeczywistą przyczyną tego okropnego stanu,  
tego szaleństwa, téj wściekłości? Czy bojaźń śmierci? Nie.  
Czy bezwzględne przywiązanie do życia? Nie, nigdy  
życia, jako tylko życia wiele nie cenił. Było to tylko po  
prostu: wspomnienie i pożegnanie, ale pożegnanie na za-  
wsze; do widzenia się, na tamtym świecie. Nigdy téj  
chwili niezapomnę, bo w niej jednę więcej poznałem czło-  
wieka, niż przez całe swe życie.

Po tak gwałtowném wstrząśnieniu uczulem się nagle

spokojniejszym i zupełnie poddającym się wyrokowi mego przeznaczenia; odwróciwszy się od okna, znowu zacząłem zwolna się przechadzać po pokoju. Czas mi się wydawał długim, bo raz przygotowany i zrezygnowany na wszystko, nie chciałem więcej o tém myśleć, co dalej ze mną będzie, a żadnego zajęcia mieć niemógłem, wszystkie książki uprzątnięto; z czynownikami rozmawiać było niepodobna: raz, że nieumiał po francuzku, a drugi, że mu ze mną zabroniono mówić. W tém postrzegłem talią kart na stole; zdaje się że powiedział, iż z tytułu Ukrainca byłem nieco zabobonny, wierzyłem w przeznaczenie, w przecucie i we wszystkie złudzenia; wzięwszy więc karty do rąk, zacząłem z pozorną i udaną obojętnością wyciągać los: ale jaki? ten, co po pierwszym, z porządku najwięcej mnie obchodził, to jest: czy będę wolnym, czy nie? Przypadek chciał, że wyciągnąłem los obiecujący mi wolność; odrzuciłem karty z gniewem, bo zdawało mi się że los nawet w zabawie, nietylko na jawie, szydzi ze mnie w żywe oczy; żart był bolesny i niechciałem więcej ciągnąć. Ale Pan policmajster, który podówczas wszedłszy do stancyi, postrzegł karty przy mnie, zabrał je z sobą i uwolnił mnie nietylko od ciągnięcia losu, ale i od jedynej natenczas rozrywki. Pomówiwszy ze mną o nic nieznających rzeczach, ale z wszelką grzecznością, kazał mi przynieść bez mojej o to prośby, na śniadanie herbaty z porządną przekąską. Napiliśmy się herbaty ze smakiem i oczekiwałem co dalej ze mną będzie.

Dzień był piękny, choć bardzo mroźny; wieść o mojem aresztowaniu musiała się zapewne prędko roznieść po Kamieńcu i dowiedziano się pewnie o miejscu mego więzienia, bo korzystając zapewne z dnia niedzielnego, wiele osób znajomych, patrząc z mego aresztu, widziałem przechadzających się jakby z niechcenia i bez żadnego celu, blisko i od strony salonu, gdzie siedziałem. Wdzięczny byłem bardzo za tę oznakę spółczucia pewnym Paniom, które często rzucały okiem na okna mego więzienia, ale

zapewne dojrzed mnie niemogly, bo okna byly podwojne i zamazle, ja za wszystkie przechodzacych dobrze moglem widziec i rozroznic. Spolczucie dla wicznia jest nieoceniona pociecha. Oddalony od swiata i towarzystwa ludzi, wiczen w zamkniciu zyje tylko wspomnieniem i sercem, jezeli nie kochajacych go osob, to przynajmniej spolczujacych, spolcierpiacych z nim jego niedole. Kobiety, a szczegolnie Polki nasze, sa rzeczywistemi aniolami-strozami, opiekujacemi sie i moralnoscia wicznia i jego potrzebami. Ilez to dowodow poswiecenia sie dla swych rodakow w tych ostatnich czasach Polki nieokazaly? Jakiez wiczenie, chocby najokropniejsze, chocby najwiecej surowe i obostrzone, i jakiez serce, chocby najwiecej kamienne strozow tych wiczen, bylo dla nich nieprzystepnem? Uczuciem prawdy, uczuciem sprawiedliwosci i dobrze pojetych swych obowiazkow, uczuciem nakoniec nieograniczonej milosci dla swej ojczyzny ozywione, Polki nieznaja przeszkod i oporu i wszedzie, gdzie tylko moga, swem sercem, swem uczuciem, zasilaja serca i uczucia znekanych wiczeniami i katuszami swych braci, i w piersi juz rozpaczajac miotane i blizkie zwatpienia o wszystkim, wlewaja slodka otuche lepszey nadziei. Jakiez z tylolicznych wiczen kraj nasz zalegajacych lub nawet daleko od granic naszej ojczyzny znajdujacych sie, a gdzie tak w jednych jak w drugich krociami nas poosadzano, nie bylo, niezostaloby przez Polki odwiedzaniem i rzewnemi spolczuciami lzami nieoblane? One, jezeli nie wlasna osoba, to swa dusza wraz z swymi cierpieniem braemi. Kto do zaklętych murów wiczenia Kufstein po wielu trudach mógł dostac? Polka. Kto po Syberii przestronnej jak bezdenna przepasc, ktorej tysiacze ofiar niestarcza, a lodowatej i mroznjej az do sciecicia krwi w zylach; wyziebienia zycia w sercu i wystudzenia w duszy wszelkich uczuc, tysiacami, tysiacami rozsypanym naszym braciom, daje poznac i ich przekonywac, iz nie sa zapomniani, ze bija jeszcze dla ich nieszczesce i cierpienie spolczujace serca, ze

jest mocne, stałe i wieczne przymierze między krajem a tymi, co zań są umęczeni, między tęsknotą i udręczeniami męczennika, a spółcierpieniem, spółmęczeństwem jego pocieszyciela aniola, między Polakiem a Polką? tylko Polka. Rzeczywiście w dzisiejszem osieroceniu i osłabieniu na siłach naszej ojczyzny, Polki śmiało nazwać można, jej matką, jej troskliwą opiekunką, a jeżeli między niemi znajduje się jaka wyrodna i niepomna na szczytny obowiązek Polek, co zaparła się i swój ojczyzny i swego rodu, dość dla niej poniżenia i hańby, aby jej można jeszcze złorzeczyć, bo więcej nieszczęśliwą i upokorzoną być niemoże.

Ku obiadowi, przyszedł do czynownika co mnie pilnował, inny czynownik, i przekonani obaj, że po rossyjsku nie rozumiałem, nowo przybyły rzekł do mojego stróża: a wiesz Pan, że kilkanaście osób dziś w mieście zaareztowano (i zaczął tu wymieniać nazwiska tych osób prawie wszystkich mi dobrze znajomych) i wydano rozkazy do aresztowania podobno po powiatach tej gubernii; mówią, że ten cudzoziemiec był tego przyczyną. Djabli wiedzą co to za człowiek. Pan wiesz, że mi zwykle dają polecenia do uważania i śledzenia wszystkich tych, którzy do Kamieńca przybywają, a ja mam i oko wprawne i sposoby przekonania się i dowiedzenia się, co prawie z nich kto myśli, nietylko mówi lub czyni, a o nim w niczem niemógłem się przekonać, ani się cokolwiek o nim dowiedzieć. Z początku jego przybycia pilniem go śledził i kazałem śledzić; ale czegoż się dowiedziałem? że bywał i stał u czynowników, u Dmitrenki, u Abazy prezesa izby skarbowej, znał się z oficerami, i że dawał lekcye francuzkiego języka tak u Polaków jak i Moskali, a był zawsze tak spokojnym i cichym, że żadnego podejrzenia nań mieć niemógłem. Więc przyznam się, że go przestał i uważać i śledzić. Bo i na cóż napróżno i bez żadnej korzyści, czas miałem tracić, kiedy co innego potrzeba było robić. Samby go djabeł nie przeniknął, co on myślał,



lub co on robił, tak był skrotnym i skrytym. Ani mi przez myśl nieprzyszło; coby on mógł być za jeden? Tymczasem kto inny go wytropił j....mał. Gdybym mógł się być choć domyśleć co to za ptaszek? nieuszedłby on był rąk moich, miałbym krzyż i nagrodę. Teraz kto inny to otrzyma j....mał. Cóż robić, nieszczęście, nieszczęście. Otóż mnie wystrychnął na dudka, sukin syn, moszennik. No przepadło. Czort jego zabierz ze wszystkiem. Ale ja się boję, żeby i Abazie czego niebyło, bo coś tam tak mówią; a tymczasem muszę Pana rzucić, bo wiele mam dzisiaj do czynienia z jego przyczyny, a strzeż się, żeby i Pana, tak jak mnie, na dudka nie wystrychnął, bo to ładny jakiś ptaszek (charoszaja pticzka) i poszedł.

Zdarzało mi się widzieć rozmaitych kategorii złych ludzi, ale nie przypuszczałem nigdy, ażeby do tego stopnia człowiek mógł być spodlonym i nikczemnym, iżby poczytywał sobie za wielkie nieszczęście, jeżeli kto inny, a nie on w nieszczęście drugich wpycha. Ani słowa o nieszczęściu i cierpieniach tych, co poaresztowano, ani wzmianki o losie, jaki ich spotkać może, najmniejszego spółczucia, spółdziału nad niedolą, jeżeli nie rodaków to przynajmniej podobnych mu ludzi; ta czarna dusza, żałowała tylko orderu i nagrody hycła za zabójstwo ludzi. Potrzeba było, żebym coś podobnego na moje słyssał uszy i własnymi widział oczyma, abym mógł uwierzyć podobnej podłości. Prawda, że jego fizyonomija była wiernym wyrazem jego niskiej duszy; tak odpychającego oblicza i wejrzania jeszcze mi się widzieć nie zdarzyło. O Pana Abazę byłem spokojnym, bo to ich człowiek, wysoki urzędnik i Moskal; nawet byłem kontent, że na niego mieli podejrzenie, bo to mnie stawiało w obec władzy z jednakiem usposobieniem dla Moskali i Polaków, aże Pan Abaza jak i Pan Dmitrenko mogli śmiało przysięgać na Ś. Mikołaja, i tę przysięgę stwierdzić stem przeżegnać się i dwiestą pokłonów, że o niczym, o żadnych zamiarach nie słysseli nigdy odemnie; a zatem to ich zeznanie mogło

osłabić przekonanie władz właściwych, żem mógł przybyć dla pobudzenia kogokolwiek przeciw rządowi Mikołaja. Abaza, jakem później o tem się dowiedział, usłyszawszy, że mnie zaaresztowano, tak się uniósł gniewem, że zaczął wyrzekać na surowość rządu i niesprawiedliwe obchodzenie się z ludźmi, nawet z cudzoziemcami, utrzymując, żem był człowiek spokojny, do niczego niemieszający się, nawet małowmny i poczciwy (uczciwy), a bardzo dobrze po francuzku uczący, i niewierząc, abym był kim innym, jak tylko Francuzem. Ale pewność, że aresztują innych z mojej przyczyny, tak żywo mnie dotknęła, że zacząłem prawie żałować celu mojego przybycia do kraju.

Kiedy tak, to przechadzając się, to siedząc, rozmyślałem nad wszystkiemi, usłyszałem jakiś szmer i stukot w pokoju pobocznym, a wkrótce i chrząkanie, jakby chorobą złożonego człowieka lub mocno cierpiącego moralnie, a później i głos tak nienaturalny i jakby wielkim smutkiem lub przykrętem wzruszeniem zmieniony i ze ściśnionej wydobywający się piersi, że przypuszczałem, iż to musiał być jeden z aresztowanych, jedna z ofiar ciężących na mojem sercu, i w rzeczy samej niemyliłem się; ale na próżno nastawiałem ucha, nigdy się nie dowiedział, kto mógł być tym nieszczęśliwym; słyszałem tylko, że cierpiał, i swém cierpieniem przymnażał mi boleści. Dano nareszcie dobry obiad i dobrego piwa dla mnie i dla mojego stróża; choć mi jeść się niechciało, choć jeść niemógłem, jadłem jednak na pozór z wesołą miną i dobrym apetytem, jedynie dla niepokazania, co cierpię.

Okolo czwartej godziny z południa tego samego dnia, przyszedł do mnie gubernator z Policzkowskim, i zapytawszy, a raczej pozdrowiwszy mnie po francuzku: jak się Pan masz? odpowiedziałem: że się mam bardzo dobrze, ale że wcale nie jestem zadowolony z położenia, w którym dla niewiadomej mi dotąd przyczyny zostaje. To Pan się jeszcze niedomyślasz dla czego? Wcale nie, zkądże

się mam domyślać, kiedy JW. gubernator, który mnie kazał zaaresztować, dotąd mi niepowiedział dla czego uczynił. Ja Panu powiem dla czego, ale niech mi Pan powie, jak się nazywasz? Podobne pytanie ze strony tak wysokiego urzędnika, bardzo mnie zadziwia, wszak JW. gubernator wie dobrze, że się nazywam Catharro. Niech to Pana bynajmniej nie dziwi, ja mam ważne powody powątpiewać, że Pan niejesteś Catharro, ani poddany angielski. Kiedy tak jest, to dla przekonania się o wiarygodności mojego nazwiska i narodowości, najlepiej JW. gubernator uczyni, kiedy się zechce udać do ambasady angielskiej w Petersburgu, a tymczasem spodziewam się, że JW. gubernator nie zechce nadużywać mojego położenia i pozwoli mi użyć środków obrony, do jakiej poddany Wielkiej Brytanii ma zawsze prawo. Bezwątpienia, odpowie gubernator głosem współmniechającym się, ale pełnym przyzwoitości: my niebędziemy Pana ścieśniali w prawach jego obrony, ale musimy użyć praw naszych względem tego, kto ich nadużywa. JW. gubernator niemoże tego zastosować do mnie i zapewne mnie się to nietyczy, gdyż nikt mi nieudowodni, abym praw gościnności nadużył, i wyznaję, że to wszystko com dotąd słyszał, jest dla mnie tak niezrozumiałem, iż ośmielę się mniemać, że JW. gubernator, niepojętym wprawdzie dla mnie sposobem, zostałeś względem mnie, względem mojej osoby, w jakiś błąd wprowadzony. Życzylbym dla dobra Pana, aby to, co Pan mówisz, było istotną prawdą; ale niech mi Pan powie, co go spowodowało do zabrania znajomości z pułkownikiem Abazą, prezesem izby skarbowej? To samo, co mnie spowodowało do zabrania znajomości z wielu innymi, to jest: dawanie lekcyj języka francuzkiego dla zarobku. Musi być w tém coś innego? Wcale nic innego. Gdzież Pan dawałeś jeszcze więcej lekcye języka francuzkiego i kogo Pan znasz? Wiedziałem kogo wymienić, co się tyczy dawania lekcyj, chociaż i bez mojego wyznania mógł dobrze wiedzieć, gdzieś takowe da-

wał, a co do znajomości, dodałem, to znam niemal całe miasto. Pan po przybyciu swoim stałeś z Dmitrenkiem? Tak jest. Dla czegoś Pan z nim stanął i co za stosunki z nim miałeś? Stanąłem z nim dla tego, bo mi najpierw ofiarował u siebie stancyą, a nasze całe stosunki ograniczały się: z mojej strony na dawaniu mu lekcyj języka francuzkiego, a z jego strony na wynagrodzeniu mnie za moją pracę.

W ciągu tej rozmowy z gubernatorem, do której czasami mieszał się major Policzkowski, obaj ci Panowie byli bardzo przyzwoici i z godnością grzeczni. Gubernator czasami podejrzliwie się uśmiechał, czasami przybierał minę serio i powagę urzędnika, ale z granic przyzwoitości nigdy niewystąpił. Ja zaś przybrałem ton przyzwoity i należyty dla wysokiego urzędnika, ale zarazem przybrałem i minę człowieka, którego nieprzyjemność spotkała, ale który z tego żadnej wielkiej rzeczy sobie nie robił. Mówiłem umyślnie głośno, aby mój sąsiad obok mnie siedzący mógł dobrze słyszeć i wiedział, czego ma się trzymać. Zauważyłem także, że w czasie moich odpowiedzi gubernator i Policzkowski często na siebie spoglądali, jakby dla zapytania siebie nawzajem, co to wszystko znaczy.

Kiedy tak rozprawiamy, mój sąsiad, który mógł wszystko słyszeć, i spokojnie dotychczas siedział, zaczął chrząkać, chrypieć pierśmi; co postrzegłszy gubernator i Policzkowski i dorozumiawszy się, że tam siedział aresztant z tej samej kategorii co i ja, ażeby niesłyszał dalszej indagacyi jaką ze mnie ciągnięto, wyprosił mnie gubernator do pierwszego pokoju, drzwi od salonu zamknął i zaczął znowu prawie zupełnie pierwszym podobne czynić mi pytania, więc i odpowiedzi były prawie te same. Nareszcie gubernator rzekł do mnie z powagą urzędnika: Niech Pan prawdę mówi, bo położenie Pana jest bardzo przykre; więc i ja przybrawszy ton więcej poważny i serio odrzekłem: Niewiem dla czego JW. gubernator upiera się



koniecznie przy mniemaniu, iż to, co mówię, jest nieprawdą? Powiedziałem już Panu i teraz powiadam, iż mam ważne powody tak mniemać. Równie jak ja mam moje powody powiedzieć, iż JW. gubernator bierze mnie zapewne za kogo innego. Biorę Pana za tego, kim Pan jesteś w istocie, proszę się przyznać i nieżyczę Panu dłużej z nami żartować. Przyznam się JW. gubernatorowi, iż niejestem wcale w humorze żartowania, znajdując się w położeniu niewytłómaczonem dla mnie.

Widziałem iż gubernator niebył zadowolony z moich odpowiedzi, ale postrzegłem zarazem, że tak on, jak i Policzkowski, który się czasami także mięszał do rozmowy dla zrobienia mi swych uwag i spostrzeżeń, niebyli pewni swego, a na ostatnią mą odpowiedź, spojrzawszy gubernator na Policzkowskiego, jakby dla zapytania go: co to za człowiek i co o nim myśleć? Jak poprzednio, tak i tu winienem gubernatorowi oddać tę sprawiedliwość, że w zapytaniach i obejściu się zachował się z wszelką godnością swojego urzędu, ze względami dla mnie i wcale w nim niewiadać było surowego Moskwicina. Mówił po francuzku dosyć dobrze, ale Policzkowski nierównie lepiej. Gubernator pomówiwszy coś na ustroniu z policmejstrem, wyszedł odemnie z Policzkowskim. Policmejster był bardzo dla mnie także ugrzeczniony i kazał dać dla mnie i dla mojego czynownika kolacyą, której, mimo przymusu, wcale jeść niemógłem. Czulem, iż byłem tak zmęczony, rozdrażniony długą wewnętrzną walką z sobą, że przyjęcie pokarmu bez żadnego doń pociągu, mogłoby mnie nabawić śmiertelną chorobą, czegom sobie wcale nie życzył. Napiwszy się zatem tylko czystej herbaty i zrezygnowany na wszystko dla skrócenia tłoku myśli mnie mordujących i nieco także z osłabienia po dziennych gwałtownych wstrząśnieniach, przystawiłem trzy czy cztery krzesła obok siebie, położyłem się na nich i przykrywszy się płaszczem, dość mocno usnąłem.

Pod wieczór podwojono warty a około dziewiątej po

kolacyi zaprowadzono mnie na nocleg do jakiegoś innego pokoju na drugiej stronie domu będącego i znać dla bezpieczeństwa dobrze obwarowanego. Rozesłano siana na ziemi, przykryto je prześcieradłem, położono pod głowy poduszkę i dano mi do poznania, że obok mnie powinien spać i mój stróż czynownik, któremu dla akuratsniejszego wypełnienia służby niekazano się rozbierać, więc tak jak był w mundurze i przy szpadzie obok mnie się położył. W tej samej stancyi spał jeszcze drugi jakiś czynownik i jeden żołnierz; straż więc była niepoślednia. Podczas gdy się rozbierał, przyszło jeszcze jakichś dwóch urzędników i zaczęli wszyscy między sobą rozmawiać po rosyjsku i na głos o ówczesnym zdarzeniu. Przekonani, że po rosyjsku nierozumiem, mówili o mnie przy mnie. Niewiadomo, co z tego wszystkiego może wyniknąć, mówili dalej, gdyż na bardzo wiele osób jest podejrzenie, że miały udział w stosunkach politycznych i naradach z tym cudzoziemcem, który tu przybył dla intrygowania przeciw Rosyi na korzyść obcego jakiegoś mocarstwa, Anglii czy Francyi, djabli go zresztą wiedzą; trzeba go dobrze pilnować, aby się nam niewymknął, bo wiecie, coby nam za to było? moglibyśmy i Syberją odwiedzić. Wiele osób poaresztowano, a coś tam mówią niedobrze i o Abazie, prezesie izby skarbowej; szkoda człowieka, gdyż to bardzo dobry i uczciwy człowiek. Zachciało się staremu na starość liźnąć francuzczyzny, liźnie go prędzej francuzczyzna. Najlepiej mówić i umieć po rosyjsku; nikomu nie dasz się oszukać, a kogo chcesz to okpisz. Hej! słuchaj, krzyknie jeden z nich na żołnierza, przynieś nam kwartę wódki — i dla ochoty i lepszego zapewne snu, łyknęli po dobrej szklance wódki, którą i mnie chcieli szczerze poczęstować, ale ja im za tę grzeczność pięknie podziękowałem, a oni się rozeszli.

Rozumiejąc wszystko, co mówili, śmiałem się w duchu z ich domysłów, ale przynajmniej dowiedziałem się, jak o mnie w świecie mówią i sądzą, i że dotąd niewpa-

dli na właściwy tor moich zamiarów. Porównywając wszystko co w tym dniu ze mną zaszło, o co i jak mnie się pytano, przekonałem się, że istotnie jeszcze niebyli pewni, kim byłem rzeczywiście i jakie były cele mojego do kraju przybycia? Położywszy się spać, spałem smaczno i bezpiecznie, i wcale niepamiętałem czym marzył o czem we śnie. Musiałem jednak spać niespokojnie i rzucać się na posłaniu, bo mój stróż czynownik, obok mnie spoczywający, po przebudzeniu z rana opowiadał swojemu koledze w jakim on był tej nocy strachu, a to z następującej przyczyny: Po mocnych dnia poprzedzającego wstrząśnieniach wszystkich władz duchowych i moralnych pewnie coś we śnie marzyłem i rzucałem się; w jednym z tych wzruszeń i miotaniu się mocnym, musiałem pewnie silnie zarzucić rękę na szyję mojego stróża i mozem go nieco zdusił; ten może mniemał, że na prawdę chciałem go udusić. Obudzony zatem ze snu i nieco przestraszony, oderwał rękę od swego gardła, i przekonawszy się, że spał, odsunął się precz odemnie i lękał się usnąć. Ja o tem wcale nic niewiedząc, szczerze mi się śmiać chciało, gdym go słyszał, z pewną obawą, podobne opowiadającego zdarzenie.

O ile, przy swobodzie myśli i serca, obudzenie się ranne jest jedną z chwil najprzyjemniejszych, o tyle dla duszy znękannej i przewidującej smutną dla siebie przyszłość, chwila ocknienia się ze snu jest najprzykrzejszą, niemilą; bo przy uspokojeniu zmysłów, i bez żadnego jeszcze umysłu roztargnienia, obraz przyszłości, ze wszystkimi jej przydatkami, tak ponuro, okropnie i dotkliwie, od razu i nagle działa na wyobraźnię, umysł i uczucie, że aż dreszcz przejmuje, że aż samo drży serce. Takiegom wrażenia doznałem po pierwszym mojem w więzieniu przebudzeniu się, takiegom często doznawałem i później siedząc w Kijowie. Kto siedział kiedy w więzieniu, będąc pewnym, że po wyjściu z niego, pójdzie tylko na

rusztowanie, ten zapewne także podobnego mojemu musiał doświadczać wrażenia.

Ubrawszy się i poświęciwszy kilka minut dla oddania czci Najwyższemu i dla uproszenia od Niego mocy, wytrwałości i miłosierdzia nad mymi spółrodakami, spółwięźniami i nademną, oddałem się zwykłym w podobnym położeniu nastrożającym się rozmyślaniom. Wkrótce przeprowadzono mnie znowu do salonu policyjnego, który ciągle był grzecznym i uprzejmym, przynajmniej na pozór. Drugi ten dzień więzienia był podobny do pierwszego z różnicą, iż tak gwałtownych wstrząśnień już niedoznałem. Poddanie się wyrokom Opatrzności mocniej mi się uczuć dało, a miejsce uniesień i oburzania się, zastąpił łagodny i tęskny smutek. W przyległym salonowi pokoju, ciągle słyszałem ten głos chrapliwy, jakby wydobywający się ze ścieśnionej wielkim smutkiem lub chorobą piersi; ale zamiast jednego więźnia, było ich dwóch razem, bo z cicha rozmawiali z sobą; niemógłem jednak dosłyszeć co z sobą mówili, ani rozróżnić kto byli? Kiedy mnie smutek nadzwyczajny ogarnie, mam zwyczaj, to jest: mam nalóg, dla skrócenia i oddalenia smutku i cierpień albo się spać położyć albo czemkolwiek się zająć; tą razą spać nie mogłem, bom niedawno wstał ze snu, a zając się czem niemiałem, bo mi wszystkie książki, a nawet i karty odjęto; a zatém rad nierad, musiałem rozmyślać i zastanawiać się nad mojem i moich braci położeniem, chociaż nic nowego wymyślić już niemógłem.

Po obiedzie znowu przyszli do mnie gubernator z Policzkowskim i wyprowadziwszy mnie do drugiego, tak samo jak wczoraj pokoju, zaczęli, bynajmniej nie występując z granic przyzwoitości i delikatności, ale już jawniej, wyraźniej i mocniej na mnie nalegać, abym się im przyznał, kto jestem, jak się nazywam, i w jakim przybyłem zamiarze? Odpowiadałem im prawie to samo i tym samym tonem, co wczoraj. Gubernator wierzyć temu com mówił niechciał, i powiedział: Pan się napróżno taisz, my wiemy



kto Pan jesteś, i jeśli sam się Pan dobrowolnie nieprzyznasz i niepowiesz, to drudzy powiedzą, a Pan ściągniesz na siebie tylko surowszą odpowiedzialność. Żadnej odpowiedzialności bynajmniej się nieobawiam; bo chociaż niewiem o co rzecz idzie, czuję się tak niewinnym, iż nieprzypuszczam, aby za cokolwiek chciano mnie uczynić odpowiedzialnym. Ale niech mi Pan powie, jakie stosunki miałeś z Panem Abazą? Pan Abaza stawczy się jak to mówią, samochęc, *mon cheval de bataille*, więc odpowiedziałem gubernatorowi prawie to samo, co wczoraj; i dodałem, że takie tylko, a nie inne stosunki miałem z kimkolwiek. Po tych pytaniach zasiedli nareszcie obaj około stołu dla ciągnięcia ze mnie protokołu. Jak się Pan nazywasz? Józef Catharro. Gdzieś się Pan rodził? W mieście La Valette na wyspie Malcie. Jak się nazywał ojciec i matka? Zkąd oni rodem? Ile Pan masz lat? Gdzieś Pan od swego urodzenia przebywał? Gdzieś mieszkał ostatecznie? Czém się trudniłeś? Zkąd pasport wziąłeś? Gdzieś mieszkał od czasu przybycia do Kamieńca? Kogo Pan zna w Kamieńcu? i tym podobne zadawali mi pytania. Odpowiadałem na wszystkie pytania krótko i bez namysłu, rozumie się, że wszystko musiał zmyślać, ale starałem się zachować w pamięci dobrze to, co raz zmyśliłem. I tak zmyśliłem nazwisko ojca i matki, zkąd oni rodem, gdzie przebywał, gdzie mieszkał ostatecznie. Na inne pytania odpowiadałem: trudniłem się naprzód kupiectwem, ale straciwszy na handlu, zostałem nauczycielem języka francuzkiego; pasport wziąłem u ambassady angielskiej w Wiedniu, mieszkałem u Pana Dmitrenki, Szadbeja, u Pani Piekutowskiej, później znowu u Pana Szadbeja. Co do znajomości osób, wymieniwszy Rogaczewa, Dmitrenkę i Abazę, wymieniłem jeszcze kilka nazwisk Polaków, którzy bynajmniej niemogli być skompromitowani.

Po tym niby protokóle wyszli obaj na chwilę, a powróciwszy, zapytał mnie gubernator: czy mi dobrze jeść

dają? Odpowiedziałem: że bardzo dobrze i na niczem mi w tym względzie nie zbywa. Po chwili z szyderczym uśmiechem na twarzy, który tą razą nieprzynosił bynajmniej zalety jego charakterowi, ani powadze urzędnika, gubernator rzekł do mnie następujące słowa: Zapewne Pan chciałbyś jak najspieszniej opuścić Kamieniec i Rossyą? Odpowiedziałem jakby z niechęcią: Rossya jest tak dobrym krajem, jak każdy inny, i chętniebym w niej pozostał; ale po tem wszystkiem, co ze mną tu zaszło, przyznam się iż niemam bynajmniej ani chęci, ani przyjemności dłużej tu pozostać; i jeżeli mam prawdę powiedzieć, życzyłbym jak najspieszniej opuścić kraj, gdzie władze każdej chwili mogą nadużyć położenia cudzoziemca. Gubernator z pełnym ironii uśmiechem odpowiedział: My Panu dostarczymy wszystkich do tego sposobów (*Nous vous procurerons, pour vous satisfaire tous les moyens possibles*). Zrozumiałem, co przez to chciał wyrazić i dokąd mnie życzył wysłać, ale udając, że nie domyśliłem wcale, ani znaczenia wyrazów, ani tonu głosu, także z uśmiechem odpowiedziałem: Chociaż bynajmniej niewątpię o życzliwych chęciach JW. gubernatora, uwolnienia mnie z przykrego i niemiłego położenia, w jakim się znajduję, pozwoli mi jednak JW. gubernator liczyć na skuteczniejszą pomoc ambassadora Wielkiej Brytanii, do którego chcę pisać; spodziewam się, że w tem przynajmniej będę miał zupełną swobodę. I owszem, Pan możesz pisać. Proszę mi wydać mój pasport, który dla wiarygodności chcę dołączyć do listu. Pasportu Panu wydać niemożemy, ale Pan możesz pisać bez dołączenia go do listu. Jakże ambassador będzie przekonany, że jestem poddany Anglii? Z listu. List w takim razie żadnym nie jest dowodem, zresztą i bez dołączenia pasportu list napiszę; ale JW. gubernator pozwoli, abym go natychmiast zapieczętował. Na to pozwolić niemożę, ja muszę wiedzieć, co Pan napiszesz. To jest nadużycie władzy: czyż niedosyć, że zapieczętowany list oddam na ręce JW. gu-

bernatora do przesłania? A coby w nim było pisane, to tylko mnie i ambassadorowi wolno o tem wiedzieć, inaczéj nienianoby wolności pisania. My lepiej znamy nasze prawa niż Pan i życzę mu nieszykanować; wyrzekł te słowa z pewnym gniewem i uniesieniem. Nieprzeczę, że JW. gubernator zna swojego kraju prawa, ale zapewne wie także, że ja znam prawa mojego i widzę się w potrzebie ich użycia. Zaczęła się dość długa w tym przedmiocie sprzeczka; ja upierałem się przy swoim, a gubernator przy swoim; kiedy niemógłem na swoim postawić, odezwałem się nakoniec z ironicznym śmiechem: Wiem teraz co znaczy tak głośno obwołana, a o której słyszałem, gościnność rossyjska dla cudzoziemców. To tak ubodło gubernatora, że zaniechawszy ironii i uniesienia, zaczął z całą powagą wymawiać mi niesprawiedliwość, jaką Rosysi pod tym względem pierwszy wyrządziłem. Major Policzkowski dość często także mieszający się do rozmowy, niekiedy reflektował gubernatora, kiedy się on unosił. Nareszcie, kiedy nic od nich nie wskórał, oni ze mnie nic niewydobyli, oddalili się, szczególniej gubernator, z wielkim nieukontentowaniem.

Gdybym był rzeczywiście Anglikiem wiedziałbym, jak w takim razie miałem postąpić; obstawałbym przy mojem prawie i domaganiu się zacięcie, i zagrałbym im tak, żeby koniecznie musieli skakać. Ale jak tu było odwoływać się do protekcji Anglii, której podchwycilem zaufanie wyrobiwszy dla siebie angielski pasport wiadomym czytelnikowi sposobem, jak tu używać jej nad sobą opieki, kiedy po zbadaniu wszystkiego, mógłbym się okazać tyle prawie występny w obliczu praw angielskich ile miano mnie za występnego w obliczu moskiewskiego bezprawia? byłem tedy między dwoma ogniami i żadnej znikąd niemógłem spodziewać się ochłody; ale obstawałem przy tem jedynie dla tego, aby zyskać na czasie, a wprowadziwszy gubernatora w wątpliwość, zbić go z toru i rzeczywistego względem mnie domysłu, a przez to zmniejszyć



szyc nie tylko winę, ale usunąć wszelkie podejrzenie od tych, którzy mogli mieć ze mną jakiegokolwiek stosunki, słowem, jak to mówią po prostu, chciałem zamydląć oczy.

Kto był w podobnym mojemu położeniu, ten zaprzeczyć nie może, jak gwałtowne uczucie własnej konserwacji odzywa się i obudza w duszy człowieka. Chociaż nie było żadnego podobieństwa do ucieczki, często jednak tak tego dnia, jak i później w ciągu mego więzienia, z upodobaniem zastanawiałem się i wynajdywałem sposoby, jakimi można ze szponów śmierci się wydostać; wyobrażenia mocno uderzona okropnością i życia więziennego i przedwczesną śmiercią, a zasilona ześrodkowanymi i targającymi boleśnie serce więźnia uczuciami, w wynajdowaniu sposobów ocalenia go, wpada czasem na bezdroża śmieszności i obłędu: i tak mnie się samemu zdarzyło nieraz żałować, że niebyłem myszą, ptaszkiem, muchą, ażeby pod ziemią, przez kratę do okna, lub dziurkę od klucza we drzwiach można się było wydostać na wolność. Im dłużej zostawałem w więzieniu, tym mocniej chęć bycia swobodnym dawała mi się uczuć, a budzić, się już zaczęła z drugim dniem mojego uwięzienia. Może, gdybym miał łatwość uciekania, i gdyby nikt, oprócz mnie, nie został aresztowanym, zdaje się, iż bez żadnego namysłu wówczas byłbym czmychnął, i to przez góry, rzeki, lasy, doliny i przepaście; jednak ponieważ drugich z mojej przyczyny poaresztowano, a zatem gdyby mi wszelką łatwość do ucieczki przysposobiono mimo żywą chęć ocalenia własnej wolności i życia, nigdybym się uciekać nie odważył, niemiałbym sumienia.

Okolo siódmej wieczorem przyniesiono mi na piśmie kategoryczne zapytania w języku francuzkim, podobne do tych, jakie mi zadawano przy quasi-protokóle, ale wyraźniejsze i więcej szczegółowe, to jest: jak się nazywam? z kąd rodem? i tym podobne. Odpowiedziałem natychmiast i bez namysłu tak samo, jak poprzednio. Ale utrzymując się, o ile mi było podobna, przy nazwie i prawach



Anglika, u spodu protokołu napisałem kilka wierszy prawie słowo w słowo następującej treści: „Uczynilem zadosyć żądaniu JW. gubernatora, nie dla tego, żebym się czuł w obowiązku to uczynić, ale dla przekonania go jedynie, że umiem uszanować w wysokim urzędniku szlachetne, choć nieraz za surowe dotychczas ze mną obchodzenie się. Spodziewam się, że JW. gubernator zechce we mnie uszanować godność wolnego i niepodległego człowieka i rozkaże mnie wypuścić z aresztu trącacego bezprawiem. W przeciwnym razie będę się widział zmuszonym poszukiwać wynagrodzenia krzywdy i obrazy mi wyrządzonej drogą praw wszędzie i zawsze obowiązujących narody. Proszę pamiętać, że w Anglii są rosyjscy poddani, i że wet za wet może być oddane.“

Coś podobnego tylko prawdziwy Anglik mógłby napisać, czując się wspartym prawami swojego narodu; ja zaś pisałem jedynie dla tego, aby, jak to mówią, zaimponować im śmiałością i zmusić ich samych do wydalenia mnie za granicę Rossyi, a tém samem uniewinnić tych wszystkich, którzy byli przytrzymani: jeżeliby obstawali śmiało i uporczywie, iż mnie tylko znali jako cudzoziemca, a nigdy jako Polaka. Ale się inaczej stało; słabość charakteru czyni prawie tyle złego w stanowczych chwilach życia, ile zdrada lub nikczemność. Chciałbym te kilka słów pisanych do gubernatora mieć w oryginale, które wraz z odpowiedziami na uczynione mi zapytania, odesławszy natychmiast po napisaniu do niego; moim zwyczajem, dla skrócenia chwil nudy i trosków, przystawiwszy kilka obok siebie krzeseł i przykrywszy się płaszczem, usnąłem na nich smaczno. Zdaje się, że gdyby mi przeczytano zrana dekret wskazujący mnie dopiero wieczorem na śmierć, po wysłuchaniu jego i po modlitwie, zamiast rozmyślenia, spaćbym się położył; takie moje jest usposobienie. Bo i po cóż napróżno myśleć o tém, co się odstać nie może? i kiedy żadnego niemogąc już mieć złu-

dzenia, smutna rzeczywistość w całej nam rażącej nagości swej się przedstawia?

Okolo dziesiątej wieczorem poprowadzono mnie pod przyzwolitą eskortą Pana policmejsra i kilku żołnierzy do mieszkania gubernatora, który z usmiechem na ustach spotkawszy mnie u drzwi sali posłuchalnej, rzekł po francuzku: Myśmy się tak przestraszyli groźb Pana, żeśmy go kazali przywołać dla jaśniejszego z nich wytłumaczenia się. Ten ton żartobliwy i szyderycy wcale mi się niepodobał i oburzył, rzekłem więc głosem obraży: Niełękając się bynajmniej groźb czyichkolwiek, nie miałem zamiaru ani chęci komukolwiek grozić, a dopominanie się o swe należne prawa, jest każdego człowieka obowiązkiem. Gubernator natychmiast gdzieś poszedł, a ja pod strażą żandarma poczekawszy w tej sali niemal cały kwadrans, wprowadzony zostałem do innej dość jasno oświetlonej, gdzie się znajdował stół okrągły, a naokoło niego kilka krzesel, widać, że była jakaś czynowników narada.

Po chwili wszedł gubernator z Policzkowskim; gubernator ze szczególnie sędziowską miną i powagą: zasiedli na krzesłach, a mnie zostawili stojącego przed sobą i stołem; zaczęło się śledztwo po formie. Gubernator z miną i wejrzeniem surowem, zapytał mnie po rossyjsku: Jak się Pan nazywasz? (kak prozywajecie?). Żadnej odpowiedzi. Gubernator po francuzku: Jak się Pan nazywa? Józef Catharro. Ale Pan niejesteś Catharro, Pan jesteś Polak, rodem z Ukrainy, my wiemy jak się Pan nazywasz, dowiedzieliśmy się o tem od innych, tylko chcemy się przekonać, czy Pan prawdę mówisz? Jestem Catharro, rodem z wyspy Malty, poddany Wielkiej Brytanii; gdybym był Polakiem, niemiałbym żadnej przyczyny tego się zapierać, gdyż mniemam, iż tak jest zaszczytnie być Polakiem, jak Anglikiem lub Francuzem; chciałbym poznać tych, którzy mnie znają jako Polaka. Zresztą proszę mi stanowczo powiedzieć o co rzecz idzie? o co mnie posądzacie? bo dotychczas wcale jeszcze nie wiem,

dla czego jestem aresztowany, i dla czego Panowie zadajecie mi wcale dla mnie niezrozumiałe pytania? — Pan wiesz dobrze o co rzecz idzie, jesteś Polak, emigrant, emissaryusz i przyszedłeś namawiać swych spółrodaków do buntu przeciw cesarzowi. — Kto to mógł powiedzieć, jest tylko kłamcą; nie jestem wcale niczym emissaryuszem, a tém mniej kogokolwiek namawiałem do buntu; bo żadnego do tego nie miałem powodu, gdyż los Rossyi o tyle mnie obchodzi, o ile w niej mogłem sobie zarobić na utrzymanie i kawałek chleba; to są tylko próżne pytania, próżne wybiegi, niewiem dla jakiego celu? — Wiesz Pan dobrze dla jakiego celu, i życzymy mu niezartować z władzą; lepiej niech się Pan przyzna dobrowolnie; Pan jesteś Polakiem: długi czas bawiąc we Francyi, nabrałeś manierów francuzkich, a jednak z twarzy, z ułożenia, z akcentu nawet można poznać, żeś Słowianin, żeś Polak, żeś nasz rodak. — Co się tyczy akcentu, jaki mam, to Pan gubernator pierwszy mnie o tém ostrzega; a co do składu i ułożenia, może to jest dla kogo zaszczytem być Słowianinem, być Panów rodakiem; ale nim niebędąc, niemogę się wcale do tego przyznać. Te i tym podobne długo czyniono mi pytania, jedynie w celu, abym się przyznał do mojej narodowości; w końcu gubernator tak się odezwał: Niech Pan nieprzymusza nas do użycia względem niego całej surowości praw, jakich możemy i będziemy musieli użyć; niech się Pan raczej spuści na wspaniałomyślność, dobroć, sprawiedliwość i łaskę naszego cesarza, on jest dobry i będzie miał wzgląd na jego przykre położenie, a szczególnie na jego dobrowolne i nieprzymuszone przyznanie się do wszystkiego; niech się Pan niczego nieobawia, niech Pan śmiało mówi. — Bynajmniej niewątpię o surowości praw rosyjskich, których chciałoby przeciw mnie użyć, ani o wspaniałomyślności i dobroci cesarza, ale jak pierwszych niemam się czego obawiać, tak z drugiej strony żałuję, że mi jest niepodobna korzystać z łaskawej dobroci cesarza. Gubernator uniósł-

szy się widocznie gniewem z zaiskrzonymi oczyma, rzekł do mnie: Niech Pan niezapomina, że to jest Rossya, a nie Francya, czy Anglia, i my niemamy ani czasu, ani chęci długo tu z nim rozprawiać; i obróciwszy się do Policzkowskiego, zaczął w gniewie i głośno po rossyjsku do niego mówić, może dla tego, aby wybadać, czy rozumiem po rossyjsku, a gdybym rozumiał, przestraszyć mnie i zatrwożyć: Co my tu z nim mamy się długo rozwodzić i ceremoniować, każę mu tu wnet nabić kajdany na ręce i nogi, wsadzę go do ostrogu, wezmę go w ręce po moskiewsku, a on tu nam wszystko wyśpiewa; i obróciwszy się do mnie rzekł nagle, także po rossyjsku: Czy Pan to rozumiesz? (panimajetie - li wy jeto?). Anim słowa nieodrzekł, a gubernator to samo powtarza mi po francuzku: Czy Pan to rozumiesz? (entendez - vous bien?) (Oui j'entends mais je ne comprends pas). Słyszę, lecz nierozumiem; widzę tylko, że JW. gubernator uniósł się mocno gniewem, ale dla czego i przeciw komu, wcale niepojmuję; zresztą to się mnie niemoże tyczyć i wcale mnie nieobchodzi. Spojrzeli na siebie, jakby dla zapytania, czy to, co o mnie im doniesiono, niebyło tylko fałszem; i postrzegłem, że istotnie niebyli jeszcze swego pewni; bo bez wątpienia inaczejby sobie ze mną postąpili na odpowiedzi, jakie im dawałem. Ja zaś oddawna już zrobiłem postanowienie, że jeśli by ze mną zaczęli się obchodzić po barbarzyńsku, to jest grozić i sieć różgami, a ja miałbym przynajmniej ręce wolne, miałem porwać za krzesło lub cobykolwiek było pod ręką i palnąć w jedną lub więcej głów, żeby aż mózg wytrysnął; w tem passowaniu się nadbiegliby żołnierze z bagnietami i skluliby mnie na miejscu, a tak wszystkoby się od razu skończyło.

Niemówię, żeby podobne postanowienie było godne człowieka mającego świadczyć prawdzie i pojmującego apostołowanie, ale byłem przekonany i czułem, że żadnej obelgi od kogokolwiek znieść mi niepodobna: pod tym względem niemógłem być nigdy w życiu Panem siebie, chę-



tniebym przebaczył i podał nawet rękę temu, ktoby mnie pchnął sztyletem, lub innym jakim sposobem nastawał na moje życie, ale wzgardy lub poniżenia, ani znieść, ani przebaczyć niepodobna. Do tego stopnia niemogę być chrześcianinem, niemogę być pokornym. Znając siebie unikałem wszelkich powodów, mogących mnie do tój ostateczności przyprowadzić: ale bynajmniej niewahałem się śmiało, a nawet z oburzeniem odpowiadać tam, gdzie mnie pod względem tak drażliwego uczucia zadrażnięto. Że zaś dotychczasowe gubernatora i Polickowskiego postępowanie i obchodzenie się ze mną było przyzwoite i zupełnie ludzkie, a jam jeszcze był przyodzian cudzoziemczyzną, niemiałem zatem powodu rzucania się w tę ostateczność, owszem obejściem się mojem starałem się ich przekonać, że szanują w nich urzędników, chociaż niecierpianej władzy. Zresztą położenie więźnia nadzwyczaj jest przykre: trzeba wielkiego hartu duszy, potrzeba wielkiej miłości Ojczyzny i tych spółobywateli, potrzeba mieć sumienie i wielkie uczucie sprawiedliwości i swych obowiązków, aby się postawić z godnością i w obliczu, że tak powiem, męczarni i śmierci, nieuledź pokusom dającym choć słabą nić, choć zbyt błady promyk nadziei, wydostania się z przepaści, a przynajmniej obiecującym nadzieję ochrony życia, choćby najnędnieszego, pełnego cierpień i mąk duszy, choćby nawet bez światła bożego, byleby tylko życia. Człowiek w podobnem znajdujący się położeniu, tak jest blizkim wzniosłości, szczytności, lub upadku i nikczemności, iż bardzo małeńka przestrzeń, tak jednak sprzeczne z sobą w nim uczucia rozdziela. Mówię to z doświadczenia własnego i jemu najlepiej wierzę. Kto był kiedy w podobnem położeniu, wie o tём najlepiej i zapewne musi się zgodzić ze mną. Wszelka zatem chełpliwość i fanfaronada byłaby tu nie w miejscu. Chwile podobne w życiu nadto są stanowcze i poważne, aby można było o nich z lekkością wspomnieć i mówić, a tём mniej lekkomyślnie, z pełną swobodą duszy i żartobliwie w nich działać i

postępować. Wszelka zatem płochosć i zarozumiałość, równie jak lekliwość i spodlenie się do nich nieprzypadają, i im nieprzystoją.

Gubernator i Policzkowski po tej ostatniej mojej odpowiedzi, zawiesili swe pytania i zaczęli się z sobą po cichu naradzać; ja tymczasem stojąc przed nimi ciągle, w milczeniu prosiłem tylko Boga o wytrwałosć; bo się zanościło na prawdę, na serio, a tymczasem rzuciłem powierzchniźnie wzrok obojętny na salon i przedmioty w nim się znajdujące, jak człowiek, który jest pewny swego i niczego się nieobawia. Po kwadransie odpoczynku gubernator dość łagodnie odezwał się do mnie: W interesie Pana życzymy mu, abys się przyznał, żeś Polak, żeś Słowianin; wiem, że Pana położenie jest bardzo smutne i przykre, ale ufaj dobroci cesarza, on jest wspaniałomyślny i sprawiedliwy, będzie miał wzgląd na Pana położenie. — Prawdziwie natarczywość, z jaką JW. gubernator chce we mnie wmówić, że koniecznie ktoś inny, aniżeli ten, kim jestem w rzeczy samej, mocno mnie zadziwia; a jeżeli wspaniałomyślnosć i dobroć cesarza jest tak dobrze JW. gubernatorowi znana, to w jego imieniu proszę mnie uwolnić, nietylko od podobnych pytań, ale od wszelkiej nademną opieki. — Wierzę, żebyś Pan tego sobie życzył, ale tak być nie może; nie tak to łatwo z naszych rąk się wydostać. Gubernator w ciągu tych pytań, to był grzeczny i uprzejmy, to znowu przybierał minę poważnego sędziego, to się uśmiechał, to znowu się gniewał, dąsał, srożył się i unosił. Policzkowski zaś przez cały ten czas zachował się z wielką godnością; jeżeli mi robił jakie uwagi, to w sposób tak przyzwoity, iż nigdy mnie w niczem nie dotknął i nieobraził.

Kiedy się to działo, na znak dany przez gubernatora wprowadzono do sali, kogo? Pana Alberta Nitowskiego, którego na moje i wielu innych nieszczęście drugiego czy trzeciego dnia po mojem do Kamieńca przybyciu poznałem, jako cudzoziemiec Catharro: a raczej

który mi się sam narzucił z swoją znajomością; daleko później zapoznano mnie z nim pod moją właściwą narodowością. Miałem instynkt że człowiek słaby i niedołężny, przytém miał nalóg grania w karty; z karciarza jeszcze nigdy nic dobrego niebyło: więc chociaż go najdawniej ze wszystkich poznałem, nigdym mu się jednak w niczém nie przyznał ani się zwierzał. Ci co go zdawali się znać wszyscy zapoznawali mnie z nim, bo mówiono: jestto obywatel z Wołynia, a przytém i zdatny człowiek. Jednak i po zapoznaniu się z nim nigdym mu nieufał i przestrzegałem drugich, aby mu niewiele ufano, i dobrze się stało, nigdy nie wiedział mojego nazwiska. Już wiadomo, z jakim przywiązaniem i poświęceniem Nitowski dla mnie się oświadczał; obaczmy natychmiast, jak tój obietnicy święcie dotrzymał. Smukły, cienki, chudy, wzrostu nadmiernego, włosów krucznych, gęstych, długich, cery śniadój, twarzy ściągłej, bladawój, oczu czarnych i dużych, lat dwadzieścia ośm liczący; dziś jak trup wybladły, był bardziej przy świetle nocy, w czarnym swym garniturze, do widziadła, jak do człowieka podobny. Z tój postawy, z chwiejącego się kroku, z nieśmiałego spojrzenia żłem od razu wróżył. Napróżno usiłowałem zapewnić go mym wzrokiem; już prawie był bez duszy, a raczej miał duszę, ale już spodloną i znikczemioną. Stał o kilka kroków odemnie i nieco naprzeciwko mnie; ponieważ znał język francuzki, zadawano mu pytania po francuzku: Znasz Pan go? zapytał gubernator wskazując na mnie. Znam go dobrze, odpowiedział Nitowski. Jakże się on nazywa? Catharro. Czy się nie nazywa on jeszcze inaczej? Owszem ma polskie nazwisko, które jest prawdziwem, ale szczerze powiadam, żem zapomniał. Zkąd on jest rodem? Z Ukrainy, ale z pewnością niewiem, z jakiego miejsca. Czy mówi po polsku? Bardzo dobrze: tak jak rodowity Polak zwykle mówi. Zkąd on przybył? Z Francyi. Czy on jest emigrant? Tak jest, emigrant. W jakim on przybył celu, jakie jego były zamiary? W celu obudzenia

nienawiści Polaków ku rządowi rossyjskiemu i przeciw cesarzowi. Jakież podawał do tego środki i sposoby? Radził naprzód i przedewszystkiém obywatelom, aby się jak najłagodniej z chłopami obchodzili, a przez to zobowiązali ich przychylności ku sobie, zwałając cały ucisk, jakiego wieśniacy doznają, tylko na rząd i na cesarza; aby obywatele w tym celu z sobą się porozumiewali; a kiedy umysły tym sposobem i nieznacznie będą już przygotowane dostatecznie, wówczas dopiero radził rozpoczynać powstanie; mówił jeszcze wiele innych rzeczy w tym samym duchu, słowem, namawiał do podniesienia buntu. Czy wiesz z kim on miał podobne rozmowy i narady? Wiem. Któż tedy na tych naradach bywał? Dwóch braci Bielińskich, trzech braci Kondrackich, Omiński, Koczorowski, Baczyński, stary sędzia Zawadzki, Młodziejowski i jeszcze kilku, ale ani ich nazwiska, ani miejsca, z kąd są, niepamiętam. Czy oprócz tych osób znał on kogo jeszcze więcej? Pewnie że znał, bo on tu miał bardzo wiele znajomości. Czy, jak Panu się zdaje, i z niemi on miał narady? Musiał mieć, bo w tym celu przybył; ale niewiem, ani z kim, ani gdzie.

Śluchając zeznania Nitowskiego, słuchając, jak wymieniał nazwiska osób, a między niemi nazwiska najprawdziwszych jego przyjaciół, aż mi się źle zrobiło; ledwie mym uszom i oczom mógł wierzyć, aby ten nikczemnik, ta spodlona dusza, i sprawę ojczystą, i tyle osób niewinnych, mógł z taką łatwością kompromitować: podobnej nikczemności w człowieku, a szczególnie w Polaku, nigdy nieprzypuszczałem. Po takim zeznaniu Nitowskiego, gubernator obróciwszy się do mnie rzekł: Pan nie chciałeś się przyznać, żeś Polak, a oto widzisz, że Panu w oczy powiada Nitowski, żeś nietylko Polak, ale żeś przybył w celu zachęcenia swych rodaków przeciw rządowi i cesarzowi; coż Pan na to odpowiesz? to jest dowód oczywisty, niema się po co dłużej zapierać; Pan musisz się przyznać do wszystkiego i wszystko powiedzieć.



Chociaż położenie moje było bardzo przykre, jednak nikiemność Nitowskiego tak gwałtowne wywołała we mnie uczucie wstrętu, gniewu, żalu, i nie tylko śmiałości, ale można powiedzieć zuchwalstwa, że się ledwie powstrzymał od wynurzenia we właściwych wyrazach całej obrazy i pogardy, jaką Nitowski we mnie obudził; w gniewliwym zaś wzmruszeniu odpowiedziałem: iż wszystko, co Pan Nitowski powiedział, nie wchodząc bynajmniej w powody, które go do tego zagnały, jest kłamstwem i oszczerstwem. Tu zacząłem po szczególe zbijać jego zeznania; w końcu obracając się do Nitowskiego, rzekłem: Maszże Pan sumienie czynić mnie przyczyną nieszczęść tylu niewinnych ludzi, których nazwiska wcale mi są nieznanne, których być może, znam tylko z widzenia, bo znam niemal całe miasto, lecz których Pan chcesz poświęcić dla swoich jakichś osobistych widoków, wcale dla mnie niepojętych, a nieprzynoszących Panu najmniejszego zaszczytu, oprócz niesławy i przekleństwa dla jego pamięci. Powtarzam zatem raz jeszcze, iż to, co Pan Nitowski powiedział i zeznał, jest tylko haniebnym kłamstwem, które przyznać i potwierdzić Bóg i sumienie mi zaprzeczają.

Mówiłem z mocnym wzruszeniem, z pewnością nawet gwałtownością. Nitowski zaczął się wahać, lecz gubernator obróciwszy się do niego rzekł: No jakże? cóż na to Pan powiesz? ale postrzegisz jego wahanie się krzyknął na niego po rosyjsku i z gniewem: No, gadaj prawdę, tylko śmiało, a nie, tak zaraz każe tu przynieść pałek, niech i on (wskazując na mnie) na nie popatrzy, a prawda wyjdzie na wierzch. Niebój się nic, on (wskazując na mnie) ci nic nie zrobi, gadaj, ufaj naszemu cesarzowi, on jest dobry i sprawiedliwy, będzie miał wzgląd na ciebie. No gadaj. Nitowski drżąc cały i po rosyjsku: przysięgam na wszystko, iż to co powiedziałem jest szczerą, prawdą, o niczym więcej nie wiem, nic innego powiedzieć niemogę, choćby i sto razy przyszło gadać, nie wiem dla czego Pan Catharro się zapiera? Nareszcie obra-

cając się do mnie i płacząc jak dziecko rzekł po francuzku i z załamaniem rękami: Panie Catharro, Panie Catharro miej litość nademną! Wciągnąłeś mnie w nieszczęście, mówiłeś mi o rzeczach, o których nigdy ani wiedzieć, ani słyszeć nawet niechciałem, niepowinienem; byłem spokojny i szczęśliwy; Pan moją spokojność, przyszłość, szczęście i nadzieję szczęścia na zawsze zniszczyłeś, wyznaj, że to, co mówię, jest prawdą, wszakże tak było, jak opowiadam, po co się napróżno zapierać? to się dłużej ukryć niemoże; inni to samo wyznają, com ja wyznał, i zaczął szlochać.

Stan godny litości i współczucia, w jakim się Nitowski znajdował, łatwość i nikczemność z jaką wymienił nazwiska osób, o których mniemał, że należały do jakichś narad, do spisku; ten jego płacz szczery i rzewny, co mi rozdzierał serce, i zarazem najwięcej przeciwko niemu świadczył, myśl i przecucie, co mogłoby nastąpić z jego zeznań, w tak dziwnym, okrutnym i do nieopowiedzenia przykrym postawiły mnie stanie, iż musiałem użyć całej mocy woli, by się oprzeć widocznemu wzruszeniu litości i żalu, wstrętu i pogardy, zemsty i boleści, które naprzemian z wszelką gwałtownością mną miotały; obróciwszy się zatem do Nitowskiego, rzekłem: Mimo litość, jaką mam nad Panem, wyznać jednak muszę, iż to wpieranie we mnie obcej mi narodowości, słów i zamiarów, o których ani Panu, ani mnie się nigdy nieśniło, tyle się sprzeciwia prawdzie, rzeczywistości i sumiennosci, iż chyba tylko bojaźń surowej kary, albo prosta nikczemność duszy mogła cię do tego zmusić: powtarzam więc jeszcze, że to wszystko, coś Pan dotąd powiedział, jest fałszem, kłamstwem i oszczerstwem, i życzyłbym sobie, aby to nasze widzenie się było ostatniem. Gubernator znowu zaczął nalegać na Nitowskiego, który przed nim usprawiedliwiał się, tłumaczył, dowodził, przekonywał i płakał. Gubernator zwróciwszy się do mnie, zaczął mnie przekonywać, iż to, co Nitowski powiedział, musi być prawdą, gdyż

tak szczerze, tak otwarcie do mnie przemawiał. Zbijałem jak mogłem z całą logiką i mocą, jakiej tylko byłem zdolny; do niczego się nieprzyznałem, zaparłem, zaprzeczyłem.

Gdy Nitowskiego odprowadzono, gubernator znowu zaczął na mnie nalegać: kazał mi ufać w łaskę cesarza, w jego dobroć i sprawiedliwość, mówił, że napróżno się zapierał, że Nitowski prawdę powiedział, że wielu innych to samo, co on, powie; że lepiej byłoby dla mnie samemu się do wszystkiego przyznać, że w przeciwnym razie surowa kara na mnie spadnie; ale wszystkie jego usiłowania były zbijane stałem zaprzeczeniem: nie i nie. Mówił do mnie to łagodnie i z uśmiechem, to z gniewem i uniesieniem. W jednej z takich chwil uniesienia gubernator pozwolił sobie powiedzieć, że jeżeli sam dobrowolnie się nieprzyznam, to on ma różgi dla dowiedzenia się o prawdzie. To napomknięcie o cielesnej karze tak mnie oburzyło, że mimo smutnego położenia, w jakim się znajdowałem, wręcz i ostro mu powiedziałem: Pan (nie JW.) gubernator zechce wiedzieć, że do podobnego języka nie jestem wcale przyzwyczajony i zapewne nie podobnego więcej od niego nieusłyszę, i dodałem: że jeżeli tym sposobem od Nitowskiego dowiedziano się o prawdzie, to się wcale temu nie dziwię; bo tym sposobem można nie jednego zmusić do zapewnienia, że nawet świat stworzy. Odtąd w rzeczy samej nie podobnego więcej ani od niego, ani od kogokolwiek nieusłyszałem.

Człowiek, póki ma ręce wolne i mocnego w piersi ducha, może jeszcze sobie nakazać szacunek. Położenie moje było tak przykre, tak prawie rozpaczliwe, iż nie chciałem dawać najmniejszego powodu tym, w których ręku nietylko moje, ale tylu innych było życie lub śmierć do dzikiego lub nieprzyzwoitego ze mną obejścia się: szanując swą godność, szanowałem ją w drugich; ale jakim to już powiedział, przyprowadzony do ostateczności nie byłbym w stanie znieść najmniejszej obelgi. Bóg mnie chronił od użycia tego ostatecznego środka.

Po wyjściu Nitowskiego przyprowadzono Leszczyńskiego, którego imienia dobrze niepamiętam, zdaje się jednak, że Stanisław, a którego raz tylko, czy dwa razy w życiu widziałem. W chwili naszego zapoznania się przez trzecią osobę, za pierwszym wejrzeniem ten człowiek mi się niepodobał; jak przeciw Nitowskiemu, tak i przeciw Leszczyńskiemu miałem instynktową odrazę, i jak się przekonałem, nie bez przyczyny. Człowiek ma przecucie; niech mówią co chcą materyaliści. Leszczyński miał minę królika, co oznaczało zajęczą trwożliwość i lęklivość: ale nie ja byłem przyczyną zabrania z nim znajomości, po zabranii której, jak przeciw Nitowskiemu, tak i przeciw niemu ostrzegałem drugih, aby się mieli na baczności; nic im niepowierzali i o nikim przed nimi nie mówili, i dobrze się stało; bo mało wiedząc i o samej rzeczy, i niewiele znając osób, niemogli wiele zaszkodzić. Ja zaś unikałem, ile możności, spotkania się z nim, i dla tego raz, czy dwa razy tylko jego widziałem. Ten Leszczyński, jak się daleko później dowiedziałem, był pierwszym powodem do odkrycia przed władzami rosyjskimi i skompromitowania wielu osób. A to takim sposobem: Leszczyński zostawszy spropagowanym (mniejsza przez kogo), zaczął szukać prozelitów swęj doktryny z całą gorliwością i nieroztropnością głupca. Trafił na swego jakiegoś kuzyna Jaszowicza czy Jaszowskiego, tego już dobrze niepamiętam, a nigdy ani znał, ani widział, byłego, jak mówiono, kiedyś w wojsku polskiem, który wysłuchawszy całej doktryny Leszczyńskiego i pochwaliwszy takową, udał, że został jej zwolennikiem i zapytał Leszczyńskiego, zkaąd mu ta mądrość przyszła? Ten niemiał mu nic spiesniejszego do powiedzenia, jak tylko: że tu w Kamieńcu jest jeden Polak emigrant, ukrywający się pod nazwiskiem Francuza, który takie nauki rozsiewa. A znasz ty go osobiście? zapytał Leszczyńskiego Jaszowicz. Znam. Jaszowicz czy Jaszowski nietracąc ani chwili, udał się natychmiast do gubernatora Radiszczewa,



któremu opowiedziawszy wszystko, co widział, rzekł w końcu: Ja tego Polaka osobiście nieznam, ale mój kuzyn Leszczyński zna go dobrze; proszę go wziąć, a on się do wszystkiego przyzna. Gubernator przyzwał Leszczyńskiego, który niewiadomo, czy z bojaźni kary, czy przez słabość i nikczemność duszy, czy uludzony nagrodą, czy nakoniec przez wszystko troje razem wygadał wszystko, co tylko wiedział, i wydał osoby o których albo wiedział, że miały jakie ze mną stosunki, albo je w tem podejrzewał. Na nieszczęście wydał Nitowskiego, który przez słabość charakteru i przez nikczemność duszy, nie tylko się od razu do wszystkiego przyznał, ale w kompromitowaniu osób gorliwie wspierał Leszczyńskiego, a nawet go przeszedł.

Że Leszczyński był donosicielem swych rodaków, dowodzi naprzód to, że będąc równie a może więcej skompromitowanym, jak ci, których wydał, raz tylko czy dwa razy stawał ze mną naoczne świadki, z drugimi może więcej: ale w jednym i drugim razie tylko dla przekonania, żeśmy mieli narady i schadзки w celu burzenia pokoju i przygotowania się do powstania; a powtórnie dla tego, że zamiast kary, otrzymał nagrodę. Dowiedziałem się o niej tym sposobem: kiedym już był w Syberyi, dostał mi się między innymi numer Tygodnika Petersburskiego, redagowanego w polskim języku; w którym zwykle umieszczają się wiadomości krajowe, przez władzę pozwolone, a między nimi wiadomości najważniejsze i najbardziej Rosssyan obchodzące, kto, kiedy i na jaki stopień postąpił? lub jaką otrzymał nagrodę? Otóż w tym samym numerze wyczytałem na własne moje oczy: że ten sam Leszczyński z gubernii podolskiej za gorliwość w służbie, otrzymał krzyż świętego Stanisława trzeciej klasy. Najpierwszym zatem donosicielem i rzeczywistym zdrajcą i szpiegiem, Judaszem sprzedającym krew, życie i wolność swych braci, jest bez zaprzeczenia: Jaszowicz, czy Ja-

Jaszowski, wyrodny syn ojczyzny, przeklęty od Boga i ludzi i sam czarnej duszy szatan, zawczasu szatanowi na tym jeszcze świecie swą splugawioną duszę zaprzedał. Drugim po tym Kainie najwięcej winnym był Leszczyński, który słaby i nikczemnej duszy, mniejsza z jakich powodów, skłonił się być bezpośrednim donosicielem tych, których znał osobiście a między nimi najprawdziwszego swego przyjaciela i bardzo pocziwego człowieka. On naprowadził władze na tór rzeczywisty, i osób i sprawy; i on będzie winien sądu krwi i cierpień swych braci. Trzecim z porządku był Albert Nitowski, więcej ukształcony i oświecony od Leszczyńskiego, lecz słaby na duchu i ciele, lubiący wygody życia, kapryśny w zachceniach, nieprzyjaciel wszelkiego trudu umysłu i ciała, miękki, gnuśny, lgnący do kanapy, próżniak i karciarz, starannie się ubierający podług mody, z upodobaniem muskający swe długie włosy, wzdychający do serca kobiety więcej przez nałóg, przez czułośćkliwość nerwową i przez modę, niż przez prawdziwe, mocne, szlachetne, stałe, uzacniające i podnoszące męczyzn uczucie, lubiący podróże i palący fajkę na długim cybuchu z wielkiem zadumaniem i lubemimi marzeniami, wśród zrzęcznie i wspaniale puszcanych z ust kłębow dymu, słowem: całą gębą dzisiejszy panicz polski, oprócz znaczneho majątku. Albert Nitowski, powiadam, przy takich usposobieniach, niemógł się oprzeć świadectwu i zeznaniom Leszczyńskiego przeciw niemu. Przyznał się zatem do wszystkiego; a dla ocalenia wygod ciała, spodlił się duchem i został najzaciętezym, nieublaganym w swoich oskarżeniach. Najwięcej kompromitował i dowodził. Można powiedzieć, że Jaszowski był wyżłem, co wietrzył, Leszczyński gończym, co ujadając ścigał, a Nitowski był zarazem jannikiem, co aż w nory wlaził, i brytanem, buldogiem, co dusił, a wszyscy razem wzięci, byli to, co pospolicie nazywa się: *omne trinum perfectum*.

Leszczyński zatem przyprowadzony przed gubernatora na podobne, jak Nitowskiemu, czynione pytania, podo-

bnie odpowiadał, prawie słowo w słowo, tylko że mniej osób wymienił, bo mniej ich znał, i więcej ogólnie, a mniej dokładnie mówił o samej rzeczy, bo mniej o niej wiedział. Ponieważ nieumiał po francuzku, pytano go się po rosyjsku, i on po rosyjsku odpowiadał, a ja niby nierozumiejąc słuchałem. Czy go znasz? (wskazując na mnie) zapytał go gubernator. Znam. Jak się on nazywa? Catharro. Czy się nie nazywa inaczej? Ma jakieś polskie nazwisko, ale go nieznałem. Czy mówi po polsku? Tak dobrze jak ja. Cóż on mówił? Mówił o buncie przeciw rządowi i przeciw cesarzowi; i tym podobne czyniono mu zapytania, na które odpowiadał jak Nitowski, tylko mniej dokładnie. Skończywszy indagacye z Leszczyńskim, gubernator obróciwszy się do mnie, rzekł po rosyjsku: Czy Pan słyszysz co on mówi? Nic nieodpowiedziałem. Gubernator do mnie po francuzku: Entendez-vous ce qu'il dit? J'endends bien ce qu'il dit mais je ne le comprends pas. Ale Pan rozumiesz dobrze. Wcale nie. On jednak powiedział, żeś Pan z nim samym po polsku rozmawiał. Jakże mogliśmy z sobą rozmawiać, kiedy ja po polsku, a on po francuzku nieumie. Ale Pan się z nim widziałeś w tém a w tém miejscu? Jeżeli jest z Kamieńca, możem go kiedy widział na ulicy, ale go wcale niemożę sobie przypomnieć; nie, ja go nigdy niewidziałem, ja zupełnie go nieznam. On to samo mówi o Panu, co Nitowski. — Może jest z nim w znowie; ale jeżeli tak mówi, to tak samo kłamię, jak Nitowski. — Ale jakże można, żeby obaj jedno i to samo mówili, gdyby obaj o téj samej rzeczy niewiedzieli? Tego zawikłania sam pojąć niemożę, ale wiem tylko, że wszystko, com dotąd słyszał, jest tylko wymysłem, kłamstwem, a ja do kłamstwa przyznać się niemożę.

Kiedy Leszczyński wyszedł, znowu gubernator z policmajstrem zaczęli na mnie nalegać, ale napróżno; utrzymywałem się ciągle i stale przy swoim: Nie i nie. W końcu, kiedy mi pozwolono odejść, odezwałem się do

gubernatora głosem uprzejmym: Mniemam, iż JW. gubernator dostatecznie jest już przekonany o dziwactwie tej sprawy, i liczę na jego wspaniałość, że wkrótce takową zakończy bez krzywdy niewinnych, a mnie z pod swojej uwolni opieki. — Bądź Pan pewny, że wkrótce sprawa będzie skończona, a Pan wyjdiesz z pod mojej opieki. Byłem zmęczony, zuordowany tem posiedzeniem śledczem, ale i gubernator napocił sobie czoła.

Co się ze mną działo, com wycierpiał, ile sprzecznych w duszy doświadczyłem wzruszeń i wrażeń w czasie samego śledztwa i po niem, trudno to opisać. Wpadałem na rozmaite domysły, kto zdradził, kto doniósł, kto wydany i przytrzymany, jaka ich będzie liczba? Najwięcej się lękałem i drżałem, aby wielkiej liczby osób nieskompromitowano. Pokazano mi tylko dwóch; widać, że inni do niczego się nieprzyznali. Tych dwóch zaparłem się, zadałem im fałsz; może i inni tak uczynią. Ale czy oni wytrwają aż do końca? czy wytrzymają okropne próby, przez które im może przechodzić każą? Ze mną nieśmieli się obchodzić surowo, bo mi jeszcze niedowiedli, żem Polak, że mają prawo kary nademną; bom jeszcze był pod zasłoną cudzoziemskiego nazwiska i praw cudzoziemcowi, Anglikowi, służących; ale z nimi mogą postąpić najokrutniej i zmuszą ich do przyznania się we wszystkiem. Co w takim razie począć? jak sobie postąpić? Mniejsza już o siebie; idzie tylko o nich, o sprawę, jak ich, jak tajemnicę ratować? Te i tym podobne zadając sobie pytania, zastanawiałem się nad ich rozwiązaniem i gorąco błagałem Boga, aby mi raczył udzielić zdrowej rady i niepozwolił mi się zachwiać, ani w dopełnieniu mych obowiązków, ani w zniesieniu cierpień, trudów i męczarni. Ach! jak nieznośny, okropny i męczący jest stan człowieka w podobnym znajdującym się położeniu! wszystkie władze umysłu i serca są w napięciu, w szarpaniu się, w zburzeniu i zmacaniu się, a tak blizkie szczytności lub upadku, iż mały tylko przedział je rozgranicza. Z ręką



na sercu, z sumieniem przed Bogiem, sędzią najskrytszych naszych myśli i uczuć wyznają: że teraz mi wcale niechodziło o mnie, o moje ocalenie; chodziło mnie tylko o sprawę, o jej tajemnicę i o los moich nieszczęśliwych spółbraci, spółwięźniów. A jakem pomyślał, że, z biegiem nieprzewidzianych okoliczności, przez słabość jednych, a przez nikczemność drugich, liczba skompromitowanych mogłaby się podnieść dość wysoko; jakem się zastanowił, ile rodzin mogłoby być nieszczęśliwych, ile cierpień, łez i narzekań ojców, matek, żon i dzieci mogłoby to kosztować; to prawdziwie moje osobiste nieszczęście prawie zupełnie mi z przed oczu, myśli i serca zniknęło, a całą duszą i całym sercem bolałem nad nieszczęściem drugich, którego stałem się przyczyną. Postanowiłem tedy już nie siebie, ale ich i sprawy bronić, a bronić aż do ostatka.

Noc i cały dzień następujący przepędziłem na mocowaniu się z myślami i uczuciami, wśród ich tłoku i burzy, ale mnie do śledztwa nieciągniono; słyszałem tylko cicho obok mnie mówiących, że aresztowanych przywożą z okolic Kamieńca. Mocno znękanym moralnie, nad wieczór, moim zwyczajem, położyłem się spać na krzesłach przykrywszy się płaszczem, resztę zdając na Boga i przygotowany na wszystko. Około dziewiątej wieczorem obudzono mnie i poprowadzono do gubernatora pod zwykłą eskortą. Ledwie wszedł do sali, aż gubernator z miną radością, wesolą prawie, skacząc i zacierając ręce, zbliżył się ku mnie, i wskazując na rząd ludzi w szereg ściśle, jak żołnierze, obok siebie przy dwóch ścianach salonu w kąty prosty ustawionych, rzekł do mnie po rosyjsku: Niech Pan im prawi teraz to, coś przedtem im prawił, niech prawi kazania (propowiadujcie im tiepierycza, szto wy im prieździe propawiedywali, propowiadujcie). Oto są oni wszyscy, znają Pana tak dobrze, jak Pan ich znasz, niech Pan im prawi po polsku. Pan po polsku tak mówisz, jak oni. Pan jesteś Polak. Wszyscy oni to zeznali. Słuchając radośnych wykrzykników gubernatora,

patrzając na jego twarz potwierdzającą pewność słów jego, spojrzalem po szeregu, w którym byli i bardzo dobrze, dobrze i mniej dobrze znajomi. Z ich postawy niepewnej z nieśmiałego na mnie wejrzenia, niewielem sobie tuszył, i prawie byłem pewnym, że to, co gubernator mówił, było prawdą; że się wszyscy przyznali. Staralem się jednak nieznacznie mem spojrzeniem ich zapewnić, ale to już było napróżno. Tymczasem gubernator skończywszy liczny szereg poprzedzających pytań, czekał ode mnie odpowiedzi. Ja udając, że tych pytań wcale nierozumiałem, bo były dawane w języku rossyjskim, i mniemając, że to tylko podstęp, którego użył gubernator, aby widokiem tylu obwinionych, którzy niby do wszystkiego się już przyznali, przekonać i zmusić mnie do wyznania, żeś Polak, nie odpowiedziałem. Gubernator rozgniewany, rzekł do mnie po francuzku: Co, Pan jeszcze i teraz udajesz, że po polsku nierozumiesz? oni wszyscy mówią, żeś Pan Polak, niech Pan do nich po polsku mówi. Teraz zrozumiałem, więc zacząłem po francuzku: JW. gubernator.... Co to JW. JWielmożny, odpowie gubernator z gniewem i po francuzku: Pan mi mów prawdę! Ja znów do niego po francuzku: Pan gubernator pozwól mi naprzód powiedzieć, że z tych Panów ledwo kilku znam z widzenia, a reszty wcale nieznam; gdybym zatem i umiał po polsku, to niemiałem sposobności mówienia z nimi; niemogę zatem wierzyć, aby utrzymywali, jakobym był Polakiem i po polsku mówił; zresztą już powiedziałem JW. gubernatorowi, że gdybym był Polakiem i po polsku mówił, tobyś się tego niezapierał.

Mówilem tak umyślnie aby stojących przekonać, żeś się do niczego nieprzyznał i że oni do niczego się niepowinni przyznawać, jeśli się dotąd nieprzyznali. Gubernator do mnie z gniewem: Ale co się Pan zapierasza, oni wszyscy mówią, żeś Pan Polak, że mówisz po polsku, niech się Pan ich sam zapyta, niech się zapyta. Korzystając z pozwolenia, i spoglądając wejrzeniem zachęcają-

cém do wytrwałości, zapytałem śmiało prawo-skrzydłowego: czym ja kiedy z Panem mówił po polsku? A zapytany drżąc i nieśmiało odpowie: tak jest Pan mówiłeś ze mną po polsku, odpowiedziawszy natychmiast, to nieprawda (ce n'est pas vrai) odezwałem się do następującego ale już we wzruszeniu i z gniewem: może i Pan będziesz miał śmiałość utrzymywać i powiedzieć, żem do Pana kiedy mówił po polsku? A zapytany odpowie: Tak jest Pan ze mną po polsku mówiłeś, Pan Polak. I tak kolejną poszły głosy, Pan mówiłeś po polsku, Pan jesteś Polak.

Proszę sobie wystawić moje położenie: trudno zaprzeczyć tylu świadkom, a jedno i to samo utrzymującymi Bezwarunkowe z méj strony zapieranie się niemogło już nikogo przekonać, żem nie Polak; naprowadziłoby władzę na Bóg wie jakie domysły, wystawiłoby mnie i moich współoskarżonych na barbarzyńskie, srogie prześladowanie i męczarnie, nietylko bez żadnej korzyści dla sprawy, ale, być może, nawet z jej szkodą i z większém nieszczęściem skompromitowanych i ich rodzin. Przy tylu świadkach dowodzących, żem Polak, władze mogłyby się w każdym razie przy usłużnej zagranicznej politycy dla ambasad rosyjskich, i za pomocą przedajnych naszych własnych rodaków, o rzeczywiście mojem nazwisku i o właściwej mojej narodowości dowiedzieć. Zapieranie się tedy moje nicby niepomogło, nieudowodniło, nikogoby nieprzekonało. Przymem najłatwiej było oskarżonym o jakieś stosunki ze mną, utrzymywać, że mnie tylko znali jako Francuza czy Anglika, słowem, cudzoziemca, i że nigdy ze mną ani mówili po polsku, ani mnie znali jako Polaka. I tu władze same rosyjskie, których pochwyliłem ostrożność, i które mi dały pozwolenie pobytu, były najwięcej skompromitowane. Ale ponieważ oni przyznali się do tego, czego najłatwiej z trochę wytrwałości mogli się zaprzec, moje zaparcie się nazwiska i narodowości wcaleby nieprzeszkadzało i niezapobiegło wszystkim nieszczę-

ściom. Szło mi teraz tylko o to, aby ich i sprawę brońić; pod obcym nazwiskiem i pod obcą narodowością, to mi było zupełnie niepodobnym. Kiedy zatem tylu wyznało moją narodowość, której samemu zaprzeczyć było niepodobna, wszystkie te powyższe uwagi i rady sumienia, jak błyskawica przeleciały przez mą głowę; czułem konieczność przyznania się tylko do narodowości. Ale po tak stałem, zaciętem i śmiałem dotychczas zapieraniu się, jak tu się przyznać bez upokorzenia własnego, bez zadania sobie i własnej godności gwałtu? Gdy przeto tak zacięta, burzliwa wewnątrz mnie odbywała się walka sprzecznych z sobą uczuć i obowiązków, powyższe uwagi, słabość charakteru i słabość duszy mych ziomek, spółobywateli, w tak przykrém postawiły mnie położeniu, iż w tej samej chwili, kiedy wszyscy, oprócz dwóch czy trzech, przyznali, że Polak, w gniewie, niecierpliwości i na cały głos rzekłem do nich po polsku: Kozły jesteście; a obróciwszy się do gubernatora, po polsku i donośnym powiedziałem głosem: Tak jest, jestem Polakiem; ale przybycie moje do kraju niemiałoby żadnych politycznych zamiarów, tęsknota za ojczyzną była jedynym do tego powodem; chciałem w niej żyć spokojnie pod obcym nazwiskiem, niemogąc do niej powrócić, ani w niej zostawać pod mojem własnym. Niemogłem zatem nikogo do niepokoju namawiać. Mówiłem tylko o smutnym położeniu Emigracyi, o jej chęci powrotu do ojczyzny, o zwyczajach, osobliwościach, prawach zagranicznych i o niczem więcej. powtarzam jeszcze, że żadnych politycznych celów niemiałem, nikogom do niczego nienamawiał, i żadnych rad jakiegos tam buntu nikomu niedawałem. Mówiąc to umyślnie donośnym głosem i po polsku, aby wszyscy a przytomoi dobrze rozumieli, zwracałem wzrok do obwinionych, aby wiedzieli, co mają mówić i jak się tłumaczyć. Bo, że Polak i że pod obcym przybyłem nazwiskiem, to jeszcze niewielka wina, i ja sam jeden mogłem tylko za to odpowiedzieć i być uka-



rany, ale oni mogliby być ocaleni i tajemnica sprawy dochowana.

Gubernator przekonawszy się, że Polak, nadzwyczaj był kontent, śmiał się, chodził, prawie skakał, zacierał sobie ręce, prawie był wdzięczny tym, którzy się najwięcej do odkrycia przyczynili. Niektórzy z obwinionych prosili o pozwolenie palenia fajki po powrocie do aresztu, gubernator z największą chęcią i uprzejmością im to pozwolił. Ja tymczasem korzystając z tej chwili pewnego nieporządku, rzekłem do gubernatora, wskazując na obwinionych i tak, aby mogli dobrze słyszeć, a mówiłem dla tej przyczyny po polsku: Dziwi mnie prawdziwie, z kąd niektórzy z tych Panów mogli wiedzieć, że mówię po polsku. Z tej liczby jest tylko dwóch, których znam dobrze, bo czas jakiś dawałem im lekcye języka francuzkiego, mówiłem z nimi po francuzku; ponieważ zaś utrzymują, że mówiłem po polsku, być może, iż to się kiedy mogło mi zdarzyć, ale tego wcale sobie nieprzypominam; kilku z nich znam tylko z widzenia, ale nigdy z nimi niemówiłem i nie wiem, jak się nazywają, a tych Panów (którzy się nieprzyznali), ani znałem, ani widziałem kiedykolwiek. Jakże nieznając ich wcale, ale tylko z widzenia, mógłem im o jakichś, jak JW. gubernator powiada, prawie zamiarach?

Znajomości wszystkich zaprzec się niemogłem: było niepodobna. Dwóch Bielińskich, którym dawałem czas jakiś lekcye języka francuzkiego, a o czém sama policya mogła wiedzieć, znajomości zaprzec się niemogłem, reszty zaś zaparłem się; zrobiłem to wszystko, co w podobnym położeniu można było tylko zrobić; gdyby spółoskarżeni więcej mieli hartu duszy i poczciwości: o żadnych zamiarach, o żadnych celach nigdyby się niedowiedziano: a Leszczyńskiemu i Nitowskiemu, postępując podług tego com spółoskarżonym w chwili przyznania się do mojej narodowości dałem wyraźnie do zrozumienia, możnaby było śmiało zadać kłamstwo. Ale słabość duszy

i lękliwość niedozwoliła mi z tego korzystać. Z liczby oskarżonych i schwytanych było tylko dwóch, którzy się do niczego nieprzyznawali: że zaś i ja do nich się nieprzyznawałem, niestawiano nas nawet naoczne świadki, ale ponieważ inni ich oskarżyli, za to też surowiej od innych byli ukarani. Cześć ich pamięci! żadną niesplamili się słabością, a wśród cierpień i kary, jaka ich oczekiwała, dotrwali w swych obowiązkach względem ojczyzny i względem spółobywateli. Cześć ich pamięci! Nagroda dla nich spoczywa w czystości własnego ich sumienia i w głębi serc prawych synów Polski. Cześć ich pamięci! Oni byli dla mnie jedyną pociechą, bo mnie przekonywali, że wśród słabości charakteru cechującej dzisiejsze plemię Polaków, mogą być jeszcze wyjątki, na których przyszłość i nadzieje Polski zależą. Cześć wam i miłość, szlachetni bracia, prawi synowie ojczyzny!

Odtąd mówiłem naprzemian to po polsku, to po francuzku: a po rossyjsku, przez pewien rodzaj zemsty, powiedziałem, że nieumiem; gubernator zbliżywszy się do mnie zaczął mówić, to po francuzku, to po rossyjsku: Czemu Pan od razu nie przyznałeś się do wszystkiego? byłbyś i nam i sobie oszczędził wiele nieprzyjemności i próżnej pracy. JW. gubernator raczy wejść w moje położenie, chociaż czuję się zupełnie niewinnym względem rządu rossyjskiego, bo żadnych przeciw niemu niemiałem, niemógłem mieć zamiarów, znając jednak surowość praw rossyjskich, bezwzględnie karzących winnych i niewinnych, znając prawo ciężące na nas emigrantach, mógłbym się z łatwością przyznawać do mojej narodowości, będąc przekonany, coby mnie za to samo spotkało? Przytęm znaną nam jest surowość nieubłagana cesarza względem Polaków; ja od cesarza niczego spodziewać się niemógłem i niemogę. Mimo to jednak spodziewam się, że jak dotychczas postępowanie JW. gubernatora względem mnie cudzoziemca było szlachetne, tak i nadal względem mnie Polaka, będzie godne i wysokiego urzędu JW. gubernatora.

tora i mojego położenia; a na tych ludzi, których ledwie znam z widzenia i których nieszczęścia mimowolnie ja jeden stałem się przyczyną, JW. gubernator raczy mieć wzgląd i zechce ich uwolnić od odpowiedzialności przed surowością praw krajowych; wszak jest lepiej zasłużyć na dobrą pamięć, szacunek i wdzięczność, niż na przekleństwo, złorzeczenie i złe wspomnienie. Gubernator kilka mi na to słów odpowiedział z wielką uprzejmością, i kazał mi polegać na łasce cesarza; pomyślałem w duchu: wolę sto śmierci, jak jego jedną łaskę. Wnet nas rozłączyli; tamtych gdzieś poprowadzono osobno, a mnie także osobno do przybocznego tuż pokoju.

Po chwili przyniesiono mi na papierze kilkanaście zapytań po francuzku, pięknym charakterem i najczystszą ortografią pisanych; pewnie te pytania były ręki Policzkowskiego. Z pomiędzy innych, pamiętam następujące pytania: Jak się nazywam? Gdzie się rodził? Czy miałem udział w rewolucji 1830 roku? W jakim służyłem korpusie? Kiedym emigrował? Gdzie mieszkał w Emigracyi? Czém się w niej dotychczas trudniłem? Jakim sposobem dostałem pasport angielski? I kogo znam w Kamieńcu? Raz się przyznawszy, że jestem Polak, potrzeba się było przyznać do wszystkiego, co niekompromitowało ani osób, ani sprawy. Więc odpowiedziałem krótko i bez namysłu: Nazywam się Rufin Piotrowski, urodzony w gubernii kijowskiej, powiecie radomyślskim, w mieście Malinie. Do rewolucji przyłączyłem się za wkroczeniem korpusu generała Dwernickiego na Wołyń. Służyłem w korpusie generała Dwernickiego. Emigrowałem w 1832 roku. Byłem we Francji w zakładach Bourges, Châteauroux, Levroux, La Rochelle, Coutances, Loches, Tours, Dijou, Versailles i Paryż. Nie trudniłem się niczem, żyłem z żołdu. Pasport dostałem następującym sposobem: Znalazłszy na ulicy jednej w Paryżu papiery zgubione przez jakiegoś Anglika czy Włocha, urodzonego w Malcie, postanowiłem z nich zrobić użytek dla siebie i na mocy ich uży-

skąłem pasport u ambassady angielskiej. Co do znajomości, znam niemal wszystkich mieszkańców Kamieńca, a w szczególności: Nitowskiego, Dmitrenkę, Leszczyńskiego, dwóch braci Bielińskich, Lachowicza, Rogaczewa, i zdaje się, że wymienił Michałowskiego; słowem, wymieniał osoby, które albo się same gwałtem i przemocą do mnie przyznały, albo, które żadnym sposobem niemożły być skompromitowane.

Ponieważ teraz już mi niechodziło o siebie, gdyż pewny byłem, że zginąć muszę, a zatem postanowiłem wszystko przyjąć na siebie. Uczyniłem, a raczej przypomniałem tylko sobie, mocne postanowienie: nieprzyznawać się nigdy do zamiarów powziętych jeszcze we Francyi, a z któremi przybyłem do kraju; nieprzyznawać się do znajomości osób, wyprzeć się ich nawet, chyba gwałtem, przemocą same się wpierały, iż mnie znały; ale i w takim razie zaprzecić się ich, kiedy dostatecznych i jawnych nie złożą dowodów. Zbijać ich twierdzenia i dowody, donoszące władzy i przekonywające ją o jakichś powziętych zamiarach przeciw rządowi.

Oprócz majora Polczkowskiego, który był ciągle dla mnie jednakim, to jest grzecznym, uprzejmym, ale zimnym, wszyscy inni czynownicy, począwszy od gubernatora, aż do policmejstra, nadzwyczaj byli kontenci z odkrycia, że Polak, ale w ich obejściu się ze mną nie było widać ani naigrawania się, ani szyderstwa, zdawali się szanować moje położenie. Mimo pogorszonego mojego położenia, po przyznaniu się do mojej narodowości, lżej mi się zrobiło na sercu, nieupadłem, lecz podniosłem się na duchu, czułem prawdziwą rozkosz i dumę, że mogłem śmiało mówić po polsku, i jako Polak bronić praw swojej ojczyzny, w obec nieubłaganego bezprawia, i naszych ciemieżców; czułem rozkosz umrzeć za te prawa, jako Polak i na polskiej ziemi. Jest duma narodowości i obywatelstwa w sercu człowieka, i na swoich własnych śmieciach z większą odwagą, nawet zuchwałością tej narodowości i tego oby-



watelstwa bronić można. Biedny, kto tych uczuć w sobie niema; on jest stworzony na kosmopolitę, on niema ojczyzny, on jest pozbawiony największego szczęścia na ziemi; bo niedoświadcza rozkoszy, kochać ją żyć i umierać dla niej, dla swoich z krwi i kości braci, spółobywateli. Ja czulem, iż teraz byłem na właściwem dla mnie miejscu i stanowisku.

Po skończonych na dane mi pytanie odpowiedziach pozwolono mi odejść. Powróciwszy zatem na właściwą kwaterę do policmejstra, zacząłem nadzwyczaj wiele mówić po polsku, jakby dla wynagrodzenia długiego przymusu i mileżenia. Czynownik, policmejster i inni dziwili się nadzwyczajnie jak mogłem tak długo i tak doskonale udawać cudzoziemca, że oni nigdy nie mogli się spodziewać ani przypuszczać, żebym był Polakiem. Tymczasem uowoy czynownik z tajnej policji nazwiskiem Pisarew przybył z Kijowa do pomocy Polickowskiemu. Policmejster rodem z Litwy, będąc dowódcą batalionu, znajdował się w bitwie pod Grochowem i dostał kulą w skroń tak mocno, że dotąd jest dziura w tym miejscu: ztąd często dla bólu tej blizny, chustką głowę podwiązywał; mówił dobrze po polsku, opowiadał mi wiele szczegółów o bitwach z listopadowej rewolucji, że zaś, jak mówił, dobrze znał Szymona Konarskiego, bo był z nim razem w szkołach, wiele mi o nim opowiadał, i z szacunkiem o nim wspominał; mówił mi także o Moskalach, o ich duchu, o ich usposobieniu, a jam tego słuchał z prawdziwą przyjemnością, chociaż nie miałem żadnej nadziei z tego wszystkiego korzystać. Zjadłem kolacją z apetytem, jakiego już nie miałem, napiłem się do syta piwa i spać się położyłem. Spałem smaczno i bez trwogi, jak człowiek, który na wszystko jest przygotowany i losu swego nieuniknie.

Nazajutrz około dziesiątej z rana poprowadzili mnie do gubernatora do protokołu. Już mnie się niepytali, czym Polak, ale w jakim przybyłem celu? Odpowiedziałem: że żadnego politycznego celu nie miałem, że jedynie stęskniony

po ojczyźnie, a niemając żadnego innego sposobu dostania się do niej, korzystałem ze sposobności, jaka mi się nastręczyła, i pod obcym do niej przybyłem nazwiskiem. Gubernator i Policzkowski utrzymywali inaczej i postawili mi na oczne świadki kilku z obwinionych moich spółników, którzy oskarżając mnie nieśmiało i z obawą, pozwolili się w końcu przekonać przezemnie, że rozmowy, jakie miewaliśmy z sobą we francuzkim języku, i kiedy byłem im jeszcze znany, jako cudzoziemiec, nie miały bynajmniej ani cechy, ani celu politycznego, a tém mniej zmierzały do jakichś narad tajemnych, albo spisku; że w czasie podobnych rozmów, mówiono po części o wielu rzeczach i o wszystkim, ale to jedynie przez ciekawość dowiedzenia się o czemś, i dla wynalezienia przedmiotu do rozmowy; że znajomości nasze były tylko przypadkowe, a nie wyszukiwane, za dowód czego posłużyć może to, że pierwsze moje znajomości były z prawdziwymi Rosyanami, których zapewne niemożna posądzać o jakieś zamiary polityczne, lub bunt przeciwko władzy, tém bardziej, że byli urzędnikami, że potrzeba w końcu rozróżnić pozór od rzeczywistości, rozróżnić to, co się robiło, bez namysłu, od tego, coby się czyniło z namysłem; a nasze wszystkie tak znajomości, jak rozmowy, były właśnie bez namysłu, bez celu, bez żadnych zamiarów, tylko po prostu przypadkowe. Zresztą, dodałem, gdybym przybył w jakich zamiarach politycznych, to korzystając z pozwolenia pobytu, na mocy mojego pasportu, na rok cały i na całą podolską guberniją wydanego przez JW. gubernatora, pewniebym przez dziewięć miesięcy nie siedział w Kamieńcu, alebym obleciał całą guberniją, a nawet i za nią; gdy tymczasem przez cały ten przeciąg czasu zajmowałem się najspokojniej daniem tylko lekcyj języka francuzkiego w Kamieńcu (o wyjeździe do Bessarabii anim wspomniał i policya o tém niewiedziała, dopiero w Kijowie ktoś o tém komissyi śledczej wspomniał). Gubernator i Policzkowski ciągle dla mnie grzeczni, niewie-

dzieli, co mogli wnosić z mojego tłumaczenia się i z przyzwolenia na nie tych, co mnie dopiero oskarżali.

Później przyprowadzono mi na oczne stawki Nitowskiego, który raz znikczemniony, postanowił torem podłości ciągle postępować, tego, gdy na jego zeznaniach, chciałem zreflektować podobnemi do poprzednich uwagami, i aby przez chęć wydostania się ze smutnego położenia, nie czynił ofiarami ludzi niewinnych, on ciągle i zacięcie przy pierwszych swoich obstawiał zeznaniach; a gdym mu wbrew zaprzeczył i kłamstwo zadał, ten się w te słowa do gubernatora i Policzkowskiego odezwał: Widzicie Panowie, że on niechciał się naprzód przyznać, że jest Polakiem, ja mu pierwszy dowiodłem, że był Polakiem, i to było prawdą; tak i teraz jest prawdą, że Pan Piotrowski nas namawiał i zachęcał do buntu przeciw władzom i przeciw cesarzowi. Taka szczerłość i otwartość bezczelna, bezduszną poruszyła mi żółć do dna, dotknęła mnie do żywego i w największym gniewie i uniesieniu wyrzekłem: Pan jesteś najpodlejszy z ludzi, i takiemu nikczemnikowi żaden poczciwy człowiek wiary dać niepowinien. Moje uniesienie się było bezwątpienia nie w miejscu, i Policzkowski dał mi to delikatnie uczuć, mówiąc: Niech się Pan nieunosi, każdy ma prawo i powinien wyznać to, co wie i o czem jest przekonany. Nitowski widząc się wspartym przez Policzkowskiego, przyłożywszy prawą rękę do serca, głosem śmiałym i donośnym następujące wyrzekł słowa: Na rany Chrystusa ukrzyżowanego przysięgam, iż to wszystko, com wyznał i wyznaję, jest istną, istną prawdą! I na taką przysięgę stanowczo zaprzeczyłem.

Dziwiłem się nie pomału i rzeczywiście byłem przejęty pewnym rodzajem wstępu i pogardy względem moich współwięźniów, widząc z jaką łatwością przyznali się do mojej narodowości, i odstąpili od umówionego sposobu obrony; brałem to za nikczemność duszy, a to tylko była słabość ich charakteru. Oprócz Nitowskiego i Leszczyńskiego, żaden z reszty niechciał się do niczego przy-

znawac, ale oprócz grózb cielesnej kary użyto do ich przekonania tych dwóch nikczemników. Kiedym się do niczego nieprzyznawał z początku i Leszczyńskiemu i Nitowskiemu zadałem kłamstwo, postanowiono dowiedzieć się i przekonać o wszystkiem od obwinionych. Brano więc każdego pojedynczo z nich i przeciw niemu stawiono Nitowskiego i Leszczyńskiego; słabość charakteru i bojaźń kary niedozwolily obwinionemu oprzeć się świadectwu dwóch nikczemników; przekonany stawał się już przez to samo oskarzycielem innych. Tak przekonawszy każdego z nich pojedynczo, obrócono ich wszystkich zeznanie przeciw mnie jednemu. To wszystko znujejsza o wiele winę mych braci więźniów. Nitowski szczególnie był niemilosierny w swojej szczerocie kompromitowania; między obwinionymi był jego prawdziwy przyjaciel który do niego niechciał się przyznawać, do jego zatem przekonania użyto Nitowskiego. Podejrzany, ufny w jego dawną przyjaźń, tłómacząc się z zarzutów jemu czynionych, tak się do Nitowskiego odezwał: Proszę cię, ty wiesz bardzo dobrze, że po francuzku wcale nieumiem, niemógłem więc żadnym sposobem z tym Francuzem rozmawiać, a tém mniej miewać z nim jakieś znowy i narady, o których nigdy niesłyszałem; bardzo łatwo możesz pojąć i wiesz najlepiej, co w takim razie mógłbym z nim mieć do czynienia? A Nitowski mu na to: Po co to udawanie, ty z Panem Catharro częstsze odemnie miewając rozmowy w polskim języku, wiesz lepiej odemnie, coś z nim mógł mówić, i jakie były jego zamiary. I później tego samego sposobu używano: jak tylko który ze spółobwinionych przy dowodach i przyczynach, jakie podawałem, zaczął się trochę wahać i chylić się na mą stronę, użyto zaraz przeciw niemu Nitowskiego i Leszczyńskiego. A tak, co pierwój zeznał, później zaprzeczył, znowu potwierdził zeznaniem; byli jednak między nimi i nieco wytrwali.

Cały ten dzień rano i po południu trwało śledztwo: to pojedynczo, to kilku razem, w celu wywiedzenia się



o miejscu schadzek, o zamiarach, o przedmiotach rozmów i narad. Postanowiłem wszystkich użyć sposobów, dla przekonania, że żadnych niemiewaliśmy schadzek, że miejsce na to niebyło oznaczonych; bo niebyło żadnych celów politycznych, żadnych zamiarów; że zejście się dwóch lub trzech było przypadkowe; że wówczas rozmowy toczyły się nad przedmiotami małej wagi, i żadnej politycznej cechy na sobie niemających; że zaś z toku mowy wypadło czasem mówić o niniejszem położeniu Polski i Emigracyi, wpadaliśmy zatem i na te przedmioty, lecz bez namysłu, bez żadnych celów i widoków; że nikogom do niczego niezachęcał, bo ani było do czego, ani niemiałem zamiaru kogokolwiek zachęcać; że zaś kto z podobnych rozmów mógł wnosić, że one ukrywają jakieś zamiary polityczne, jakie zachęcanie do buntu przeciw rządowi i cesarzowi, to jest tylko dowodem jego łatwowierności i niemożności rozróżnienia ani przedmiotu rozmowy, ani prawdziwego jego znaczenia.

Tym i tych podobnych sposobów i rozumowań używałem, tak dla zbitcia dowodów, jakie spółobwinieni przeciwko mnie, a następnie i przeciw sobie samym składali, jako też i dla wskazania im drogi i sposobów bronienia się i ratowania. Niektórzy mnie zrozumieli i poprawili swoje zeznania; ale niektórzy z nich tak byli wylęknieni, że na wszystkie moje uwagi i przekonywania zamykali oczy i uszy, umysł i serce. Jeden z nich bardzo poczciwy i kochany młodzieniec, na powyższe moje uwagi tak mi wręcz odpowiedział: Niech Pan już da pokój, Pan już jesteś zgubiony, Pana nic nie uratuje; pozwól przynajmniej niech zupełnem, szczerem wyznaniem wszystkiego zmniejszą choć cokolwiek karę, jaka mnie czeka, i ulżę smutkowi i cierpieniom moich nieszczęśliwych rodziców. Patrząc na jego bladeść, na płacz rzewny przerywający mu głos drżący od łkania i smutku, i widząc przepaść, w którą nieszczęśliwy dobrowolnie wpadał, odpowiedziałem mu na to: Nie idzie to o mnie; ja wiem, że zginiony, że już

przypadłem, ale tu idzie o słusność i o prawdę; chęć uwolnienia siebie od kary jest tak naturalną, jak jest naturalnym spólczucie nad cierpieniami rodziców i żywa chęć zmniejszenia im tych cierpień, ale do tak wrodzonych i szlachetnych pobudek i celów drogą kłamstwa i fałszu iść się niegodzi, a tu tylko potrzeba wyznania rzetelnego bez żadnych dodatków. Niech Pan tylko z zimną krwią się zastanowi i rozważy nad wszystkim, cośmy z sobą kiedy mówili, a sumienie Pana zezwolić musi na przyznanie mi słusności. Młodzieniec się zastanowił i zamilkł, a Policzkowski odezwawszy się do niego zapytał: No i cóż, czy Pan obstajesz przy pierwotnym swym zeznaniu? Nie, odpowie, jak sobie teraz przypominam, to wszystko tak było, jak Pan Piotrowski powiada. Na cóż Pan fałsz zeznałeś? Panu wiadomo, jak nam grożono, odpowiedział nieco uspokojony młodzieniec.

Ten dzień był dla mnie okropnym i wiele mnie kosztował; gorączka zaczęła mnie trawić i byłem w ciągłym rozdrażnieniu nerwów. Widząc słabość charakteru mych ziomek, ten zupełny brak hartu duszy, tę szaloną, prawie wściekłą chęć i pragnienie wydostania się z nieszczęścia, mniejsza czym i jakim kosztem, choćby kosztem sumienia i uczuć, niewielem sobie tuszył o przyszłości Polski, a wstręt i pogarda nieraz się w mem sercu obudziły. Zdaje się, iż niektórzy z nich byłiby gotowi, dla własnego ocalenia, dla ocalenia życia, poświęcić obowiązki sumienia, ojczyznę, przyjaźń i najczulsze związki, kto wie nawet, czyby niepoświęcili własnych rodziców, gdyby koniecznie potrzeba tego było. Niewiedziałem dotąd, do jakiego stopnia zwierzęce uczucie własnej konserwacji jest silne w człowieku. Patrząc na te żywe cienie, snujące się przed memi oczyma, i swą postawą i swym wejrzaniem błagające o litość, serce mi się ścisnęło od bólu i żalu, a czasem nawet od nieprzewyciężonego wstrętu. Ale po tem chwilowem wzburzeniu i zmieszaniu gwałtownie mną i naprzemian miotających uczuć, następowało

w mém sercu błogie i spokojne uczucie zupełnego poddania się wyrokom Opatrzności, uczucie litości, pobłażania, nawet szczera, gorąca miłość dla nieszczęśliwych; cobym nie dał, czegobym niepoświęcił, abym mógł ich uwolnić i wyrwać z nieszczęścia, w jakie popadli, i z cierpień, jakie się na ich obliczach malowały, bom w końcu musiał sobie powiedzieć: wszak ja tego wszystkiego byłem jedyną przyczyną. Dwóch czy trzech z obwinionych, ani w tym dniu, ani później do niczego się nieprzyznali, i to było moją jedyną pociechą, jedyną dumą z nazwy i narodowości Polaka.

Wszystkie te pytania, protokoły, stawiania na oczne świadki, były tylko przedwstępne i przygotowawcze, po ukończeniu których odesłano każdego na swoje miejsce. Jak trwoga to do Boga, mówi stare przysłowie polskie. Tak i ja, chociaż zawsze do niego się udawałem we wszystkich przykrościach mojego życia, dziś przekonawszy się mocniej, jawniej i dokładniej, bez żadnych w tym względzie złudzeń, że w trudnych, bolesnych, w najtrudniejszych i najboleśniejszych chwilach życia, właśnie kiedy się najwięcej potrzebuje spółdziału, spółczucia, spółcierpienia, pomocy serca i duszy innych, znajomość, zażyłość, oświadczenia, przyjaźń nawet sama; słowem, świat cały człowieka, nietylko opuszcza, ale przeciw niemu świadczy, całą mu nadzieję i ufność, nie własnego ocalenia, ale wytrwania w moich obowiązkach sumienia względem ojczyzny i spółobywateli złożyłem tylko w Bogu. Przysiągłem mu w duszy i modlitwą śmiało świadczyć prawdzie, dochować godność Polaka aż do ostatka, żadnym by najmniejszym niespodlić się czynem, przyjąć winy wszystkich na siebie, broniąc ich o ile tylko można, a w końcu umrzeć z przekonaniem, że się sumiennie dopełniło obowiązków chrześcianina, Polaka. I Wszzechmocny w swoim miłosierdziu raczył mi pobłogosławić, nawet nad moje spodziewanie.

Około dziesiątej wieczorem dnia tegoż, to jest pią-

tego stycznia 1844, a podług ruskiego kalendarza dwudziestego drugiego grudnia 1843 roku, przynieśli mi futro baranie, granatowem suknem pokryte, duże, przestronne, ale nadzwyczaj ciężkie, i kalosze futrem ciepło podbite; kazano mi się ubierać po podróżnemu i do podróży; na moje zapytanie, dokąd mnie powiozą? Policzkowski odpowiedział: do Kijowa, do jeneral-gubernatora Bibikowa, i ja wraz z Panem pojedę; z czego, przyznam się, byłem bardzo kontent, gdyż delikatne i uprzejme dotychczas Policzkowskiego ze mną obchodzenie się, zapewniało mnie, iż żadnej nieprzyjemności w podróży niedoznam.

Cóż czytelnicy mogą wnosić z obejścia się ze mną, tak gubernatora Radiszczewa, jak majora Policzkowskiego, podpółkownika Grünfelda, policmiejstra i innych czynowników mających styczność i pewne prawo nademną? Oto, że ich obejście się było przyzwoite, ludzkie, nawet uprzejme. I tak sam potwierdzić to muszę. Bo, że nie śmiano ze mną surowo postąpić, kiedym był osłoniony nazwiskiem i prawem cudzoziemca, to się łatwo pojmuje. Ale po przekonaniu się, że jestem Polak, czyżby niemógł gubernator, bo któżby mu zabronił, mszcząc się za poprzednią moją śmiałość, upór, nawet zachwalstwo, użyć praw odwetu prawdziwie moskiewskiego? a jednak tego nieuczynił. Prawda, że w takim razie, możeby i on i ja z wiadomego czytelnikom stałego mojego przedsięwzięcia, gorzej na tym wyszli, ale koniec końców do tego nieprzyszło. Po przyznaniu się już do mojej narodowości, postępowanie gubernatora, Policzkowskiego i innych czynowników względem mnie się niezmieniło; było ciągle przyzwoite, ludzkie i w niczem nieponiżyli we mnie godności człowieka; zdawali się szanować moje położenie. Raz tylko jeden gubernator pozwolił sobie uczynić wzmiankę oburzającą tę godność, ale ja dawszy mu uczuć moje oburzenie, i on zapewne postrzegłszy, iż sobie samemu tym uwłacza dalsze postępowanie względem mnie, przynajmniej na pozór, było pełno godności, z różnicą tylko miejscowych zwy-



czajów i wychowania. Jako urzędnicy cesarza i Rosyanie robili swą powinność, ale robili ją z uszanowaniem dla przekonań meich, bom równie śmiało, równie otwarcie, jak przed przyznaniem się, tak i po przyznaniu się do swej narodowości, w ich obecności i z nimi rozmawiając, objawiałem swe zdania i przekonania. Żałuję, jeżeli z innymi spółwięźniami, może surowiej i po barbarzyńsku obchodzili się; chciałbym w nich podnieść uczucie własnej ich godności, przez szacunek dla uczuć i godności drugich. Może ja byłem wyjątkiem, i jako wyjątek z ogólnej reguły, przytaczam powyższy obchodzenia się ze mną opis, pragnąłbym jednak, ażeby Rosyanie raz przynajmniej przekonali się, że my Polacy zawsze im oddamy sprawiedliwość tam, gdzie na nią zasługują; i żeby uczyli, że nasze cierpienia, nasze przez ich urząd prześladowania, są drogą, którą dążymy do odzyskania, do przywrócenia dla nas Polaków praw utraconych, wolności i swobód nam wydartych, a dla nich Rosyjan do nabycia tych praw, tych wolności i tych swobód. Oni zatem powinni w nas Polakach, nim się ziszczą te wspólne nadzieje, przynajmniej uszanować nasze nieszczęścia, nasze cierpienia, i mieć dla nich współczucie, pobłażanie i szacunek.

Jakkolwiek bądź, chociaż cała Europa i my znię Polacy, mamy Moskali, poniekąd i słusznie za naród jeszcze w pół barbarzyński, jednak ich obchodzenie się z więźniami, przynajmniej tą samą, co i ja, kategorią objętymi, było nierównie więcej ludzkie, więcej względów dla nich mające, aniżeli obchodzenie się rządów niemieckich, a szczególnie austriackiego względem politycznych więźniów Polaków, chociaż te rządy szczycą się wielką oświatą i cywilizacją. Jaby powiedział, że Moskale, naród barbarzyński, mają więcej rzeczywistych zalet ukształconych i ucywilizowanych ludzi, a Niemcy, narody ucywilizowane, mają więcej dzikości i okrucieństwa barbarzyńskich ludów. Ogólnie dają pierwszeństwo Moskalom, na-

szym pobratymcom, spółszczepowym, nad wszystkimi Niemcami, tyle nienawistnymi i nieprzychylnymi narodowości polskiej, jakkolwiek nazwą rządu się mianują. W Rosyji jeden tylko despota i jego urzędnicy, wierni wykonawcze jego dzikich rozkazów, są nam Polakom nieprzyjaźni, nieprzychylni. W Niemczech cały naród niemiecki, czy się mienia zwolennikami despotyzmu, czy monarchiści, czy republikanie, z nielicznym bardzo wyjątkiem.

Ale ta sama bezstronność, która mnie zagniła do oddania Moskałom sprawiedliwości tam, gdzie na nią zasłużyli, zmusza mnie także, abym uczynił wzmiankę o jednej własności, chociaż ogólnie znanę, a prawie bez wyjątku wszystkim urzędnikom i czynownikom rossyjskiemu służącej i właściwej, a doskonalszej w miarę wyższości stopnia i urzędu; to jest: że każdy z nich jest złodziejem (worem), tém większym i śmielszym, im wyższym i znałomitszym jest dygnitarzem, czynownikiem; to jest tak wielką prawdą, że najjaśniejszy cesarz wszech Rosyji, jest w tém rzemiośle najdoskonalszym, wie o niemu najlepiej, ćwiczy się w niemu, doskonali i praktykuje jak najświęciej; słowem, jest przykładem i świecznikiem dla swoich poddanych. Przy aresztowaniu mnie, zabrali mi brzytwę angielską, bardzo dobrą, która mi jedenaście lat służyła, i dykeyonarz francuzko-włoski i włosko-francuzki. Com się nie naprosił, tak w Kamieńcu, jak w Kijowie, aby mi je oddali. Obiecywano, przyrzekano, wymawiano się pod rozmaitemi pozorami, w końcu u siebie je zatrzymano, i nigdy więcej tych przedmiotów już nie oglądał. Rossyianie, pozbądźcie się tej hańbiącej was wady, tego nałogu, tak sprzecznych z zasadami chrystyanizmu, w które wy tak mocno, całą duszą wierzycie, i które będą waszemu kiedyś zbawieniem, będąc tymczasem waszemu jedynym życiem.

---

## ROZDZIAŁ XI.

*Wyjazd z Kamieńca. Podróż do Kijowa, przygody i przypadki tej podróży. Zakucie w kajdany. Przybycie do Kijowa.*

Brody przy Kalwaryi w Galicyi dnia 21 października 1848 r.

Kiedy już wszystko było do podróży przygotowane i ja ubrawszy się w futro urzędowe i kalosze, czekałem tylko chwili wyjazdu w smutnych pograżony myślach; około godziny jedenastej w nocy zajechał przed dom policmejsztra powóz podróżny, siedliśmy do koczobryku na ressorach, dość wygodnego i obszernego (bo, jak powiedziałem, w tym roku o tej porze prawie jeszcze śniegu w tych stronach niebyło), ja a obok mnie major Policzkowski, z przodu naprzeciw nam siadło dwóch żandar mów z nabitą bronią i przy pałaszach, woźnica był piąty. Za nami do drugiego powozu siadło dwóch czynowników, jeden, o którym już mówiłem, z policyi tajnej i przysłany z Kijowa, Pisarew, a drugi niewiem zkąd. Ruszyliśmy zwolna, niasto Kamieniec o tej godzinie i w tej porze roku było zupełnie puste i rzadko gdzie niegdzie światło błyszczalo z okien. Przejeżdżając przez rynek, postrzegłem jeszcze światło w oknach domu, gdzie tyle znalazł dla siebie przychylności prawdziwej i przyjaźni. Jeszcze nie śpią, pomyślałem sobie, może jeszcze o tej porze myślą i rozmawiają po cichu o mnie, tak jak ja my-

ślę o nich, może z pomiędzy tylu serc niedawno jeszcze zdających się mnie tyle sprzyjać, tyle kochać, tam jeszcze mają dla mnie prawdziwe, choć skryte uczucie, w chwili gdy wielu innych, w zamian poświęcenia się dla nich, może mi zlorzeczają. I posławszy w tę stronę po promieniach źrenicy łąką zapłynioną gorące westchnienie, wyjechałem z Kamieńca przez bramę Batorego ku przedmieściu Folwarki. Tak człowiek czuje potrzebę społecznego serca, tak się lęka i wzdryga osamotnienia na świecie, tej próżni przerażającej jego duszę, tej przepaści i nicości moralnej, iż w braku rzeczywistości, lubi przywoływać w pomoc i na pociechę choćby tylko samo jej złudzenie. Prawdziwie człowiek częstokroć jest sam dla siebie nieodgadniony, i nienawidząc ludzi, musi ich koniecznie kochać. Wszak w wielkiem nieszczęściu, którego ludzie nam najmilsi stali się przyczyną, nabieramy często mimowolnie ku nim wstrętu, żalu, odrazy i pogardy a jednakże w tym samym czasie, w tej samej prawie chwili, kiedy ich nienawidzimy najmocniej, najmocniej czujemy gwałtowną potrzebę spółczucia, spółdziału tylko ludzkich serc, i to jeszcze najsłabszych. Nie, człowiek nie jest stworzony do nienawiści; tłem jego duszy jest miłość dla ludzi, bo przez nich i dla nich tylko żyje, po za nimi jest tylko czczość i rozpacz.

Chociaż przy wyjeździe do Kamieńca byłem w smutnych pograżony myślach i smutne miałem przecucie, miałem jednak nadzieję; dziś po dziewięciu miesiącach w nim pobytu, opuszczałem go w smutniejszym nierównie usposobieniu, bo w smutniejszym położeniu i bez żadnej na przyszłość nadziei. Noc była cicha, spokojna, ale ciemna i zimna; dzwonek tylko przyczepiony do dyszla powozu podług zwyczaju przyjętego w Rossyi, swoim jęklwym i złowrogim odgłosem przerywał tę grobową ciszę. Ja oddany całkiem rozmowie z mą duszą, z moim sercem i sumieniem, milczałem. Czegom ja nieprzemarzył w czasie tego długiego milczenia? Jakiegom uczucia i wspomnienia



nieprzywołał do mojej piersi i do rozognionej głowy? Policzkowski, czy przez uszanowanie dla tego stanu mej duszy, o którym łatwo mógł się domyślić, czy też z jakich innych powodów, nie do mnie niemówił, i byłem mu za to mocno obowiązany. Na przeprzągach rzadko kiedy zchodzilem z powozu, a gdy się to zdarzyło, żandarmi z wyraźnego Policzkowskiego rozkazu tuż obok mnie się trzymali, ani na krok mnie nieodstępując. Pewno Policzkowski się obawiał, abym nieumknał, ale mi to ani przez myśl nieprzeszło, chociaż, prawdę mówiąc, na chęci ratowania się wcale mi niezbywało, do tego stopnia, żeby mi się chciało w zająca lub ptaka przemienić. Gdybym sam jeden był przytrzymany, możebym był poszedł za instynktem konserwacyi, ale ponieważ z mej przyczyny kilkunastu zatrzymano, obowiązkiem moim było, nie chwytając się tej ostateczności, i jechać tam, dokąd mnie wieźli, i gdzie każdego z nas los miał się rozstrzygnąć. Zmorzony myślami zadrzemałem, i przedrzemałem śród snujących się noc całą widziałem aż do świtu. Nade dniem zatrzymaliśmy się na przeprzągu. Policzkowski rozkazał dać herbaty dla ogrzania się i pojechaliśmy dalej. Dla złej i górzystej drogi i ciężaru dla trójki koni nieco za wielkiego, niezbyt szybko jechaliśmy, choć to była poczta. Przejechaliśmy przez wieś wielką, w dole między wzgórzami położoną, a należącą do obywatela Komara, i gdzie dość piękny znajduje się pałac, ale nazwiska tej wsi nie pamiętam. Tymczasem zaczęliśmy z Policzkowskim po francuzku rozmawiać naprzód o obojętnych przedmiotach, później o nieco ważniejszych. Policzkowski dość światły człowiek, z prawdziwą ciekawością wypytywał mnie się o Francyi, o jej rządzie, o administracyi, o urządzeniu gmin, o stanie rolnictwa, o handlu, o literaturze, o sztukach pięknych i tym podobnych rzeczach; odpowiadałem mu na to wszystko, o ile w tym względzie moje wiadomości pozwoliły mi sądzić. Z kolei przyszło nareszcie do rozmów politycznych, i z tego punktu rzeczy, mówi-

liśmy o Francyi, Rossyi, Polsce itd. Polickowski utrzymywał i dowodził: że Polska musi i powinna być przez Rossyą pochłonięta, i sądząc po dzisiejszych okolicznościach, inaczej być niemoże, i że te dwa narody, polski i rosyjski, powinny stanowić i zlać się w jeden naród dla wspólnego pokoju i szczęścia. Ja zaś opierając się na zasadach sprawiedliwości, na wyższem wykształceniu, tak życia politycznego jak i umysłowego Polaków, na pierwszeństwie zasług, jakie Polska w ludzkości położyła, dowodziłem i utrzymywałem, że Polska musi koniecznie być samodzielnym, niezawisłym narodem, że jest przeznaczoną do przewodniczenia losom całej Słowiańszczyzny, bo jest jej rzeczywistą duszą i życiem, gdy tymczasem Rossyja jest tylko siłą fizyczną, materyalną, mimo cały swój ogrom; że interes dobrze zrozumiany samychże Rossyjan powinien ich zmusić do przywrócenia Polsce niepodległego bytu politycznego; że w przeciwnym razie, nawet i bez pomocy Rossyjan, Polska musi być niepodległą, i to jest jej przeznaczeniem, któremu napróżno ludzie i rządy opierają się. Przystąpiliśmy nareszcie z kolei rzeczy do polskiej Emigracyi: zdziwiłem się niepomału nad jego dokładną znajomością o czynnościach Emigracyi, i o jej usposobieniach i stanie; doskonale wiedział, jakie są w Emigracyi stronnictwa, kto jest mniej więcej na czele każdego z tych stronnictw, jakie pisma nietylko w Emigracyi ale i w Wielkiem Księstwie Poznańskiem wychodziły, i każdemu z tych pism peryodycznych, dzienników, trafną nadawał barwę. Zdziwiony jego wiadomościami o Emigracyi, zapytałem: zkądby je miał? My mamy sposoby dowiedzenia się o wszystkiem, i wszystkie wspomniane dzienniki mamy u siebie. Polickowski niebardzo dobrze, nawet źle mówił po polsku, rozumiał jednak dobrze wszystko, co czytał, zdrowe o wszystkiem dawał zdanie.

Okolo śniadannój godziny zatrzymaliśmy się w karczmie, wypiliśmy wódki, Polickowski miał z sobą bar-

dzo dobre pieczone pszenne piróżki z kapustą, które mu jego siostra, a żona pólkownika żandarmeryi w Kamieńcu a którego był i koczobryk, którym jechaliśmy, na drogę przygotowała; częstował mnie niemi z prawdziwie gościnnością słowiańską: czy który urzędnik pruski lub austriacki znajdujący się na miejscu Policzkowskiego, podobnie jak on, z więzieniem politycznym, a jeszcze Polakiem, tak sobie postąpił? Nieraz mnie ten człowiek zastanawiał, on pierwszy mnie aresztował, był przy początkowém moim śledztwie, teraz wiozł mnie do Kijowa, później był członkiem komissyi śledczej w Kijowie, i po prezydencie najwięcej mnie indagował i najdłużej zostawał, a jednak w każdym z tych obowiązków, był zawsze jednakim, ani u go lepszym, ani u go gorszym dla siebie niewiedział, wybadywał mnie o wszystko z największą skrupulatnością, i zstępował do najdrobniejszych szczegółów, dopełniał swego obowiązku z akuratnością służbową czynownika, zaszczyconego zaufaniem szczególnem swych przełożonych, nigdy widocznego nad moim losem i położeniem nieokazał współczucia, żadną mi nie pocieszył nigdy nadzieją, niepokrzepił wzrokiem, ani słowem, był zawsze zimnym, obojętnym, prawie nieczułym, ale zawsze pełnym taktu, delikatności i uprzejmości w obejściu się ze mną, w zapytaniach z całą postępował godnością, wypytyjąc o najmniejsze drobnostki, czasami dowodził przeciwnie moim odpowiedziom, nigdy jednak mnie nienaglił, w niczem mej osobistej nieobraził godności, ani dotknął godności Polaka we mnie. Niejestem pewnym, zdaje mi się jednak, że szczęśliwy traf zesłał mi Policzkowskiego, który zapewne tak gubernatorowi w Kamieńcu, jak i generał-gubernatorowi Bibikowi w Kijowie dawszy o mnie swą opinią był powodem można powiedzieć ludzkiego ze mną obchodzenia się. Niepozyskał on mojego serca, zasłużył jednak na mą wdzięczność i zyskał mój szacunek; gdybym go gdzie spotkał i zobaczył, chętniebym mu dłoń uścisnął. Był blondyn wzrostu nadmiernego, twarzy okrągłej; brwi gęstych, nieco

napuszczonych na oczy, oczu błękitnych, czoła otwartego, w ułożeniu nie miał bynajmniej sztywności moskiewskiej, miał lat około trzydziestu sześciu.

Nad wieczór przybyliśmy do miasta Mohilewa nad samym położonego Dniestrem i naprzeciwko z drugiej strony opodal leżących sławnych i nieszczęśliwych w historii naszej pól cecorskich. A ponieważ ryssory u koczobryku się popsuly, więc po dobrej kolacji i zostawiwszy w Mohilewie koczobryk i jednego czynownika, zaprzężono dwie trójki jak orły do dwóch kibitek, na pierwszej wsiadł Policzkowski z czynownikiem Pisarewem, a na drugiej ja z żandarmami. Lecieliśmy jak wicher, jakby koleją żelazną. W całej Rosyi lepszych i więcej rączych do biegu koni niema, jak na Podolu i Ukrainie i nigdzie poczty pod tym względem nie są tak dobrze urządzone i zaopatrzone; całą stacyą przelecieliśmy w całym pędzie koni i w bardzo krótkim czasie, chociaż wstrząśnienie podobnej jazdy, od której dawno odwykłem, niemogły mi być mile, szybkość jednak jazdy bardzo mi się podobała. Niemożąc w takim ruchu i przy niewygodnym siedzeniu oddać się rozmyślaniu, rzucałem wzrok na okolice pięknym oświetlone księżycem; wieczór był dość ciepły, lecz księżyc wkrótce skrył się za gołe chmury i noc ciemna zewsząd nas otoczyła. Przy końcu drugiej stacyi, którąśmy przelecieli prawie pędem błyskawicy, kibitka, na której siedziałem, tak silnie uderzyła o jeden wybój, i w tej samej chwili tak gwałtownego doznałem wstrząśnienia, ja, co od tylu lat od podobnej odwykłem jazdy, iż mi się zdawało czuć w szyi od karku czy przerwanie, czy zbytne naprężenie jakiegoś nerwu z którego tak mocne uczulem klócie i ból w mózgu, i zdawało mi się, że w tej samej chwili skonam, krzyknąłem więc na całe gardło: Stój! — a Policzkowski kazawszy wstrzymać konie, zapytał o przyczynę krzyku, opowiedziałem mu, co się stało, a on rozkazał jechać stępo aż do końca stacyi. Ledwom był w stanie zejść z powozu, a lży mi się z oczu z przyczyny okro-



pnego bólu w mózgu, jak groch, sypały. Policzkowski widząc mnie w tym stanie, radził mi, ażebym całą noc na stacyi odpoczął, ale ja sam tego niechciałem, mniemając, że ten ból po chwili odpoczynku przejdzie. Siedliśmy więc na nowe kibitki, ale najmniejsze wstrząśnienie taki mi ból sprawiało, że mimo największą cierpliwość niemógłem od krzyku się wstrzymać, jechaliśmy zatem całą stacyą stępo, a ja objawszy głowę obiema rękami jęczałem jak potępieniec.

Na najbliższój stacyi Policzkowski mi powiedział: że musi jechać spieszo naprzód do Braclawia, że mnie zostawia pod dozorem czynownika Pisarewa, któremu równie jak i żandarmom rozkazawszy wieść mnie pomału, sam odjechał. Chociaż jechaliśmy stępo, najmniejsze jednak kibitki wstrząśnienie sprawiało mi ból prawie do szaleństwa. Czynownikowi zapewno sprzykrzyło się jechać stępo: krzyknął więc z drugiej kibitki na żandarmów, aby jechali prędzej. Ale zaledwo puścili konie klusem, ból się zrobił tak dotkliwym, że krzyknął na całe gardło stój! i zacząłem jęczeć. Żandarmi stanęli, czynownik przyszedł, a ja z gniewem, prawie z wściekłością od bólu rzekłem do niego: Pan masz rozkaz jechać pomału: a jeżeli powoli jechać ci się niechce, każ mi natychmiast w łeb wypalić: to mi znośniej będzie. Czynownik wymówiwszy się niewiadomością tak wielkiego cierpienia, bardzo mię przeproszał; a jam mu oświadczył z łagodnością: wierz mi Pan, że przy spiesniejszej jeździe i pięciu minut nie wytrzymam, a wówczas coby Panu samemu za to było? i w rzeczy samej niezartowałem: pięciu minut spiesznój jazdy nigdybym niewytrzymał, byłbym skonał, tak ból był mocny i dotkliwy. Jechaliśmy zatem stępo noc całą; około siódmej z rana zaczął mokry śnieg padać, a ja uprosiłem u czynownika, który był potulnym, skromnym i jak na członka tajnej policyi, dobrym człowiekiem, że mi zaprzężono trójkę do sanek, choć ledwie śnieg przypruszył ziemię; rzeczywiście jechaliśmy po błocie. Na

saniach lżej mi nierównie było i ból mniej się czuć dawał. Nareszcie około pierwszej z południa przybyliśmy do miasta Braclawia, źle i nieporządnie zbudowanego, a będącego za dobrych polskich czasów głównem miastem województwa braclawskiego. Tu nas Polickowski czekał i był niespokojnym, czy się czego zemną niestało? Widząc mnie mocno zmęczonym, osłabionym, prawie chorym i w zupełnej niemożności jechania dalej, rzekł do mnie ze zwykłą swą uprzejmością: ja muszę spieszyc do Kijowa, do generał-gubernatora, a Pan tu zostaniesz dla wypoczynku, póki niebędziesz w stanie jechania dalej i położysz swą rękę na mém ramieniu, z przyjacielską poufałością, zaczął mi się pilnie wpatrywać i wypytywać czy mocno cierpię, czy klócie jest dotkliwe i tym podobne zadawał mi pytania; ten raz jeden widziałem Polickowskiego nieco wzruszonym; ależ bo i stan mój ówczesny prawdziwie godzien litości. Posłał natychmiast po horodniczego miasta, a ja oczekując dalszych względem mnie rozporządzeń, położyłem się na kanapie. Kiedym siedział lub leżał spokojnie, żadnego klócia w głowie, żadnego prawie bolu nieczułem, tylko szum wielki w uszach i rozstrój w myślach. Horodniczy przyleciał piorunem i w całej paradyzie, ze wszystkimi jakie miał na piersiach orderami. Polickowski przy poleceniu mnie jego dozorowi, dawszy mu w sekrecie stosowne rozkazy, i zapewniwszy mnie, że mi na żadnej pomocy i na niczém zbywać niebędzie, uściśnieniem ręki pożegnał się ze mną i zostawił przy mnie czynownika Pisarewa. Jam usiadł do sani z horodniczym, a Polickowski do kibitki i poleciał do Kijowa.

Sanie, na których siedziałem, zatrzymały się przed dość obszernym, murowanym, ale smutnym gmachem; ciężkie rygle odsunięto, wprowadzono mnie do ciemnego korytarza, a ztamtąd do małego, posępnego, ale dość czystego pokoiku, którego okno duże było obwarowane gestemi i grubemi żelaznemi kratami; zatem zaprowadzono

mnie do więzienia. Rzuciłem się natychmiast na siennik leżący na pryczy; po chwili przyniesiono mi od horodniczego prześcieradło czyste i poduszkę, rozebrawszy się zupełnie, położyłem się wygodnie, przykrywszy się płaszczem i kożuchem. Horodniczy, dość jeszcze młody, smukły, rodem Polak, Galicyanin, choć niemieckiego nazwiska, miał między innymi orderami na piersiach, order za wzięcie Warszawy, gdyż w czasie naszej ostatniej kampanii służył w wojsku rossyjskiem i był w czasie szturmie Warszawy. Spytawszy mnie, czy niepotrzebuję posiłku? na moję twierdzącą odpowiedź, przyniesiono mi dobrego i posilnego rosolu z kurczęcia. Horodniczy dopatrzawszy, aby na niczem mi niezbywało, zostawił ze mną dla pilnowania mnie w tym samym pokoju tych samych żandarmów, co mnie wieźli z Kamieńca, a postawiwszy jeszcze przy moich drzwiach na korytarzu jednego sztyldwachę, i zamknąwszy drzwi od korytarza, odszedł. Wkrótce po odejściu horodniczego, bez mojej o to proźby, przyszedł odwiedzić mnie doktor, jakiś poczciwy człowiek, Polak, Litwin, zdaje się, że się nazywał Kaszyc; patrzył na mnie z prawdziwem spółczuciem, a wypytawszy się mnie dobrze o przyczynę słabości, i gdym mu ją opowiedział, rzekł: że to nie jest nic niebezpiecznego, to było, jak nazywał, otrzęsienie mózgu, czy coś podobnego; że na to potrzeba było wypoczynku i spokoju; a zapisawszy natychmiast jakieś mi lekarstwo, wyszedł. Chętniebym chciał był z nim coś pomówić, ale przy świadkach, bo i stróż więzienia wszedł umyślnie z nim razem, aby o niczem niegadano, niepodobna, niewolno, ani mnie, ani jemu, rozmawiać z sobą.

Po wyjściu doktora i stróża więzienia, zostałem tylko z moimi żandarmami równie jak i ja zamkniętymi. Chrząst dość wyraźny, ciągły i przejmujący, jak gdyby chrząst licznych kajdan, kazał mi się domyślać, że ja byłem w jakimś obszernem i mnóstwem więźniów napelnionem wię-

zieniu; i wcałom się niemylił; było to więzienie napelnione nieszczęśliwymi.

Zmęczenie duszy i ciała, spokojność i wypoczynek, którego z pewną przyjemnością używałem, choć w tak smutnych znajdując się okolicznościach, sprowadził na mnie sen błogi i pokrzepiający, jedyną cierpiących ulgę. Spałem dość długo i mocno. W tem zdało mi się słyszeć przez sen jakiś śpiew, który poruszając coraz mocniej organa słuchu, przywiódł mnie zwolna i pomalu do zupełnego ocucenia się i do otwarcia powiek, a śpiew coraz się wzmagał i stawał donośniejszym. Musiało być już dość późno, gdyż po mojem obudzeniu się, paliła się świeca w mojem więzieniu. Przykładam ucha, słyszę wyraźnie: śpiew polski, śpiew uroczysty, przypominający i naszą narodowość i prawowierność naszych naddziadów. Więźniowie Polacy śpiewali kolędę: „W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu,“ bo w ten dzień była wigilia Bożego Narodzenia podług ruskiego kalendarza, do którego w ruskich prowincjach Polski i katolicy Polacy stosować się muszą. Oderwałem głowę od poduszki, usiadłem na mojem łożu boleści, a wsparłszy głowę na rękę, rzewniem zapłakał. Mój Boże, pomyślałem w duchu, toż chwala dla Ciebie, jak i uczucia dla Polski, tylko w więzieniu śmiało, bez trwogi i bez wstydu objawiać się mogą? Czyż te same tylko serca, które gorąco milują ojczyznę, gorące błagalne do Ciebie zasyłają modły? Czyż koniecznie potrzeba być mocno nieszczęśliwym i cierpieć dla ojczyzny, aby Cię otwarcie i bez zarumienienia się chwalić można? Dawniej, za dobrych, świetnych i szczęśliwych Polski czasów, taki wojewoda lub kasztelan, taki hetman, co całem sercem kochał Polskę, jej szczęście i jej sławę, co całe swe życie strawił na jej usługach, niewstydzil się, nierumienil zgiąć kolan przed Bogiem Panem, niewstydzil się w dniach wielkich uroczystości chrześcijaństwa i Polski łączyć swój głos w świątyniach Pańskich lub we własnym domu z głosem pospólstwa, lub



z glosem swęj czeladzi; toż się niemiał po co wstydzic i rumienić, że był Polakiem, był wolny, poczciw i szczęśliwy, jak była wolna, szlachetna, sławna, wielką i szczęśliwą jego ojczyzna Polska. Dzisiaj, jaki taki młody paniczyk, ba, nawet i osiwiwały podpanek, ubliżyłby godności oświeconego człowieka, gdyby zgiął kolano w świątyni Pana, gdyby otworzył usta, któremi jednak tak chętnie a niemilosiernie kaleczy śpiewy zagranicznych oper, na oddanie czci panów Panu. Toż i miłość jego ku ojczyźnie jest tak zimna, tak wyrachowana, jak jest zimna i słaba jego wiara w żywego Boga. A jak się rumieni jawnie i otwarcie wierzyć i modlić się Bogu, tak też nie śmie jawnie i otwarcie nazwać się dziś Polakiem, bo mu wnet pokażą drogę do więzienia. Tu dopiero pozna i uczuje, że jest Bóg, bo poznał i uczuł, że jest Polakiem, że kocha Polskę. Miłość zatem prawdziwa i gorąca nie może się obejść bez prawdziwej i gorącej miłości Boga; bo zamiłowanie sprawy Polski jest zamiłowaniem bezwzględnem samej sprawiedliwości, której początkiem i źródłem jest tylko sam Bóg. Gdzie dzisiaj najwięcej kochają Polskę? w więzieniu; gdzie Cię dzisiaj najgoręcej chwalą i błagają Boże? także w więzieniu. Chwała więc dla Ciebie, jest chwałą i dla Polski. A zatem i ten śpiew uroczysty na cześć twoją, Panie! moich rodaków żywo do grobu zamkniętych, jest zarazem śpiewem i dla matki-Polski. Otóż dla czego od łez wstrzymać się niemógłem. Przytęm do tego uczucia łączyło się jeszcze wspomnienie szczęśliwszej przeszłości, w której i ja podobne pieśni śpiewałem. Po trzynastu latach tulaczego życia, po raz pierwszy usłyszałem rodzinną notę, na rodzinnęj ziemi, i to w tak smutnym, w tak oplakanyin znajdując się stanie, mógłżem niebyć wzruszony? Później śpiewali więźniowie: Anioł pasterzom mówił, Przybieżeli do Betleem pasterze, i inne kolędy; żadna w świecie muzyka tyle mnie niezachwycała, chociaż wcale niejestem na nią nieczuły!

Nieza długo potem pozwolono wejść do mnie organiscie, który dawnym polskim zwyczajem w wigilią Bożego Narodzenia przyniósł mi opłatek, winszując mi zarazem, aby przyście na świat Zbawiciela ludzkości i mnie zbawiło z niewoli. Wdzięczny mu byłem z całego serca za te jego chrześcijańskie życzenia, ale pomyślałem sobie: Bóg sam jeden może mnie tylko wybawić z rąk wrogów mej ojczyzny. Podzieliłem się opłatkami z moimi żandarmami, tłómacząc im, co ten zwyczaj u nas oznacza. Przyniesiono mi od horodniczego sutą kolacją, której nietknięwszy, oddałem żandarmom, a sam prosiłem o herbatę, co prawie natychmiast było uskutecznione. Cały następujący, a pierwszy dzień Bożego Narodzenia, leżąc, odpoczywałem. Doktor Kaszyc dwukrotnie mnie odwiedził ze zwykłą assistencją, za co mu byłem mocno obowiązany, a jam się czuł nierównie zdrowszym, ból i kłucie, nawet szum w uszach zupełnie ustaly. Horodniczy także mnie dwukrotnie odwiedził, dopytując się grzecznie i uprzejmie tak o moje zdrowie, jako też, czybym czego niepotrzebował? Na drugi dzień Bożego Narodzenia, horodniczy wraz z moim czynownikiem Pisarewem, odwiedzili mnie bardzo rano, pytając się, jak się miałem? odpowiedziałem, że miałem się nierównie lepiej, i chciałbym jak najspieszniej jechać do Kijowa, tém chętniej, że śniegu upadło tyle, iż sannę uczynił jako tako dogodną; chętnie na to zezwolili, bo i im samym widać się spieszyło, aby mnie ztąd wyprawić, i dwoje trójek zaprzężonych do dwóch sanek wkrótce zajechało przed więzienie.

Choć byłem mocno osłabiony, ale żadnego ani kłucia, ani bólu w głowie nieczulem. Związawszy mocno głowę chustką i wtłoczywszy na to czapkę, w kożuch i płaszcz odziany, wsiałem wraz z moimi żandarmami do pierwszych sanek, a czynownik Pisarew do drugich. Horodniczemu, który był przytomny memu odjazdowi, podziękowałem za jego uprzejme ze mną postępowanie, a w tém spojrzawszy na kompaniją piechoty, tuż obok nas stoją-

cej, porządnie umundurowanej i dobrze prawdziwie po wojskowemu wyglądającej, zwróciłem na nią uwagę horodniczego, który począwszy od słów: u naszego cara całe wojsko ma taką postawę, dodał, mówiąc: prawie większa połowa tych żołnierzy są Polacy, którzy w czasie rewolucyi walczyli przeciw Rossyi. Dowiedziawszy się o tém, chociaż wiedziałem, że niewolno, niemógłem się jednak wstrzymać, abym niepozdroził dawnych towarzyszków broni; zwróciwszy więc głowę i oczy w tę stronę, gdzie żołnierze stali, i zdjawszy czapkę powiedziałem do nich dość głośno: Jak się macie koledzy? i bądźcie zdrowi! oni mi się odklonili lekkim skinieniem głowy, a horodniczy krzyknawszy natychmiast, ruszaj (paszol), ruszyliśmy w drogę. Horodniczy odprowadziwszy nas na swoich saniach o werstę drogi za miasto, wrócił do Braclawia, a my pędem wiatru poleciliśmy dalej. Tego dnia mroz był tak silny i iskrzący się, że aż skrzypiało pod saniami; droga niebyła głęboko śniegiem przykryta, dawały się mi zatem czuć male wstrząśnienia, szczególnie, kiedy sanie poszedłszy w zatokę, odbiły się o zaporę, co mi natychmiast sprawiało klócie w głowie, lecz nie tak silne i bolesne, jak przedtém.

Ledwieśmy może ujechali z milę do Braclawia, aż tu ujrzelśmy naprzeciwko nam lecaącą trójkę, ale z takim pędem, jak gdyby nią sam zły duch gonił i w chwili mijania się krzyknął jadący tą trójką oficer głośno i kilkakrotnie: Stój! stój! Wszystkie trzy trójki stanęły jak wryte. Niewiedziałem co to znaczyło: tymczasem nowo przybyły pogadawszy coś w sekrecie z czynownikiem, który mnie eskortował, przyszedł do moich sani i oświadczył mi ostro po moskiewsku: że z rozkazu generał-gubernatora Bibikowa odtąd miałem zostawać pod jego rozkazami, pod jego nadzorem. Był to oficer od żandarmeryi naumyślnie z Kijowa przysłany na miejsce Polickowskiego. Wysoki, cienki, smukły jak strzała, dwadzieścia kilka lat ledwie liczący, opięty, rodem Inflantczyk, a zatém Niemiec zno-

skwiciały, słowem, pokurcz, pół psa a pół kota, dla okazania swojej powagi pewno, od razu, i niewiadomo dla czego, bo bez żadnej przyczyny, pogroził moim żandarmom kijami; może dla wzniecenia we mnie bojaźni i strachu, i dla dania mi uczuć, z jak wielkim potentatem miałem do czynienia. Ale się mocno zawiódł; bo poznawszy od razu, co to za ptaszek, nastajaszczy stupajka, rzuciłem nań wzrok lekceważenia, i malom dbał o jego przychylność lub nienawiść; anim słowa do niego nieprzemówił. W postawie, we wzroku jego dostrzegłem coś nieprzyjemnego, nienawistnego dla mnie. Co za różnica z Polickowskim. Dowiedziawszy się zatem od samego oficera żandarmeryi, zaczęm on z Kijowa przybył: dziwiłem się nie pomalą i szybkości poczty moskiewskiej, i szatańskiej energii w administracji. Polickowski wyjechał z Braclawia około drugiej z południa w wigilią Bożego Narodzenia, dojechał do Kijowa, zdał rapport Bibikowi, wynaleziono oficera zastępcę Polickowskiego, wysłano go z Kijowa, który na drugi dzień Bożego Narodzenia o godzinie ósmej z rana byłby w Braclawiu; słowem, od wyjazdu Polickowskiego z Braclawia do Kijowa, i wyjazdu oficera żandarmeryi z Kijowa i przybycia do Braclawia, upłynęło tylko czterdzieści dwie godziny; proszę spojrzeć na kartę i odmierzyć odległość Braclawia od Kijowa, a prawdziwie można powiedzieć, że tylko szatani a nie ludzie podobnie szybko jeździć mogą; to nie są gelegenhejty, ani ejlwageny niemieckie.

Nowo przybyły oficer usiadł na saniach z czynownikiem i ruszyliśmy dalej; przejechaliśmy rzekę Boh i nad zachodem słońca przybyliśmy do Lipowca, powiatowego miasta już gubernii kijowskiej. Zatrzymaliśmy się na poczcie ze strony i na samym prawie początku wjazdu do Lipowca. Oficer stupajka, poszeptawszy coś na ustroiniu z czynownikiem tajnej policyi, gdzieś zniknął i dość długo jego niebyło. Przeczuałem, że coś niedobrego wzglę-



dem mnie się święciło. Po powrocie oficera wsiedliśmy do sanek, wjechaliśmy do Lipowca pod górę i zawieziono mnie przed ohydny i szkaradny dom policji miejskiej, na samej górze miasta położony. Wprowadzono do pustej policji. Ponieważ były święta, ludzie zostający bez zatrudnienia, a szczególnie Żydzi, ciekawi o wszystkim wiedzieć i wszystko widzieć kupami zebrali się przed policją. Ale sprężysty stupajka kazał wszystko rozpedzić na cztery wiatry. A ja stojąc, myślałem, co tu będą ze mną robili. Domyślałem się wprawdzie co, ale jeszcze niebyłem zupełnie pewny. Tymczasem zaczęło się już zmierzchać. W tém stupajka przystąpiwszy do mnie z miną nasrożoną, gdyby żaba na kępinie, bez uprzedniego zapytania, wyjmując moje obie ręce z przybocznych kieszeni surduta, a swoje doń kładzie; pewnie biedak dopełniając obowiązku obszukania, chciał niemnożko tylko uworować; ale ja daleko przedtém domyśliwszy się, o co rzecz być mogła, skryłem większą część pozostałych, od zabranych mi pieniędzy w Kamieńcu tak dobrze, że niemogły być znalezione. Postrzegłszy tedy jego zamiar, powiedziałem mu, że nic nie miałem w kieszeniach, że mi pieniądze już zabrano w Kamieńcu. Co tam nic niema, odmruknął stupajka ponuro, zobaczymy. Obejrząwszy wszystkie kieszenie w surducie, spodniach i kamizelce, obszczupawszy rękawy, kołnierze itd. i nic nie znalazłszy; niekontent z obłowu, rozkazał żandarmom mnie za sobą prowadzić.

Zaprowadzili mnie do jakiejś ziemiłanki (podziemnej chaty) dosyć obszernej, opodal od policji pod wzgórzem leżącej, a służącej jak mi się zdawało, za koszary, czy za więzienie dla żołnierzy. Chata, przy spóźnionej porze dnia, była zupełnie ciemną, a w niej było pełno żołdactwa; trochę mi się okropnie zrobiło, nie wiedziałem, co ze mną tam się stanie, lecz nic mi się tam złego nie stało; nałożono mi tylko na ręce żelaza i zamknięto ogromną kłódką, to jest: zamkiem wiszącym u tych żelaz; skuto

zaś rąk pięście tak blisko siebie, że tylko bardzo mały przedział obie pięście przegradzał, ani ich zbliżyć do siebie, ani od siebie oddalić niemożna było. Z tak skutemi rękami, wyprowadzili mnie z ziemi lanki i sprowadzili jeszcze niżej pod wzgórze, do małej drewnianej kuźni, nie daleko drogi, którąśmy wjechali do Lipowca, położonej. Ponieważ były święta, nie było w kuźni ani ognia, ani potrzebnych narzędzi. Znaleziono kowala żołnierza, co przyniósłszy z sobą potrzebne narzędzia, rozniecił zarazem i ogień. Stupajka gdzieś tam w policyi wynalazłszy kajdany, trzymał takowe w ręku i oglądał z ciekawością i pewnym rodzajem dzikiego zadowolenia. Kajdany były najniegodziwsze, jakie być mogą. Zardzewiały aż do czerwoności, bez ogniów, tylko z dwóch grubych, żelaznych prętów złożone, spojonych kółkiem pośrodku i u wierzchu, a końcami przytwierdzonych dwoma ogniwkami do żelaznych obręczy obejmujących nogi, czekałem przeszło kwadrans nim się ogień rozniecił, i nim przyrządzono wszystko, co było potrzebnem do tej barbarzyńskiej operacji, po czem kazano mi usieść i wyciągnąć nogi. Kowal założył na nie żelazne obręcze, a gdy dla próby, czy przypadają, zwarł je mocno na nogach po wierzchu cholew, syknąłem z bólu, bo były bardzo ciasne. Kowal widząc przyzwyczajony do podobnego widoku, rzekł głosem prostaczo-rubasznym i szyderyczym: No, to nic, jeszcze czasami ciaśniejsze bywają; póki tylko przymierzał, oprócz uwag, że są za ciasne, nic nie mówiłem, milczałem; ale gdy chciano je zlutować, usunąłem nogę, powiedziawszy z pewnym uniesieniem, że to zbyt ciasno, że mi kajdany nogi zkałczą. Stupajka coś zaczął pomrukiwać; a ja mu na to: że jeżeli w tak ciasne zakują mnie kajdany, zaniosę o to skargę do samego generał-gubernatora; na takie rozumowanie, kazano je cokolwiek rozszerzyć, i zakuto, zagwoźdzono je na nogach tak mocno, jak gdybym był koniem. Jeszcze dolegały mnie kajdany, bo jeszcze były za ciasne, ale nie było co robić. Podnieśli i popro-

wadzili, a raczej ponieśli mnie do sanek; gdyż z przyczyny kształtu kajdan i długiego zardzewienia, ogniwka u obręczy i kółko u góry prętów, nieulatwiały tych prętów do posuwania się, byłem jak spętany. Nareszcie wsadzono mnie do sani, tuż na drodze stojących, i ruszyliśmy dalej już późno wieczorem.

Widząc się skutym za ręce i nogi i zupełnie bezwładnym, doświadczyłem szczególniejszego uczucia niemocy. Niebędąc w stanie siłą fizyczną, muskularną poprzec uczuć i popędu duszy, zdawało się, iż najsmutniejsze, najboleśniejsze wrażenia marzyłem tylko bezwładnością i w niemocy, w której zostawałem. Niebyłem w stanie doświadczyć uczucia zemsty, bo jawnie i otwarcie niemogłem się zemścić, a do tajemnej, podstępnej i skrytej zemsty niebyłem przyzwyczajony, ponieważ brakowało środków, powód sam z siebie ustawał. Stałem się jak dziecko co się dąsa, kaprysi i gniewa, lecz które widząc swą słabość wraca do pierwiastkowej łagodności; albo jak słaba niewiasta, która w chwili bolesnej krzywdy jej sercu wyrządzonej czując się niezdolną otwarcie i siłą jej powetować, albo się we łzach rozplywa i swą niemocą sama siebie zabija, albo dla zemszczenia się, podstępnych tylko używa sposobów, przybierając wszelkie pozory przychylności, a nawet serdeczności. Chytrość więc, nieszczerosć i obluda są naturalnym następstwem uciśnionej słabości. Przyszło mi w tej chwili na myśl wzięcie Karola XII w Warnicy przez Turków; przed chwilą nieugiętej woli, dziki, okrutny i rozjuszony jak tygrys, własną ręką mordujący Jańczarów, gdy mu szabla wypadła z dłoni, gdy się ujrzał w ręku swych przeciwników niosących go za ręce i nogi, bezbronny i w stanie zupełnej niemocy użycia jakiegokolwiek siły fizycznej, wtedy żelazna wola jego ducha prysła przed zupełną niemocą maszyny ślepo wykonywającej jego rozkazy; stał się nagle powolnym, łagodnym i uśmiechającym się, jak dziecko. Musiał on doświadczyć zapewne przykrego i bolesnego uczucia czło-

wieka paraliżem tkniętego, który czuje, myśli, ma wolę, a żadnym członkiem ruszyć niemoże. Podobnego wrażenia i ja wówczas doświadczyłem. Wątpię nawet, chociaż tego nie jestem pewnym, aby mając ręce i nogi skute, byłem w stanie dąsać się i gniewać, gdyby się ze mną nawet najsurowiej obchodzono? Za to ręczyć niemożę, tak mi się jednak zdawało.

Wieleby ztąd wniosków można wyprowadzić; a naprzód potrzeba przyznać daleko wielką wyższość mocy i siły ducha człowiekowi, który śród kajdan, więzień i męczarni, słowem, zbezwładniony ciałem, niem umęczony, zachował moc i niepodległość swych myśli, swych uczuć, swych przekonań, który nienagiął swego ducha do stanu swego ciała. Stokroć taki człowiek ma więcej wyższość moralnej i męztwa od najśmielszego w boju żołnierza, choćby nawet rzucającego się wprost na otwarte przed nim działo. Łukasiński, Zawisza, Konarski, Leon Zaleski, Wiśniewski Teofil i inni im podobni byli to ludzie wielcy męstwem, duchem i poświęceniem się; czcić ich pamięć i naśladować powinniśmy, a niebraknie nam na mniejszym od ich odwagi męstwem, w boju o niepodległość, z nadzieją pewnego zwycięstwa. Powtóre: że wszelkiej mocy i sile szlachetność i sprawiedliwość winne towarzyszyć, jeżeli bez uszczerbku dla siebie chcą na właściwem sobie zatrzymać się stanowisku, i jeżeli niechęcą rozjątrzyć, oburzyć przeciw sobie zrad, chytryści i podstępów słabości i niemocy; możnaby to zastosować do stosunków monarchów i rządów względem ich poddanych i ludów; naczelników do podwładnych; bogaczy do biednych; mężczyzn względem kobiet i tym podobnych rzeczy; że wszelka słabość i niemoc chętnie się poddaje względem i opiece wspaniałemu uczuciu mocniejszego; że ztąd nadużycie siły nad słabością zowiemy tyraniją, uciskiem wywołującym opór i bunt bardzo naturalny uciskoniemu, używającemu w takim razie do zrzucenia z siebie ucisku, a przynajmniej chcącemu ten ucisk czémkolwiek



sobie wynagrodzić, wszelkich sposobów podstępnych i niemoralnych; że zaufanie słabszego można pozyskać tylko szlachetnością i sprawiedliwością.

Ponieważ to były święta Bożego Narodzenia, lud chrześcijański bawił się, cieszył i hasał na dobre, i jamszczyki pocztowi po większej części byli dobrze pijani. Mój stupajka, czy się spieszył do Kijowa, aby jeszcze świąt zachwycić i pohulać z jaką krasawicą, czyli też miał rozkaz jak najspieszniej mnie dostawić, pędził jak szalony, ciągle krzycząc z tylnych sanek, na których siedział, na mojego jamszczyka (woźnicę) ruszaj i ruszaj (paszoł i paszoł). Noc była ciemna i od śniegu tylko trochę bielalo. Mijając Białą cerkiew, sanki, na których siedziałem, poszedłszy w zatokę i zawadziwszy o jakąś przeszkodę, wywróciły się. Żandarmi wylecieli, z furmanem niewiem co się stało, a ja skutny jak kloc i niemożąc sobie nadać ani żadnej równowagi, ani nieść najmniejszej pomocy, wywróciłem się po prostu z sani, których róg tylny, czy co innego, pochwycił mnie za kajdany, niewiem jakim sposobem. Tak wywróconego, po zmarzłej a śniegiem nieco przykrytej grudzie, konie w całym pędzie ciągnęły mnie, niewiem jak długo. Mógłem łatwo połamać sobie nogi i ręce; skończyło się jednak, dzięki Bogu, na potłuczeniu łokci, piersi, a szczególnie kolan, których ból tak stał się dotkliwym, że omdlawszy, stracił przytomność i niewiem co się dalej stało. Po odzyskaniu przytomności, ujrzałem się już na saniach, konie były zatrzymane, a w około mnie stali stupajka, czynownik i żandarmi. Stupajka zapytał mnie: Co Panu jest, czy Pan zdrow? Zniecierpliwiony nieznośną facyatą odrzekłem: Nic mi nie jest, proszę mi dać pokój. Ale się na tem nieskończyło, inna nastąpiła scena, bo w Rosyi (czyn czyną poczytajet) ranga szanuje rangę. Więc za to, że się sanie wywróciły, i że sam był tego przyczyną, każąc pędzić, jakby go szatan gonił, stupajka zaczął w kark grzmocić żandarmów i woźnicę. Podoficer

żołnierza i woźnicę, żołnierz woźnicę, a woźnica później smagał konie, które najniewinniejsze mściły się tylko na swoich nogach i kopytach; tak to mądrze w Rosyi wymierzają sprawiedliwość, i to jest zasadnicze prawo sprawiedliwości moskiewskiej. Żandarmi tak niemilosiernie zaczęli bić w kark nieszczęśliwego woźnicę, iż niewiem, jak mu się głowa na karku utrzymała. Oburzony tak barbarzyńskim postępowaniem, ofuknąłem się w całym gniewie na żandarmów, którzy dawszy pokój woźnicy, zaczęli przeklinać stupajkę; za to im nic niemówilem. Dotkliwy ból kolan, łokci i piersi potluczonych, i przeto wstrząśnienie gwałtowne, obudzenie bólu i kłócia w głowie uczyniły mnie prawie zupełnie chorym; nadzwyczaj mdło i nudno było mi na sercu i często doświadczałem przykrego uczucia zbliżającego się do omdlenia, chociaż wcale nie mam nerwów spazmatycznych, tak gotowych do mdłości. Można powiedzieć, iż ledwo mogłem siedzieć. Po takim wypadku, widok najnniejszój zatoki lub prawdopodobieństwo powtórnego wywrócenia się, przejmowało mnie niezmysloną bojaźnią i dreszczą. Jeżeli dotąd przy przepręgach na stacyach pocztowych pomagali mi żandarmi do zsiadania i wsiadania na sanie, to po tym wypadku musieli mnie na rękach swych znosić i wsadzać do sani, tak mocy nie miałem. Tak przejechalśmy noc całą. Nazajutrz rano trzeciego dnia Bożego Narodzenia dostał się nam furman niebardzo trzeźwy. Na krzyk stupajki, paszoł, rozpuścił konie w całym pędzie; sanie uderzyły w bok tak silnie, że wyleciałem z nich jak piłka, padłem płaskiem i piersiami na żelaza i kłódkę, któremi ręce były skute; oddech mi się zatamował, alem tą razą niezemdlał. Znowu nastąpiło poszanowanie stopni po starzeństwie, ale mnie to już cale nieobchodziło, ledwie byłem żywy.

Odtąd zaczęliśmy jechać wolniej z dwóch przyczyn: naprzód dla tego że byłem mocno chory, a właściwiej rozbity tak, że sam stupajko moim stanem zdrowia się za-

trwożył i lękał się zapewno, aby za trzeciém mnie z sanek wyrzuceniem do reszty niedobił i zamiast więźnia nieprzywiózł do Kijowa tylko jego trupa, a powtórnie że coraz bliżej przybliżając się do Wasylkowa, sanna stawała się coraz gorszą, tak, że w końcu po ziemi bez śniegu wjechaliśmy do miasta. Znieśli mnie z sani do pocztowego domu, gdzie stupajka i czynownik zjedli śniadanie, a jam się napił herbaty. Tu stupajka niewiadomo dla jakiej przyczyny stał się dla mnie nierównie grzeczniejszym, i daleko więcej względu dla mojego zdrowia zaczął okazać: więc i ja dla niego stałem się grzeczniejszym, co było dla mnie tém łatwiej uczynić, że zemsty osobistej w sercu niemam i że sama nawet obojętność jest dla mnie nieznośną. Oficer od żandarmeryi sam mi powiedział, że był rodem Inflanctzyk i że w Dorpacie chodził na uniwersytet. Ponieważ niepodobna było dalej jechać saniami, zaprzężono konie do kibitki: jechaliśmy całą stacyą prawie tylko stępą, wyjąwszy gdzie nieco więcej było piasku i mniej wstrząśnień. Mimo tę ostrożność, jednak tak mi się głowa rozbolała, i tak silnego kłócia zacząłem doznawać, że znowu łzy mi zaczęły z ocz płynąć, a jam z bólu mało nieoszalał. W Białej, ostatniej stacyi przed Kijowem, mimo żadnej sanny, prosiłem, by mi dano sanie. Oficer się temu nieprzeciwiał, a czynownik rozkazał. Jechaliśmy tedy zwolna i pomału. Kiedyśmy się zbliżyli do rogatki Kijowa, nasze dzwonki pocztowe poprzytwierdzano tak, aby żadnego niewydawały dźwięku, a to, jak mi mówiono, dla tego, że w gubernialnym mieście Kijowie, a może i po innych miastach gubernialnych, tylko kapitan sprawnik ma prawo z urzędników cywilnych dzwonkiem brzęczeć. Przejechaliśmy część miasta Kijowa i wkrótce wjechaliśmy do samej fortecy i przybyliśmy wprost do mieszkania kommandanta placu, czyli placmajora.









